

IRIS JOHANSEN

# Łabędź



## Prolog

*Greenbiar, Karolina Północna*

Nie miałam zamiaru tego zniszczyć. - Po policzkach Nell spływały łzy. - Nie gniewaj się, mamusiu. Samo upadło.

- Tyle razy ci mówiłam, żebyś nie ruszała moich rzeczy! Dostałam to lusterko od twojego ojca. Jeszcze w Wenecji, - Matka Nell patrzyła z zaciśniętymi gniewnie ustami na złamaną rączkę zwierciadła wysadzanego perłami. - Już nigdy nie uda się go naprawić.

- Uda się! Obiecuję. - Nell wyciągnęła dłoń w kierunku lusterka. — Nie stukło się, a rączkę skleję i będzie wyglądało tak samo jak przedtem.

- Zniszczyłaś je. I co robiłaś w moim pokoju? Prosiłam babcię, żeby pod żadnym pozorem cię tu nie wpuszczała.

- Babcia o niczym nie wie. To nie jej wina. - Słowa dziewczynki tłumili szloch. - Przyszłam, bo... Chciałam tylko zobaczyć... Uwiłam wianek z powoju i...

- Widzę. - Matka dotknęła pogardliwie kwiatów. - Wyglądasz śmiesznie. - Obróciła lusterko tak, by Nell mogła się przejrzeć. - Właśnie o tym zamierzałaś się przekonać? Sprawdzić, jak głupio wyglądasz?

- Myślałam, że ładnie...

- Ładnie? Jesteś gruba, pospolita i już taka zostaniesz.

Mama mówiła prawdę. Dziewczynka patrząca na Nell z lusterka była gruba i miała przekrwione, podpuchnięte oczy. Jasnożółte kwiatki, które tak jej się podobały, wyglądały żałośnie na rozczochranych włosach. Szpeciła nawet powój.

- Przepraszam, mamó - szepnęła.

- Czy naprawdę nie możesz inaczej, Martho? - W drzwiach stanęła babcia dziewczynki. - Ona ma dopiero osiem lat.

- Najwyższy czas, żeby stanęła oko w oko z rzeczywistością. Nell zawsze będzie brzydką, małą myszką. I musi się z tym pogodzić.

- Wszystkie dzieci są śliczne - szepnęła babcia. - Nawet jeżeli teraz Nell wygląda zupełnie zwyczajnie, to przecież może wypięknąć.

Matka znów pokazała dziewczynce lusterko.

- Czyżby ona miała rację? - spytała. - Jesteś piękna?

Dziewczynka odwróciła głowę.

- Nie chcę, żebyś nabijała jej głowę bajkami. Brzydkie kaczątko nie zmieniają się w piękne łabędzie. Z pospolitych dzieci wyrastają pospolici dorośli. A jeśli to dziecko szuka aprobaty, musi po prostu być zawsze porządne, czyste i posłuszne.

- Chwyciła córkę za ramiona i spojrzała jej prosto w oczy.

- Rozumiesz, Nell?

Zrozumiała. Mamie chodziło o to, że skoro Nell nigdy nie wyładnieje, to musi zawsze robić to, co każą jej dorośli, żeby zdobyć ich miłość.

Kiwnęła niepewnie głową.

Matka wypuściła ją z uścisku, wzięła leżącą na łóżku teczkę i ruszyła do drzwi.

- Za dwadzieścia minut mam spotkanie, a przez ciebie się spóźnię. - Już nigdy więcej tu nie przychodź! - Zerknęła niecierpliwie na babcie Nell. - Nie rozumiem, dlaczego jej nie pilnujesz.

W chwilę później wyszła.

Babcia wyciągnęła ręce do dziewczynki, by ją pocieszyć. Nell

też pragnęła się do niej przytulić, ale przedtem musiała zrobić coś bardzo ważnego.

Odwróciła się w stronę toaletki i skrzętnie pozbierała kawałeczki zbitego lusterka. Zamierzała posklejać rączkę tak dokładnie, by nikt się nigdy niczego nie domyślił. Wiedziała, że musi być pracowita, mądra i grzeczna.

Była brzydkim kaczątkiem, które nie zmieni się w pięknego łabędzia.

*Czwartego czerwca, Ateny*

Tanek nie był zadowolony.

Nicholas Tanek wychodził wprawdzie z odprawy celnej z kamienną miną, ale Conner nauczył się już odczytywać mowę jego ciała; Tym razem - oprócz charakterystycznej siły i koncentracji - z Taneka emanowało zniecierpliwienie.

-Radzę, żeby ci się udało - nakazał mu Tanek przed wyjazdem.

Nie udało się, ale Conner nie mógł więcej działać.

Postąpił krok naprzód i zmusił się do uśmiechu.

- Przyjemny lot?

- Nie. - Tanek zmierzał do wyjścia. - Reardon w samochodzie?

- Tak, wczoraj przyjechał z Dublina. - Urwał. - Ale nie pójdzie z tobą na przyjęcie. Zdobyłem tylko jedno zaproszenie.

- Mówiłem wyraźnie o dwóch.

- Nic nie rozumiesz.

- Wręcz przeciwnie. Rozumiem, że gdyby rzeczywiście coś się wydarzyło, zostanę sam. Bez wsparcia. Rozumiem również, że ci płacę za wykonywanie poleceń.

- Przecież to przyjęcie na cześć Antona Kavinsky'ego! On jest

prezydentem Rosji, u Boga Ojca! Nawet to jedno zaproszenie kosztowało mnie fortunę. - I chyba nie będziesz potrzebował Reardona - dodał pospiesznie. - Informacja może się okazać niedokładna. Nasz człowiek znalazł tylko notatkę w kwaterze głównej CAA, z której wynikało, że przyjęcie na wyspie Medas może okazać się ważne.

- I nic poza tym?

- Mamy jeszcze listę.

- Jaką listę?

- Z nazwiskami sześciu gości. Zidentyfikowaliśmy tylko goryla Kavinsky'ego i Martina Brendena, gospodarza przyjęcia. Nazwisko jednej z kobiet zakreślono kółkiem.

- Dlaczego uważasz, że to lista zabójstw?

- Z powodu niebieskiego atramentu. Nasz człowiek ma na ten temat pewną teorię. Według tej teorii rozkazy Gardeaux są kodowane kolorami oznaczającymi rodzaj akcji.

- Teorię? - powtórzył Tanek niebezpiecznie cicho. - Odbyłem całą tę podróż po to, żeby wysłuchiwać teorii?

Conner zwilżył językiem wargi.

- Kazałeś się informować o wszystkim, co dotyczy Gardeaux.

Zauważył z ulgą, że sama wzmianka o Philipie Gardeaux podziałała na Taneka uspokajająco. Żaden wysiłek nie był zbyt wielki, żadna akcja zbyt ryzykowna, jeśli dotyczyły Gardeaux.

- Rzeczywiście - powiedział Tanek. - Kto przysłał tę wiadomość?

- Joe Kabler, szef CAA, opłaca informatora w obozie Gardeaux.

- Uda się nam zdobyć jego nazwisko? Conner potrząsnął głową.

- Próbowałem, ale nic z tego nie wyszło.

- A co Kabler zamierza zrobić z tą listą?

- Nic.

Tanek wytrzeszczył oczy.

- Nic?

- On sądzi, że chodzi o kandydatów na łapówkarzy.

- A więc nie wierzy w „teorię śmiercionośnego niebieskiego atramentu”? - spytał sarkastycznie Tanek.

Kiedy dochodzili do mercedesa, Conner odetchnął z ulgą. Niech Reardon się z nim męczy - pomyślał. - Należą do tego samego gatunku.

- Jamie ma listę w samochodzie. - Szybko otworzył tylne drzwi. - Porozmawiasz z nim w drodze do hotelu.

Cześć, kowboju - irlandzki akcent Jamiego Reardona kłócił się wyraźnie z naleciałościami zachodnich stanów. - Zostawiłeś buty z ostrogami w domu?

Wsiadając do auta Tanek poczuł, że zniecierpliwienie zaczyna go powoli opuszczać.

- Powinienem był je zabrać. Są świetne do skopania tyłka.

- Mojego czy Connera? - spytał Jamie. - Pewnie Connera.

- Nikt nie chciałby przecież uszkodzić mojego czcigodnego siedzenia.

Kierowca roześmiał się nerwowo i wyjechał z parkingu. Długą twarz Jamiego, wpatrującego się ukradkiem w tył głowy mężczyzny, rozjaśnił figlarny uśmiech.

- Rozumiem, dlaczego się wściekasz. Taka długa podróż z Idaho i wszystko na nic.

- Mówiłem ci, że to może być nieważne - powiedział Conner.

- Nie kazałem mu przyjeżdżać.

- Ale również go nie powstrzymałeś. Czy milczenie nie oznacza potwierdzenia, Nick?

- Daj już spokój. Przyjechałem i jestem. - Nicholas oparł się wygodnie o skórzane siedzenie. - Sądziś, że na próżno?

- Pewnie tak. Nic nie wskazuje na to, żeby CAA traktowało poważnie całą tę sprawę. Kabler z pewnością nie trwoni funduszy rządowych na zaproszenia.

Kolejny ślepy zaułek. Chryste!

- Ale odpoczynek od tych bezkresnych przestrzeni może się okazać dobrą terapią - powiedział Jamie. - Za każdym razem,

gdy przyjeżdżasz z rancho, coraz bardziej przypominasz Johna Wayne'a. To niezdrowo.

- John Wayne nie żyje od dobrych kilku lat.
- Właśnie mówię, że to niezdrowo.
- Lepiej spędzić życie w pubie?
- Och, Nick. Nic nie rozumiesz. Irlandzkie puby to światowe centra kulturalne. Poezja i sztuka rozkwitają tam jak róże w lecie, a te dyskusje... - Przymrużył oczy, rozkoszując się wspomnieniem.
- Gdzie indziej ludzie po prostu rozmawiają, u mnie prowadzą konwersacje.

Nicholas uśmiechnął się lekko.

- A co to za różnica?
- Taka sama jak między rozstrzygnięciem losów świata i kupnem nowej gry wideo dla dzieciaka. - Uniósł brew. - Ale po co tracę czas na opisywanie takich wspaniałości? Ty przecież możesz mówić wyłącznie do wołów w Idaho.
- Raczej do owiec.
- Wszystko jedno. Nic dziwnego, że kowboje zyskali sobie reputację silnych milczków. Ich struny głosowe ulegały atrofii z powodu rzadkiego używania.
  
- Kowboje posiadają zwykłe umiejętności werbalne. Jamie prychnął z niedowierzaniem.
- Lista - przypomniał Conner.
- On wyraźnie chce udowodnić, że nie wzywał cię na darmo
- powiedział Jamie. - Trochę się ciebie boi.
- Bzdura! - Conner roześmiał się przesadnie głośno.
- Usiłowałem mu wytłumaczyć, że już nie siedzisz w tym interesie, ale on mi chyba nie wierzy. Miałem nadzieję, że włożysz kowbojskie buty. Wyglądają tak zdrowo i niewinnie.
- Przestań - nakazał Nicholas.
- Tylko żartowałem - zaśmiał się Reardon. - Nie cierpię tego szczwanego lisa - dodał tak, by Conner nie mógł go usłyszeć.
- I wcale nie musisz go lubić. On po prostu ma wtykę w CAA.
- Z czego niewiele wynika. - Jamie sięgnął do kieszeni, wyjął



zwitek papieru i wręczył go Nicholasowi. - To chyba kolejny fałszywy trop.

- Kto wydaje przyjęcie? - spytał Nicholas.

- Pewien bankier. Nazywa się Martin Brenden, jest wiceprezesem Continental Trust. A Continental Trust pilnuje zamorskich interesów Kavinsky'ego. Brenden wynajął ten pałac na wyspie Medas i organizuje przyjęcie na jego cześć.

- Co łączy Brendena z Gardeaux?

- Nic, o czym wiemy.

- A Kavinsky?

- Niewykluczone. Odkąd został prezesem Vanask, rozdaje wszystkie karty. Nad stołem i pod stołem. Być może Gardeaux czuje się urażony, bo Kavinsky nie wpuścił tam narkotyków. - Urwał. - Ale jego nazwiska nie było na liście.

- W takim razie Kabler ma pewnie rację. Chodzi o przekupstwo. Kabler jest już na tyle długo szefem CAA, że potrafi odróżnić ziarno od plew. A w dodatku przebiegły z niego sukinsyn.

- Czy to znaczy, że nie pojedziesz na Medas?

Nicholas zamyślił się. Gdyby się okazało, że na liście są nazwiska potencjalnych łapówkarzy, podróż okazałaby się zwykłą stratą czasu. A on już i tak zbyt wiele razy podejmował daremny trud, byle tylko przygwoździć Gardeaux.

Z drugiej strony, jeśli była to lista planowanych zabójstw, któraś z zamierzonych ofiar mogła wiedzieć coś, co mogłoby go naprowadzić na trop. A ponadto, skoro Gardeaux chciał widzieć tych ludzi w trumnie, Nicholas tym samym pragnął, by oni żyli.

- No i...? - ponaglił Jamie.

- Jak tam dojechać?

- Łódki zabierają gości z portu w Atenach. Pierwsze wypływają dzisiaj o ósmej. Ty musisz tylko pojawić się na miejscu z zaproszeniem w kieszeni.

- Ciekawe, ilu ludzi Gardeaux kupiło zaproszenie.

- Sprawdziłem wszystkich gości - powiedział Conner. - Są w porządku.

- Mhm.

- Jest jakaś inna droga na wyspę?

- To skaliste wybrzeże z jednym portem. Medas ma wielkość znaczka pocztowego. Możesz ją obejść w niecałą godzinę. Za posiadłością, w której odbędzie się przyjęcie, znajduje się tylko kilka innych budynków.

- A strażnicy Kavinsky'ego będą pilnowali wybrzeża - powiedział Jamie. - Gardeaux wybrałby chyba lepszy moment, żeby się pozbyć swoich wrogów. - Uśmiechnął się. - Z drugiej strony Kaifer też wydawał się nam nieosiągalny, a jednak daliśmy sobie radę.

- Bo byliśmy chudzi i głodni - przypomniał Nicholas. - A Gardeaux to takie grube kocisko, które woli czekać na swoją ofiarę przed mysią dziurą. Sądzę jednak, że pojedę i sprawdzę.

- Mógłbym to zrobić. Albo wyznacz kogoś innego.

- Nie, wolę sam.

- Dlaczego? - spytał Jamie marszcząc brwi. - Zaczynasz się niepokoić?

O Boże, tak! Naprawdę zaczynał się niepokoić. Niepokoić i niecierpliwić. Pragnął jak najszybciej zakończyć całą tę sprawę, a znajdował się tak samo daleko od pokonania Gardeaux, jak rok temu.

- Zanadto się przyzwyczyłeś do chodzenia po linie - powiedział lekko Jamie. - I zawsze będziesz chudy i głodny, chłopcze. Ja zresztą też tęsknię za dawnym życiem. - Westchnął. - Niestety, na razie mogę sobie tylko pogadać w pubie.

- Za niczym nie tęsknię. Chcę tylko dostać tego bydlaka w swoje ręce.

- Skoro tak twierdzisz.

- Potrzebny mi raport na temat osób wymienionych na liście.

- Leży na biurku w twoim pokoju hotelowym. I jak się wkrótce przekonasz, tych ludzi nic ze sobą nie łączy.

Zanosilo się na to, że Medas będzie splotem niekonsekwencji, zagadek i domniemywań. Ale nazwisko w kółku, o którym wspomniał Conner, wskazy-

wało chyba na główny cel całego przedsięwzięcia. A już na pewno zasługiwało na uwagę. Tanek rozwinął kartkę otrzymaną od Jamiego.

Nazwisko otwierające listę było otoczone kółkiem i podkreślone.  
Nell Calder.

*Czwartego czerwca, Medas, Grecja*

Widziałam potwora, mamó - oznajmiła Jill.

- Naprawdę, kochanie? - Nell umieściła biały hiacynt obok gałązki bzu stojącej już w chińskim wazonie. - Sięgając po jeszcze jeden bez, dostrzegła Jill stojącą w progu. - Takiego jak Pete, magiczny smok?

Jill spojrzała na nią z dezaprobatą.

- Nie, przecież Pete tylko udaje smoka. Mój był prawdziwy. To mężczyzna. Miał długi, szary nos, a oczy... o takie... - zagięła kciuk oraz palec wskazujący i utworzyła kółko. Kółeczko wydało się jej jednak zbyt małe, więc posłużyła się drugą ręką, aby je powiększyć. - I jeszcze garb.

- Pewnie widziałaś słonia. - Do wykończenia bukietu brakowało tylko jednej ostróżki. - Albo wielbłąda.

- Ty mnie wcale nie słuchasz - odparła Jill. - To był ludzki potwór, który mieszka w jaskini.

- W jaskini? - Nell ogarnął strach. Natychmiast zapomniała o kwiatach i odwróciła twarz do córki. - Co robiłaś w jaskiniach? Pan Brenden zabronił ci przecież tam chodzić. Agent nieruchomości ostrzegał, że przyływ może cię zatopić.

- Poszłam tylko kawałeczek. A potem tatuś mnie zawołał i wróciłam.

- Tatuś cię tam zabrał? - Niech to diabli! Richard powinien bardziej pilnować dziecka. Czy naprawdę nie wie, że wyspa stwarza wszelkie możliwe zagrożenia dla czteroletniej dziew-

czynki? A Nell powinna była pójść razem ze wszystkimi na spacer brzegiem morza. Richard tracił rozsądek w obecności koterii Brendena. Musiał zawsze być najlepszy, najbardziej czarujący, najdowcipniejszy i najmądrzejszy ze wszystkich.

Jak tak można - natychmiast zgaśniła sobie w duchu. Richard wcale nie starał się o to, żeby być najlepszy. On był najlepszy. To ona, Nell, odpowiadała za Jill i popełniła błąd, zostając w domu, zamiast pilnować dziecka. Kwiaty mogły poczekać.

- Nie wolno ci wchodzić do jaskiń. Dlatego tatuś kazał ci wracać.

Jill skinęła głową.

- Z powodu potwora.

- Nie. - Dziewczynka odznaczała się ogromną wrażliwością i wyobraźnią, ale te fantazje należało od razu ukrócić.

Nell uklękła na dywanie i delikatnie chwyciła Jill za ramiona.

- Nie było żadnego potwora. Czasem cienie wyglądają jak potwory, a już szczególnie wtedy, kiedy przebywasz w jakimś starym domu. Albo jak budzisz się w środku nocy, myśląc, że pod twoim łóżkiem siedzą straszidła. A potem zagładasz i nikogo tam nie ma!

- Tam siedział potwór. - Jill zacisnęła z uporem usta. - Bardzo mnie przestraszył.

Przez chwilę Nell uległa pokusie, by utwierdzić córkę w przekonaniu o istnieniu potworów, gdyż lęk mógł utrzymać dziecko z dala od jaskiń. Ale nigdy jeszcze nie okłamała małej i nie zamierzała tego robić. Postanowiła jedynie, że dopóki nie wyjadą z tej przeklętej wyspy, nie spuści Jill z oka.

- Cienie - powtórzyła stanowczo Nell. - Czyż nie tak właśnie powiedział tatuś, gdy usłyszał twoją historyjkę o potworze?

- Tatuś nie słuchał. Kazał mi siedzieć cicho. Rozmawiał z panem Brendenem. - Oczy Jill napełniły się łzami. - A ty też mi nie wierzysz.

- Wierzę, ale czasem... - Nie dokończyła, bo dziecko patrzyło na nią z wyrzutem... Odsunęła więc tylko dziewczynce grzywkę z czoła. Jill miała krótkie, obcięte na pazia włosy. Richard

nazywał ją czasem porcelanową laleczką, ale miała zupełnie nie przypominała kruchej, chińskiej figurki. Była silna i - dzięki usilnym staraniom Nell - bardzo amerykańska. - Może pójdziemy tam jutro rano? Pokażesz mi potwora i spróbujemy go przegonić.

- Nie boisz się? - szepnęła Jill.

- Tu nie ma się czego bać. Wyspa jest wspaniałym miejscem dla dzieci. Morze, plaża, ten śliczny dom... Na pewno będziesz się doskonale bawić.

Jill popatrzyła jej w oczy z dziwnie dojrzałą przenikliwością.

- Ale ty się nigdy nie bawisz. Tatuś to co innego.

Nell pomyślała, że należy doceniać dziecięcą inteligencję.

- Bo jestem nieśmiała. Co wcale nie znaczy, że nie spędzam miło czasu. - Przytuliła dziewczynkę. - A jak jesteśmy razem, to już nie może być lepiej, prawda?

- Pewnie. - Jill zarzuciła jej ramiona na szyję. - Jak chcesz, to zejść na dół, kiedy tylko się zacznie przyjęcie. Będziesz miała z kim rozmawiać.

Jill pachniała morzem, piaskiem i lawendowym damskim mydłem, które wybłagała u matki do wczorajszej kąpieli. Nell przytuliła ją mocniej, po czym niechętnie wypuściła z objęć.

- To przyjęcie dla dorosłych. Na pewno by ci się nie podobało.

Wiedziała, że ona sama również nie będzie zachwycona.

Przyzwyczała się już do obowiązków, jakie musiała pełnić będąc żoną Richarda. Zwykle na przyjęciach udawało się jej wtopić w tłum, ale tego wieczoru mogło to być trudne. Przeciętny śmiertelnik musiał odstawać od reszty znakomitych gości zaproszonych przez Brendena, który chciał namówić Kavinsky'ego na kontrakt z Continental Trust.

- Więc zostań ze mną - kusila Jill.

- Nie mogę. - Zmarszczyła nos. - Szef taty bardzo by się gniewał. To ważny wieczór i obie musimy pomóc tatusiowi. - Dostrzegła, że Jill znowu zaczyna się chmurzyć. - Ale przyniosę ci tacę ze smakołykami, zanim pójdziesz spać. Urządzimy sobie piknik.

Niezadowolenie zniknęło natychmiast z twarzy dziewczynki.

- Z winem? - spytała ciekawie Jill. - Mama Jeana-Marca pozwala mu codziennie pić wino do kolacji. Mówi, że mały kieliszek robi dobrze każdemu.

Jean-Marc był synem gospodyni zarządzającej ich mieszkaniem w Paryżu i Nell często wysłuchiwała opowieści o małym urwisie.

- A ty wypijesz soczek pomarańczowy. Ale jeśli wszystko ładnie zjesz, może dostaniesz na deser ekierkę - dodała szybko, żeby zakończyć dyskusję. - Wstała i pociągnęła za sobą dziewczynkę. - Teraz napuść sobie wody do wanny, a ja zaniosę wazon na dół. Wracam za dwie minuty.

Jill popatrzyła z powagą na wazon z chińskiej porcelany i uśmiechnęła się promiennie.

- Ślicznie, mamó. Te kwiatki wyglądają nawet ładniej niż w ogrodzie.

Nell miała odmienne zdanie na ten temat. Nigdy nie lubiła zrywać kwiatów. Nic nie mogło dorównać pięknu ogrodu w pełnym rozkwicie. Takiego jak ten, który namalowała jeszcze w szkole. Mgła, bogate kolory i niepowtarzalna atmosfera poranka.

Poczuła ukłucie bólu i szybko odegnała wspomnienie. Nie miała żadnego powodu, żeby się nad sobą rozczulać. Richard - w przeciwieństwie do rodziców Nell - nigdy nie wyrażał się negatywnie o malowanych przez nią obrazach. Po ślubie zachęcał ją nawet do kontynuowania pracy. Ale ona wciąż nie mogła znaleźć na to czasu. Obowiązki żony młodego ambitnego dyrektora zajmowały jej całe dni.

Pokazała wazonowi język. Gdyby nie poświęciła całego popołudnia na układanie bukietu dla Sally Brenden, z pewnością udałoby się jej naszkicować piękną plażę. Ale to łączyłoby się również ze spacerem w towarzystwie Brendenów. Musiałaby się uśmiechać, rozmawiać o niczym i znosić protekcyjny sposób bycia Sally. Z dwojga złego wolała przygotować dla niej bukiet.

Musnęła delikatnie czoło dziewczynki.

- Przygotuj sobie piżamkę i nie podchodź do balkonu.
- Już mi to mówiłaś - odparła mała z godnością.
- Prosiłam cię również, żebyś nie chodziła do jaskini.

- To zupełnie co innego.

- Wcale nie.

Jill ruszyła do łazienki.

- Jaskinie są w porządku. Ale balkonu nie lubię, bo od razu kręci mi się w głowie od patrzenia na skały.

Dzięki Bogu i za to. Nell z początku nie mogła uwierzyć, że Sally przeznaczyła dla małżeństwa z dzieckiem apartament z balkonem zawieszonym nad kamienistym urwiskiem. Choć z drugiej strony rozumiała, dlaczego tak się stało. Kilka lat temu Richard powiedział Sally, że kocha widoki z tarasów, a ona lubiła sprawiać mu przyjemność. Wszyscy chcieli uszczęśliwić złotego chłopca.

- Nie widziałaś łodzi z goryłami Kavinsky'ego! Jaka szkoda! - Richard wpadł jak wicher do apartamentu. - Można by pomyśleć, że to Arafat. - Rzucił okiem na kwiaty. - Ładne. Ale lepiej zanieś je na dół. Sally twierdzi, że brakuje jednego bukietu w foyer.

- Dopiero co skończyłam. - Pomyślała ze złością, że znowu zaczyna się tłumaczyć. - Nie jestem profesjonalistką. Szkoda, że Sally nie zatrudniła jakiegoś dobrego specjalisty z Aten.

Pocałował ją w policzek.

- I tak nie mógłby się nawet z tobą równać. Sally zawsze powtarza, że prawdziwy ze mnie szczęściarz, bo ożeniłem się z artystką. Bądź taka kochana i pokaż jej ten bukiet. - Zrobił dwa kroki w stronę łazienki. - Muszę wziąć prysznic. Za godzinę przyjdzie Kavinsky i Martin chce mnie przedstawić już przy drinkach.

- Ja też muszę iść? Myślałam, że pojawię się dopiero na przyjęciu.

Richard myślał chwilę, a w końcu wzruszył ramionami.

- Skoro nie chcesz... Nie sądzę, żeby ktoś zauważył twoją nieobecność.

Odczuła głęboką ulgę. Na przyjęciu mogła wtopić się w tłum. Skierowała się w stronę drzwi.

- Jill przygotowuje sobie kąpiel. Popilnujesz jej, dopóki nie wrócę?

Uśmiechnął się.

- Pewnie.

Był ubrany w białe szorty i koszulę, miał ciemne, zmierzwiłone włosy, policzki ogorzałe od słońca. Zawsze wyglądał wspaniale w smokingu i garniturze, ale Nell wolała męża w sportowym stroju. Wydawał się wtedy bardziej swojski, bardziej jej własny...

- Pospiesz się. Sally czeka.

Skinęła głową i niechętnie wyszła z apartamentu.

Zanim ruszyła w dół krętymi, marmurowymi schodami, usłyszała ostry, ptasi głos Sally. Zawsze odnosiła wrażenie, że taki cienki głosik nie pasuje do wysokiej kobiety o smukłej sylwetce i tygrysiach ruchach.

Sally Brenden odwróciła się od służącego, któremu właśnie robiła awanturę.

- Jesteś wreszcie. Najwyższy czas. - Odebrała wazon od Nell i postawiła go na marmurowym stole pod bogato złożonym lustrem. - Sądziłam, że bardziej się postarasz. Wszystko na mojej głowie... Muszę jeszcze porozmawiać z tym małym człowieczkiem od fajerwerków i naradzić się z kucharzem, a nadal nie jestem ubrana. Wiesz przecież, jaki to ważny wieczór dla Martina. Wszystko musi się udać.

Nell poczuła, że na policzki wypływają jej rumieńce.

- Przykro mi, Sally.

- Żona powinna pomagać mężowi w karierze. Martin nigdy nie zostałby wiceprezesem, gdyby nie ja. Chyba zbyt wiele od ciebie nie żądamy, prawda?

Nell słyszała już te przechwałki wiele razy i ogarnęła ją irytacja, ale szybko zwalczyła to uczucie.

- Przepraszam - powtórzyła. - Czy mogę zrobić coś jeszcze?

Sally machnęła pięknie wymanikiowaną dłoń.

-Zaprosiłam na przyjęcie madame Gueray. Poświęć jej chwilę uwagi. Ta kobieta naprawdę nie potrafi znaleźć się w towarzystwie.

Ellen Gueray czuła się na przyjęciach jeszcze gorzej niż Nell, która nie miała nic przeciwko temu, że Sally zawsze kazała się



jej opiekować takimi nieudacznikami. Czerpała wręcz ogromną satysfakcję z umilania im życia. Sama byłaby przecież ogromnie wdzięczna każdemu, kto kiedyś ułatwiłby jej adaptację w Europie.

- Nie wiem, dlaczego Henry w ogóle się z nią ożenił. - Sally zerknęła na Nell z niewinną miną. - Ale ci wielcy, władczy mężczyźni często sobie wybierają takie nieodpowiednie myszki za żony.

Najpierw szybkie pchnięcie, a potem zagłębienie ostrza. Nell była jednak za bardzo przyzwyczajona do złośliwości Sally, żeby na nie reagować. Odwróciła się szybko i ruszyła w stronę schodów.

- Wracam do Jill. Muszę ją wykąpać i nakarmić.  
- Powinnaś zatrudnić niańkę.  
- Lubię się sama nią zajmować.  
- Ale ona przeszkadza. - Urwała. - Rozmawiałam o tym z Richardem. On jest tego samego zdania.

Nell zamarła z wrażenia.

- Naprawdę?  
- Oczywiście. Przecież wie, że wraz z jego kolejnymi awansami tobie również przybędzie obowiązków. Kiedy wrócimy do Paryża, skontaktuję się z agencją, z której usług korzystałam, kiedy Jonathan był jeszcze dzieckiem. Dzięki Simone nie miałam z nim kłopotów.

Brenden-junior wyrósł na nieznośnego, zbuntowanego młodzieńca, ukrytego w szkole z internatem w Massachusetts.

- Dzięki, ale nie jestem aż tak zajęta. Może później, kiedy Jill będzie starsza.

- Jeśli Kavinsky zgodzi się nam powierzyć swoje zagraniczne inwestycje, Richard zacznie podróżować. A ty razem z nim. Sądzę, że powinniście zawczasu pomyśleć o niańce. - Odwróciwszy głowę, ruszyła w stronę sali balowej.

Zachowuje się tak, jakby wszystko zostało dawno ustalone - myślała gorączkowo Nell. Nie mogła przecież oddać córki jednej z tych kobiet o kamiennej twarzy. Widywała je często w parkach. Jill była przecież jej dzieckiem. Dlaczego Richard podjął w ogóle ten temat?

Niepotrzebnie się fatygował. Córka stanowiła cały sens jej życia. I choć Nell robiła zawsze wszystko to, o co mąż ją prosił, nie mógł przecież żądać...

- Niech ta stara wiedźma przestanie ci jeździć po głowie. Ona po prostu lubi cię denerwować. - Nadine Fallon zaczęła schodzić powoli ze schodów. - Tyrani zawsze wyżywają się na słabych i delikatnych. To już leży w naturze tych bestii.

- Ciii... - Nell zerknęła przez ramię, ale Sally tymczasem znikła.

- Chcesz, żebym napluła jej w oko? - spytała z uśmiechem Nadine.

- Bardzo. - Nell zmarszczyła nos. - Ale ona na pewno by się dowiedziała, w którym imieniu to zrobiłaś, i Richard bardzo by się zmartwił.

Nadine przestała się uśmiechać.

- Niech się martwi. To on powinien załatwić tę barakudę.

- Nic nie rozumiesz.

- Rzeczywiście. - Minęła Nell i zeszła niżej, otoczona chmurą „Opium” i szyfonom od Karla Lagerfelda - rudowłosa, piękna, egzotyczna, pewna siebie.

- Nauczyłam się dawno temu w Brooklynie, że ten kto ulega zbyt łatwo, zostaje zmiążdżony.

Nadine nie pozwoliłaby się zmiążdżyć - pomyślała smętnie Nell. Ta dziewczyna przebyła daleką drogę z Siódmej Alei aż do Paryża, gdzie zyskała sławę jako modelka. Nigdy nie traciła humoru i nie dawała się niczym wyprowadzić z równowagi. Wszędzie ją ostatnio zapraszano i choć Richard nazywał dziewczynę firmowym manekinem, Nell bardzo ją lubiła.

- Świetnie wyglądasz - rzuciła Nadine przez ramię - Schudłaś?

- Może. - Nell wiedziała, że to nieprawda. Była tak samo pulchna jak przed miesiącem, miała wymięte spodnie i od rana nie zdążyła się uczesać. Modelka usiłowała po prostu poprawić jej humor po zejściu z Sally Brenden. Bo i dlaczego nie? Ktoś, kto nosi rozmiar szósty, może sobie pozwolić na uprzejmość

w stosunku do dwunastki. Poczła nagle przyływ wstydu. Należy doceniać uprzejmość, a nie doszukiwać się w niej fałszywych intencji.

- Muszę natychmiast porozmawiać z Richardem. Do zobaczenia na przyjęciu.

Nadine uśmiechnęła się tylko i pomachała jej ręką na pożegnanie.

Przeskakując po dwa stopnie, Nell pobiegła na górę. Richarda nie było już w salonie. Nucił coś w sypialni. Przystanęła na chwilę, żeby zebrać odwagę, a potem gwałtownie otworzyła drzwi.

- Nie życzę sobie niani dla Jill! Richard odwrócił się od lustra.

- Co takiego?

- Sally mówiła, że chciałbyś zatrudnić niańkę. Ja absolutnie sobie tego nie życzę. Nie potrzebujemy niańki,

- Dlaczego się denerwujesz? - Odwrócił się do lustra i poprawił krawat. - Tak sobie tylko rozmawialiśmy. Nie należy poświęcać dzieciom zbyt wiele uwagi, żeby ich nie rozpieścić. Wszyscy nasi przyjaciele mają pomoc. Niańka świadczy o pewnym statusie społecznym.

- A więc bierzesz to poważnie pod uwagę?

- Nie zrobię nic bez twojej zgody. - Włożył smoking. - W co się ubierzesz?

- Nie wiem. - Co za różnica? Zawsze wyglądała tak samo. - Chyba w niebieską, koronkową suknię. - Zaciśnęła dłonie w pięści. - Nie rozpieszczę Jill.

- Niebieska będzie świetna. Ten dekolt eksponuje ramiona. Bardzo ci w niej ładnie.

Podeszła bliżej i położyła mu głowę na piersi.

- Dam sobie radę sama. Ty przecież często wyjeżdżasz, więc Jill dotrzymuje mi towarzystwa - szepnęła. - Proszę...

Pogłaskał ją po włosach.

- Robię tylko to, co dla ciebie najlepsze. Przecież wiesz, jak ciężko pracuję, żeby zapewnić tobie i Jill odpowiedni standard. Proszę cię tylko o pomoc.

A więc jednak - pomyślała z rozpaczą.

- Staram się, jak mogę.

- Oczywiście. - Odsunął lekko Nell i zajął jej w oczy. - Ale będziesz mi coraz bardziej potrzebna. - Na jego twarzy pojawił się wyraz lekkiego podniecenia. - Kavinsky stanowi klucz do wszystkiego. Całe sześć lat na to czekałem. Nie chodzi wyłącznie o pieniądze, ale i o władzę. Nie wiadomo, jak daleko uda mi się zajść.

- Zrobię wszystko, czego zażadasz. Pozwól mi tylko zajmować się Jill.

- Jutro wrócimy do tematu. - Pocałował ją w czoło i odwrócił głowę. - Teraz muszę iść na dół. Kavinsky może się zjawić dosłownie w każdej chwili.

Gdy wyszedł, Nell patrzyła przez chwilę w odrętwieniu na zamknięte drzwi. Wiedziała, że następnego dnia Richard postawi sprawę łagodnie, ale stanowczo. Może nawet będzie mu smutno. Wyzwoli w niej w ten sposób poczucie winy, a po powrocie do Paryża kupi bukiet róż i sam wybierze odpowiednią nianię, żeby oszczędzić żonie zdenerwowania.

- Mamusiu, woda mi stygnie - powiedziała Jill z naganą w głosie. - Stała boso w progu owinięta wielkim, różowym ręcznikiem.

- Naprawdę? - Z trudem przełknęła ślinę. Postanowiła cieszyć się każdą minutą spędzoną razem z córką, zamiast martwić się na zapas. Istniała szansa, że Kavinsky nie powierzy im swoich kont. Albo Richard zmieni zdanie. - W takim razie dolejmy ciepłej, zanim zaczniesz się kąpać.

- Dobra! - Jill okręciła się na pięcie i zniknęła za drzwiami łazienki.

Wyglądasz jak królewna. - Jill objęła kolana ramionami i zakołysała się na łóżku.

- Niezupenie. - Nell popchnęła ją na poduszki i okryła kołdrą. - Nie próbuj nawet czuć. Prześpij się, a ja obudzę cię

na piknik. Jedna z pokojówek będzie siedziała w salonie. - Zmierzyła kpiąco włosy dziewczynki. - Na wypadek, gdyby pojawił się potwór.

- Naprawdę go widziałam, "mamo - powiedziała ponuro Jill.

- Ale już go nie zobaczysz. - Nell pocałowała dziewczynkę w czoło. - Obiecuję.

- Pamiętaj o winie! - zawołała za nią mała.

Chichocząc, zamknęła drzwi sypialni, a Nell pomyślała, że Jill nigdy nie będzie cierpiała z powodu nadmiernej wstydlivosti czy też braku pewności siebie.

Gdy mijala lustro wiszące w holu, natychmiast przestała się uśmiechać. Jedynie córka mogła przyrównać ją do księżniczki. Tak naprawdę Nell miała wprawdzie prawie metr siedemdziesiąt wzrostu, ale była zdecydowanie zbyt pulchna. Pulchna, nudna i pospolita. W jej trudnej do opisanego twarzy wyróżniał się jedynie zadarty nos. Nawet krótkie ciemne włosy wydawały się nudne. Nie błyszczały tak jak włosy Jill o tym samym orzechowym odcieniu. Wyglądały zwyczajnie. I pospolicie.

A jednak dla córki była pięknnością i to jej całkowicie wystarczało. Richardowi również się podobała. Powiedział kiedyś, że Nell przypomina mu wiejską chustę - trwałą i piękną w swojej tradycyjnej prostocie. Pokazała język swemu odbiciu i ruszyła szybko do drzwi. Nie znała ani jednej kobiety, która nie wolałaby być jedwabnym szalem, zamiast wiejską chustą. Pospolite kobiety miały jednak pewną zaletę. Nikt nie zauważał, jak wchodzi do pokoju ani też, jak z niego wychodzą. Nell wiedziała, że bez trudu wymknie się z sali balowej z tacą pełną smakołyków dla Jill.

Stała u szczytu marmurowych schodów, wpatrując się zatłoczone foyer.

Muzyka.

Zapach kwiatów i drogich perfum.

Śmiech i rozmowy.

Boże! Zupełnie nie miała ochoty tam iść! Ogromne, rzeźbione drzwi, prowadzące do sali balowej były otwarte na oścież i widziała przez nie Richarda w towarzystwie wysokiego,

brodatego mężczyzny ze wstążeczkami na piersiach. Kavinsky? Może. Tuż obok stali Martin, Sally i Nadine. Sally uwodziła brodacza, a na jej twarzy malował się wyraz uwielbienia. Nell miała poznać Kavinsky'ego później. Teraz tylko by przeszkadzała.

Przeszukała wzrokiem salę i w cieniu francuskiego okna dostrzegła madame Gueray. Elise Gueray - szczupła kobieta dobiegająca pięćdziesiątki - usiłowała za wszelką cenę wtopić się w białą, aksamitną kotarę. Nell bardzo jej współczuła. Taki sam przyklepiony uśmiezek i oczy zaszczutego zwierzęcia widywała bardzo często, patrząc w lustro.

Ruszyła powoli na dół. Niech Richard oczarowuje Kavinsky'ego oraz całą resztę towarzystwa. Ona wołała umilić życie bratniej duszy.

Dobry Boże! Ten człowiek powinien trzymać różę w zębach - mruknęła Elise Gueray.

- Co takiego? - Nell postawiła na tacy cytrynową tartę. Obiecała wprowadzić Jill ekierki na deser, ale nigdzie ich nie znalazła.

- No, wie pani... Jak pan Schwarzenegger w filmie o szpiegu, który potrafił wszystko. Nie umiał tylko fruwać.

Z trudem przypomniała sobie film i postawnego Schwarzeneggera z kwiatem w zębach.

- „Prawdziwe kłamstwa”?

Elise wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie pamiętam tytułów, ale Schwarzeneggera trudno zapomnieć. - Skinęła głową komuś stojącemu po przeciwnej stronie pokoju. - A on bardzo mi go przypomina. Wie może pani, kto to jest?

Zerknęła przez ramię. Człowiek, na którego wskazała Elise, nie był wprawdzie tak wysoki i postawny jak Schwarzenegger, ale Nell wiedziała, co pani Gueray ma na myśli. Z trzydziestolatka o ciemnych włosach i twarzy przykuwającej uwagę emanowała pewnością siebie. Nieznajomy należał z pewnością do mężczyzn,

którzy zawsze panują nad sytuacją. Nic dziwnego, że tak zafascynował Elise. Dla niej i dla Nell stanowił uosobienie równie wymarzonych, jak nieosiągalnych cech charakteru.

- Nigdy przedtem go nie widziałam. Pewnie przyjechał z Kawińskim.

Elise tylko potrząsnęła głową.

Słusznie - pomyślała Nell. - On na pewno nie wchodzi w skład niczyjej świty.

- Jest pani aż tak głodna? - Elise przeniosła wzrok na tacę.

- Zamierzałam poczęstować córkę - odparła, czując, że zaczyna się czerwienić.

- Nie chciałam... - zaczęła spłoszona Francuzka.

- Wiem - skrzywiła się Nell. - Nie sprawiam wrażenia zagłodzonej.

- Bardzo ładnie pani wygląda. Naprawdę nie zamierzałam zrobić pani przykrości.

- Pewnie, że nie. Należałoby raczej mieć pretensję do czekoladek. Ale one tak kojąco na mnie działają... - uśmiechnęła się Nell.

- Czyżby potrzebowała pani ukojenia, moja droga?

- Chyba wszyscy go potrzebujemy - odparła wykrętnie Nell. - Nie, oczywiście, że nie - poprawiła z mocą. Mam wszystko, czego pragnę. Chciałabym, żeby poznała pani jutro moją córeczkę. Oczywiście, o ile znajdzie pani czas.

- Z przyjemnością, kochanie.

- O ekierki! Jill uwielbia ekierki. - Nell dodała ciastka do innych smakołyków leżących już na tacy. - Bardzo panią przepraszam. Obiecałam córce, że do niej zajrzę. Kazałam jej wprawdzie spać, ale założyłam się, że czuwa.

- Ależ proszę się mną nie krępować. Już i tak poświęciła mi pani zbyt dużo czasu. Serdecznie dziękuję.

- Nonsens. Było mi bardzo miło. To ja powinnam pani dziękować.

- Mówiła szczerze. Elise Gueray miała ogromne poczucie humoru i czas spędzony w jej towarzystwie mijał zupełnie niepostrzeżenie. - Podniosła tacę. - Jeśli się już nie zobaczymy, zatelefonuję jutro rano.

Elise skinęła głową, po czym poszukała wzrokiem męża.

- Chyba niedługo wyjdziemy. Henry chciał tylko spotkać się z Kavinskym.

Ze zmarszczonym czołem zręcznie wymijała stłoczonych gości, balansując ciężką tacą.

Wino.

Zatrzymała się już za drzwiami.

Dlaczego by nie? Kilka łyków nie może jej zaszkodzić. W Europie dzieci piją przecież wino. A Nell pragnęła zrobić córce przyjemność. Szczególnie w sytuacji, kiedy nie wiedziała, ile czasu uda im się jeszcze spędzić razem.

Wróciła na salę. Szampan. Jeszcze lepiej. Gdy brała kieliszek od przechodzącego kelnera, taca z jęzieniem zachybotła się niebezpiecznie i wylądowała nagle w silnych dłoniach mężczyzny.

- Pani pozwoli, że pomogę?

Arnold Schwarzenegger? Nie. Z bliska był tylko sobą. Nikim więcej. I naprawdę robił wrażenie. Biła od niego siła, od której Nell pragnęła uciec. Z trudem oderwała wzrok od mężczyzny.

- Bardzo dziękuję.

Chciała odebrać mu tacę, ale trzymał ją w zbyt dużej odległości.

- Pani pozwoli. Przecież to żaden kłopot. - Wyszedł z sali, więc musiała ruszyć w jego ślady. - Gdzie ma się odbyć to spotkanie?

- Spotkanie? Zerknął na tacę.

- On musi mieć niezły apetycik.

Poczuła, że krew uderza jej do twarzy. Dwadzieścia osiem lat i rumieńce...

- To poczęstunek dla mojej córki - wyjąkała.

Uśmiechnął się.

- Zatem schadzka odbędzie się zapewne w sypialni, a na pewno nie doniesie pani na górę i szampana, i tacy. - Ruszył w stronę schodów. - Nazywam się Nicholas Tanek, a pani?

- Nell Calder. - Musiała biec, żeby za nim nadążyć. - Ale naprawdę nie potrzebuję pomocy. Proszę....

- Calder? Jest pani żoną Richarda Caldera?



W jego głosie wyraźnie zabrzmiało zdziwienie. Nikt zresztą nie mógł zrozumieć, dlaczego Richard wybrał akurat ją.

- Małżonek jest najwyraźniej zbyt zajęty, żeby pani pomóc. Z przyjemnością go zastąpię.

Nie rezygnował. Nell doszła do wniosku, że najlepiej będzie nie protestować. Poszła więc potulnie za mężczyzną, przyglądając się bezwiednie jego ramionom oraz pośladkom. Obie te części ciała były wspaniale umięśnione i naprawdę godne podziwu.

- Ile lat ma pani córka?

Podniosła wzrok z miną winowajczyni, ale dostrzegła z ulgą, że mężczyzna nadal patrzy przed siebie.

- Niedługo skończy pięć. A pańskie dzieci?

- Nie mam dzieci. Którędy?

- Na prawo.

- Pani również pracuje dla Continental Trust?

- Nie.

- Więc czym się pani zajmuje?

- Niczym. To znaczy... córką. I jeszcze działalnością społeczną - dodała, ponieważ nie odpowiadał.

- Z pewnością jest pani bardzo zajęta.

Ale inaczej niż kobiety z jego świata. One były bez wątpienia równie utalentowane jak Tanek.

- Jest pani Amerykanką? Przytaknęła.

- Wychowałam się w Raleigh. W Karolinie Północnej.

- To miasteczko uniwersyteckie, prawda?

- Tak. Rodzice wykładali na uniwersytecie Greenbiar, tuż za Raleigh. Ojciec był dyrektorem college'u.

- Prowadziła pani zatem bezpieczne, ustabilizowane życie.

Sądził, że musiała się straszliwie nudzić.

- Bardzo lubię małe miasteczka! - wybuchnęła. Zerknął za siebie przez ramię.

- Ale oczywiście nie można tego porównać z pani obecną sytuacją. Podobno władze Continental Trust mają swoją siedzibę w Londynie.

- To prawda.
- Zwiedzanie tak pięknych miejsc z pewnością należy do przyjemności. Luksus jest bardzo ważny.
- Czyżby?
- Rozmawiałem z pani mężem. Sądzę, że on najchętniej zamieszkałby w pałacu.
- Mąż zasłużył na wszelkie wygody. Bardzo ciężko pracuje. Jałowa rozmowa zaczynała ją nużyć. Przecież Taneka tak naprawdę nie interesowała ani ona, ani Richard.
- Zajmuje się pan bankowością? - spytała.
- Nie. Jestem na emeryturze. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.
- Naprawdę? W tak młodym wieku?
- Zarobiłem wystarczająco dużo pieniędzy, żeby nie czekać na przyjęcie okolicznościowe i złoty zegarek. Kupiłem rancho w Idaho. Znowu ją zaskoczył. Nie sądziła, że należy do ludzi porzucających chętnie miejski tryb życia.
- Nigdy bym nie...
- Lubię samotność. Wychowałem się w Hongkongu wśród tłumów. Kiedy mogłem już sam decydować o sobie, uciekłem do głuszy.
- Przepraszam. To przecież nie moja sprawa.
- Nic nie szkodzi. Nie muszę niczego ukrywać. Nell dałaby głowę, że Tanek ukrywa bardzo wiele. Ośłaniał wszystko gładką otoczką.
- A czym się pan przedtem zajmował?
- Handlem. Które drzwi?
- Ostatnie na lewo.
- Przeszedł szybko do końca korytarza i zatrzymał się przed apartamentem.
- Dziękuję. To naprawdę nie było konieczne, ale... Zauważyła ze zdziwieniem, że Tanek wchodzi do środka. Grecka pokojówka wyprostowała się na krześle.
- To wszystko - powiedział Tanek po grecku. - Zawołamy, kiedy będziesz nam potrzebna.

Dziewczyna wyszła na korytarz, zamknawszy za sobą drzwi. Nell patrzyła niego nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Proszę się nie denerwować - uśmiechnął się Tanek. - Naprawdę nie mam żadnych złych zamiarów. No, chyba że oburza panią ta dezercja z nudnego przyjęcia. Zauważyłem, jak się pani wymyka, i potrzebowałem pretekstu...

- Mamo, przyniosłaś? - Stanąwszy w progu, Jill utkwiała wzrok w Taneku. - Kim pan jest?

Skłonił głowę.

- Nazywam się Nicholas Tanek. A ty Jill?

Przytaknęła niespokojnie.

- W takim razie przynieśliśmy to wszystko dla ciebie. - Wdzięcznym ruchem zaprezentował tacę. - Miód i ambrozja.

- Prosiłam o ekierki.

- Też się chyba znajdują. - Podeszedł bliżej. - Gdzie zjemy kolację?

Jill patrzyła na Taneka przez chwilę, po czym skapitulowała.

- Mamusia i ja urządzamy piknik. Położyłam koc na podłodze.

- Świetny pomysł. - Szybko rozstawił papierową zastawę na kocu. - Zapomniała pani o serwetkach - rzucił przez ramię.

- Będziemy musieli improwizować. - Wyszedł z łazienki i w chwilę później wrócił z dwoma haftowanymi ręcznikami.

- Pani pozwoli? - Przewiązał ręcznik na szyi dziewczynki.

Jill zachichotała.

Nell patrzyła z niechęcią, jak jej córka skwapliwie przyjmuje dowody zainteresowania ze strony nieznanego. W końcu miały spędzić ten czas razem, a on wszystko psuł.

- Dziękuję za pomoc - powiedziała oficjalnym tonem. - Z pewnością chce pan teraz wrócić na przyjęcie.

- Naprawdę? - Odwrócił głowę, ale gdy spojrzał w jej twarz, natychmiast przestał się uśmiechać. Skinął wolno głową. - Tak, chyba powinienem tak zrobić. - Skłonił się przed Jill. - Ale zaczekam, żeby zabrać tacę, milady.

- Proszę się nie trudzić. Rano odniesie ją pokojówka.

- Nalegam. Posiedzę w salonie. Proszę mnie zawołać, kiedy będę potrzebny. - Wyszedł wolno z sypialni.

- Kto to jest? - szepnęła Jill ze wzrokiem utkwionym w drzwiach.

- To po prostu jeden z gości - odparła Nell zdziwiona, że Tanek tak łatwo się poddał. No cóż, nie tak łatwo. Ponad wszelką wątpliwość nie zamierzał wrócić na przyjęcie i traktował ten apartament jak azyl. Kogo starał się uniknąć? Pewnie jakiejś kobiety. Nell zresztą wcale to nie obchodziło, dopóki trzymał się z daleka i nie zawracał jej głowy.

- On mi się podoba - powiedziała dziewczynka.

Nell ani przez chwilę w to nie wątpiła. Tanek traktował Jill jak księżniczkę.

Mała utkwiała wzrok w kryształowym kieliszku i natychmiast zapomniała o Taneku.

- Wino? - szepnęła.

- Szampan. - Nell opadła na podłogę i skrzyżowała nogi.

- Tak, jak sobie życzyłaś.

Twarz Jill rozjaśnił promienny uśmiech.

- A więc jednak przyniosłaś!

- Przecież to przyjęcie. - Wręczyła jej szklanekę. - Ale tylko troszkę!

Jill pociągnęła potężny łyk i skrzywiła się.

- Kwaśny. Ale w środku rozchodzi mi się jakieś dziwne ciepło i bąbelki. - Uniosła szampankę - Jean-Marc uważa...

Nell wyrwała jej kieliszek.

- Dostyc.

- Dobrze. - Jill sięgnęła po ekierkę. Ale skoro to przyjęcie, powinniśmy zorganizować muzykę.

- W porządku. - Nell podeszła na czworakach do toaletki, nakręciła pozytywkę i postawiła ją na kołdrze. Obie patrzyły przez chwilę jak zahipnotyzowane na dwa tańczące misie panda.

- Wolę to niż orkiestrę na dole.

Jill przysunęła się bliżej i wcisnęła pod ramię matki. Czekoladowe okruszki upadły na niebieską haftowaną suknię. Nell wiedziała doskonale, że zanim córka skończy jeść, obie będą pobrudzone polewą.

Ale wcale się tym nie przejmowała. Do diabła z suknią. Przytuliła mocniej dziewczynkę. Takie chwile jak ta zdarzały się przecież niezwykle rzadko.

A w przyszłości mogło w ogóle ich zabraknąć.

Nie, nie pozwoli tego zrobić. Richard nie miał racji, a ona musi mu wytłumaczyć, że jest potrzebna dziecku.

Co się jednak stanie, jeśli nie zdoła go przekonać?

Pozostała jej walka.

Na samą myśl o awanturach poczuła przyływ paniki. Ilekroć próbowała postawić na swoim, Richard zawsze dawał jej do zrozumienia, że postępuje nierozsądnie i okrutnie. On - w przeciwieństwie do Nell - nigdy nie wątpił w swoje racje.

Mimo wszystko nie należało oddawać dziecka obcej kobiecie bez twarzy.

- Dusisz mnie - poskarżyła się Jill. Rozluźniła uścisk.

- Przepraszam.

- W porządku. - Z buzią pełną ciastka, otarła się o matkę.  
-Nic się nie stało.

Nie miała wyboru. Postanowiła, że nie zabraknie jej sił. Musi zwyciężyć w walce z Richardem.

Patrząc z niechęcią na fale rozbijające się o skały, Nicholas pomyślał z niechęcią, że przyjechał na próżno. Nikt nie chciał zabić Nell Calder mającej tyle samo wspólnego z Gardeaux, co ten wielkooki elf zasypywany teraz piesszczotami i słodyczami.

Co innego Kavinsky, który - jako głowa nowo powstałego państwa - mógł zostać albo dojną krową Gardeaux, albo jego utrapieniem. Natomiast Nell Calder okazała się absolutnie niegroźna dla kogokolwiek. Odpowiedziała mu na wszystkie pytania w sposób nie budzący najmniejszych podejrzeń. Tanek obserwował ją poza tym zresztą przez cały wieczór i nabrał pewności, że Nell Calder jest sympatyczną, nieśmiałą kobietą, zupełnie nie pasującą do rekinów bawiących się na dole. Tego rodzaju osoba

nie mogła się okazać na tyle wpływowa, by warto ją było przekupywać. A już na pewno nie była żadnym partnerem dla Gardeaux.

Chyba że stwarzała tylko takie pozory. Niewykluczone... Ta spokojna owieczka wyrzuciła go przecież bez skrupułów z pokoju małej.

Wszyscy potrafią walczyć, jeśli zależy im na wygranej.

A Nell Calder nie zamierzała się z nikim dzielić swoją córką. Nie, to kółko przy nazwisku musiało mieć jakieś inne znaczenie. Postanowił, że kiedy zejdzie na dół, będzie się trzymał Kavin-sky'ego.

*Raz do góry hop, hop, hop, Tam gdzie niebo  
błękitnieje I spadamy w dół, w dół, w dół, Gdzie  
rózyczka czerwienieje.*

Śpiewała dziecku piosenkę. Tanek zawsze lubił kołysanki. Była w nich jakaś ciągłość której zawsze mu brakowało we własnym życiu. Od zarania dziejów matki nuciły je dzieciom i prawdopodobnie nawet za tysiąc lat nic się nie zmieni.

Piosenka zakończyła się cichym śmiechem i pomrukiem, którego nie zrozumiał.

W kilka minut później Nell wyszła z sypialni i zamknęła drzwi. Miała zarumienione policzki i rozpromienioną twarz.

- Nie znam tej piosenki - powiedział.

Zrobiła zdziwioną minę, jakby zapomniała, że on nadal tu siedzi.

- Jest bardzo stara. Babcia mi ją śpiewała.

- Mała śpi?

- Nie, ale chyba wkrótce zaśnie. Włączyłam jej pozytywkę. Pod koniec melodii zwykle zapada w sen.

- To śliczna dziewczynka.

- Tak. - Twarz Nell znów rozjaśnił uśmiech. - Rzeczywiście.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem. Poczuł, że pragnie, by ten uśmiech już nigdy nie zniknął jej z twarzy.

- Mądra?

- Czasem aż za bardzo. Jej wyobraźnia bywa męcząca. Jednak na ogół zachowuje się rozsądnie i można z... - Urwała, a jej zapal ostrygł. - Przecież to pana nie interesuje. Zapomniałam o tacy. Zaraz po nią wrócę.

- Proszę się nie trudzić i nie przeszkadzać Jill. Pokojówka zabierze ją przecież z samego rana.

- Sama to panu mówiłam.

Uśmiechnął się.

- Ale wtedy nie chciałem słuchać. Teraz jednak uważam, że to bardzo sensowna propozycja.

- Bo pan tak zdecydował.

- Właśnie.

- Ja też muszę wracać. Nie miałam okazji poznać Kavinsky'ego. - Ruszyła do drzwi.

- Proszę poczekać. Najpierw oczyszczę pani sukienkę z czekolady.

- A niech to diabli! - Zauważyła plamę na spódnicy i zmarszczyła brwi. - Zapomniałam. Proszę iść - dodała, robiąc kilka kroków w stronę łazienki. - Zapewniam pana, że nie potrzebuję pomocy.

Zawahał się lekko.

Popatrzyła na niego przez ramię.

Brakowało mu pretekstu, żeby zostać, co oczywiście i tak by go przed niczym nie powstrzymało.

Nie istniał jednak również żaden powód, by musiał przeciągać swoją wizytę na górze. Na tyle ufał zdrowemu rozsądkowi, by wiedzieć, że ta kobieta nie jest celem żadnego ataku. Powinien raczej obserwować Kavinsky'ego.

Odwrócił się do drzwi.

- Powiem pokojówce, że może już wrócić.

- Dziękuję. To bardzo miłe z pana strony - powiedziała jak automat i zniknęła w łazience.

Dobre maniery wyuczone w dzieciństwie. Lojalność. Delikatność. Miła kobieta, której świat koncentrował się wyłącznie wokół dziecka. Kompletny niewypał.

Pokojówka nie czekała w holu. Zdecydował, że pośle po jednego ze służących z parteru.

Wyszedł szybko na korytarz i zaczął schodzić po schodach.

Strzały.

Ktoś strzela w sali balowej. Chryste!

Zbiegł jak burza na dół.

Wybuchy.

Fajerwerki - pomyślała Nell z roztargnieniem.

Słyszała od Sally, że ognie sztuczne mają być ukoronowaniem wieczoru. Widocznie została u Jill dłużej, niż zamierzała. Sally z pewnością weźmie jej to za złe.

Plama nie była wcale taka straszna. Dzięki Bogu za kwas borny. Już myślała, że będzie musiała się przebrać. Potarła delikatnie rozmazany krem.

Usłyszała, jak w salonie zamykają się drzwi.

Pokojówka. Jak ona ma na imię? Hera?

- Jestem w łazience! Zaraz wychodzę, Hero. Udało mi się zetrzeć...

Podniosła wzrok.

Twarz w lustrze - blada, lśniąca, zniekształcona.

- Co...

Błysk stali, uniesione wysoko ramię.

Nóż.

Obróciła się, gdy opadał.

Ból.

Ostrze wyszarpięte z ciała, kolejne pchnięcie.

To z pewnością złodziej.

- Nie mam biżuterii. Proszę...

Nóż wbił się głęboko w bark. Poprzez maskę z pończochy widziała wykrzywione w uśmiechu usta bandyty. To nie złodziej - pomyślała w panice. Przecież on się świetnie bawi. Lubi oglądać cierpienie. Podnieca go bezradność.

Po ramieniu Nell ściekała krew, a ból przyprawiał ją o mdłości.



Dlaczego on to robi?

Zrozumiała, że zginie.

Jill!

Dziecko było w pokoju obok. Gdyby umarła, ten łajdak skrzywdziłby jej córkę.

Znow podniósł nóż.

Kopnęła go w goleń.

Jęknął z bólu i zgiął się wpół.

Wymijając w panice złoczyńcę otarła się przypadkiem o jego ciało - dziwne, gumowate w dotyku. Pokuśtykała do salonu. Trzęsły się jej kolana. Czowała, że za chwilę upadnie.

- Dziwka! - Był tuż za nią.

Musiała znaleźć jakąś broń. Jakąkolwiek broń.

Wyciągnęła z kontaktu sznur lampy stojącej na nocnym stoliku i rzuciła nią w bandytę.

Odrzucił ją od siebie jedną ręką i nadal nacierał.

Cofnęła się. Czy naprawdę nikt jej nigdy nie mówił, że najlepszą obroną jest krzyk?

Wrzasnęła.

- No dalej. Nikt cię nie usłyszy. Nikt nie pomoże.

Miał rację. Wystrzały fajerwerków i wrzaski dochodzące z dołu były stanowczo zbyt głośne.

Stała przy francuskim oknie prowadzącym na balkon. Zerwała beżowe jedwabne zasłony i rzuciła je bandycie na głowę. Przebiegając obok, usłyszała, jak nożownik wyrzuca z siebie stek przekleństw.

Niewiele brakowało, a zdołałaby go wyminąć.

Uwolnił się, chwycił ją za ramię i powalił na kolana. Znowu uniósł nóż.

Rzuciła się naprzód, uderzając go głową w żołądek.

Uścisk bandyty zelżał, więc Nell oswobodziła się z trudem.

-Mamo!

Boże! W drzwiach sypialni stała Jill.

-Nie ruszaj się, kochanie.

Balkon. Gdyby tylko wyprowadziła drania na zewnątrz, Jill mogłaby uciec.

Uderzyła go pięścią w policzek i wypadła na balkon. On za nią.

- Biegnij, Jill! Do tatusia!

Dziewczynka płakała, a Nell tak bardzo pragnęła ją pocieszyć.

- Biegnij, kocha...

Nóż. Ukłucie. Ból.

Walczyć!

Słabo...

Uderzyć jeszcze raz, powalić drania...

Dać Jill czas....

Biec...

Nie ma dokąd...

Kamienna balustrada wbija się w kręgosłup. Zimno.

Niech ten drań spadnie. Niech spadnie prosto w przepaść.

Nell zacisnęła ręce na barkach bandyty, próbując go odwrócić.

- O nie, ty głupia suko! - Uwolnił się z łatwością i zepchnął ją w dół.

Krzyczała.

Spadała.

Umierała.

Nicholas przeciskał się z trudem przez rozhisteryzowany tłum, który wylewał się z sali balowej na korytarz. Chwycił za ramię przebiegającą tuż obok Sally.

- Co się stało?

- Proszę mnie puścić. - Oczy błyszczały jej z przerażenia. -

Szaleńcy! Zabili go. Szaleńcy!

Zacisnął ręce na jej ramieniu.

- Kto strzelał?

- Skąd mam wiedzieć? - Odwróciła się do przysadzistego mężczyzny, który właśnie wyłonił się z sali. - Martin!

Martin Brenden był spocony i blady.

- Kavinsky leży na podłodze. Dwaj inni też. Widziałem, jak Richard pada. Trafili Richarda.

- Ilu ich jest? - dopytywał się Nicholas. - Skąd padły te strzały?  
- Przez okno - odparł Martin. - Goryle Kavinsky'ego już ich gonią.  
- Chwycił żonę za ramię. - Zjeżdżajmy stąd!  
- Jak to się mogło stać? - pytała Sally nieprzytomnie. - Moje cudowne przyjęcie...  
- Znajdą ich. - Poklepał ją po ramieniu. - Kavinsky miał dwóch ludzi w porcie. Nie wydostaną się z wyspy.  
Pozwoliła odprowadzić się na bok.  
- Moje przyjęcie...  
Nicholas przebił się przez tłum do głównego wejścia.  
W świetle księżycy zamajaczyły sylwetki dwóch biegnących mężczyzn. Obaj mieli mokre garnitury.  
Nie zmierzali jednak w stronę doków, ale na drugi koniec wyspy.  
Nic dziwnego, że nie uciekali do portu. Po osiągnięciu celu Gardeaux zawsze potrafił wymknąć się z pułapki.  
Lista!  
Nell Calder!  
Obrócił się na pięcie i pobiegł z powrotem do pałacu.

Chryste! Spójrzcie tylko na jej twarz! Prawdziwy potwór!

Głos Nadine.

*Widziałam potwora.*

Jill też mówiła o potworach. Wszyscy widzieli potwory.

- Do jasnej cholery! Nie stójcie tak! Sprowadźcie tego lekarza, który zajmuje się Kavinskym. Ta kobieta bardziej potrzebuje pomocy.

Richard? Nie, ten głos był znacznie bardziej ochrypliwy, twardy... Tanek. Dziwne, że potrafiła rozpoznać to brzmienie.

Spróbowała otworzyć oczy. Rzeczywiście. Tanek. Ale już nie tak elegancki. Umazany krwią, bez płaszcza... Czyżby został ranny?

- Krew...

- Cicho. Wszystko będzie dobrze. - Wpatrywał się w nią intensywnie.

- Obiecuję. Nie umrzesz.

Nadine płakała.

- Biedactwo... Boże, chyba zwymiotuję...

- To idź do toalety - odparł zimno Tanek. - Ale najpierw sprowadź lekarza.

A więc to ona jest ranna.

Spadała...

Umierała.

W takim razie Richard powinien być przy niej. Chciała zobaczyć Jill...

- Jill...

- Ciii... - szepnął Tanek. - Wyzdrowiejesz.

Coś było nie tak. Nie. Wszystko było nie tak. Ona umierała, a nikt o to nie dbał. Nikt, z wyjątkiem tego mężczyzny. Z wyjątkiem Taneka.

Oglądałem telewizję - powiedział Jamie, kiedy tylko podniósł słuchawkę. - Miałeś chyba pracowity wieczór. A więc jednak polowali na Kavinsky'ego.

- Nie wiem. Trafili również goryla. Może Kavinsky oberwał przez przypadek?

- W jaki sposób dostali się na Medas?

-Przez cieśninę uchodzącą do jaskiń na dalekim końcu wyspy. Zakotwiczyli kilka mil od brzegu i w strojach płetwonurków popłynęli do jednej z takich grot. Co piszą w gazetach?

- Że terroryści z Rosji dokonali zamachu na prezydenta, w wyniku czego zginęło pięciu niewinnych ludzi.

- Czterech. Kobieta żyje. Ledwo. Ma trzy rany klute i spadła z balkonu. Jest całkowicie połamana. Przewożą ją właśnie do szpitala w Atenach. Na przyjęciu był lekarz. Mówi, że jeśli ona nie umrze wskutek wstrząsu, to jakoś się z tego wywinie. Musisz zorganizować prywatny samolot. Zabierzemy ją do Stanów na leczenie.

Jamie gwizdnął cicho.

- Kabler nie będzie zachwycony. Na pewno zechce z nią porozmawiać.

- Pieprzę Kablera.

- A najbliżsi krewni? Wyrażą na to zgodę?

- Jej mąż został właśnie jedną z tych niewinnych ofiar. Jedzie właśnie w plastikowym worku do kostnicy. Niech Conner wyrobi ci dokumenty, z których by wynikało, że jesteś jej bratem. Każ Lieberowi zadzwonić do szpitala. Musieli tam o nim słyszeć.

- Dlaczego Lieberowi?
  - Bo to najbardziej logiczne. Ta kobieta wygląda tak, jakby połamala sobie wszystkie kości twarzy.
  - Dlaczego zabili Richarda Caldera? Nie było go przecież na liście.
  - Jego czteroletniej córki również.
  - Chryste!
- Nicholas przymknął oczy, aby odpędzić obraz, jaki stanął mu przed oczami w chwili, gdy wyglądał przez pałacowy balkon.
- Spieprzyłem sprawę. Myślałem, że to fałszywy trop.
  - Nie ty jeden. Kabler też tak uważał.
  - Ale ja tam pojechałem. Mogłem działać.
  - Sam jeden?
  - Powinienem być ją ostrzec. Kochała to dziecko do szaleństwa. Może by mnie posłuchała.
  - Albo raczej doszłaby do wniosku, że masz nierówno pod sufitem. Nigdy nie wiadomo. Jeśli pracowała dla Gardeaux, to sama jest sobie winna. - Urwał. - Potrzebujesz pomocy, żeby wydostać się z wyspy?
  - Chyba nie. Kabler jeszcze się nie pojawił. Rozmawiałem z lokalną żandarmerią i mogę jechać. Spotkamy się na lotnisku. - Odłożył słuchawkę.

*Piątego czerwca, Minneapolis, Minnesota*

Joel Lieber wyjechał po nich na lotnisko karetką. Na jego twarzy malował się wyraz niezadowolenia.

- Mówiłem ci przecież, że nie chcę się angażować w takie sprawy. Nie mam czasu na rozmowy z Kablerem. Tego rodzaju ludzie przeszkadzają mi... - Odwrócił się do sanitariuszy. - Nie szarpacie. Nigdy się niczego nie nauczycie? A ty idź do mojego gabinetu - rzucił przez ramię. - Zobaczymy się później. Najpierw muszę ją zbadać. Odzyskała przytomność?

- Tylko raz, tuż potem, jak ją znaleźliśmy. Rany od noża nie są głębokie, ale ma złamaną rękę i obojczyk. W Atenach założyli jej gips. Twarzy nie pozwoliłem ruszać.

- Żeby stworzyć mi pole do popisu - powiedział sarkastycznie Joel. —I szansę na upojną pogawędkę z Kablerem.

- Ja go powstrzymam.

- Wątpię. Już dwa razy do mnie dzwonił. Chyba ma do mnie pretensje o to, że brałem udział w nielegalnym przewozie ważnego świadka.

- Ona cię potrzebuje, Joel.

- Cały świat mnie potrzebuje - odparł z westchnieniem lekarz. - Taką właśnie płacę cenę za swoje zdolności. - Wsiadł do karetki. - Niestety jestem tylko supermanem, a nie Panem Bogiem. Później dam ci znać, czy zdołam jej pomóc.

Brakuje mu chyba tylko doktoratu z weterynarii. - Jamie popatrzył z uznaniem na dyplomy porozwieszane na ścianach gabinetu Liebera. - Ciekawe, dlaczego o tym zapomniał.

- Ale i tak daje sobie radę. Sam złamał kiedyś nogę w pułapce na kojota. Joel zestawił ją bez problemu.

- Czy to znaczy, że czasem zostawia tych wszystkich lizusów i odwiedza cię w głuszy?

- Nawet supermanowi nudzą się czasem komplementy.

- Ale rzadko. - Joel Lieber wszedł do środka, rzucił teczkę na biurko i opadł na skórzany, dyrektorski fotel. - Uwielbienie to pokarm i napój geniusza. Sobie przepisałem końską dawkę.

- Nic dziwnego - mruknął Jamie.

- Jak tam interesy? - spytał Lieber.

- Kwitnąco.

- W takim razie powinieneś być zostać w Dublinie, z dala od Nicholasa.

- Tak, ale bardzo rzadko robimy to, co trzeba. - Uśmiechnął się. — Dostrzegamy jakiś problem czy wyzwanie i do roboty. Prawda, Joel?

- Akurat tego wyzwania wolałbym się nie podejmować - skrzywił się Lieber.

- Aż tak źle? - spytał Nicholas.

- Nie ma ran, ale trzeba odtworzyć właściwie całą twarz. Wystarczyłaby jedna operacja, ale potem te wszystkie kontrole, psychoterapia i... Zdajecie sobie sprawę, ile czasu to zajmie? A ja jestem uziemiony na najbliższe dwa lata. Nie dam rady.

- Ona cię potrzebuje.

- Nie próbuj we mnie wzbudzać poczucia winy. Nie mogę rozwiązać problemów całej ludzkości.

- Podczas napadu zginęli jej mąż i dziecko.

- O, cholera!

- Straciła wszystko. Chcesz jej tak po prostu zakomunikować, że przez resztę życia będzie wyglądała jak potwór?

- Nie jestem jedynym chirurgiem plastycznym na świecie.

- Ale najlepszym. Wciąż mi to przecież powtarzasz. A ona zasługuje na najlepszego.

- Jeszcze pomyślę.

- Poznałem ją. To bardzo miła kobieta.

- Już powiedziałem, że się zastanowię - wycedził Joel przez zęby.

- Więc zrób to. - Nicholas wstał i podszedł do drzwi. - Jutro dostarczę jej dokumenty i pogadamy. Chodź, Jamie. Idziemy na obiad. - Urwał. - A co u Tani?

- Wszystko w porządku. Na pewno będzie się chciała z tobą zobaczyć. Chyba możesz pojawić się u nas na kolacji?

- Trudno mi nie skorzystać z tak miłego zaproszenia, ale jednak sobie daruję. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Dlaczego nie zapytasz Tani, czy powinieneś pomagać Nell Calder?

- Niech cię cholera! - syknął Joel.

Zamykając drzwi od gabinetu, Nicholas nadal nie przestawał się uśmiechać.

- Kto to jest Tania? - spytał Jamie, gdy przechodzili przez recepcję.

- Gospodyni Liebera. Nasza wspólna znajoma. - Wcisnął guzik od windy.



- Pomoże go przekonać?
- Wątpię, czy Joel zapyta ją o zdanie. Tania mogłaby go wprowadzić w stan niepokoju. Poza tym to wcale nie jest konieczne. On już i tak ze sobą walczy. W młodości był biedny jak mysz kościelna, więc trudno mu czasem zrezygnować z pogoni za pieniędzem na rzecz zwykłej, ludzkiej dobroci.
- Jamie zerknął raz jeszcze w stronę luksusowego biura.
- Chyba jednak nieźle sobie radzi.
- Ale raz w tygodniu leczy za darmo maltretowane dzieci. - Wsiadli do windy. - I na pewno ich nie zostawi. Będzie musiał zrezygnować z czegoś innego.
- Mógłbyś mu to sownie wynagrodzić.
- Nie teraz, bo się obrazi. Jak już podejmie decyzję, na pewno odpowiednio mnie podliczy.
- Robisz sobie strasznie dużo kłopotu.
- Więc?
- Przecież nie ponosisz żadnej odpowiedzialności za to, co się stało.
- Jasne. - Potrząsnął smutno głową. - Tylko już nie chrzań, że ona sama sobie napytała biedy, bo weszła w układy z Gardeaux. Nie sądzę, żeby tak było.
- Więc dlaczego ten drań chciał ją zlikwidować?
- Nie wiem. To wszystko nie ma sensu. Musi przecież być jakiś powód. - Urwał. - Zarówno ją, jak i małą pchnięto nożem, a przecież kula jest o wiele bardziej skuteczna.
- Maritz?
- Może. To komandos i jedyny z ludzi Gardeaux, który jest zakochany w nożach. Nell Calder musiała być jedynym celem. Jej mąż i inni zginęli w sali balowej, ale chodziło o nią.
- Główny cel - przytaknął Jamie. - Co się zupełnie nie zgadza z twoją teorią o przypadkowych ofiarach.
- Więc udowodnij, że się mylę. Byłbym szczęśliwy, gdyby się okazało, że ona pracuje dla Gardeaux. Jeśli chcesz szukać związków, potrzeba nam więcej danych. Dossier Connera nie wystarczy. Chcę wiedzieć, co Nell jadła na śniadanie w wieku sześciu lat.

- Od kiedy mam zacząć? - Uniósł rękę. - Nic nie szkodzi. Po obiedzie, dobrze?

- Mogę ściągnąć kogoś innego. To niewdzięczna robota i wcale nie jestem przekonany, czy przyniesie efekty.

- No cóż. W pubie jest teraz mały ruch. Sam się tym zajmę. Coś jeszcze?

- Trzeba postawić strażnika w izolatce. Gardeaux nie będzie zachwycony tym, że ona żyje. Tylko lepiej by było, żeby ten facet nie rzucał się w oczy, bo Joel umrze ze strachu.

- Nie sądzę. Medycy nie są tacy bojaźliwi. - Myślał chwilę. - A może postaramy się o pielęgniarkę? Mógłbym zadzwonić do Phila Johnsona z Chicago.

- Jak chcesz. Bylebyś kogoś sprowadził najpóźniej do jutra rana.

- A dziś?

- Ja z nią zostanę.

- Nie spałeś w samolocie.

- I dzisiaj również będę czuwał. Nie zamierzam popełnić kolejnego błędu.

Zrnowu Tanek.

Ale wyglądał inaczej i przez dłuższą chwilę Nell nie rozumiała dlaczego.

Zielony sweter. Tak, wtedy miał na sobie smoking. Poza tym nie był już spięty i zły, tylko zmęczony.

To akurat nie wydawało się jej dziwne. Ona też była zmęczona. Tak bardzo zmęczona, że z trudem otwierała oczy. Wydawało się jej, że płynie.

No tak, przecież umierała. W takim razie umieranie nie jest Wcale takie straszne.

Widocznie zaczęła szeptać, bo Tanek natychmiast się nad nią pochylił.

- Nie umierasz. Wszystko w porządku. - Skrzywił się. - To znaczy niezupełnie ale na pewno nie umrzesz. Jesteś w szpitalu, w Stanach. Masz kilka złamanych kości, ale damy sobie z tym radę.

Trochę ją pocieszył. On z pewnością potrafi wszystko załatwić. Wiedziała to od chwili, gdy zobaczyła go po raz pierwszy.

- Śpij.

Ale ona nie mogła zasnąć. Coś się stało. Coś, co miało jakiś związek z tym koszmarem sprzed upadku. Musiała go zapytać.

- Jill...

Nie zmienił wyrazu twarzy, ale poczuła przyływ paniki. Tak, coś się stało.

- Śpij.

Szybko zamknęła oczy. Ciemność. Mogła się w niej schronić przed straszliwą prawdą, jaką wyczuwała, patrząc w niewzruszoną twarz Taneka.

Wolała pograć się w ciemności.

Nie jesz zupy - powiedziała Tania, siadając przy stole.

- Może uważasz, że nie jest dla ciebie dość dobra?

Joel zerknął na nią spod oka.

- Znowu zaczynasz? Nie mam apetytu.

- Pracujesz od rana do wieczora, a twoja sekretarka twierdzi, że rzadko wychodzisz na lunch. Na pewno kiszki ci marsza grają.

- Śmiało spojrzała mu w oczy. Co znaczy, że się nie myślę. Sądziś, że moja zupa nie jest dla ciebie dość dobra. Nie rozumiem tylko dlaczego, skoro nawet jej nie spróbowałeś.

Wziął łyżkę, zanurzył ją w zupie i podniósł do ust.

- Wspaniała - warknął.

- Dokończ. I pospiesz się. Zanim pieczeń wystygnie. Opuść łyżkę.

- Przestań mi rozkazywać w moim własnym domu.

- Dlaczego? To jedyne miejsce, gdzie przyjmiesz do wiadomości jakiegokolwiek polecenia. Przecież jesteś wyjątkowo arogancki.

- Spróbowała zupy. - W sali operacyjnej można ci to wybaczyć, bo tam pewnie masz zawsze rację. Ale w tym domu ja wiem wszystko najlepiej.

- Na każdy temat. Odkąd się tutaj wprowadziłaś, moje życie stało się udręką.

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Kłamiesz. Nigdy nie było ci tak dobrze. Zapewniłam ci dobre jedzenie, matczyne ramię, na którym możesz się oprzeć, i czysty dom. Pogubiłbyś się zupełnie, gdybym cię zostawiła.

Rzeczywiście. Na pewno by się pogubił.

- Twoje ramiona absolutnie nie są matczyne.

Ramiona Tani były proste, silne i zawsze wyglądały tak, jakby dziewczyna szykowała się do bitwy. Niestety, nie bez powodu. Tania urodziła się i wychowała w Sarajewie. Nicholas przywiózł ją do Stanów przed czterema laty wycieńczoną z głodu, ranną, z bliznami po szrapnelu. Zaledwie osiemnastoletnia wówczas dziewczyna miała oczy starej kobiety.

- Bardzo długo doskonale dawałem sobie radę bez ciebie.

Prychnęła.

- Tak doskonale, że Donna się z tobą rozwiodła, bo cię w ogóle nie widywała. Mężczyzna powinien dbać zarówno o karierę, jak i o dom. Zjawiłam się w samą porę. - Znów zjadła łyżkę zupy. - Donna również tak uważa. Jej zdaniem, jestem najlepszą rzeczą, jaka ci się w ogóle mogła przytrafić.

- Nie lubię, jak spiskujesz z moją byłą żoną.

- Nie spiskuję. Rozmawiam. Czy to spisek?

- Owszem.

- Siedzę tu sama przez cały dzień. Muszę ćwiczyć angielski, więc gadam przez telefon. I mówię coraz lepiej - dodała z satysfakcją. - Niedługo będę mogła rozpocząć studia na uniwersytecie.

Zamarł.

- Naprawdę?

- Nie bój się. Zostanę z tobą. Jestem bardzo szczęśliwa.

- Wcale się nie boję. - Łypnął na nią spod oka. - Chętnie bym się ciebie pozbył. Wtargnęłaś do tego domu i przejęłaś dowodzenie.

- Nie miałam wyboru - powiedziała z prostotą. - Zestarzałbyś się i zgorzkniał, gdyby nie ja.

- A ty chcesz, żebym zawsze był młody i słodki.

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Młodość to nie problem. Gorzej będzie z tą słodyczą.

Miała cudowny uśmiech i trójkątną twarz o ostrych rysach, ruchliwych ustach i głęboko osadzonych oczach. Stawała się ładna dopiero wtedy, gdy zaczynała się uśmiechać, a Joel czuł się w takich chwilach tak, jakby go czymś obdarowywała. Tania otrzymała ten uśmiech od samego Pana Boga. Joel tylko zoperował jej twarz.

- Chociaż na pewno byłoby mi łatwiej, gdybyś poszedł ze mną do łóżka.

Opuścił wzrok i pospiesznie połknął trochę zupy.

- Już ci mówiłem, że nie sypiam z małolatami.

- Mam dwadzieścia dwa lata.

~ A ja prawie czterdzieści jeden. Jestem dla ciebie za stary.

- Wiek nic nie znaczy. Ludzie już w ten sposób nie rozumują.

- Ja tak.

- Wiem. I utrudniasz mi sytuację. Ale nie będziemy się o to kłócić.

- Wstała. - Jesteś zdenerwowany i jak dostaniesz rozstroju żołądka, zwalisz wszystko na moją zupę. Skończmy lepiej obiad. Resztę opowiesz mi przy kawie.

- Nic się nie dzieje.

- Od razu poczujesz się lepiej. Sam zresztą wiesz. Przyniosę pieczeń.

Zniknęła w kuchni.

Wypij kawę. - Tania zwinęła się naprzeciwko Joela w dużym fotelu. - Dodałam trochę cynamonu. Będzie ci smakowała.

- Nie lubię słodkiej kawy.

- Przyprawy nie są słodkie. Poza tym skąd wiesz, że nie lubisz? Mogę się założyć, że od czasu studiów nie piłeś nic innego oprócz tej obrzydliwej czarnej lury.

- Wcale nie jest obrzydliwa. - A ty nie pozwalasz mi przecież na kawę.

- I tak pijesz ją w szpitalu.
- Już ci donieśli. Piję to, co mi się podoba. - Postawił obok siebie filiżankę. - I wcale nie mam ochoty na kawę. - Muszę wrócić do szpitala, do jednego z pacjentów.
- Do tego, o którego aż tak bardzo się martwisz, że nie możesz jeść?
- Wcale się nie martwię.
- Dlaczego w takim razie wracasz do szpitala? Chodzi o jakieś dziecko?
- Nie. O kobietę.

Nie odezwała się ani słowem. Czekwała.

- Nicholas ją przywiózł - dodał niechętnie.
- Nicholas? - Wyprostowała się jak struna.
- Wiedziałem, że to cię zainteresuje - powiedział gorzko.

- Ale nie widzę różnicy. Nie przekonasz mnie do niczego tylko dlatego, że właśnie Nick mnie o to prosi. Uszkodzenia są zbyt poważne, żebym mógł nadać tej twarzy poprzedni wygląd. Oddam tę pacjentkę Samplinowi.

- Nie usiłowałam cię o niczym przekonywać. Zaciągnęłam u Nicholasa dług wdzięczności, ale muszę go spłacić sama.
- Zmarszczyła brwi. - Kim jest ta kobieta?
- Nazywa się Nell Calder. To jedna z ofiar masakry na Wyspie.
- Kim ona jest dla Nicholasa?
- Nie bądź zazdrosna. On jej prawie nie zna.
- Dlaczego miałabym być zazdrosna?

Zdziwienie Tani brzmiało szczerze. Joel poczuł przyływ ulgi. Wzruszył lekko ramionami.

- Wydawało mi się, że jesteście sobie bardzo bliscy.
- On ocalił mi życie i przywiózł tutaj. - Popatrzyła na Joela z namysłem. - Nie chcemy od siebie niczego prócz przyjaźni.
- Nicholas rzadko robi cokolwiek bezinteresownie.
- Dlaczego mówisz o nim w ten sposób? Przecież go lubisz.

Naprawdę go lubił. Był też diabelnie zazdrosny o tego drania. Przypomniał sobie nagle słynną scenę z „Casablanki”, kiedy to Ingrid Bergman patrzyła tęsknie na Humphreya Bogarta, a Paul

Henreid - szlachetny i nudny - kręcił się gdzieś w tle. Ta kobieta nie przywiązywała najmniejszej wagi do tego, że Henreid walczy bohatercko w ruchu oporu. Czarne owce były zawsze bardziej interesujące.

- Nie rozumiesz go - powiedziała Tania. - A Tanek wcale nie jest taki twardy, jak myślisz. Przeszedł na drugą stronę.

- Na drugą stronę?

- Żył według brutalnych reguł i odniósł wiele ran. Pewnie zaczęło mu się wydawać, że mógłby popełnić każde zło, byle tylko przetrwać. A potem przekroczył tę granicę i znów stał się człowiekiem.

Tania nie mówiła wyłącznie o Nicholasie. Ona również przeżyła piekło i przeszła na drugą stronę. Joel bardzo pragnął ją przytulić, pocieszyć i obiecać, że zawsze się będzie nią opiekował.

Podniósł filiżankę i upił spory łyk kawy.

- Smaczna - skłamał.

Świetnie, Joelu. Nicholas ratuje jej życie, a ty chwalisz za kawę.

Uśmiechnęła się promiennie.

- A nie mówiłam?

- Zawsze to powtarzasz! A ja się wściekam.

- Dlaczego Nicholas chce pomóc tej kobiecie?

Wzruszył ramionami.

- Bo sądzi, że jest częściowo odpowiedzialny za to, co się stało. Przywiózł ją do mnie, żeby zapłacić za swoje winy. A ja tego nie kupuję.

- Kupujesz. Żal ci tej kobiety.

- Nie mogę jej zwrócić tego, co straciła.

- Nawet jeśli nie da się odtworzyć dokładnie jej twarzy to ty z pewnością potrafisz stworzyć nową.

- Sądziłem, że nie będziesz mnie do niczego namawiać.

- I nie namawiam. Decyzja należy do ciebie. Ale skoro i tak zamierzasz pomóc pani Calder, niech to będzie przynajmniej interesujące doświadczenie. - Uśmiechnęła się kpiąco. - Nigdy nie chciałeś mieć własnej Galatei?

- Nie - odparł cicho. - Nie zajmuję się bajkami, tylko chirurgią plastyczną.

- Ale potrzebujesz bajek. Właśnie ty potrzebujesz ich najbardziej. - Wstała i odebrała od niego kubek. - Nie cierpisz takiej kawy, prawda?

- Skądże... - Napotkał jej spojrzenie. - Tak.

- Ale zrobiłeś to dla mnie. - Musnęła wargami jego czoło. - Dziękuję.

Wyniosła tacę z biblioteki.

Bez tętniącej życiem obecności Tani pokój wydawał się ciemniejszy.

Powiedziała, że to ona musi spłacić dług Nicholasowi.

Ale nie miała racji.

Nicholas wprowadził Tanie w jego życie i Joel wiedział, że w żaden sposób nie zdoła mu się zrewanżować, nawet gdyby ten drań sprowadzał mu swoje ranne owieczki przez najbliższe dwadzieścia lat.

Co tam!

Lepiej pomyśleć o Galatei.

Oo ty tutaj robisz?

Nicholas podniósł wzrok na Joela, który wchodził właśnie do separatki.

- Mógłbym cię zapytać o to samo.

- Ja tu pracuję.

- Chirurdzy plastyczni nie urządzą obchodów o jedenastej wieczorem.

Joel spojrzał na kartę.

- Obudziła się?

- Na minutę czy dwie. Myślała, że umiera. - Urwał. - Pytała o córkę.

- Nie wie, że straciła męża i dziecko?

- Jeszcze nie. Wydawało mi się, że na razie ma dosyć problemów.



- Aż za wiele. Operacja, przystosowanie się do nowej sytuacji... Skrzywił się. - I jeszcze do tego szok spowodowany stratą najbliższych. Można się kompletnie załamać. Jaka ona jest? Silna?

- W każdym razie nie jak skała. - Przypomniał sobie Nell Calder wychodzącą z pokoju córki. - Raczej łagodna, delikatna. Szalała za dzieckiem. Widać było, że cały jej świat kręcił się wokół tej małej.

- Wspaniale. - Joel przejechał palcami po ciemnych, kręconych włosach. - Ma jeszcze jakąś rodzinę?

- Nie.

- Zawód?

- Nie.

- Cholera!

- Studiowała na wydziale sztuki w William and Mary. Potem przeniosła się na pedagogikę w Greenbiar. Tam poznała Caldera, który właśnie robił dyplom z ekonomii. Wszystko wskazuje na to, że dobrze trafiła. Richard był zdolny, miał ambicję i charyzmę. Nell zrezygnowała z college'u i wyszła za niego. W rok później urodziła się Jill.

- Dlaczego Nell zrezygnowała ze sztuki? Nicholas potrząsnął głową.

- Postaram się później uzupełnić tę lukę.

- To może być trudne.

- Będziesz ją operował?

- Nie ciesz się tak. To, co zrobiłem dla Tani, było dziecinną zabawką w porównaniu z operacją, jaka czeka Nell. Myślę, że zafundujesz mi nowy domek nad jeziorem.

- Słono! - skrzywił się Tanek.

- Ona na pewno coś podejrzewa, więc nie możemy zwlekać. Powiesz jej, że straciła rodzinę.

- Dlaczego to właśnie mnie przypadł w udziale ten zaszczyt?

- Bo nie chcę, żeby pacjentka źle mnie kojarzyła. Powinienem stać się dla niej symbolem nadziei, nowego życia. Ty jej to powiesz i odejdziesz. Na pewno w najbliższej przyszłości nie będzie chciała z tobą rozmawiać.

- Stary numer z dobrym i złym glina?

Joel uniósł lekko brwi.

- Ty zapewne znasz się o wiele lepiej na procedurze policyjnej, ale mniej więcej o to chodzi. - Joel był coraz bardziej zadowolony.

- Nie możemy zbrukać peleryny Supermana. Jutro zmniejsz dawkę środków uspokajających, tak, żeby zrozumiała, co do niej mówisz.

- Dzięki.

Joel przestał się uśmiechać.

- Postaraj się zrobić to delikatnie. Ona przeżyje straszny szok.

Czy on naprawdę myśli, że celowo zamierzam ją zranić?

- przemknęło Tanekowi przez głowę.

- Oczywiście, ale i tak w niczym jej nie pomogę. Nawet gdybym był łagodny niczym Chrystus...

- Przyjdę później i podam jej środek uspokajający.

- Złagodzisz ból?

- Właśnie tak postępują ci dobrzy. Dlatego zostałem lekarzem. Brzydota i deformacje powodują cierpienie. A ja mogę zmienić ten stan rzeczy. - Odwrócił się i ruszył do drzwi. - Oczywiście dolary nie boją. - Uśmiechnął się przez ramię. - Ale twój portfel będzie błagał o zmiłowanie. Już ja się o to postaram - dodał i wyszedł.

Na korytarzu zaczął cicho pogwizdywać.

idź spać. - Tania stanęła w drzwiach biblioteki.

- Zaraz - odparł z roztargnieniem Joel. - Przyglądał się uważnie wymiarom naniesionym pośpiesznie na owalny diagram notatnika. Lubił korzystać z diagramów przed wprowadzeniem obrazu do komputera.

- Nie zaraz, tylko już. - Tania podeszła bliżej i zatrzymała się przy biurku. Była bosą, ubrana tylko w jego stary podkoszulek.

Dlaczego kobiety wyglądają tak seksownie w męskich ciuchach?

- Jest po północy - powiedziała. - Nie będziesz mógł operować, jeżeli się nie zdrzemniesz.

- Operuję dopiero po południu. - Potrząsnął głową. - A potem

będę musiał powiedzieć Nell, że następne parę tygodni spędzi w łóżku, nieomal bez ruchu. Świetnie, prawda? Wystarczy jej czasu na rozmyślenia o mężu i dziecku. Tania zerknęła na owal.

- To jej twarz?

- Sprawdzam wymiary, żeby wiedzieć, co się da zrobić. Ta kobieta wszystko straciła. Muszę zapewnić jej coś, czego mogłaby się trzymać.

- Dasz jej to coś. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Dobry z ciebie człowiek.

Pochylił się i ścisnął mocniej notatnik.

- Więc idź do łóżka i nie przeszkadzaj. Mam masę pracy.

- Jeszcze dwie godziny. - Zrobiła krok w tył i cofnęła rękę. - A potem po ciebie przyjdę.

Energicznie podeszła do drzwi. Nigdy nie marudziła. Zawsze wyglądała tak, jakby dokładnie wiedziała, dokąd zmierza.

- Mam ładne nogi, prawda? - Uśmiechnęła się do niego przez ramię. - To dobrze. Donna twierdzi, że zwracasz uwagę na nogi.

- Wcale nie. Nagadałem Donnie głupstw, bo ona ma piersi jak chłopiec.

Z naganą klasnęła językiem.

- Kłamiesz.

Wyszła z gabinetu.

Z trudem przeniósł wzrok na notatnik. Wiedział, że za dwie godziny musi stąd zniknąć. Tania zasługiwała na kogoś lepszego niż pracoholik, który zawałił już jedno małżeństwo. Nie wolno mu było myśleć o nogach i tym uśmiechu.

Łatwo powiedzieć...

Ale przynajmniej powinien spróbować.

Należało się raczej skupić na Galatei.

Tym razem to nie był Tanek.

Młoda twarz, szerokie kości policzkowe, złamany niegdyś nos, niebieskie oczy, jasne, krótkie włosy.

- Nazywam się Phił Johnson.
- Kim pan jest?
- Pani pielęgniarzem.

Pomyślała, że Johnson wygląda raczej jak sportowiec. Szpitalny fartuch opinał się ciasno na silnie umięśnionych ramionach.

- Lepiej się pani czuje? Ograniczyli podawanie środków uspokajających, więc oszołomienie powinno stopniowo mijać.

Zdała sobie sprawę, że myśli jaśniej. Zbyt jasno. Paraliżował ją strach.

- Proszę się nie martwić tymi bandażami. - Chłopak uśmiechnął się ciepło. - Wszystko będzie dobrze. Rany nie są poważne, a wspaniały chirurg plastyczny zajmie się resztą. Do doktora Liebera przyjeżdżają pacjenci z całego świata.

Myślał najwyraźniej, że ona niepokoi się o siebie. Aż trudno uwierzyć.

- Moja córka...

Jego uśmiech zniknął.

- Pan Tanek czeka na korytarzu. Prosił, żebym go zawołał, kiedy pani się obudzi.

Znów sobie przypomniała, jaki wyraz oczu miał Tanek, gdy spytała go o Jill. Serce biło jej tak mocno, że omal nie wyskoczyło z piersi.

- Jak się pani czuje? - spytał Tanek, stając w drzwiach.

- Potwornie się boję. - Nie sądziła, że to powie. - Gdzie jest moje dziecko?

Usiadł na krześle obok łóżka.

- Nie pamięta pani, co się stało?

Nóż, ból, Jill stojąca w drzwiach, brzęk spadającej pozytywki.

Zadrzała.

- Gdzie moja córka? Ścisnął jej rękę.

- Zginęła tego samego wieczoru, kiedy panią napadnięto.

Uchyliła się jak przed ciosem.

Nie żyje... Jill...

- Pan kłamie. Nikt nie mógłby skrzywdzić Jill.

- Ona nie żyje - powiedział twardo. - Bardzo bym chciał kłamać.

Nie wierzyła. Tylko Richard mógł powiedzieć jej prawdę.

- Chcę się zobaczyć z Richardem. Natychmiast. Potrząsał głową.

- Bardzo mi przykro.

- Co pan mówi? - Patrzyła na niego z przerażeniem. - Przecież jego nawet nie było w pokoju.

- Napastnicy zaatakowali salę balową. Zabili pani męża i jeszcze trzy inne osoby. Kavinsky został ranny.

Nic jej nie obchodził Kavinsky.

Jill, Richard, Jill...

Boże, Jill...

Pokój wirował, ciemniał...

*Raz do góry hop, hop, hop, tam, gdzie niebo błękitnieje...*

Czy tę właśnie piosenkę śpiewała Jill? Ale Tanek twierdzi, że ona nie żyje. I Richard nie żyje. Została tylko Nell...

*/ spadamy w dół, w dół, w dół...*

Tak, w dół, pogрузić się w ciemnościach. Może tam uda się jej odnaleźć Jill.

Joel! Chodź tu natychmiast! — krzyknął Nicholas. - Ona zemdlą!a!

- Co ty najlepszego zrobiłeś? - spytał gniewnie Lieber, wchodząc do separatki.

- Nic. Powiedziałem tylko, że jej życie już się skończyło. Właściwie nie miała powodu do zdenerwowania.

- I pewnie zrobiłeś to po swojemu. Delikatnie i dyplomatycznie. - Joel sprawdził puls chorej. - No cóż. To było konieczne. Mam nadzieję, że jej nie zaszkodziłeś.

- Przecież ona zemdlą!a, do cholery! Zrób coś!

- Będzie znacznie lepiej, jeśli sama przyjdzie do siebie. Idź już. Na pewno nie będzie chciała cię oglądać.

- Uprzedziłeś mnie o tym. - Nicholas nawet się nie ruszył.

Utkwił wzrok w zabandażowanej twarzy Nell. Jej oczy... - Nie martw się. Ja też nie chcę jej widzieć. Pacjentka należy do ciebie, Joel.

- Więc puść ją wreszcie i wyjdź.

Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że nadal trzyma Nell za rękę. Cofnął dłoń i wstał.

- Będziemy w kontakcie. Informuj mnie na bieżąco.

- I jeszcze jedno. Uwolnij mnie od Kablera. Zdążył już dzwonić.

- Co mu powiedziałaś?

- Nic. Przecież z nim nie rozmawiałem. Jak sądzisz, od czego mam sekretarki? - Joel usiadł na zwolnionym przez Nicholasa krześle. - Ale nie pozwolę na żadne przesłuchania. To mogłoby spowodować wstrząs,

Nicholas myślał o Kablerze. On też - podobnie jak Lieber - nie chciał narażać Nell na takie rozmowy, a w dodatku Phil nie gwarantował jej stuprocentowego bezpieczeństwa.

- Możesz ją przenieść do kliniki w Woodsdale?

- Na rekonwalescencję?

- Nie. Teraz. Masz tam przecież do dyspozycji niezbędny sprzęt.

- Ale rzadko tam operuję.

Tylko wtedy, gdy jakieś gwiazdki filmowej zależało na utrzymaniu tajemnicy. Woodsdale gwarantowało luksusy pięciogwiazdkowego hotelu i dyskrecję konfesjonału.

- Kabler jej tam nie znajdzie. Masz pierwszorzędną goryli.

- Przecież sam ich zatrudniłeś. - Joel zmarszczył brwi w zamyśleniu. - Ale Woodward jest o sto sześćdziesiąt kilometrów stąd. Nie chciałbym narażać pacjentki na takie niedogodności.

- Rozmowa z Kablerem to o wiele większa niedogodność.

Westchnął.

- I tak się od niego nie odczepię.

- Nie wiadomo. Wszystko zależy od tego, jak bardzo mu na niej zależy. Kiedy możesz ją przewieźć?

- Jeszcze nie podjąłem decyzji. - Wzruszył ramionami. - Ale chyba masz rację. Tak będzie najlepiej. Sądzę, że pojedziemy jeszcze dziś.

- Zabierzcie pielęgniarsza. - Myślał chwilę. - Nie, on dołączy do was jutro.

- To jeden z twoich? Nie za młody?

- Ma doskonałe kwalifikacje i świetne referencje - odparł wykrętnie Nicholas.

- Jeśli te referencje są prawdziwe.

- Zwykle są - uśmiechnął się Nicholas. - A szpitalne pielęgniarki za nim przepadają. Ty też polubisz Phila.

- Jest na pewno lepszy niż Junot, którego wybrałeś do Woodsdale. Ten facet wygląda jak płatny zabójca z czasów Odrodzenia. Nie pozwalam mu podchodzić do pacjentów, którzy właśnie budzą się z narkozy. Doznaliby szoku. - Zmarszczył brwi. - A on nie pozwala sobą rządzić.

- Biedny Joel. To musi być dla ciebie okropne. A Junot ma swój rozum. Czasem dobrze wyglądać jak ktoś, kim się jest.

- A więc on naprawdę?... - Lieber nie dokończył zdania.

- Co za różnica? Wykonuje swoją robotę i nie sprawia kłopotów. Chyba nic nieprzyjemnego się przy nim nie wydarzyło?

- Oczywiście że nie, ale nie chcę, żeby moja klinika stała się przechowalnią przestępców.

- Ale Junot to nie przestępca, - Uśmiechnął się. - Już nie. Niemniej jednak na pewno będziesz wolał Phila. - Wyszedł z pokoju i ruszył w stronę pokoju pielęgniarek, gdzie Phil gawędził właśnie z przełożoną.

Ten sam pokój, inna twarz. *Jill*

Ale Jill przy niej nie było. Nell szybko przymknęła oczy. Lepiej znów wrócić do ciemności.

- Nazywam się Joel Lieber. Jestem lekarzem. Wiem, że przeżyła pani straszny szok, ale powinniśmy porozmawiać - powiedział łagodnie. - Nie wolno mi operować bez pani zgody, a muszę to zrobić wkrótce, żeby osiągnąć jak najlepsze rezultaty.

Dlaczego on nie odchodzi i nie pozwala jej pogрузić się w mroku?

- Nie chce pani? W takim razie proszę tylko słuchać. Ma pani pokierszowaną twarz. Potrafię ją odtworzyć, ale i tak nie wyglądałaby pani identycznie jak przedtem. Mogę jednak dać pani zupełnie nowy wygląd, prawdopodobnie o wiele bardziej atrakcyjny. Ucierpiały głównie kości, więc wystarczy jedna operacja. Przez górną wargę dostanę się do... - Przerwał. - Dość szczegółów. Na pewno nie chce pani ich znać. - Ścisnął jej dłoń. - Ale jestem dobry, bardzo dobry w swoim fachu. Proszę mi zaufać.

Nie odpowiadała.

- Jakies specjalne życzenia? Preferencje? Może chciałaby pani być do kogoś podobna? Niczego nie obiecuję, ale chyba byłbym w stanie sprostać w dużym stopniu pani oczekiwaniom.

Mówił i mówił. Dlaczego nie pozwalał jej wrócić do ciemności?

- Nell! Niech pani otworzy oczy i słucha. To ważne.

Nie, to nie było ważne. Wszystko naprawdę istotne przepadło. Ale słowa doktora brzmiały tak sugestywnie, że otworzyła oczy i podniosła na niego wzrok. Pomyślała obojętnie, że lekarz ma przyjemną twarz. Kwadratową i silną, o szarych oczach, które powinny się jej wydawać zimne, a były inteligentne i współczujące.

- Lepiej. - Ścisnął jej rękę. - Rozumie mnie pani?

- Tak.

- Co mam zrobić? -

- Wszystko mi jedno. Proszę zdecydować.

- Mam postąpić według własnego uznania? A jeśli nie będzie pani z tego zadowolona? Proszę mi pomóc.

- Nieważne - szepnęła. Dlaczego on tego nie rozumiał?

- Właśnie że ważne. - Potrząsnął głową. - Jak widać, nie teraz. Może jednak później... Wstał. - Przewiozę panią dzisiaj do swojej prywatnej kliniki. Operację zaplanowałem na pojutrze. Jutro zamierzam panią odwiedzić i pokazać rysunki.

Najwyraźniej bardzo się martwił. Wydawał się nawet sympatyczny, ale ona nie mogła mu pomóc...

Dostrzegła z ulgą, że lekarz podchodzi do drzwi. Zostawił ją w spokoju. Przymknęła oczy i po chwili zapadła w sen.



Dokładnie po przekątnej - pomyślał Phil, krocząc powoli niemal opustoszałym korytarzem.

Z przeciwka nadeszła pielęgniarka. Miała świeżą buzię, ciemne włosy, piegi. Uwielbiał piegi.

Uśmiechnął się.

Odwzajemniła uśmiech.

- Zgubił się pan? To skrzydło administracyjne.
- Kazano mi tu przynieść formularze ubezpieczeniowe.
- Biuro zamykają o siódmej.
- Moje psie szczęście. Pani tu pracuje? Skinęła głową.

- Wprowadzam dane do komputera. - Skrzywiła się. - Zemdlałam na izbie przyjęć. Uważają, że nadaję się lepiej do cyfr niż szwów.

- Kiepsko - powiedział ze współczuciem i zerknął na trzymane w rękę papiery: - Będę je musiał odnieść z powrotem na oddział pediatryczny i wrócić jutro.

Zawahala się i wzruszyła ramionami.

- Wpuszczę pana. Może pan położyć dokumenty na biurku Trudy.  
- Wspaniale. - Patrzył, jak dziewczyna wyjmuje pęk kluczy i jeden z nich wkłada do zamka. - Nazywam się Phil Johnson.

- Pat Dobrey. - Włączyła światło i wzięła od niego papiery. - Zostawię to dla koleżanki.

Patrzył na nią od progu.

Słodka. Absolutnie słodka.

Podeszła z powrotem do Phila i zgasiła światło.

Wziął od niej klucze.

- Ja to zrobię. - Zamknął drzwi, sprawdził klamkę. - W porządku. - Oddał dziewczynie pęk kluczy. - Dziękuję ci bardzo, Pat. Odprowadzę cię do samochodu.

- To niekonieczne.

- Ale przyjemne - odparł z uśmiechem.

Kilka minut później Pat odjechała z rykiem silnika swoją hondą, a on machał jej smutno na pożegnanie. Żałował, że nie

będzie mógł tego ciągnąć. Cudowna dziewczyna. Odwrócił się i pobiegł przez parking do szpitala.

Kilka minut później otworzył drzwi od kartoteki, a następnie cicho je za sobą zamknął.

Nie zapalał lampy. Podszedł od razu do biurka i włączył komputer. Światło ekranu całkowicie mu wystarczyło, a nie było widoczne przez szparę po drzwiach.

Odnosił wrażenie, że klawiatura jest gładka i znajoma. Zbyt znajoma. Czuł się tak, jakby dotykał ciała zawsze podniecającej kochanki...

Wracaj do roboty - nakazał sobie w myślach.

Nie znał hasła, więc włamanie się do pliku zajęło mu kilka minut.

Nell Calder.

Wprowadzono już informację o jej transporcie do Woodsdale.

W porządku. Usunął dane, podszedł do szafy z aktami i wyciągnął teczkę Nell. Tak na wszelki wypadek, gdyby zaistniała konieczność przedstawienia dokumentów przed sądem. Światem rządziły jednak komputery i pracownik administracji wolałby w razie potrzeby wydrukować dane z pliku niż grzebać w papierach.

A gdyby się okazało, że tecki nie ma na miejscu, pomyślałby zapewne, że ktoś ją gdzieś przełożył. Ludzie - w przeciwieństwie do maszyn - często popełniają błędy.

Wrócił do komputera, wpisał konieczne dane i wyszedł z programu. Potem siedział jeszcze przez chwilę, gapiąc się w zielony ekran, który kusił go bardziej niż niejedna kobieta. Nie zaszkodziłoby chyba wejść do banku danych i sprawdzić...

Westchnął i wyłączył komputer. Zaszkodziłoby. Przecież właśnie dlatego pozbył się własnego sprzętu i zajął pielęgniarstwem. Nicholas dał mu szansę, której nie zamierzał zmarnować.

Podniósł się ciężko, wsadził dokumenty Nell pod pachę i ruszył do drzwi. Ostrożnie usunął mocną, przezroczystą taśmę, którą okleił zamek, podczas gdy Pat wkładała akta do szafki. Jakże to

szczęście, że spotkał tę dziewczynę. Gdyby nie to, musiałyby się posłużyć którymś z wytrychów ze swojej okazałej kolekcji, a to zawsze wiązało się z ryzykiem.

Odwrócił się, ale zanim zamknął drzwi, popatrzył smętnie na komputer.

Właściwie nie było mu tak źle. Nie mógłby powiedzieć, że nie cierpi swojej nowej roboty. Lubił ludzi i z przyjemnością im pomagał. Miał nadzieję, że uda mu się przysłużyć Nell Calder. Biedna kobieta. Na pewno tkwiła po uszy w kłopotach, skoro Nicholas kazał wpisać Philowi akurat takie dane.

*Pacjentka zmarła wskutek odniesionych ran. Zwłoki wydane Domowi Pogrzebowemu Johna Birnbauma.*

Czy to jej zdjęcie? - Tania wzięła fotografię z otwartej teczki leżącej na biurku Joela. Obejrzała ją uważnie i skinęła głową. - Podoba mi się. Chyba ma dobre serce.

- Dlaczego doszłaś do tego wniosku? Z powodu oczu?

Tania przyjrzała się głęboko osadzonym, ciemnym oczom Nell, po czym potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, chodziło mi raczej o usta... Świadczą o wrażliwości. Nie zmieniaj ich.

- Są zbyt duże. Chcę osiągnąć symetrię.

- Symetria jest zimna. Na miejscu tej kobiety nie chciałabym mieć zimnej twarzy.

Tobie to nie grozi - pomyślał Joel.

- Przecież to moja Galatea, prawda?

- Chcesz, żebym sobie poszła? - spytała zawiedzionym tonem.

- Nie. - Uśmiechnął się i przyciągnął bliżej krzesło. - Pomóż mi. On nie chce się w to włączyć.

- Biedactwo. Na początku jest zawsze najgorzej. Kiedy straciłam rodziców i braciszka, też chciałam umrzeć.

Po raz pierwszy wspomniała o śmierci najbliższych.

- Zginęli tego samego dnia? - spytał, patrząc jej w oczy.

- Nie. Ojciec poległ w walce. Był żołnierzem. W rok później mamę i brata zastrzelili snajperzy. - Popatrzyła na zdjęcie Nell.

- Najgorsza jest ta bezradność i samotność. Kiedy się wszystko traci, niełatwo znaleźć powód, by żyć.

- A ty co sobie znalazłaś?

- Gniew. Wiedziałam, że jeśli mnie też zabiją, będą się bardzo z tego cieszyć. Nie chciałam im dać tej satysfakcji. - Uśmiechnęła się z trudem. - A potem znalazłam ciebie i życie znów nabrało sensu.

Ogarnęło go tak wielkie wzruszenie, że postanowił obrócić wszystko w żart.

- Postanowiłaś ocalić mnie od grzechu spożywania kofeiny?

- Między innymi. - Zabębniła palcami po zdjęciu. - Musisz znaleźć cel również dla niej.

- Zacznę od twarzy. - Włączył program rysunkowy i na ekranie komputera pojawiła się twarz Nell. Wziął ołówek i pochylił się nad rysownicą.

- Kości policzkowe?

- Wysokie.

Jeden ruch rysika i Nell otrzymała nieco wyższe kości policzkowe.

- Tak będzie dobrze?

- Jeszcze trochę.

Posłusznie zmienił kształt policzków.

- Dobrze. - Tania zmarszczyła brwi. - Teraz trzeba coś zrobić z tym zadartym nosem. On mi się nawet podoba, ale nie pasuje do nowego kształtu twarzy.

Starł nos i zastąpił go małym, rzymskim noskiem. -I jak?

- Zobaczymy.

- Usta?

- Niech zostaną.

- W takim razie trzeba poprawić szczękę. Musi być bardziej kwadratowa. Oczy?

Przekrzywiła głowę.

- Może unieść kąci? Jak u Sophii Loren?

- To będzie wymagało szwów.

- Ale nada twarzy bardzo interesujący charakter, prawda?

Zmienił kształt szeroko rozstawionych oczu. Z ekranu kom-

putera patrzyła na niego teraz silna, wyrazista, trochę egzotyczna twarz. Jedynie szerokie, ruchliwe usta świadczyły o wrażliwości i bezbronności. Ta twarz przykuwała uwagę, fascynowała.

- Ma w sobie coś z Sophii Loren i jednocześnie z Audrey Hepburn - szepnęła Tania. - Ale trzeba jeszcze popracować nad nosem.

- Bo mi przy nim nie pomagałaś? - spytał sucho.

- Jest zbyt delikatny. - Utkwiła wzrok w ekranie. - Dobrze nam idzie. O taką twarz warto walczyć.

- Jak o Helenę Trojańską? Moim zdaniem nasza Nell nie wygląda jak grecka bogini.

- Myślę, że Helena też nie przypominała bogini. Miała po prostu twarz, której nie można zapomnieć. Taką, od której mężczyźni nie chcieli oderwać oczu. I właśnie o to nam chodzi.

- A co się stanie później? - Joel popatrzył na Tanie. - Tego rodzaju zmiany mogą spowodować głęboki uraz.

- Ona już przeżyła szok. Przeistoczenie się w Helenę niczego nie pogorszy. A niewykluczone, że pomoże... Skoro ta kobieta nie ma celu, otrzyma przynajmniej broń. To jest bardzo ważne.

- Czy dlatego ty pozwoliłaś mi się zoperować?

Przytaknęła.

- Blizny, którymi ja się zupełnie nie przejmowałam, zwracały uwagę otoczenia. Musiałam żyć na tym padole, a ludzie uciekają od brzydoty.

Uśmiechnął się.

- Mogę cię do niej upodobnić. To niezły projekt.

- Owszem, ale może spowodować problemy, jeśli dojdiesz do wniosku, że nie możesz beze mnie żyć. I tak już się całkiem pogubiłeś. - Milcząco wskazała rysik. - Spróbuj odrobinę pogrubić nos.

Następnego dnia wieczorem Nicholas natknął się na Joela, gdy ten wychodził ze szpitalnego pokoju Nell.

- Tylko nic nie mów - powiedział krótko Lieber, machając

Tanekowi przed nosem tabliczką, do której przypiął jakiś świstek.

- Zgoda na operację.

- Podpisała?

- Owszem. Wy tłumaczyłem mojej pacjentce dokładnie, co zamierzam zrobić. Pokazałem jej wydruk komputerowy z projektem twarzy. Nie jestem jednak pewien, czy w ogóle mnie słyszała. Chyba nic jej to nie obchodzi. — Przejechał palcami włosy. - Wiesz, że ona będzie mogła pozwać mnie do sądu?

Nicholas potrząsnął głową.

- Nic podobnego nie robi.

- Skąd wiesz? Przecież to zombie!

- Uchronię cię przed wszelkimi roszczeniami, zarówno o charakterze prawnym, jak i osobistym. Obiecuję.

- Naprawdę? Wczoraj znowu dzwonił Kabler.

- Przy następnej okazji powiedz sekretarce, żeby go skierowała do administracji szpitala Świętego Józefa.

- Dlaczego?

- Bo Nell Calder umarła wczoraj wieczorem.

- Co takiego? - Joel spojrzał na niego z przerażeniem. - Coś ty najlepszego zrobił?

- Nic, o co można by winić ciebie - powiedział Nicholas.

- Proszę tylko, żebyś nadal próbował się wykręcić od rozmowy z Kablerem. Jeśli natomiast on zadzwoni do administracji, dowie się, że Nell Calder umarła w wyniku odniesionych obrażeń, a jej ciało przewieziono do zakładu pogrzebowego.

- Co mu powiedzą w domu pogrzebowym?

- Dysponują zaświadczeniem o kremacji. A nekrolog Nell ukaże się w jutrzejszych gazetach.

- Prosiłem cię wprawdzie, żebyś się tym zajął, ale nie sądziłem...

Nie wolno ci robić takich rzeczy!

- Za późno.

- A jak zareaguje Nell Calder na wiadomość o swojej śmierci?

- Kiedy już będzie bezpieczna, oświadczy, że dziennikarze jak zwykle przesadzili.

- Bezpieczna?

- Ona wcale nie była przypadkową ofiarą, tylko głównym celem ataku. A zamachowiec nie zrezygnuje tak łatwo.

- Chryste! Oczywiście nie zamierzałeś mi powiedzieć, w co się pakuję?

- Rozwazałem taką możliwość, ale nie chciałem ci jeszcze bardziej utrudniać podjęcia decyzji.

- Wolałeś mi oszczędzić zmartwień? - spytał sarkastycznie Lieber.

- A sobie zbędnych dyskusji. Tak jest o wiele lepiej.

- Wcale nie.

- Właśnie że tak.

- Z akt wynika wyraźnie, że to ja leczyłem Nell. Zostanę oskarżony o sfalszowanie dokumentów.

Nicholas potrząsnął głową.

- Mam twoją zgodę na transport. W razie potrzeby mogę ją przedstawić.

- Jeśli tak ci będzie wygodniej.

- Nie. - Tanek spojrzał mu w oczy. - Obiecałem, że cię będę chronił. A ja dotrzymuję słowa.

Wierzył Nicholasowi, ale nie odzyskał humoru.

- Nie lubię, jak ktoś mnie oszukuje.

- Ja wcale cię nie oszukuję. Sfalszowałem tylko akta. - Zerknął na podpisaną przez Nell zgodę na operację. - A ty wcale nie jesteś na mnie zły. Martwisz się po prostu o pacjentkę, prawda? Nadal tak z nią źle?

- Jeszcze trochę, a wpadnie w katatonię. W zakładzie psychiatrycznym nie będzie potrzebowała nowej twarzy.

- Nie dopuścimy do tego.

- Mam nadzieję. - Wymierzył oskarżycielski palec w Nicholasa. - A ja nie zamierzam zostać sam. Nie pojedziesz do Idaho. Zostaniesz tutaj, pod telefonem. Rozumiesz?

- Doskonale. - Na usta Taneka wy płynął uśmiech. - Mogę się zatrzymać w hotelu? Nie cierpię szpitali.

- Jeśli tylko obiecasz, że się stawisz na każde moje zawołanie, to możesz.



- Zgadzam się na wszystko - Uniósł ręce w geście poddania.
- Jasne - rzucił Joel na odchodnym.

*Bellevigne, Francja*

Popełniłeś ogromny błąd - powiedział cicho Philippe Gar-deaux. - A ja bardzo tego nie lubię.

- Nie wiedziałem, że będzie się bronić. - Paul Maritz łypnął na niego spod oka. - Poza tym byłem pewien, że ten upadek ją wykończy.

- Nie musiałbyś liczyć na upadek, gdybyś wykonał dobrze swoją robotę. Jeden cios i po sprawie. No, ale ty zacząłeś sobie folgować, prawda?

- Może - odparł ponuro Maritz.

- W dodatku załatwiłeś dzieciaka. Ile razy mam ci powtarzać, że nie należy zabijać bachorów ani zwierząt! Jedna taka śmierć budzi większe oburzenie niż rzeź setki dorosłych.

- Potem, jak jej matka wyleciała przez balkon, ta mała rzuciła się na mnie z pięściami.

- A ty musiałeś się bronić przed czterolatką? - spytał sucho Gardeaux.

- Mogła mnie rozpoznać. Widziała mnie już drugi raz. Przedtem, w jaskini, bardzo uważnie mi się przyglądała.

- Miałeś wtedy maskę i okulary - przypomniał Gardeaux.

- Nie lubię wykrętów. Przyznaj, że byłeś wściekły i musiałeś się na kimś wyżyć. Od razu ci wybaczę.

- Chyba... rzeczywiście trochę się wkurzyłem - wymamrotał Maritz.

- No widzisz? - Gardeaux oparł się wygodniej i upił łyk wina.

- Przyznaj się tylko do swoich słabości i wszystko będzie dobrze. Dziecko było pomyłką, ale to nie ma znaczenia. Natomiast kobietę przewieziono do Stanów. Lekarze twierdzą, że przeżyje. Musisz zadać kłam tej optymistycznej diagnozie, jeśli nie chcesz,

żeby cię rozpoznała. - Urwał. - Zawiózł ją tam Nicholas Tanek. Nie sądzę, by jego pobyt na Medas okazał się zwykłym zbiegiem okoliczności. A to prostą drogą prowadzi do wniosku, że mamy jakiegoś kable. Może potrafiłbyś go znaleźć i wyeliminować? Tym razem bez nawalanki. Maritz przytaknął skwapliwie.

- Byłbym ci bardzo zobowiązany - powiedział łagodnie Gardeaux. - Zaczynam się denerwować. Jeśli znów mnie zawiesz, będę musiał się jakoś uspokoić. - Stłumił ziewnięcie.

- Jak sobie poradzi twój nóż ze szpadą Pietra?

Maritz oblizał nerwowo usta.

- Pociąłbym go na kawałki.

Gardeaux aż się wzdrygnął.

- Nóż to taka brutalna bron. Ja zdecydowanie wolę wdziek i romantyzm szpady. Czasem mi się wydaje, że jestem kolejnym wcieleniem któregoś z Medyceuszy. I chyba nie pasuję do swojej epoki. - Uśmiechnął się do Maritza. - Ty zresztą też nie pasujesz. Wyobrażam sobie, jak jedziesz konno za Attylą.

Maritz domyślał się wprawdzie, że Gardeaux go obraża, ale nie protestował. Doznał zbyt wielkiej ulgi.

- Znajdę go.

- Wiem. Ufam ci, Paul. Chciałem tylko, żebyśmy sobie coś wyjaśnili.

- Taneka też dopadnę.

- Nie. Ile razy mam ci powtarzać, że jego nie wolno tknąć?

- Włazi panu w drogę - stwierdził ponuro Maritz. - Robi kłopoty.

- W odpowiednim czasie trzeba się będzie nim zająć. Ale to ja zdecyduję kiedy. Zostaw go. Rozu...

- Popatrz, tatusiu, co dostałam od mamy! - Najmłodsza córeczka Gardeaux wypadła na taras, machając wiatraczkiem.

- Kręci się coraz szybciej!

- Widzę. - Gardeaux posadził sobie dziewczynkę na kolanach.

- Renee też taki dostała?

- Nie. Mama kupiła jej lalkę. - Przytuliła się do ojca. - Ładny, prawda?

- Prawie tak ładny jak ty.

Maritz pomyślał, że ta mała ma ciemne, lśniące włosy i jest podobna do córki Nell Calder. Ale wszystkie dzieci wyglądały podobnie.

- Idź już - powiedział Gardeaux, nie patrząc na Paula. - Już i tak ograbiłem rodzinę ze strasznej ilości czasu. Wróć, jak będziesz miał dla mnie jakieś lepsze wiadomości.

- Już niedługo. Obiecuję - przytaknął Maritz i zbiegł ze schodów prowadzących do ogrodu. Gardeaux nie lubił, żeby goryle kręcili się po jego posiadłości. Nie chce, żeby zbrukali mu żonę czy dzieci - pomyślał gorzko Maritz. W ogóle ochroniarze zjawiali się tam tylko z okazji przyjęć. Dlatego Maritz bardzo się zdziwił, gdy Gardeaux wezwał go do siebie zaraz po akcji na Medas.

Bardzo się zdziwił i przestraszył.

Przeszedł przez zwodzony most i znów zerknął na zamek. Nie lubił się bać. Nawet nie pamiętał, kiedy po raz ostatni odczuwał silny strach. Może jako dziecko. Zanim odkrył swój talent i swój nóż. A potem to on budził grozę w innych.

Tamta kobieta też się go bała. Walczyła, ale była przerażona.

Kobieta. Jeszcze jej pokaże i odzyska łaski Gardeaux.

Pomyślał z obrzydzeniem, że zachowuje się tak samo jak inni. Czołga się, jęczy i poniża w obawie przed karcącą ręką Gardeaux.

Gardeaux. Pan na zamku. Czasem Maritz miałby ochotę sprawdzić, czy króla można obalić.

Przypomniał sobie, jak spojrział na niego Gardeaux, gdy straszył go szpadą Pietra. Bo to nie Piętro, tylko ta szpada mroziła Paulowi krew w żyłach.

Przyspieszył kroku. Najpierw informator, a potem kobieta. To udobrucha szefa.

Jesteś mi tutaj natychmiast potrzebny - powiedział Joel, po czym z trzaskiem odłożył słuchawkę. Nicholas zmrużył oczy i zerknął na Jamiego.

- Muszę jechać do Woodsdale. Coś nie gra.

- Wydawało mi się, że operacja poszła dobrze. Minął już tydzień. Chyba za późno na powikłania.

- Chyba tak. Nie wiem. - Nicholas włożył marynarkę i zamknął akta Nell. Kiedy zatelefonował Lieber, przeglądał właśnie te dokumenty. - Tak czy siak, powinienem się tam zjawić. Jedziesz ze mną?

- Czemu nie? Od dawna nie widziałem Junota. - Jamie podniósł się z krzesła. - Wiesz, że po zerwaniu siatki zaproponowałem mu pracę bramkarza?

- I to był błąd.

- Zawsze go lubiłem. - Wyszedł za Nicholasem z pokoju hotelowego. - Ale jemu na pewno wiedzie się lepiej w Woodsdale. Mniej okazji do drak.

- Dlatego go tam posłałem.

Junot czekał na nich przy bramie prowadzącej do podziemnego garażu w Woodsdale. Nie nosił munduru strażnika. Nicholas wytłumaczył Joelowi, że to nie będzie potrzebne.

- Zaparkuję. Doktor Lieber chce was od razu zobaczyć u siebie. Trzecie piętro. - Uśmiechnął się do Jamiego. - Co słychać?

- W porządku. Myślałem, że mnie oprowadzisz po terenie.

- Zainstalowali tu doskonały system alarmowy. Nawet ty miałbyś ciężki orzech do zgryzienia.

- Dotknąłeś mnie do żywego. Wątpisz w moje umiejętności?

Nicholas poszedł szybko w dół rampy. Główne wejście do Woodsdale mieściło się w betonowym bunkrze garażu. Było tu całkowicie bezpiecznie i dyskretnie, znane osobistości mogły się tędy przemykać bez ryzyka czy to przed, czy po operacji.

Joel przywitał go przy windzie na trzecim piętrze w parę minut później.

- To ty jesteś za nią odpowiedzialny - powiedział ponuro. - Zrób coś.

- A co się stało?

- Od początku było źle. Z dnia na dzień coraz bardziej

zamykała się w sobie. Posłałem całą armię psychiatrów, ale bez rezultatu. Wezwałem księdza. Też nic. Nell nie je. Nie rozmawia. Wczoraj musiałem podłączyć jej kroplówkę.

- Chcesz mi powiedzieć, że ta kobieta umrze?

- Sądzę, że bardzo tego pragnie, a ma wyjątkowo silną wolę.

Utrzymam ją przy życiu jedynie za pomocą maszyn.

Nicholas przypomniał sobie Terence'a błagającego o wyłączenie respiratora.

- Żadnych maszyn.

- W takim razie poszukaj innego rozwiązania. Trzeci pokój na lewo.

Nicholas zrobił krok w stronę separatki.

- Tania twierdzi, że ona potrzebuje celu! - zawołał za nim Joel.

- A ja powinienem go dostarczyć?

- Musisz w niej obudzić wolę życia, bo inaczej cała moja robota pójdzie na marne.

- Mogą ci się nie spodobać moje metody.

- Jeśli ona umrze albo wyląduje w zakładzie psychiatrycznym, też nie będę zachwycony - powiedział Joel. - O ile nie doprowadzisz do czegoś gorszego, nie zamierzam protestować. Ja już wyczerpałem cały arsenał.

A więc Nicholas miał dokonać cudu, ponieważ Joelowi się nie udało. Wspaniale. Otworzył drzwi na oścież.

Nell Calder miała wciąż zabandażowaną twarz, a ponadto sprawiała wrażenie mniejszej, bardziej filigranowej, niż wówczas, gdy widział ją po raz ostatni. Patrzyła prosto przed siebie i nie dawała po sobie poznać, czy zdaje sobie sprawę z jego obecności.

Cel.

Wiedział wszystko na ten temat. Mógł jej zapewnić cel.

Nicholas Tanek.

Sądziła, że już go nie zobaczy. Nie chciała go widzieć. Przecież to on powiedział jej o Jill.

Próbowała nie dopuszczać do siebie myśli o jego istnieniu.

Zresztą już się zdążyła tego świetnie nauczyć. Nie, Tanek był zbyt silny, żeby go lekceważyć. Szybko przymknęła oczy.

- Przestań udawać. Wcale nie śpisz - powiedział zimno. - Po prostu brak ci odwagi.

Zalała ją fala strachu.

- Lubisz tak leżeć i litować się nad sobą?

On nic nie rozumiał. Nie litowała się nad sobą. Pragnęła tylko, żeby wszyscy poszli.

- Wcale się nie dziwię. Zawsze się poddawałaś. Uciekałaś od życia. Chciałaś być artystką, ale rodzice wtrącili swoje trzy grosze, więc dałaś spokój. Mąż ukształtował cię tak, jak sobie życzył, a ty nawet nie zaprotestowałaś.

Mówił o Richardzie. Co za podłość! Przecież Richard nie żyje. Nie mówi się źle o zmarłych.

- Czy ktoś ci mówił, jak zginęła Jill? Otworzyła powieki.

- Zamknij się. Nie chcę tego słuchać. Odejdź.

- Została zasztyletowana. Nóż. O Boże, nóż...

- A on się świetnie przy tym bawił. Bardzo to lubi.

Tak, to prawda. Pamiętała, jak ten bandyta się uśmiechał, kiedy zadawał jej ciosy.

- Ale chodzi na wolności. Odebrał jej życie, całą radość, wszystko, co dla niej zaplanowałaś. Pozwoliłaś mu to ukraść.

- Nie! Próbowалам walczyć! Wyciągnęłam go na balkon i...

- Mimo wszystko twoja córka nie żyje, a on wspomina z lubością, jak ją mordował. Tak łatwo jest zabić dziecko.

- Przestań! - Te słowa rozdzierały serce. Dlaczego ten człowiek nie chce zostawić jej w spokoju? Nie sądziła, że ktokolwiek może być aż tak brutalny. - Dlaczego to robisz?

- Bo nic mnie nie obchodzą twoje cierpienia. Ona nie żyje, a ty ją zdradzasz. Chcesz tak leżeć i chować głowę w piasek? Tak właśnie postępowałaś przez całe życie. Jill była miłym dzieckiem i zasłużyła sobie na coś więcej niż na matkę, która nie chce, żeby jej morderca poniósł karę.

- Ona nie żyje. Nic, co mogłabym zrobić...  
- Wykręty, zastrzeżenia... Nie masz dosyć tej ucieczki od życia? Nie, pewnie nie. - Pochylił się, świdrując ją spojrzeniem. - Kiedy jednak będziesz tak leżeć i rozmyślać, powinnaś jeszcze o czymś pamiętać. Jill nie miała lekkiej śmierci. On by na to nie pozwolił.

Czuła, że coś w niej wybucha.

- Niech cię szlag trafi!  
- Ale ty nic sobie z tego nie robisz. Wolisz raczej zapaść w sen i zapomnieć o tej całej nieprzyjemnej sprawie. - Wstał i podszedł do drzwi. - No, dobrze. Zresztą i tak nic byś nie mogła zrobić. Przez całe życie nie podjęłaś ani razu próby konstruktywnego działania.

- Nienawidzę cię - powiedziała dobitnie. Popatrzył na nią pozbawionym wyrazu wzrokiem.

- Wiem. Wyszedł z pokoju.

Zaciskając pięści, wbiła sobie paznokcie w dłonie. Pragnęła, żeby Tanek wrócił do pokoju, bo chciała go ugodzić tak samo silnie, jak on ją zranił. Nie знаła nikogo, kto byłby równie okrutny.

Z wyjątkiem tego potwora, mordercy Jill.

*On by jej nie pozwolił na lekką śmierć.*

Słowa mężczyzny sprawiły jej większy, bardziej przenikliwy ból niż nóż, który zakończył życie dziewczynki. Nie chciała myśleć o cierpieniu córki, o tym, jak ona umierała. Miała jedynie poczucie pustki i ogromnej straty.

Ale życie Jill nie byłoby puste. Ona je kochała i czerpałaby pełnymi garściami z jego uroków.

A ten potwór, zabójca bezbronnych dzieci pozbawił ją tej możliwości.

Ta świadomość sprawiała Nell palący ból. On chodził sobie na wolności, a Jill nie żyła.

- Nie - powiedziała do siebie.

Nie mogła na to pozwolić. Ta myśl zdominowała przeszłość, teraźniejszość, przyszłość.

*Nigdy w życiu nie podjęłaś konstruktywnego działania.*

Kłamstwa.

Nie, prawda.

Tak łatwo było dostrzec prawdę, kiedy to już i tak straciło znaczenie.

*Rób, co każe, bo nie będę cię kochać.*

Ta nie wypowiedziana groźba towarzyszyła jej zawsze - najpierw w dzieciństwie, potem w małżeństwie. Nell wykonywała wszelkie polecenia w obawie przed utratą miłości.

Ale teraz ten lęk zniknął bezpowrotnie. Wszystko, co było ważne, już straciła.

Oprócz pamięci o Jill.

I jej mordercy.

No i co? - spytał Joel, kiedy Nicholas wyszedł z pokoju.

- Nie wiem. Trzeba na razie zostawić ją w spokoju i niech się tli.

- Co się ma tlić?

- On miała otwartą ranę, a ja przypaliłem ją pogrzebaczem rozżarzoną do białości. Bez znieczulenia.

- Nawet nie zamierzam pytać, o czym mówisz.

- I dobrze. Na pewno byłbyś niezadowolony. - Tanek ruszył w stronę wind. - Sądzę jednak, że mogę wrócić do Idaho. Jestem pewien, że ona będzie się chciała ze mną zobaczyć. Zadzwoń, kiedy uznasz, że choć częściowo doszła do siebie. Muszę jej zadać parę pytań.

Nell prawie nie spała tej nocy. Patrzyła w ciemność. Uderzały w nią słowa Taneka.

Jill.

Jej dojrzewanie, pierwsza prywatka, pierwsza randka, pierwsze dziecko...

Tyle tych pierwszych razów, których nigdy nie zazna.

Ograbiono ją z życia, z tych wszystkich przeżyć.



Straty, jakie poniosła Nell, były niczym w porównaniu z tym, co zrabowano Jill.

A jej matka leżała spokojnie w łóżku i nie robiła nic. Dosłownie nic.

Wściekłość.

Pałaca, niszcząca, rozjaśniająca umysł.

Kryształowy wazon pełen tygrysich lilii powinien wyglądać absurdalnie w ogromnych dłoniach młodego mężczyzny, ale wcale tak nie było. Odnosiła wrażenie, że chłopak pojawiał się u niej w „okresie cienia”. Szukała w pamięci.

- Nazywasz się Phil Johnson - powiedziała wolno.

Okręcił się na pięcie.

- Pani mnie pamięta! - Podszedł bliżej. - Co słyhać? Mogę coś pani podać? Może trochę soku pomarańczowego?

Potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. Nie teraz. - Zerknęła na swoją rękę i ze zdumieniem stwierdziła, że nie zdjęto jej gipsu. Wydawało się jej, że minęły wieki, odkąd ujrzała Taneka przy swoim łóżku. Powstrzymała przyływ oślepiającej furii. Tanek się nie liczył. Musiała teraz zachować spokój i jasno myśleć.

- Gdzie ja właściwie jestem? I od kiedy?

- Od dziesięciu dni. W Woodsdale.

- Woodsdale? - Przypomniała sobie, jak doktor Lieber wspominał, że zabierze ją do kliniki.

Phil skinął głową.

- Pamięta pani operację?

Dotknęła swojej twarzy. Bandaże.

- Doktor Lieber nie chce ich zdejmować, dopóki pani całkowicie nie wyzdrowieje. Po operacji plastycznej zawsze zostają ślady, ale pani i tak już wystarczająco dużo przeszła... Przepraszam, nie powinienem mówić o niczym, co mogłoby przypomnieć pani o... - Urwał. — No i znowu się wygłupiłem. Chyba powinienem włożyć sobie knebel do ust.

Potrząsnęła głową.

- Jestem strasznie słaba. Jak długo jeszcze będę musiała pozostać w łóżku?

- Proszę o to zapytać doktora Liebera. Ale na pewno nabierze pani sił, jeśli zacznie pani jeść. - Uśmiechnął się zachęcająco.

- Ten pancerz na rękę na pewno nie sprawia pani przyjemności.

- Będę jadła. Ale chciałabym porozmawiać z doktorem. Poprosi go pan, żeby do mnie przyszedł?

- Jasne. On jest teraz w szpitalu w mieście, ale wkrótce wróci.

- Wskazał głową kwiaty w wazonie. - Ładne. Chce pani sprawdzić, kto je przysłał?

*Są bardzo ładne, mamo. Nawet ładniejsze niż te w ogrodzie.*

Poczuła przyływ obezwładniającego bólu. Niemal straciła oddech. Wiedziała jednak, że nie będzie mogła funkcjonować, jeśli cierpienie tak ją zaślepi.

- Wszystko w porządku? - spytał Phil. Miał wyraźnie zmartwioną minę.

- Tak. Nic mi nie jest - odparła spokojnie. - Proszę przeczytać bilecik.

- Jest tylko imię i nazwisko. Tania Vlados. To pani przyjaciółka?

Potrząsnęła głową.

- Nigdy o niej nie słyszałam.

- Ale ona z pewnością słyszała o pani. - Odłożył bilecik.

- Pani Vlados ma dobry gust. Bardzo oryginalne kwiaty. Wyglądają, jakby zerwano je w dżungli.

- To są lilie tygrysie. - Normalne zachowanie kosztowało ją ogromnie dużo wysiłku. Najchętniej przymknęłaby oczy i znów zasnęła. Nie, nie mogła sobie na to pozwolić. Do tej pory jakoś dawała sobie radę. Ten miły człowiek, Phil Johnson, najwyraźniej nie dostrzegał jej odrętwienia. - Muszę jej podziękować, kiedy się dowiem, kim jest.

- Do St. Joseph przysłano na pewno mnóstwo innych bukietów. Dostarczenie ich tutaj zajmuje jednak trochę czasu.

Mylił się. Richard już nie mógł przysyłać jej kwiatów, a poza nim nie miała przecież nikogo bliskiego.

- Nieważne. - Przyjrzała mu się uważniej. - Pan jest chyba bardzo silny. Grywał pan w piłkę?

- Tak. Byłem obrońcą.

- W takim razie wie pan wszystko na temat treningu?

- Trochę.

- Nie znoszę tego uczucia słabości. Może mógłby mi pan dostarczyć jakiś sprzęt, dzięki któremu odzyskałabym formę?

- Chyba jeszcze nie czas. Później.

Zwalczyła przyпіływ irytacji.

- Wolałabym teraz. Może mi pan przecież powiedzieć, od czego zacząć. Nie zamierzam się forsować. Będę uważała.

Skinał ze zrozumieniem głową.

- Domyślam się, w jakim pani jest stanie. Oszalałabym chyba, gdybym musiał tak leżeć i nic nie robić. Zapytam doktora Liebera, czy się zgadza.

- Dziękuję.

Patrzyła, jak wychodzi z pokoju.

Nie zamykać oczu. Nie uciekać w ciemność. Wszystko się dobrze ułoży. Pielęgniarka obiecała jej pomoc, a potem ona sama będzie mogła na sobie polegać. Przeniosła spojrzenie na kwiaty na stoliku. Tania Vlados. Może ta kobieta była jednym z gości na przyjęciu tamtej nocy? Nell jednak nie pamiętała nikogo poza Elise Gueray. Przyjęcie! Przypominała sobie, że kiedy leżała na kamieniach, widziała twarz Nadine. A Martin i Sally? Czy nie powinna się nimi zainteresować?

Wcale nie. Nigdy ich nie lubiła i nie zamierzała niczego udawać.

Na przyjęciu zginął Richard. Dlaczego nie odczuwała większego żalu? Przecież powinna go opłakiwać. Zasłużył na to. Ale Jill nie żyła i już dla nikogo nie zostało ani odrobiny łez.

- Podobno czuje się pani o wiele lepiej - powiedział Joel Lieber wchodząc do pokoju. Usiadł obok Nell i uśmiechnął się serdecznie. - Najwyższy czas. Już zaczynałem się o panią martwić.

Wierzyła mu bez zastrzeżeń. Joel Lieber nie potrafiłby kłamać.

- W jakim jestem stanie?

- Przychodzi pani do zdrowia. Ma pani złamaną rękę i obojczyk. Inne obrażenia były naprawdę brzydkie, ale zrobiłem wszystko, żeby nie zostały po nich blizny. Sądzę, że za trzy tygodnie zdejmemy gips.

Dotknęła bandaży zasłaniających jej twarz.

- A to?

- Przeprowadziłem drobny zabieg w okolicach oczu, ale już niedługo usunę szwy.

- Co mam na twarzy? Śmiesznie mówię.

- Specjalny zawias podtrzymuje pani szczęki. Już wkrótce będzie się pani mogła bez niego obyć. Ślady po operacji są nadal widoczne, ale mogę zdjąć bandaż. To da pani pewne wyobrażenie o przyszłym wyglądzie,

- Nie. Wszystko mi jedno. Mogę zaczekać. Chciałam tylko wiedzieć, ile jeszcze czasu będę musiała tu spędzić. Miesiąc?

- Może. Pod warunkiem, że wszystko pójdzie dobrze i będzie pani mnie słuchać.

- Będę... - Urwała i przez chwilę zbierała siły. - Czy mogłabym dostać gazety, jakie wyszły dzień po... Medas?

Przestał się uśmiechać.

- To chyba nie jest dobry pomysł. Proszę trochę poczekać.

- Już i tak długo czekałam. Muszę w końcu stawić temu czoło. Obiecuję, że się nie załamie.

Spojrzał na nią uważnie.

- Chyba w to wierzę. Dobrze. Poszukam tych gazet i każę je pani dostarczyć. Coś jeszcze?

- Dziękuję. Był pan dla mnie bardzo dobry, doktorze.

- Mam na imię Joel - poprawił.

- Wkrótce wyzdrowieję i już nie będzie pan musiał się o mnie martwić.

- Cały czas się martwię - mruknął.

- Tak mi przykro - odparła ze szczerym żalem. Doktor wywarł na niej jak najlepsze wrażenie. Widziała, że robi wszystko, by jej pomóc. Niestety był również spostrzegawczy i wyczuwał, że Nell żyje w zupełnie innym świecie. A ona nie mogła nic na to poradzić.

- Wkrótce wyzdrowieję i już nie będzie pan musiał się o mnie martwić - powtórzyła.

- Mam nadzieję. - Zanim wyszedł z pokoju, przyglądał się jej przez chwilę.

Terroryści.

Nell opuściła gazetę i popatrzyła na ścianę w brzoskwińowo-kremowe paski. To nie miało sensu. Nikt nie chciałby przecież zabić Richarda i tych wszystkich innych ludzi wymienionych w artykule. Z pewnością chodziło o Kavinsky'ego.

Ale dlaczego szukali jej? Dlaczego jeden z terrorystów odnalazł ją na górze, daleko od prezydenta? Jill zginęła przypadkowo, ale morderca chciał zabić ją.

*Nie umierają lekko.*

Tanek powiedział to w taki sposób, jakby znał człowieka, który zabił Jill.

A skoro tak, być może wiedział również, gdzie go szukać?

Gdzie byłeś, do cholery? - spytał Joel, kiedy tylko Nicholas podniósł słuchawkę. - Już od miesiąca usiłuję cię znaleźć.

- Za granicą. - Nicholas podrapał Sama za uchem. Duży owczarek niemiecki otarł mu się o udo.

- Nell chce się z tobą zobaczyć - powiedział Joel. - I to natychmiast.

- Co za niespodzianka! Jak ona się czuje?

- Robi zadziwiające postępy. Je, rozmawia z Johnsonem. Namówiła go nawet, żeby jej przyniósł sprężyny. Pracuje nad swoją zdrową ręką i nogami.

- Dlaczego w takim razie jesteś taki poirytowany?

- Poirytowany? Skądże! Wielcy ludzie nie mają powodów do irytacji.

- Przykro mi. Czym się martwisz?

- Ona jest zbyt opanowana. Zbyt daleka.

- Może to dla niej najlepsze? Przynajmniej fizycznie czuje się coraz lepiej.

- Gna do przodu wielkimi krokami. Przypomina strzałę, która zmierza prosto do tarczy.

- A gdzie się znajduje ta tarcza?

- Sądziłem, że dowiem się tego od ciebie. Co jej powiedziałaś?

- Dałem jej cel.

- Jaki cel?

- Zemstę.

- Chryste Panie!

- Musiałem korzystać z tego, co miałem. Zapewniam cię, że nie osiągnąłbym nic, gdybym zaproponował jej studia na wydziale chirurgii. Tylko zemsta mogła ją ożywić.

- I co teraz będzie?

- Wkroczysz do akcji. Może zresztą trochę przesadzasz. Przecież to miła, delikatna kobieta. Spróbuj przemówić do jej natury.

- Ty chyba nie masz pojęcia o prawdziwej naturze Nell. Z pewnością niewłaściwie ją opisałeś. - Zawahał się przez chwilę. - Pierwszego dnia po twoim odjeździe poprosiła mnie o gazety z artykułami na temat Medas.

- Pewnie ta lektura bardzo ją przybiła.

- Tak. Johnson mówił, że zbladła i zaczęła drzeć, ale jakoś zapanowała nad emocjami. A potem poprosiła o spotkanie z tobą. I mówi o tym codziennie. Sądzę, że jeśli nie przyjdiesz, ona sama zawita w twoje progi pierwszego dnia po wyjściu ze szpitala.

- W takim razie wyruszam. Sam nie lubi gości.

- Jak tam jego łapa?

- Mocniejsza niż kiedykolwiek.

- Czasem tak bywa. Łamiesz kogoś, a potem składasz go z powrotem i otrzymujesz zupełnie inną osobę. Powiem jej, że będziesz jutro.

Nie potrzebował rozmowy z Joelem, aby zdać sobie sprawę z podjętego ryzyka. Trudno jednak przypalić otwartą ranę i sądzić, że nie powstanie blizna. Odłożywszy słuchawkę, usiadł w skórze-

nym fotelu, a Sam natychmiast zaczął mu się gramolić na kolana. Nicholas poklepał psa po głowie i zepchnął go z powrotem na podłogę. Owczarek popatrzył na swego pana zrezygnowanym wzrokiem, po czym zwinął się w kłębek u jego stóp.

Tanek pomyślał z troską, że na tym jednym przypaleniu się nie skończy, jeśli dziewczyna nie zrezygnuje ze swojego zamiaru. Tym razem jednak nie on miał zadać jej ból i to go pocieszało.

*1 spadamy w dół, w dół, w dół...*

Nie!

Nell usiadła wyprostowana na łóżku. Serce waliło jej jak młotem.

To był tylko sen. Po prostu sen.

Jill wcale nie stała w drzwiach i wcale na nią nie patrzyła.

Wierzchem dłoni otarła mokre od łez policzki.

Oby ten koszmar już nigdy się nie powtórzył! Nie mogłaby tego znieść.

Oby nigdy się nie powtórzył!

Podobno chciałaś się ze mną zobaczyć.

Nell popatrzyła na Taneka stojącego w progu. Poczula nagły przyptyw gniewu, którego nie potrafiła stłumić. A jednak wiedziała, że musi się opanować.

- Proszę wejść - powiedziała uprzejmie.

Podszedł bliżej. Miał na sobie džinsy i kremową koszulkę. W tym stroju wyglądał równie naturalnie jak w smokingu, w którym widziała go na Medas.

Opadł na krzesło obok jej łóżka.

- Sądziłem, że już zdjęli te bandaż.

- Dopiero pojutrze. Klamerki usunięto, ale Joel chciał, żeby szwy się całkowicie zagoiły. - Przystąpiła do ataku. - Znasz człowieka, który zabił Jill, prawda?

Nawet nie próbował udawać.

- Wiedziałem, że się tego domyślisz. Tak, chyba wiem kto to.

- Należysz do grupy terrorystycznej?

- Sądziś, że bym się do tego przyznał? - spytał z uśmiechem.

- Nie, ale twoja reakcja mogła mi dać wiele do myślenia.

- Słusznie - odparł, kiwając głową.

Nie zależało jej wcale na jego aprobacie, tylko na odpowiedziach.

- Uważam, że tej zbrodni nie dokonali terroryści.



- Naprawdę? Wszyscy są przeciwnego zdania.
- Ja byłam zupełnie gdzie indziej. Nie na sali balowej. Dlaczegożby mieli mnie ścigać terroryści?

Przymrużył oczy.

- Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć cię zabić?
- Nie wiem. - Spojrzała na niego wyzywająco. - A ty wiesz?
- Może Gardeaux się na ciebie wściekł? Spojrzała na niego ze zdziwieniem.
- Gardeaux? A któż to taki?

Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jest spięty, dopóki nie odetchnął z ulgą.

- To bardzo niemiły osobnik. Cieszę się, że go nie znasz.

Chciał ją sprawdzić. Gardeaux. Zapamiętała sobie dobrze to nazwisko.

- Dlaczego tak bardzo chciałeś odprowadzić mnie wtedy do pokoju? Musiałeś się upewnić, że morderca mnie znajdzie?

- Nie. Sądzę, że on dysponował planem domu i wiedział, gdzie kto jest, zanim przybył na wyspę. - Spojrzał jej w oczy. - A ja z pewnością nie życzyłem ci śmierci.

Musiała odwrócić wzrok. Tanek robił wszystko, by mu wierzyła, ale ona absolutnie nie miała takiego zamiaru. Powinna podejrzewać wszystkich, a już szczególnie jego.

- Kto zabił moją córkę?

- Sądzę, że niejaki Paul Maritz.

- Dlaczego nie powiedziałaś o tym policji?

- Bo oni przyjęli hipotezę o ataku terrorystycznym na Kavin-sky'ego.

- A ten Maritz nie jest terrorystą?

Potrząsnął głową.

- Pracuje dla Philippe'a Gardeaux. Ale policja nie będzie poszukiwała Maritza za zabicie twojej córki.

Znowu Gardeaux.

- Powiesz mi wreszcie, o co tu chodzi, czy mam tak wszystko z ciebie wyciągać?

Uśmiechnął się lekko.

- Świetnie sobie radziłaś, więc chciałem, żebyś kontynuowała. Gardeaux jest rozprowadzającym. Takim łącznikiem między Europą i Bliskim Wschodem. Pracuje w sekcji kolumbijskiego kartelu narkotykowego pod wodzą Ramona Sandequeza, Julia Palomy i Miguela Juareza.

- Rozprowadzającym?

- Zajmuje się wydawaniem narkotyków dealerom i podziałem łapówek. Maritz to jeden z jego ludzi.

- I Gardeaux wysłał Maritza, żeby mnie zabił? A dlaczego zginęła Jill?

- Bo weszła mu w drogę.

Takie proste zdanie. Dziewczynka weszła mu w drogę, więc ją zamordował. Utkwił wzrok w jej twarzy.

- Dobrze się czujesz?

Całe opanowanie spłonęło w pożarze uczuć. -Nie, wcale nie czuję się dobrze. - Oczy Nell ciskały błyskawice. - Jestem wściekła i chcę, żeby on umarł.

- Tego właśnie się spodziewałem.

- I twierdzisz, że on nigdy nie zostanie skazany?

- W każdym razie nie za śmierć twojej córki. Może znajdą jakiś inny powód, żeby go aresztować.

- Ale ty nie jesteś tego pewien?

- Gardeaux chroni swoich ludzi, bo tak jest dla niego bezpieczniej. Pokazną część forsy na łapówki przeznaczają dla sędziów i policjantów na wysokich stanowiskach.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- A więc ten człowiek może popełnić morderstwo i nikogo to nie obchodzi?

- Ciebie obchodzi - odparł cicho Tanek. - I mnie również. Ale mówimy o miliardach dolarów. Wystarczy, żeby Gardeaux podniósł rękę, a sędzia stanie się nagle właścicielem domu na Riwierze, otrzyma wspaniałą emeryturę i zacznie żyć jak król. Nawet gdybyś znalazła kogoś, kto wytoczyłby proces Maritzowi, Gardeaux ustaliłby skład ławy przysięgłych i wyznaczył sędziego.

- Nie wierzę.
  - Możesz nie wierzyć. To i tak niczego nie zmieni. Przekonał ją obojętny ton Taneka. On po prostu stwierdzał fakty. Wcale nie usiłował jej o czymkolwiek przekonać.
  - Więc każesz mi zapomnieć o Maritzu?
  - Nie jestem idiotą. Nigdy o nim nie zapomnisz. Proszę tylko, żebyś oddała tę sprawę w moje ręce. Załatwię ich obu.
  - Załatwisz?
- Tanek uśmiechnął się tylko w odpowiedzi.
- Chcesz go zabić? - szepnęła.
  - Tak szybko, jak tylko się da. Czyżbym cię zaszokował?
  - Nie. - Zdała sobie sprawę, że przed Medas rzeczywiście byłaby zaszokowana. Przed Medas, ale nie teraz. - Dlaczego?
  - Nieważne.
  - Zdaje się, że ty wiesz o mnie wszystko, a ja o tobie nic.
  - Owszem. Zajmuję się tą sprawą już od ponad roku i jestem w nią równie zaangażowany emocjonalnie jak ty.
  - Wykluczone. - Takiej nienawiści i gniewu nie odczuwał nikt na świecie.
  - Nie potrafisz teraz inaczej myśleć. Kiedy już będziesz zdolna zauważać różne punkty widzenia, być może...
  - Gdzie on jest?
  - Maritz? Nie mam pojęcia. Pewnie się ukrywa pod skrzydłami Gardeaux.
  - A gdzie jest Gardeaux?
  - Nie - powiedział stanowczo Tanek. - Gardeaux i Maritz to ładunek wybuchowy, więc ty się go nie tykaj. Wystarczy jeden fałszywy krok, a będziesz martwa.
  - Powiedz mi więc, jak nie popełnić błędu.
  - Jedyne sposobem to trzymać się z daleka od nich obu. Maritz był komandosem. Zna więcej sposobów zabijania, niż mogłabyś sobie wyobrazić. A Gardeaux każe eliminować wszystkich, którzy depczą mu po piętach.
  - Ale ty sądzisz, że ich dopadniesz.
  - Bo tak będzie.

- Dlaczego w takim razie do tej pory to ci się nie udało?  
Trafiła w czuły punkt. Zacisnęła usta.
- Bo chcę żyć, do cholery! Nie zabiję Gardeaux tylko po to, żeby zaraz zginąć. Nie na tym polega zwycięstwo. Muszę znaleźć odpowiedni sposób, a dopiero potem...
- W takim razie nie jesteś zaangażowany w tę sprawę tak bardzo jak ja - przerwała. - Mnie jest wszystko jedno, czy zginę, czy nie. Zależy mi tylko na tym, żeby on umarł.
- Chryste!
- Możesz mnie wykorzystać. Bardzo ci pomogę.
- Jasne! - Wstał i ruszył do drzwi. - Trzymaj się od nich z daleka!
- Dlaczego się złościysz? Przecież mamy wspólny cel.
- Posłuchaj. Gardeaux chce się ciebie pozbyć. Nie wystawię cię na przynętę.
- Zaczekaj.
- Na co? Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia.
- Skąd tyle o mnie wiesz?
- Kazałem skompletować twoje dossier. Postanowiłem zrozumieć, dlaczego Gardeaux pragnie twojej śmierci.
- Ale nadal tego nie wiesz. - Machnęła ręką. - Bo i skąd? Przecież nie istnieje taki powód. To wszystko nie ma sensu.
- Przyczyna musi być. Po prostu jej nie znamy. Ale nadal nad tym pracuję. Mogę już iść?
- Nie, bo w dalszym ciągu nie wiem, dlaczego tak bardzo chciałeś wtedy wejść do mojego pokoju.
- Ani na chwilę nie zmienił wyrazu twarzy, ale Nell wyczuła w nim napięcie.
- Jakie to ma znaczenie?
- Wszystko ma znaczenie. Powiedz.
- Otrzymałem informacje, z których wynikało, że możesz być w to wplątana.
- W co wplątana?
- Informacje nie były jasne. Doszedłem do wniosku, że są błędne.
- Ale nie były?

- Nie były! Zadowolona? Podjąłem niedobłą decyzję i zo  
stawiłem cię na pastwę Maritza.

Uważnie mu się przyjrzała.

- Gryzie cię sumienie. Dlatego zadałeś sobie tyle trudu  
i przywiozłeś mnie tutaj.

Uśmiechnął się smutno.

- Znalazłaś jeszcze jednego winowajcę. Chyba cię to pociesza.

To by rzeczywiście było pocieszające. Bardzo by pragnęła  
zwalić całą odpowiedzialność na Taneka.

- Nie czuję do ciebie żalu. Dostrzegła zdziwienie  
w jego oczach.

- Jesteś bardzo wspaniałomyślna.

- Nic podobnego. Po prostu nie wiedziałeś. Nie było cię w  
sypialni, kiedy przyszedł Maritz.

- Ale mogłem być.

- Zgoda. Mogłeś. Skoro chcesz się zadrećzać, proszę bardzo.  
Zresztą tak byłoby dla mnie lepiej - dodała ze złością. - Może wtedy  
pomógłbyś mi znaleźć Maritza.

- Zapomnij o nim.

- Nigdy! Zamierzam...

Mężczyzna wyszedł z pokoju.

Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi, krew pulsowała w żyłach.  
Tanek zerwał z niej lodowatą skorupę, za którą znalazła  
schronienie, ale to nie miało znaczenia.

Znał Maritza. Wiedział, gdzie go szukać. Postanowiła, że zrobi  
wszystko, aby to wykorzystać.

Sięgnęła po taśmę elastyczną i włożyła ją na nogę. Z dnia na dzień  
czuła się silniejsza. Ćwiczyła nawet wówczas, kiedy nie mogła spać.

Odkąd zaczęły się te sny, zdecydowanie wolała czuć.

Joel uśmiechnął się chytrze na widok miny Nicholasa.

- Jesteś zdenerwowany. Przesadziłem?

- Nie - odparł krótko Tanek.

- Jak już mówiłem, nie podoba mi się to jej opanowanie.  
- Co? - Przypomniał sobie, jak chłodno i beznamiętnie przywitała go Nell. Ten spokój ulotnił się jednak natychmiast, kiedy przystąpiła do ataku. Od tej chwili wyczuwał w niej jedynie determinację i niezłomną wolę.

*W takim razie nie będziesz go ścigał tak wściekle jak ja.* O tak, była w niej wściekłość, ta sama ślepa pasja, która zaprowadziła Joannę d'Arc na stos. Joel potrząsnął głową.

- Właśnie mówiłem, że wcale mi się nie podoba...  
- Słyszałem. Chyba nie musimy się o to martwić. Kiedy ona stąd wyjdzie?

- Za dwa tygodnie.

- Opóźnij to.

- Dlaczego?

- Bo nie jest gotowa. -I on również nie był gotowy. Wiedział, że Nell nie ustąpi, a on będzie musiał znaleźć jakiś sposób, by ją powstrzymać. - Nie możesz się dopatrzeć komplikacji?

- Nie. Nie okłamię pacjentki. Ona leży już prawie dwa miesiące. - W jego uśmiechu pojawił się cień złości. - Co jest, Nicholas? Przecież mi mówiłeś, że to taka miła, łagodna kobieta.

Nicholas nie był pewien, kim się stała Nell Calder, ale w każdym razie zmieniła się na tyle, żeby obudzić w nim niepokój.

- Daruj sobie. Musisz mi pomóc.

- Ale nie kosztem etyki zawodowej.

- W takim razie nie kłam. Przecież ona ma nadal połamane żebra. Powiedz jej, że powinna zostać w szpitalu, dopóki nie odzyska pełni formy. Nie pali się, prawda?

Joel myślał chwilę.

- Na takie rozwiązanie chyba mógłbym się zgodzić.

- Tania już u niej była? - spytał Nicholas.

- Jeszcze nie.

- Dobrze byłoby, gdyby do niej zajrzała. Powinny się poznać.

- Chodzi ci o to, żeby Nell miała kontakt z kobietą?

- Z kobietą, której udało się przeżyć. - Odwrócił głowę i podszedł do Phila. - Pilnuj jej dobrze.

- Przecież się nią opiekuję najlepiej, jak potrafię - odparł chłopak z urażoną miną.

- Wiem - uśmiechnął się Nicholas. - Po prostu nie pozwól jej uciec. Dobrze?

Phil kiwnął ze zrozumieniem głową.

- Bardzo lubię Nell. Mówiłem jej, że studiowałem na wydziale nauk komputerowych. Od tego czasu bez przerwy mnie o coś pyta.

Zainteresowanie komputerami musiało wzbudzić sympatię Phila.

- O co cię pyta?

- O różne rzeczy - odparł wzruszając ramionami.

Może nie miała żadnego ukrytego celu. Albo też instynkt podpowiedział jej, w jaki sposób zdobyć serce Phila. Takich sztuczek nie mógłby się spodziewać po kobiecie, którą spotkał na Medas, ale obecna Nell stanowiła dla niego zupełnie nową osobę.

- Nie spuszcza jej z oka.

- Jasne. - Phil wrócił do pokoju Nell.

- Miły chłopak - mruknął Joel. - I dobry z niego pielęgniarz.

- Chyba się trochę temu dziwisz. Mówiłem ci przecież, że go polubisz. Przeprowadzisz Tanie? - spytał wracając do tematu.

- Dlaczego nie? Zawsze chciała poznać Nell. - Urwał.

- Martwisz się, co ona robi, kiedy opuści szpital i wymknie ci się spod skrzydeł? Wie, że ktoś ją chciał zamordować. Z pewnością cią nie podejmie żadnych gwałtownych kroków.

- Gwałtownych? Można użyć takiego słowa. Choć uważam, że „samobójczych” byłoby o wiele bardziej stosowne.

- Wiesz, kto chciał ją zabić - powiedział wolno Joel. - I zdradziłeś Nell nazwisko mordercy.

- Efekt domina. Musiałem jej coś dać. Poza tym zasłużyła na to, żeby wiedzieć.

Joel potrząsnął głową.

- Popełniłeś wielki błąd.

- Może. Na pewno nie pierwszy. - Ruszył w stronę wind.

- Teraz jednak najważniejszą rzeczą jest kontrola zniszczeń.

- Zaczekaj. Był do ciebie telefon. - Joel wyjął z kieszeni kartkę. - Dzwonił Jamie Reardon. Z Londynu. Prosi, żebyś się natychmiast z nim skontaktował.

- Mogę skorzystać z twojego gabinetu? - spytał Nicholas, biorąc od niego skrawek papieru.

- Oczywiście. - Joel wskazał mu drzwi przy końcu korytarza.

- Przecież żyję tylko po to, żeby ci służyć.

- Cieszę się, że w końcu to zrozumiałeś - odparł Tanek z kamienną twarzą. - Na początku nie przyjmowałeś do wiadomości faktów.

Za sobą usłyszał stłumione przekleństwo Joela. Kiedy połączył się z Jamiem, nadal się uśmiechał.

- Znalazłeś coś?

- Conner dostał nazwisko informatora. To Nigel Simpson, księgowy. Chcesz, żeby pracował dla nas i Kablera jednocześnie?

Nicholas poczuł przypływ podniecenia.

- Jesteś pewien, że to on?

- Tak twierdzi Conner, a on by się bał pomyłki. Chcesz, żebym skontaktował się z Simpsonem?

- Nie. Złapię następny samolot. Nie spuszczaaj go z oczu.

- Nie ma problemu. On właśnie spędza noc w apartamencie swojej ulubionej call-girl. Na pewno się stamtąd nie ruszy

- zachichotał Jamie. - Ta babka ma podobno zboczone pomysły. Będę przy Milford Road 23 w czarnym rollsie. - Westchnął.

- Jest coraz mniej takich taksówek. Znikają jak zaczarowane. Zamiast nich pojawiają się te potwory o wydłużonych kształtach, całkowicie wyzute z jakiegokolwiek świadomości historycznej. Smutne.

- Żeby tylko Simpson nie zniknął.

- Nie zniknie. Czy ja cię kiedyś zawiodłem?

**o widzę, że pani siedzi. To dobrze.**

Nell podniosła wzrok na wysoką, długonogą brunetkę stojącą w progu.



Kobieta miała na sobie dżinsy, męską koszulę w paski z rękawami zawiniętymi do łokci oraz skórzaną marynarkę.

- Mogę wejść? - spytała z uśmiechem. - Pani nie wie, kim jestem, ale ja czuję się tak, jakbym znała panią od lat. Nazywam się Tania Vlados.

Nazwisko było znajome.

- Pani przysłała mi kwiaty.

Kobieta przytaknęła i postąpiła naprzód.

- Podobały się pani? Sama je wyhodowałam.

Obcy akcent nie pasował do typowo amerykańskiego ubioru Tani.

- Były piękne, panno Vlados.

- Mam na imię Tania. - Twarz dziewczyny rozjaśnił uśmiech. Czuję, że będziemy wielkimi przyjaciółkami, a ja się nigdy nie mylę.

- Naprawdę?

- Moja babka była Cyganką i twierdziła, że wprawdzie nie posiadam daru jasnowidzenia, ale słyszę za to echa ludzkiej duszy.

- Ciekawe.

- Pewnie myślisz, że zwariowałam. Wcale ci się nie dziwię. Ale to prawda.

- Pracujesz w klinice?

- Nie, u Joela. Jestem jego gosposią. - Rozprostowała nogi.

- A zanim zdążysz zapytać, chcę ci wyjaśnić, że wprawdzie z nim mieszkam, ale nie sypiam.

- Nigdy w życiu nie zadałabym takiego pytania - powiedziała z oburzeniem Nell.

- Nie? Ale inni nie mają takich skrupułów. Dyskrecja znikła z tego świata. - W oczach Tani zapaliły się złośliwe błyski.

- Zwykle odpowiadam ciekawskim, że jesteśmy kochankami, co doprowadza Joela do szału. On jest wyjątkowo staroświecki, wiesz?

- Nie, nie zauważyłam.

Tania skinęła głową.

- Przez pierwsze tygodnie nie zwraca się uwagi na otoczenie. A w tobie jest tyle smutku. Ja czułam się podobnie.

Nell zeszywniała.

- Wcale nie jesteś gosposią doktora, tylko kolejnym psychiatrą, których on bez przerwy tu przysyła. Daj sobie spokój. Nie zamierzam z tobą rozmawiać.

- Psychiatrą? - spytała Tania z rozbawieniem. - Też za nimi nie przepadam. Kiedy przechodziłam rekonwalescencję, Joel nasłał na mnie takiego świrołapa, a ja pokazałam mu drzwi.

- Leżałaś w tej klinice?

- Kiedy przywieziono mnie tutaj z Sarajewa, byłam nieźle poharatana, ale Joel doprowadził mnie do porządku. Teraz ja się nim zajmę. Jest wspaniały, prawda?

Nell pomyślała, że określenie „wspaniały” zupełnie nie pasuje do Liebera.

- Tak. Bardzo miły.

- Więcej. Ma złote serce. A to się rzadko zdarza. Przypomina różę. Uwielbiam patrzeć, jak...

- Gotowa na wielką odsłonę? - spytał Joel, wchodząc do pokoju.

- Jasne - przytaknęła Tania z entuzjazmem. Joel popatrzył na nią karcąco.

- Zwracałem się do mojej pacjentki.

- Jestem gotowa - odparła Nell.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby Tania była świadkiem zdjęcia bandaży? Bardzo chce zobaczyć, jak wyglądasz, i bez przerwy mnie nęka.

- Bo umieram z ciekawości - powiedziała Tania. - Pomagałam projektować twoją nową twarz. Kazałam mu jednak zostawić w spokoju usta. Są fantastyczne.

- Dziękuję - uśmiechnęła się Nell. - Rozumiem, że resztę trzeba było wymienić.

- Mniej więcej.

Joel potrząsnął głową.

- Taktowna jak zawsze - mruknął pod nosem.

Nell zdała sobie sprawę z tego, że się uśmiecha, co ją

całkowicie zaszokowało. I był to autentyczny uśmiech, a nie ten, do którego się zmuszała, aby pokazać wszystkim po kolei, że wraca do zdrowia.

Tania utkwiała w jej twarzy swoje przenikliwe spojrzenie.

- Wszystko w porządku - szepnęła. - Wesołość nie jest zdradą. Wkrótce się o tym przekonasz. - Zanim Nell zdążyła odpowiedzieć, dziewczyna zwróciła się do Joela. - Ona uważa, że jesteś miłym facetem, ale nie różą.

- Różą? - powtórzył.

- Tak. Różą. Myślę o tobie w ten sposób, odkąd zobaczyłam cię po raz pierwszy. Twoje wewnętrzne piękno przez cały czas się rozwija.

Spojrzał na nią z przerażeniem.

- Oczywiście nie pachniesz jak róża. Bardziej jak eukaliptus, ale...

- Pójdę po fotel - wyjąkał i uciekł z separatki.

Tania wstała.

- Śmieszny, no nie? Mężczyźni nie lubią, jak się ich porównuje do kwiatków. Nie rozumiem dlaczego, ale kwiatki są zarezerwowane dla kobiet.

- Przyznam, że ja też byłam zaskoczona. Ale to ciekawa myśl - powiedziała Nell, nie przestając się uśmiechać.

- Joelem trzeba regularnie potrząsać. - Tania pomogła jej włożyć różowy szlafroczek i zapięła go pod szyją. - Genialni lekarze przyzwyczajają się do podziwu i zachwytów. I taki stan rzeczy wcale im nie służy. - Skinęła głową z aprobatą. - Lubię różową bieliznę. Wszystkie kobiety potrzebują rano trochę koloru. To był trafny wybór.

- Chyba nie należy mi się ten komplement. Szlafrok znalazłam po prostu przy łóżku.

- Jestem samochwałą - uśmiechnęła się Tania. - Sama go wybrałam.

- Pewnie sądziłaś, że będę w nim wyglądała jak róża.

- O, trochę humoru. Świetnie. - Potrząsnęła głową. - Zdecyduję później, jaki...

- Jesteśmy. - Joel wszedł do separatki w towarzystwie Phila, popychając przed sobą wózek, i popatrzył surowo na Tanie. - Sądysz, że będziesz potrafiła się odpowiednio zachować?

- Nie. - Tania patrzyła z podziwem na delikatne ruchy Phila, który prznosił swoją podopieczną na wózek. - Jestem zbyt podniecona.

- Naprawdę? - uśmiechnął się pobłaźliwie Joel.

Ależ on ją kocha - pomyślała nagle Nell. Lieber i Tania wymienili spojrzenie tak pełne miłości, ciepła i zrozumienia, jakby byli małżeństwem przynajmniej od pięćdziesięciu lat. Poczwała nagły przyływ bólu. Ona i Richard nigdy tak na siebie nie patrzyli. Może z czasem by to się zmieniło...

- No, jesteśmy gotowe - Tania owinęła Nell kocem i pomałała do Phila. - Zabieraj ją. Pójdziemy za wami.

I jak? - wyrzuciła z siebie Tania.

Nell patrzyła ze zdumieniem na nieznajomą.

- Nie podoba ci się - powiedziała żałośnie dziewczyna.

- Cicho - odezwał się Joel. - Daj jej szansę.

Uniosła dłoń i szybko dotknęła swego policzka.

- Jeżeli jesteś niezadowolona, to wyłącznie moja wina. Joel zrobił świetną robotę.

- Tak - mruknęła Nell. - Wspaniała.

Zdawała sobie sprawę z tego, że podobnym, bezosobowym tonem komentuje się rzeźby. Ale ona tak się czuła. Twarz spoglądająca na nią z lustra była fascynującym dziełem sztuki. Nie zmieniły się jedynie usta i piwne oczy. Nie, nieprawda. Delikatnie uniesione kąciki powiększały tęczówki i nadawały im głębszą barwę. A w porównaniu z wysokimi kośćmi policzkowymi i mocno zarysowaną szczęką, usta wydawały się bardziej bezbronne i zmysłowe.

Dotknęła powieki.

- Co tu zrobiłeś? Jest ciemniejsza.

- Trochę chirurgii kosmetycznej - skrzywił się Joel. - Tania

uważała, że powinnaś mieć stały makijaż na górnej i dolnej powiece, w razie gdybyś chciała sobie popływać. W wodzie też powinnaś wyglądać perfekcyjnie.

- To tylko cieniutka kreszczka. Wygląda bardzo naturalnie
  - powiedziała szybko Tania. - Pomyślałam, że warto.
  - Rozumiem. - Oboje patrzyli na nią wyczekująco. - Wyglądam po prostu olśniewająco. Nigdy nie marzyłam, że...
  - Pokazałem ci wydruk komputerowy - powiedział Joel.
- Przypominała sobie coś jak przez mgłę.
- Nie sądziłam... Chyba w ogóle o tym nie myślałam.
  - Przyzwyczajenie się do nowej twarzy wymaga czasu. Jeśli chcesz porady...

Tania chrząknęła pogardliwie. Joel nie zwrócił na nią uwagi.

- Jak już mówiłem, tak ogromna zmiana może spowodować uraz. Zorganizuję dla ciebie pomoc.

- Dziękuję, ale jakoś sobie poradzę. - Operacja plastyczna nie miała wpływu na jej życie, choć gdyby wykonano ją przed Medas, wszystko potoczyłoby się zapewne inaczej. Twarz, jaką ofiarował jej Joel, stanowiła kwintesencję marzeń brzydkiego kaczątka. Uroda dawała pewność siebie, a tej cechy zawsze Nell brakowało. Ale nie teraz. Gniew gwarantował siłę. Nie miała żadnych wątpliwości, że będzie w stanie zrobić wszystko, co okaże się konieczne. - Choć pewnie nieraz zatrzymam się przed lustrem.

- Podobnie zachowa się na twój widok większość mężczyzn

- powiedział sucho Joel. - Tanek nie zdaje sobie sprawy ze wszystkich powodów, dla których będziesz potrzebowała ochroniarzy.

- Ochroniarzy?

- Phil pełni podwójną rolę. Nicholas pragnął zapewnić ci bezpieczeństwo.

Zmarszczyła brwi.

- A więc Phila wynajął Tanek?

Joel skinął głową.

- Phil pracował kiedyś dla Nicholasasa. Przy nim nie masz powodu do obaw. Tanek nie popełnia błędów w doborze kadr.
- I płaci Johnsonowi pensję?
- Nie martw się. On bardzo skrzętnie zbiera twoje rachunki.
- Wykluczone. Chcę sama regulować swoje zobowiązania.
- Zostaw tę przyjemność Nicholasowi - powiedziała Tania.
- Joel jest bardzo drogi.
- Mogę sobie na to pozwolić. Matka zostawiła mi trochę pieniędzy. - Przeniosła wzrok na Tanie. - Znasz Nicholasasa?
- Od lat - przytaknęła Tania z roztargnieniem, wpatrzona we włosy Nell. - Musimy jutro zejść na dół do salonu fryzjerskiego i pozbyć się tej siwizny.
- Jakiej siwizny? - Nell spojrzała na swoje odbicie. Na widok srebrnych nitek tuż koło lewej skroni zamarła z wrażenia.
- Nie miałaś ich wcześniej? - spytała cicho Tania.
- Nie.
- To się czasem zdarza. Moja ciotka posiwała jak gołębek, kiedy na jej oczach zabito wuja. Ale ty masz tylko kilka takich włosków. Kazesz sobie zrobić jasne pasemka i wszyscy pomyślą, że wyglądasz *tres chic*.
- Nieważne.
- Oczywiście, że ważne. Nie chcę, żeby twarz, jaką sama wymyśliłam, miała kiepskie ramy. - Odwróciła się do Joela.
- Zgoda?
- Pytasz mnie o zdanie? Sądziłem, że już podjęłaś decyzję.
- Przytaknął. - To dobry pomysł.
- O dziesiątej? Mogę zamówić wizytę?
- Nell zawahała się. Nie czuła gwałtownej potrzeby, aby ufar-bować kilka siwych włosów. Rozumiała jednak, że Tania będzie zawiedziona, jeśli jej dzieło będzie miało skazy, a Nell bardzo polubiła tę kobietę. A co dziwniejsze, czuła się dobrze w jej towarzystwie.
- Skoro tak chcesz.
- Bardzo. - Tania rozpromieniła się. — A ty też będziesz zadowolona. Obiecuję.

Pańska taksówka, panie Simpson. - Jamie otworzył z ukłonem drzwi. - Czyż to nie piękny dzień? Nigel Simpson zmarszczył brwi.

- Nie wzywałem taksówki.

-. Rzeczywiście, chyba dzwoniła kobieta.

Może to Christine zatelefonowała po auto, podczas gdy on był pod prysznicem? Po takich spotkaniach była zawsze usłużna. Być może sądziła, że miód wylany na uządlenie działa jak balsam. Ostatniej nocy podnieciła go do szaleństwa. Uśmiechnął się na samo wspomnienie. Fantastyczna kobieta! Wsiadł do taksówki.

Tanek!

Nigel chwycił klamkę.

Tanek położył mu rękę na ramieniu.

- Bez numerów - powiedział łagodnie. - Byłbym naprawdę niepokojony, gdybyś zaczął sprawiać kłopoty. Rozumiem, że mnie poznajesz. Jak to możliwe? Przecież nie mieliśmy okazji się poznać.

Nigel zwilżył wargi.

- Kiedy byłeś w zeszłym roku w Londynie, ktoś mi ciebie wskazał.

- Gardeaux?

- Nie znam żadnego Gardeaux.

- A ja sądzę, że znasz. Jamie, może pojedziemy na przejażdżkę do parku i odświeżymy panu Simpsonowi pamięć?

Skinąwszy głową, Jamie usiadł za kierownicą.

- Nic z tego - powiedział Nigel i roześmiał się sztucznie.

- Musieliście mnie z kimś pomylić.

- Czy to Gardeaux mnie wskazał?

- Nie, przecież już panu mówiłem. - Urwał, napotkawszy spojrzenie mężczyzny. Tanek siedział wprawdzie bardzo spokojnie i mówił łagodnym, zwyczajnym tonem, ale Nigel poczuł nagle, że się boi. - Nic nie wiem. Proszę stanąć, chcę wysiąść.

- Zdaje się, że jesteś księgowym. Na pewno Gardeuax i...

- zrobił efektowną pauzę - Kabler bardzo pana cenią.

Nigel zamarł.

- Nie znam żadnego z tych nazwisk.

- Ale Gardeaux słyszał z pewnością o Kablerze. A gdybym tak do niego zadzwonił i powiedział, że jesteś informatorem Kablera?

Nigel przymknął oczy. To nie było fair. Wszystko tak świetnie się układało, a ten sukinsyn niszczył mu życie.

- Chyba ci słabo - zauważył Tanek. - Mam otworzyć okno?

- Niczego nie udowodnisz.

- Wcale nie muszę. Gardeaux nie lubi niepotrzebnie ryzykować, prawda?

Nie, Gardeaux uśmiechnąłby się tylko i wzruszył ramionami, a następnego dnia Nigel byłby martwy. Otworzył oczy.

- Czego chcesz?

- Informacji. Regularnych i dokładnych raportów. Chcę znać szczegóły jako pierwszy, a potem decydować, co możesz sprzedać Kablerowi.

- Sądzisz, że jestem jedynym księgowym Gardeux? On nie powierzyłby takiego stanowiska jednej osobie. Otrzymujemy fragmenty zestawień finansowych, a większość z nich i tak jest szyfrowana.

- Ale lista nazwisk z Medas nie była. - Natomiast akcję utajniono.

- Wysłałem Kablerowi wszystkie dane, jakie udało mi się zdobyć.

- Za mało. Muszę wiedzieć więcej.

- Nie podejmę takiego ryzyka. Mogę się narazić na wielkie niebezpieczeństwo.

- Wiesz co, Nigel. - Tanek uśmiechnął się do niego serdecznie. - Nic mnie to nie obchodzi.

Wyglądam dziwnie. - Nell potrząsnęła głową, a jasne pasemka błysnęły w świetle lamp salonu fryzjerskiego.

- Cudownie - sprostowała surowo Tania. - I świetnie ci w tej



fryzurze. Jest zwyczajna i jednocześnie bardzo oryginalna. -  
Odwróciła się do fryzjerki. - Wspaniale. Bette uśmiechnęła się lekko.

- Miło jest dekorować wspaniały tort. Teraz będzie pani potrzebowała garderoby pasującej do tego wyglądu.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - powiedziała Tania. - Jutro zabiorę ją do miasta. - Zmarszczyła brwi. - Nie, Joel będzie zły. Zaczekam do przyszłego tygodnia.

- Nie trzeba - odezwała się Nell. - Mogę poprosić gospodynię, żeby przysłała mi trochę rzeczy.

- Oczywiście, ale Bette ma rację. Nowa kobieta powinna mieć nowe ciuchy.

Nowa kobieta. Słowa Tani dźwięczały jej w głowie przez dłuższą chwilę. W pewnym sensie rzeczywiście dawna Nell umarła tej nocy, gdy zginęła Jill, a potem narodziła się w cierpieniach po otrzymaniu wiadomości o śmierci córki. Tej nowej kobiecie czegoś jednak brakowało - była całkowicie pusta w środku. Nagle Nell zdała sobie sprawę, że jednak nie całkowicie. Dzięki Tani przypomniała sobie, co to jest życzliwość, rozbawienie, a nawet zazdrość.

- Za bardzo nalegam? Taki już mam zwyczaj. Niekoniecznie okropny. Po prostu irytujący.

- Wcale nie. - Nell odwróciła się do Bette. - Ile jestem winna?

Bette potrząsnęła głową.

- Zatrudnia mnie klinika. Nie przyjmuję opłat ani napiwków.

- W takim razie dziękuję. Jest pani bardzo zdolna.

- Staralam się, jak mogłam, ale już pani mówiłam, że to tylko lukier. Z taką twarzą byłaby pani piękna nawet bez włosów.

- Więc pozwolisz się zabrać na zakupy? - spytała Tania, kiedy wyszły z salonu.

Nell już się nad tym zastanawiała. Miała ochotę wyjść do miasta.

- Jeśli Joel wyrazi zgodę.

- Dobrze. Powiem Joelowi, że rachunki zapłaci Tanek, a wtedy na pewno nas puści.

- Dlaczego? Aż tak bardzo nie lubi Nicka?
  - Lubi, ale to skomplikowana sprawa. Joel kocha współzawodnictwo. Nell popatrzyła na nią pustym wzrokiem.
  - Nicholas to... - Tania wzruszyła ramionami. - Nicholas,
  - Ale Joel jest wspaniałym chirurgiem.
  - A Tanek należy do mężczyzn, którzy rzucają długi cień. Joel nie lubi stać w niczyim cieniu. - Uśmiechnęła się. - Toteż wyładowuje swoją irytację w sposób, jaki najbardziej mu odpowiada. Był bardzo rozczarowany, kiedy powiedziałaś, że wolisz sama za siebie płacić.
- Nell również nie chciała pozostawać w cieniu.
- Bo tak powinno być.
- Tania nie spuszczała wzroku z jej twarzy.
- Masz do niego żal.
- Rzeczywiście, miała do niego żal. Miała do niego żal o to, że zbyt łatwo zniszczył wybudowane przez nią barykady i w wyjątkowo okrutny sposób przywołał ją z powrotem do życia. Miała do niego żal również i o to, że za każdym razem, gdy się pojawiał, przypominał jej o Medas. A już najbardziej o to, że chciał ją zamknąć w klatce, podczas gdy naprawdę mógł jej pomóc.
- Wiem, że się z nim przyjaźnisz, ale ja nie lubię tego rodzaju ludzi. Wolę twojego Joela. - Zmieniła temat. - Gzy w tej klinice są jeszcze jakieś inne udogodnienia?
  - Wszystko. Od kąpeli mineralnych zacząwszy, na restauracji pięciogwiazdkowej skończywszy. Niektórzy z pacjentów Joela wychodzą stąd dopiero po całkowitym wyleczeniu i potrzebują tego typu przyjemności. Ale tobie pewnie chodziło o coś konkretnego?
  - O salę gimnastyczną.
  - Owszem, mają tu i salę, ale Joel chyba nie pozwoli ci z niej korzystać. Najpierw trzeba sprawdzić, czy kości na pewno dobrze się zrosły.
  - Będę wykonywała tylko bezpieczne ćwiczenia. Muszę odzyskać siły.

- Z czasem na pewno ci się uda.

Ale Nell nie chciała czekać. Słabość i bezradność doprowadzały ją do szału. Chciała być gotowa natychmiast. Od razu.

- Tylko bezpieczne ćwiczenia - powtórzyła.

- Zobaczę, co się da zrobić.

- Jutro?

- Porozmawiam z Joelem. Może się zgodzi, jeśli obiecuję, że będę cię pilnować.

- Ale to ci przeszkodzi w pracy. Nie chcę niczego na tobie wymuszać. Już i tak wiele dla mnie zrobiłaś.

- Niczego nie wymuszasz. To będzie dla mnie przyjemność. Sama powinnam się trochę pogimnastykować, a praca u Joela nie zajmuje zbyt wiele czasu. - Zaśmiała się. - A on będzie się cieszył, że nie gadam cały dzień przez telefon.

Nell spojrzała na nią z powątpiewaniem.

- Naprawdę - zapewniła Tania. - Potrzebujesz tylko od powiedniego ubrania. Mogę ci na razie coś pożyczyć, dopóki nie wybierzemy się na zakupy.

Nell potrząsnęła głową. Tania nosiła co najwyżej ósemkę.

- Mam inny rozmiar.

- Kostium do gimnastyki powinien być luźny. Nell spojrzała na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Chyba że nie lubisz nosić cudzych ciuchów.

- Ależ skąd, tylko...

- Dobrze. - Podeszły do drzwi pokoju Nell. - Pacjentka zdrowa i cała - zameldowała Tania siedzącemu pod drzwiami Philowi. - Jak ci się podoba jej fryzura?

Phil gwizdnał z podziwem.

- Bardzo.

Tania odwróciła się do Nell.

- Przyjdę jutro o dziewiątej i pomogę ci się ubrać - powiedziała z uśmiechem i pomachała jej na pożegnanie.

- Pomogę się pani położyć - powiedział Phil. - Na pewno jest pani zmęczona.

Nell rzeczywiście była zmęczona, co wprawiało ją w stan ogromnej irytacji.

- Dzięki, ale muszę się sama sobą zajmować. Nie mogę bez przerwy polegać...

- Ależ oczywiście, że pani może. W dodatku nie waży pani więcej niż piórko. Zresztą za to mi płacą. - Okrył ją kołdrą. - Teraz proszę się zdrzemnąć, a ja przyniosę pani lunch.

*Kostium do gimnastyki powinien być luźny.*

*Nie waży pani więcej niż piórko.*

Wolno uniosła rękę, a gdy rękaw opadł, popatrzyła na swoje obnażone ramię, odpięła lizeskę i przycisnęła do siebie koszulę nocną. W przeciągu ostatniego miesiąca schudła co najmniej dziesięć kilogramów.

Dieta-cud - pomyślała gorzko. Spadnij z balkonu, strać cały świat, a będziesz smukła jak chart. Przez tyle lat próbowała zgubić zbędne kilogramy, a one zniknęły dopiero teraz, kiedy już nic nie miało znaczenia.

Ale może jednak miało.

Bez nadwagi łatwiej odzyskać siły.

Uroda się nie liczyła. Chodziło tylko o siłę.

Nie bardzo mi się podoba ten pomysł - szepnął Joel do Tani, zerkając na Nell i Phila, którzy zmierzali powoli w ich stronę.

- A już Nicholas na pewno nie byłby nim zachwycony.

- Wrócimy o trzeciej - powiedziała Tania. - A Phil będzie nas wszędzie woził. Co się może przydarzyć na takiej wycieczce?

- Powiedz to Nicholasowi.

- Powiem - odparła. - Musisz mi zaufać. To jej dobrze zrobi.

- Nie sądzę, by kupowanie ciuchów znajdowało się wysoko na jej liście priorytetów.

- Zgoda, ale to takie zwyczajne zajęcie. A Nell powinna się normalnie zachowywać.

- Na przykład uprawiać gimnastykę?

- Ona ćwiczy jak nawiedzona. Najchętniej spędzałaby na sali cały dzień. A to już nie jest normalne - powiedziała marszcząc brwi.

- Ale jej nie szkodzi. - Urwał. - Naprawdę nie musisz jej niańczyć. - Przecież za nią nie odpowiadasz.

- Lubię Nell i chcę jej pomóc. Chyba dostrzegam w niej siebie - dodała wolno.

- Jedna z was wystarczy - odparł i odwrócił się do Nell, która stała tuż za nimi. - Nie przesadzaj. Jeżeli się zmęczysz, natychmiast wracaj.

- Obiecuję.

Podał jej garść banknotów.

- Proszę. Nie wiedziałem, czy dysponujesz gotówką.

Nell spojrzała na niego z przerażeniem.

- Nie potrzebuję pieniędzy. Nie mam wprawdzie kart kredytowych, ale mogę przecież zadzwonić i wydać odpowiednie dyspozycje.

- Będzie łatwiej, jeśli Tania obciąży tymi wydatkami klinikę, a ja wystawię ci później rachunek. - Otworzył drzwiczki do samochodu.

- I pamiętaj, że o trzeciej ten lincoln zamieni się w dynię.

To dom towarowy Daytona. Kupimy tu większość podstawowych rzeczy. A po specjalne zakupy pójdziemy do butików.

- Wysiadając z auta, odwróciła się do Phila. - Dasz nam trzy godziny i przyjedziesz tutaj o pierwszej?

Phil zmarszczył czoło.

- Chyba raczej zaparkuję i pójdę z wami do środka.

- Dobrze - zgodziła się Tania. - Spotkamy się w dziale sportowym. Tam zaczniemy.

Nell weszła za Tanią do domu towarowego i od razu utonęła w błyszczącym komercjalizmie.

- Nie musimy już nigdzie chodzić. Potrzebuję tylko podstawowych rzeczy.

- Potrzebować i pragnąć to nie to samo. - Stała na ruchomych schodach. Możesz na przykład nie chcieć się oglądać w... - Dokąd ty się wybierasz?

- Muszę coś załatwić. Spotkamy się o pierwszej przy głównym wejściu. - Idąc szybko do bocznych drzwi, zerknęła niepewnie za siebie.

Tania była już w połowie schodów, ale odwróciła się i zaczęła szybko schodzić.

- Jasne! Akurat ci na to pozwolę!

Nell dopadła drzwi i wskoczyła do zaparkowanej na postoju taksówki.

- Biblioteka publiczna. Zbiory główne.

Tania wybiegła z domu towarowego, gdy auto odjeżdżało już od krawężnika.

Nell poczuła wyrzuty sumienia. Nie chciała oszukiwać dziewczyny, która była dla niej zawsze taka dobra. Ale Tania przyjaźniła się z Nicholasem i mogła jej przeszkodzić.

Dziesięć minut później weszła różnym krokiem do informacji.

- Czy macie Nexis? - zwróciła się do siedzącej przy biurku kobiety.

- Tak - odparła recepcjonistka, podnosząc na nią wzrok.

- Nigdy nie korzystałam z tego programu. Może ktoś mógłby mi pomóc?

Kobieta potrząsnęła głową.

- Nasi klienci mogą korzystać z komputerów, ale nie mamy czasu na udzielanie korepetycji. - I trzeba płacić za każdy wybrany temat.

Nell zerknęła na plakietkę przypiętą do swetra kobiety. Grace Selkirk.

- Zapłacę również za lekcję, panno Selkirk.

- Przykro mi, ale nie...

- Ja pani pomogę.

Nell odwróciła głowę i zobaczyła wysokiego, szczupłego chłopaka, który patrzył na nią z uśmiechem.

- Nazywam się Ralph Dandridge. Pracuję tutaj.

Uśmiechnęła się.

- Nell Calder.

- Znasz przepisy, Ralph - odezwała się kobieta.

- Przepisy są po to, by je łamać. - Ralph odwrócił głowę do Nell. - Jeśli nie zna się pani na komputerach, to Nexis może narobić kłopotu. Pomogę.

- Nie masz na to czasu - odezwała się Grace Selkirk.

- Przygotowałam ci inną pracę.

- Wykonam ją po lunchu - powiedział Ralph Dandridge.

- A teraz zamierzam wykorzystać przerwę. - Puścił Nell przodem.

- Komputery są tam.

- Nie chcę, żeby miał pan przeze mnie kłopoty.  
- To nic takiego. Pracuję tu tylko na pół etatu. Wieczorami chodzę do college'u. A Grace jest całkiem fajna, tylko że straszna z niej formalistka.

- Bardzo panu dziękuję. - Uśmiechnęła się. - Bez pana nie potrafiłabym sobie poradzić.

Popatrzył na nią lekko nieprzytomnym wzrokiem.

- Zobaczmy, co mi się uda zrobić. Nexis to w zasadzie program informacyjny. Obejmuje tysiące gazet, tygodników i miesięczników. Musi pani tylko wpisać temat, a komputer wybierze wszystkie artykuły z tego zakresu, jakie opublikowano w prasie w ciągu ostatniej dekady.

- A jeśli chodzi o konkretną osobę?

- Też. Ale może się pani będzie musiała przedzierać przez gąszcz takich samych nazwisk. Kogo pani szuka?

- Paula Maritza.

Ralph znalazł dwa artykuły o Paulu Maritzu i wyświetlił je na ekranie. Pierwszy Maritz okazał się scenarzystą, który otrzymał jakąś nagrodę. Drugi - strażak - uratował życie dziecku. Z pewnością nie ich szukała.

Nie liczyła zresztą na sukces, ale warto było spróbować.

- Coś jeszcze?

- Philippe Gardeaux.

Nazwisko było nietypowe, co zwiększało szanse na powodzenie. Ponadto Tanek twierdził, że Gardeaux prowadzi działalność przestępczą na wielką skalę. Musiały istnieć jakieś wzmianki na temat aresztowań, procesów i innych tego typu wydarzeń.

Bingo! Trzy artykuły! Jeden w „Sports Illustrated”, drugi w „Time”, trzeci w „New York Times”.

- Są długie. Chce je pani teraz przejrzeć?

- Nie. Wolałabym dostać wydruk.

- Proszę bardzo. - Ralph oświetlił teksty i wcisnął odpowiedni guzik. - Zamierza pani coś o nim napisać?

- Co takiego?

- Wielu dziennikarzy i pisarzy przychodzi do nas po materiały.



- Niewykluczone. - Spojrzała na wychodzący z drukarki papier.

Ralph zebrał arkusiki i wręczył je Nell.

- Ile jestem panu winna?

- Nic. Cała przyjemność po mojej stronie.

Nie mogła na to pozwolić, wiedziała, jak trudno się żyje studentom college'u.

- Musi pan... - Zrezygnowała z dalszych perswazji. Nie chciała sprawić mu przykrości. - A może przynajmniej znalazłby pan czas na lunch w pobliskiej restauracji? - spytała, choć w głębi duszy marzyła wyłącznie o tym, by przeczytać artykuły.

Spojrzał na nią z błyskiem w oku zza szylkretowych oprawek.

- Pewnie, że znajdę.

Wepchnęła wydruk do torebki.

- Chodźmy. Wolę, żeby się pan nie spóźnił. Jest tu gdzieś w pobliżu jakiś lokal?

- Tak. - Wahał się przez chwilę. - Ale może poszlibyśmy do „Głodnego Wieśniaka”? To tylko kilka przecznic dalej.

- Podają tam lepsze jedzenie?

- Nie, ale to ulubiona knajpa moich kolegów. Chciałbym, żeby mnie z panią zobaczyli.

Nell pomyślała z niesmakiem, że Ralph chce się nią popisać, jakby była jakimś trofeum. Twarz otrzymana w darze od Joela skłoniła tego chłopca do pomocy, ale wyzwaliała również inne emocje. Wszystko ma swoje dobre i złe strony.

Ale Ralph patrzył na nią tęsknym wzrokiem, a ona była mu coś dłużna.

- Chodźmy do „Głodnego Wieśniaka” - odparła z rezygnacją.

Wróciła do Dayton za pięć pierwsza.

Tania czekała przed wejściem.

Na widok jej miny Nell instynktownie zeszywniała.

- Bardzo cię przepraszam, ale naprawdę musiałam...

- Ani słowa - przerwała Tania. - Jestem na ciebie taka zła, że

najchętniej wepchnęłabym cię pod samochód. - Wyszła na krawężnik i machnęła ręką. - Jest Phil. Porozmawiamy w klinice. Kiedy weszły do samochodu, Philip popatrzył na Nell z naganą w oczach.

- Nie powinnaś była tego robić.
- Wracamy - poleciła Tania zimno.

Nigdy się tak przedtem nie zachowywała. Pewnie zrezygnuje z odwiedzin - przemknęło Nell przez głowę.

Nie spodziewała się zupełnie, że ta myśl będzie przykra.

Już w Woodsdale Tania weszła do pokoju Nell, poprawiła jej pościel i odwróciła się do Phila.

- Umieram z pragnienia. Mógłbyś nam przynieść lemoniady? Dopilnuję, żeby Nell się położyła.

- Jasne - przytaknął Phil.

Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, Tania odwróciła się do Nell. -Już nigdy nie pozwolę się okłamać.

- Przecież cię nie okłamałam.
- Wyprowadziłaś mnie w pole. Nie widzę różnicy.
- Pewnie masz rację. Musiałam coś załatwić i bardzo się bałam, że zaprotestujesz.
- Masz rację. Protestuję. Joel nie chciał cię wypuścić z kliniki. To ja go przekonałam. Wykorzystałaś mnie.

- Tak.

- Dlaczego? Co cię do tego skłoniło? Co było aż tak ważne?

- Potrzebowałam informacji, których Tanek nie chciał mi udzielić.

Byłam w bibliotece.

- I nie mogłaś mi o tym powiedzieć?

- Przyjaźnisz się z nim.

- Ale nie jestem jego własnością. Nie przyszło ci do głowy, że z tobą również się przyjaźnię?

Nell rozszerzyła oczy ze zdziwienia.

- Rzeczywiście. Nie.

- A szkoda. Za pierwszym razem przyszłam do ciebie, bo prosił mnie o to Nicholas, ale potem odwiedzałam cię przecież

z własnej woli. - Zacisnęła dłonie w pięści. - Wiem, dlaczego on mnie do ciebie wysłał. Sądził, że będę ci potrzebna. Obie wiele przeżyliśmy, a ja przecież doszłam do siebie. Otóż nie. Nie doszłam do siebie i pewnie nigdy nie dojdę, ale nauczyłam się z tym żyć.

- Ja też z tym żyję.

- Nie. Nicholas wyciągnął do ciebie marchewkę, a ty za nią pobiegłaś. To tylko substytut. Będiesz wiedziała, że sobie poradziłaś, dopiero wtedy, kiedy skończą się twoje sny. - Uśmiechnęła się krzywo na widok zdziwionej miny Nell. - Sądziłaś, że tylko ty jedna miewasz koszmary? Po śmierci mojej matki i braciszka przez cały rok budziłam się z krzykiem. Teraz też mi się to czasem zdarza.

- Urwała. - Ale nic na ten temat nie mówię.

- Nawet Joelowi?

- Joel na pewno by mnie wysłuchał, próbowaliby pomóc, ale nie sądzę, żeby zrozumiał. Nigdy tam nie był. - Napotkała wzrok Nell. - Ale ty byłaś. Właśnie ty możesz zrozumieć. Potrzebowałam kogoś takiego. Przychodziłam do ciebie, bo to ja potrzebowałam ciebie.

Mówiła prawdę. Nell poczuła, że ogarnia ją rozpacz.

- Nie mogę ci pomóc. Nie widzisz? Niczego nie mogę ci dać.

- Możesz. Wracasz do życia - powiedziała Tania. - To się nie dzieje z dnia na dzień. Przychodzi falami. - Uśmiechnęła się słabo. - Nie lubisz, jak się na ciebie gniewam. Dobry znak.

- Ale znowu bym uciekła, gdybym musiała.

- Bo chcesz znaleźć człowieka, który zabił twoją córkę.

- Muszę go znaleźć. Nic innego nie jest ważne.

- Jest, choć jeszcze tego nie dostrzegasz. Pewnie czułabym się tak samo, gdyby snajper, który zastrzelił moją matkę i brata, miał jakąś konkretną twarz. Ale ci żołnierze nie mieli twarzy. Byli po prostu wrogami.

- Ja znam twarz zabójcy. I jego nazwisko.

- Wiem od Joela, że Nicholas ci je zdradził. Zresztą nie mógł zrobić nic innego. Joel bardzo się o ciebie martwił. A Nicholas uratował ci życie. Wiedziałaś o tym?

- Nie, nie wiedziałam. - Nie wiedziała i wcale się jej to nie

podobało. - Ale na pewno nie uczynił tego bezinteresownie. Ten człowiek nie kieruje się emocjami.

- Rzeczywiście, choć odznacza się wyjątkową wrażliwością. Nie jest łatwy w pożyciu, ale można mu zaufać. Nie pamiętam, by kiedykolwiek złamał dane słowo. - Potrzęsnęła głową. - Nicholas przywiózł cię tutaj i próbował pomóc. Dlaczego tak się denerwujesz za każdym razem, kiedy wymieniam jego nazwisko?

- Bo wchodzi mi w drogę.

- I przekonasz się na pewno, że niełatwo się go pozbyć.

- Muszę. Jestem inna niż ty. Czas niczego nie zmieni. I koszmary się nie skończą, dopóki żyje Maritz.

- Niech nam Pan Bóg pomoże - westchnęła Tania. - Obiecuj chociaż, że już nie będziesz oszukiwać.

Nell zawahała się.

- Nie chciałam. Nie widziałam innego wyjścia.

- Pewnie mi nie powiesz, co ci się udało ustalić?

- Nie, Jesteś nadal przyjaciółką Taneka. Tania popatrzyła na nią uważnie.

- I...?

- I moją - uśmiechnęła się Nell. - Choć nie wiem dlaczego.

- W takim razie zmarnowałam ostatni kwadrans i wiele słów.

- Tania wyciągnęła rękę. - Ale trochę pokory nie zawadzi. I to prawda, że nie ma nic cenniejszego od przyjaźni.

Spoglądając na wyciągniętą dłoń Tani, Nell poczuła przyływ niepokoju. Przyjaźń. Przyjaźń pociąga za sobą zobowiązania. Wypełnia pustkę konieczną do zrealizowania celu.

Tania przestała się uśmiechać.

- Niełatwo mi prosić - powiedziała szybko. - Potrzebowałam kogoś, kto wie.

Nell wolno wyciągnęła do niej rękę.

Tania nie wychodziła z pokoju przez następną godzinę, a potem Nell musiała zjeść kolację przyniesioną przez Phila. Dopiero potem mogła obejrzeć wydruki.

Pół godziny później odłożyła gazety.

Żadnych procesów, aresztowań, wzmianek na temat działalności przestępczej.

W „New York Times” odnotowano tylko jego przybycie do Nowego Jorku w związku z aukcją na rzecz walki z AIDS. Z artykułu wynikało, że Philippe Gardeaux - znany biznesmen i filantrop - ofiarował na ten cel obraz Picassa.

Artykuł w „Time” był nieco obszerniejszy. Opisywał francuskich producentów wina, a także ich starania o utrzymanie wysokich cef importowych. Dwa akapity dotyczyły Gardeaux oraz jego zamku i winnicy w Bellevigne. Jak się okazało, Gardeaux ukończył czterdzieści sześć lat, miał żonę i dwoje dzieci. Był jednym z najbardziej wpływowych producentów wina. Należał do nowego pokolenia, wzbogacił się w Chinach i na Tajwanie, a winnicę założył niespełna pięć lat temu.

Natomiast „Sports Illustrated” nie wspominał o winnicy, a jedynie o Chatau Bellevigne. Artykuł dotyczył turnieju szermierczego odbywającego się w Bellevigne między świętami a Nowym Rokiem z punktem kulminacyjnym w sylwestra. Zaproszonych gości proszono o noszenie strojów renesansowych przez cały czas pobytu w zamku, a turniej był nie tylko najważniejszym wydarzeniem na Riwierze, ale również okazją spotkań *aficionados* i mistrzów szpady. Zyski przeznaczono na cele charytatywne. Na końcu artykułu zamieszczono wzmiankę na temat bezcennej kolekcji szpad stanowiącej własność Philippe'a Gardeaux.

Filantrop, wpływowy biznesmen, kolekcjoner, sportowiec.

Ani słowa na temat morderstw, narkotyków czy przekupstwa. Nic nie wskazywało na to, by ten człowiek mógł wynająć płatnego mordercę.

Czyżby w tych gazetach opisano innego Gardeaux?

Zbił majątek w Chinach i na Tajwanie.

Tanek wychował się w Hongkongu. Przynajmniej cię powiązania.

Wepchnęła artykuły z powrotem do torebki. To nie wystarczy. Aby zyskać całkowitą pewność, musi porozmawiać z Tanekiem.

Jeszcze minuta.

Nacisnęła mocniej StairMastera, oddychając ustami, tak jak nauczył ją Phil. Odkryła, że jeśli za każdym razem wydłużyła ćwiczenia o minutę, to mniej się męczy. Mimo to serce waliło jej jak młotem, a po twarzy ściekał pot.

Jeszcze sześćdziesiąt sekund.

- Chciałbym z panią porozmawiać.

Zerknęła na mężczyznę stojącego w drzwiach sali gimnastycznej. Wydawało się jej, że nie jest to ani pielęgniarz, ani lekarz. Był niski i przysadzisty, miał kręcone, siwiejące - niegdyś blond - włosy. Zapewne pracował w administracji i przyszedł w sprawie rachunku.

- Czy to nie może poczekać? Jestem wykończona.

- Obserwuję panią od kwadransa i wcale się temu nie dziwię. A może jednak był lekarzem? Mógł naskarżyć Joelowi, że jego pacjentka zanadto się forsuje.

- Ma pan rację. - Z uśmiechem zeszła z przyrządu. - Ale jeśli chce pan ze mną porozmawiać, będzie mi pan musiał dotrzymać towarzystwa na spacerze. Phil mówi, że nie wolno mi odpoczywać, dopóki nie ochłone.

- Ach, tak. Phil Johnson. Wydawało mi się, że widziałem go w holu. - Wykrzywił wargi w uśmiechu. - Niestety, on również mnie zauważył. Co znaczy, że nie spędzę w pani towarzystwie zbyt dużo czasu.

- Och, oni już tak bardzo nie pilnują moich gości. - Ruszyła przed siebie różnym krokiem. - Jestem prawie zdrowa.

- I piękna. - Dopasował się do jej tempa. - Lieber wykonał świetną robotę. Nigdy bym pani nie rozpoznał.

- Joel pokazał panu moją fotografię?

- Niezupełnie.

Poczuła przyływ niepokoju. Zwolniła i przyjrzała mu się uważniej.

- Kim pan jest?

- A pani?

- Nazywam się Nell Calder. Jeśli jednak widział pan moje zdjęcie, musi pan to wiedzieć.

- Żywiłem takie podejrzenia, ale nie miałem pewności. Dlatego wdarłem się na terytorium Liebera. - Rozejrzył się po sali.

- Ładnie tutaj. Chodzą słuchy, że nawet żona prezydenta robiła lifting w tej klinice.

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Kim pan jest?

Uśmiechnął się ujmująco.

- Joe Kabler, CAA. Milczała.

- Tanek nigdy pani o mnie nie opowiadał?

- Nie utrzymujemy bliskich kontaktów. Pan się z nim przyjaźni?

- Łączy nas wzajemny szacunek i wspólne cele — powiedział.

- Ale na ogół nie zawieram przyjaźni z przestępcami.

Zamarła.

- Z przestępcami?

- Coś takiego! A więc Tanek się nie przyznał. Co on właściwie pani naopowiadał?

- Mówił, że jest na emeryturze. A przedtem zajmował się handlem.

- Z pewnością - zaśmiał się Kabler. - Handlował, czym tylko się dało. Dokumentami, informacjami, dziełami sztuki. Stał na czele szajki przestępczej, która narobiła sporo kłopotów władzom Hongkongu. - Wzruszył ramionami. - Nie zajmował się tylko narkotykami, więc nie wchodziliśmy sobie w drogę. A tak przy okazji: gdzie on jest?

- Nie mam pojęcia. Przyjrzał się jej uważnie.

- Wierzę, że mówi pani prawdę.

- A dlaczego miałabym kłamać? Może znajdzie go pan na rancho w Idaho. Zdaje się, że tam mieszka.

- Pół roku temu złożyłem mu wizytę. W porównaniu z trudnościami, jakie musiałem w tym celu pokonać, wejście tutaj wydawało mi się dziecinną igraszką. Zresztą teraz już mi się nie spieszy. Widzę przecież, że on pani nie wykończył.

Kabler wypowiedział te słowa tonem tak obojętnym, że Nell doznała szoku.

- A pan sądził, że Nicholas mnie zabił?
- Raczej nie, ale z Tanekiem nigdy nic nie wiadomo.
- Uśmiechnął się. - Pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, co słychać. Ale pani chyba świetnie sobie radzi.
- Doskonale - odparła z roztargnieniem. - Dlaczego jednak nie był pan pewien, czy żyję?
- Bo ten człowiek nazywa się Nicholas Tanek i pojawił się na Medas, chociaż nie miał tam nic do roboty. Poza tym trzyma panią na odludziu i uniemożliwia wszelkie kontakty.
- Nie wiedziałam, że chce się pan ze mną zobaczyć. - Zawahała się. - Go pan wie o Phillipie Gardeaux?
- O to samo chciałem panią zapytać.
- Nic. Tylko to, co słyszałam od Taneka. A on twierdzi, że to ludzie Gardeaux zabili mojego męża i córkę.
- Popatrzył na nią łagodniej.
- Pewnie pani myśli, że nie mam serca. Ale ja panią rozumiem. Naprawdę. Sam mam troje dzieci. Wiem, co pani czuje. Nie wiedział. On czegoś takiego nie przeżył. \ •- Ale zgadza się pan z teorią, że to nie terroryści zaatakowali Medas?
- Zawahał się.
- Niewykluczone, że Gardeaux maczał w tym palce.
- Dlaczego chciał mnie zabić? Ja go przecież nie znam.
- Rzeczywiście, nie widzę tu sensu. Nie możemy się doszukać żadnego związku między panią a Gardeaux. Widocznie znalazła się pani w nieodpowiednim czasie w nieodpowiednim miejscu. Ich celem musiał być Kavinsky. Pan prezydent z pewnością nieraz nadepnął Gardeaux na odcisk. Pani zajmowała jeden z najpiękniejszych apartamentów w pałacu. Może zabójca popełnił błąd?
- Kavinsky był przecież na dole.
- Gardeaux zabezpiecza się na ogół na wszystkich frontach.
- Dodał łagodnie: - Jestem pewien, że po prostu mu pani przeszkodziła.
- Czy Gardeaux jest właścicielem Bellevigne?



Przytaknął.

- Dlaczego nie zrobicie z nim porządku, skoro wszystko o nim wiecie?

- Próbujemy, ale to nie takie proste.

- W dodatku nikt się nie domyśla, że on jest mordercą. A Tanek twierdzi, że nawet gdyby doszło do procesu, szanse na skazanie są nikłe. Czy rzeczywiście?

Kabler wyraźnie się zawahał.

- Oby nie.

A więc jednak Tanek mówił prawdę - pomyślała posepnie. - Niewinni giną, a potwory chodzą swobodnie po ulicach.

- Nigdy się nie poddam, jeśli to panią pociesza - powiedział Kabler. - Walczę z tym łotrem od dwudziestu czterech lat i nie zrezygnuję przez kolejne pięćdziesiąt.

Kabler był uczciwym człowiekiem o jasno wytyczonych celach, ale i tak przegrywał bitwę.

- Nic mnie nie pociesza. Moja córka nie żyje.

- A Tanek pani obiecał, że Gardeaux za to zapłaci?

Nie odpowiedziała.

- Proszę się nie pozwolić wykorzystać. On zrobi wszystko, byleby go dostać.

Natychmiast sobie przypomniała, jak bezskutecznie prosiła Taneka, żeby się nią posłużył. Uśmiechnęła się smutno.

- On wcale nie zamierza mnie wykorzystywać.

Kabler potrząsnął głową.

- Akurat! Poprosiłby o pomoc samego diabła, gdyby wiedział, że to go przybliży do celu. - Wręczył jej wizytówkę. - Powie działem już wszystko, co miałem do powiedzenia. Jeśli będzie pani potrzebowała pomocy, proszę zatelefonować.

- Dziękuję. - Odprowadziła go wzrokiem do drzwi.

Przystanął i odwrócił głowę.

- Aha i jeszcze jedno. Domyślam się, w jaki sposób Tanek zrobił ten szwindel u Świętego Józefa. Phil Johnson potrafiłby się włamać nawet do komputera szwajcarskiego banku, gdyby miał wystarczająco dużo czasu. Ale mogłaby pani przy okazji zapytać

Nicholasa, co zrobił, żeby namówić zakład pogrzebowy Birn-bauma na sfałszowanie dokumentów dotyczących kremacji pani zwłok.

Muszę z tobą porozmawiać, Joel - powiedziała Nell do słuchawki. - I to natychmiast.

- Źle się czujesz? Widocznie przesadziłaś z gimnastyką. Mówiłem Tani, że...

- Czuję się świetnie, ale przyjdź. - Odłożyła słuchawkę. Joel wszedł do pokoju godzinę później.

- Potrzebujesz mnie? Oto jestem.

- Dlaczego z moich dokumentów, jakie zostały w szpitalu, wynika, że umarłam?

- A więc wiesz - westchnął Joel. - Naprawdę nie maczałem w tym palców. Nicholas doszedł do wniosku, że będziesz bezpieczniejsza, jeśli wszyscy uznają cię za zmarłą.

- I zmiotł mnie z powierzchni ziemi. Nie mogę nawet korzystać ze swoich kart kredytowych. Do komputera wprowadzono dane o moim zgonie. - Nie spuszczała wzroku z Liebera. - A ty przewidziałeś taką sytuację. Dlatego wręczyłeś mi ten plik banknotów, kiedy wybierałam się do miasta w zeszłym tygodniu. Nie chciałeś, żebym używała kart. Jak długo zamierzałeś ciągnąć tę komedię?

- Wolałem, by zaszczyt rozmowy z tobą na ten temat przypadł w udziale Nicholasowi. Nie lubię świecić za niego oczami. - Urwał na chwilę. - Skąd o tym wiesz?

- Odwiedził mnie niejaki pan Kabler.

- Kabler? Tutaj? - Gwizdnął przez zęby. — Ciekaw jestem, w jaki sposób udało mu się przedrzeć przez ochronę.

- Nie wiem i wcale mnie to nie interesuje. Dlaczego nie protestowałeś? Tanekowi z pewnością się wydaje, że prawo go nie obowiązuje. Ty jednak powinieneś być bardziej odpowiedzialny.

- Tanek postąpił słusznie. - Uniósł rękę, by powstrzymać jej

protesty. - Byłaś bardzo chora. Nie chciałem, żeby Kabler cię niepokoił, a Nicholas po prostu się o ciebie bał. Ja nie uciekłbym się z pewnością do takich rozwiązań, ale uważam, że są skuteczne.

- Z pewnością. Tanek w ogóle jest bardzo skuteczny. Co mam zrobić, by odzyskać życie?

- Na pewno ci na tym zależy?

- Oczywiście że tak.

- Nadal grozi ci niebezpieczeństwo.

- W obecnym stanie rzeczy nie mogę nawet zdobyć funduszy na twoje honorarium.

Uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Niech Tanek płaci. Dobrze mu tak. Najlepiej by mu zrobiło łamanie kołem.

- Nie chcę być od niego zależna.

- W takim razie udziele ci kredytu do czasu, gdy się uporządkuje ten cały bałagan.

Jej gniew natychmiast osłabł. Nie miała wątpliwości, że to Tanek sfalszował akt zgonu. Joel był uczciwy i robił wszystko, co uważał za najlepsze dla niej.

- Dzięki. Ale wiesz, że nie mogę się zgodzić. Będę musiała zadzwonić do adwokata i zmusić go jakoś, żeby naruszył mój fundusz powierniczy.

- Może jeszcze się zastanowisz? Nie ma pośpiechu. Wypiszę cię z kliniki dopiero w przyszłym tygodniu. Muszę jeszcze zrobić kilka zdjęć rentgenowskich, żeby sprawdzić, czy kości się zrosły.

- Jestem tutaj już trzeci miesiąc. Sądziłam, że tylko bardzo ważne osobistości zostają w klinice do czasu całkowitego wyzdrowienia.

- I ci, którzy nie mają dokąd pójść.

Przestała się uśmiechać. Nie miała do kogo wracać. Czekala ją tylko samotność.

- O tym właśnie rozmawiałem wczoraj z Tanią. Chcielibyśmy, żebyś po wyjściu sprowadziła się do nas. Oczywiście, masz dużo czasu na podjęcie decyzji.

Natychmiast potrząsnęła głową.

- Nie musisz...

- Nic nie muszę - uśmiechnął się Joel. - Ale zajmiesz czymś Tanię, a to już będzie dla mnie dobrodziejstwo. Ta dziewczyna uprzykrza mi życie. Sprawisz nam wielką przyjemność, jeśli przyjmiesz zaproszenie.

Poczuła przypływ ulgi. Bardzo niechętnie myślała o tym, że będzie musiała opracowywać swój plan w bezosobowym hotelu.

- Może w takim razie na parę dni. Dziękuję.

- Dobrze. Powiem Tani, że już nie będzie musiała cię nękać. Bo takie nękanie każdego doprowadza do szału. - Wstał. - Idź spać. Czy muszę ci przepisywać środki uspokajające?

- Nie.

Po tabletkach spała mocno, a sen pociągał za sobą koszmary. Jeśli spała lekko, mogła od nich uciec w czuwanie.

- Dam sobie radę.

Długi czas po odejściu Joela nie zmrużyła oka. Gniew małał. Szok wywołany wiadomością o jej własnym zgonie wywołał oburzenie. Czowała się tak, jakby Tanek pozbawił ją korzeni, tego wszystkiego, co ją ukształtowało.

A może te korzenie wyrwano? Nie była już przecież ani kobietą z Medas, ani dzieckiem wychowanym w Północnej Karolinie.

Joel prosił, żeby się nad tym wszystkim zastanowiła. Postanowiła więc rozważyć wszelkie konsekwencje sytuacji, w której wszyscy uznaliby ją za zmarłą. Pozornie byłaby to katastrofa. Straciłaby karty kredytowe, prawo jazdy, paszport. Nie mogłaby tknąć pieniędzy, jakie zostawiła jej matka, więc zostałaby zupełnie bez grosza. A sprawy bardziej osobiste? Nikt by za nią nie tęsknił. Nie miała rodziny, po ślubie z Richardem nie utrzymywała kontaktów z przyjaciółmi. Mąż całkowicie zdominował jej życie, a Nell nie miała czasu na nawiązanie innych kontaktów.

Zdominował? Cofnęła się instynktownie przed tym słowem, ale w chwilę później pomyślała o tym raz jeszcze. Dość kłamstw. Dość zabawy w chowanego. Być może Richard miał dobre intencje, niemniej jednak całkowicie ją stłamsił. Nie życzył

sobie, by zawierała przyjaźnie, więc nic w tym kierunku nie uczyniła.

Teraz samotne życie miało swoje dobre strony. Gdyby uznano ją za zmarłą, zyskałaby więcej swobody. Zmniejszyłoby się również grożące jej niebezpieczeństwo.

Jeśli ktoś nadal na nią polował. Być może - tak jak twierdził Kabler - padła ofiarą zabójcy, gdyż znalazła się po prostu w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Ale Tanek wykluczył taki zbieg okoliczności.

Dlaczego jednak miałyby wierzyć Tanekowi, a nie Kablerowi? Tanek był przestępcą, a Kabler szanowanym przedstawicielem prawa. Odpowiedź tkwiła w aurze niepodważalnej pewności siebie, jaka otaczała Taneka. Nell powinna ją jednak całkowicie zignorować i zaufać Kablerowi.

Nie, nie mogła niczego ignorować. Wierzyła Tanekowi bez zastrzeżeń. Informacja, że był przestępcą, nie wywarła na niej wrażenia. Liczyło się tylko to, że znał Maritza oraz Gardeaux i mógł ją do nich doprowadzić. Ponadto, skoro i tak nie przestrzegał prawa, nie dbał o przepisy, jakie wiązały ręce Kablerowi. Zaofiarował jej coś bardzo ważnego. Coś, co Kabler uznał za niemożliwe.

Zemstę.

Kabler złożył nam dzisiaj wizytę - powiedział Joel do słuchawki. - To tyle, jeśli chodzi o twoje obietnice. Podobno miałeś go trzymać ode mnie z daleka.

- Rozmawiał z Nell?
- Wygadał jej wszystko o fałszywym akcie zgonu.
- I jak ona zareagowała na tę wiadomość?
- Nie zostawiła na mnie suchej nitki. Chce wszystko odkręcić.
- Wybij jej to z głowy.
- Zostawię tę przyjemność tobie. I przyjedź za trzy dni. Zamierzam ją wypisać.
- Przyjadę.

- Co, nawet się nie kłócisz?
- Dlaczego miałbym się z tobą kłócić? Wiedziałem, co mnie czeka. Sądziłem tylko, że czas zrobi swoje.
- Więc czeka cię niespodzianka. Tania mówi... - zresztą sam zobaczysz. - Urwał. - A tak przy okazji: Być może będę musiał zastąpić Junota kimś innym. Spaprał robotę. Wpuścił Kablera do kliniki.
- Bo ja mu kazałem.
- Co takiego?!
- Kabler to szczywany lis. Wiedziałem, że nie uwierzy w śmierć Nell i powiąże szpital z Woodsdale. Powiedziałem Junotowi, żeby mu nie przeszkadzał.
- Dlaczego, do cholery?
- Mieliliśmy więcej do stracenia niż do zyskania. Nell czuła się na tyle dobrze, żeby wytrzymać przesłuchanie, a Kabler to prawdziwy pies gończy. Jak raz złapie trop, nie spocznie, póki nie osaczy przeciwnika. Skoro udało mu się przejść ochronę, sądzi, że kontroluje sytuację. Dopadł Nell i dostał, co chciał. Teraz się odzepi.
- A gdyby próbował ją porwać?
- Wtedy Phil i Junot z pewnością by go powstrzymali. Oczywiście bardzo dyskretnie.
- Oczywiście - przytaknął Joel kwaśno. - Ale nie przyszło ci do głowy, żeby mnie poinformować o swoich planach? To moja klinika i moje bezpieczeństwo.
- Po cóż miałem cię martwić? To wcale nie musiało się stać. Istniała szansa, że Kabler uwierzy w śmierć Nell. Poza tym Junot bardzo się tym wszystkim denerwował. Postanowiłem więc wziąć całą odpowiedzialność na siebie.
- Joel prychnął tylko w odpowiedzi.
- Nie życzę sobie, aby mi przypisywano fałszywe intencje
- powiedział Nicholas. - Do zobaczenia za trzy dni.

Kiedy Tanek przybył do kliniki, Nell nie było w pokoju.

- Ćwiczy na sali gimnastycznej - powiedział Joel. - Chodź, zaprowadzę cię do niej.

- Więc nie przygotowuje się do wyjścia? Czyżbym pomylił daty?

- Obiecałem Nell, że wypiszę ją w południe. A ona nie zamierza tracić cennych godzin, skoro może je poświęcić na trening. Sala nie była tak eksploatowana od czasu, gdy gościła u nas ta słynna rosyjska gimnastyczka.

Nicholas poszedł za nim we wskazanym kierunku.

- Jak ona się czuje?

- Fizycznie? Nie może być lepiej. Psychiczenie...

- Tak?

Wzruszył ramionami.

- Zachowuje się normalnie. Czasem nawet żartuje z Philem. A jeśli cierpi na przyływy depresji, nikomu się z tego nie zwierza.

- Nawet Tani? Mówiłeś, że się zaprzyjaźniły.

- Nic o tym nie wiem.

- Boisz się, że tłamsi wszystko w sobie?

- Z pewnością, ale nie potrafię temu zaradzić. Musimy tylko wierzyć, że Nell nie załamie się w najbardziej nieodpowiednim momencie. - Zerknął na Nicholasa. - Ty jeszcze nie widziałeś mojego dzieła. Mam nadzieję, że będzie ci się podobało.

- Na pewno. Zawsze robisz dobrą robotę.
- Tania twierdzi, że Nell jest wyjątkowa. Oczywiście tak naprawdę podkreśla swoje własne zasługi. - Otworzył drzwi do sali.
- To ona zrobiła projekt.

Nell była sama w przestronnym pomieszczeniu. Odwrócona plecami do wejścia, ćwiczyła skłony na drewnianej poprzeczce umieszczonej przy przeciwległej ścianie. Miała na sobie białe szorty i luźną koszulkę. Wydawała się wyższa niż ostatnio. Nie, nie wyższa. Chudsza, smuklejsza, silniejsza. Nie słyszała ich nadejścia, a Tanek wyczuwał w niej niemal namacalną koncentrację.

- Chryste, czy ona zawsze jest taka spięta? - spytał cicho.
- Nie, zwykle bardziej. Widocznie dziś zrobiła sobie wolne.
- Joel podniósł lekko głos. - Nell...
- Za chwilę - zawołała. Dokończyła ćwiczenie, zeskoczyła z poprzeczki i odwróciła się do nich.

Nicholas odetchnął głęboko.

- Jakiż to projekt dostarczyła ci Tania? - spytał szeptem.
- Wzorowany na wizerunkach Heleny Trojańskiej. Niezapomnianej, ale bezbronnej. - Lieber uśmiechnął się z zadowoleniem, patrząc na Nell, która szybkim krokiem zmierzała w ich stronę.
- Udało mi się, prawda?
- Udało? A jeśli stworzyłeś potwora?
- Nie sądzę, aby ta twarz spowodowała jakieś niepożądane zmiany w jej psychice. Nell nie przywiązuje wagi do swego wyglądu. Twierdzi tylko, że uroda otworzy przed nią drzwi, które dotąd były zamknięte.

- Nie wiadomo tylko, co ją za nimi czeka. - Zrobił krok naprzód. - Jak się masz, Nell. Zdrowo wyglądasz.

Nell wyciągnęła mały ręczniczek z kieszeni szortów i otarła pot z twarzy.

- Bo jestem zdrowa. I codziennie silniejsza. - Odwróciła się do Joela. - Nie uprzedziłeś mnie o tej wizycie.

- Tanek chce z tobą porozmawiać. - Uśmiechnął się. - A ty już chyba wykonałaś plan. - Odwrócił się i ruszył do drzwi.
- Zobaczymy się po lunchu.



- Ja też mam ci coś do powiedzenia - powiedziała Nell, kiedy tylko za Lieberem zamknęły się drzwi. - Miałam gościa. Pan Kabler...

- Wiem. Zdenerwował cię?

- Nie. Był bardzo uprzejmy. Nie zadawał nawet zbyt wielu pytań.

- Nie? To dziwne. Zwykle węszy jak pies myśliwski.

- Chciał się tylko upewnić, czy mnie nie zamordowałeś. - Urwała.

- Poza tym ostrzegł mnie przed tobą. Twierdzi, że jesteś przestępcą i nie można ci wierzyć.

Uniósł brwi.

- Naprawdę?

- Nie obchodzi mnie zupełnie, czym się zajmujesz, ale wolałabym darzyć cię zaufaniem. Tania twierdzi, że zawsze dotrzymujesz słowa. Czy rzeczywiście?

- Tak. - Uśmiechnął się słabo. - Ale nie przypisuj mi żadnych nie istniejących cech. Uczciwość to dobry interes.

- Uczciwość?

- W moim rozumieniu. Dotrzymuję słowa i przestrzegam reguł danej gry. Każdy wie, czego się po nim spodziewam.

- A czego spodziewasz się po mnie? - Napotkała jego spojrzenie. - Nie jesteś filantropem, a zadałeś sobie trud, żeby mnie tu przywieźć. Chciałeś nawet płacić za mnie rachunki. To miałoby sens, gdybyś uznał, że mogę ci się na coś przydać. Ty jednak nie życzysz sobie mojej pomocy.

- Bo jej nie potrzebuję.

- Ale ja potrzebuję twojej - ucięła. - Zresztą potrzebuję to zbyt duże słowo. Jeśli ty mi nie pomożesz, i tak dam sobie radę, ale z tobą byłoby szybciej. - Zacisnęła dłonie. - Nie pójdę jak baran na rzeź, ale z drugiej strony nie zamierzam ci przeszkadzać. Jeśli nie chcesz zrobić nic innego, powiedz przynajmniej to, co powinnam wiedzieć. Sama zajmę się resztą.

Znów wyczuł emanujące z niej napięcie.

- Czy wiesz, iloma gorylami otacza się Gardeaux?

- Wiem, że jednym z nich jest Maritz.

- Który zabił więcej ludzi, niż jest w stanie zapamiętać. Nie,

cofam to. Pamięta wszystkich, bo to uwielbia. Jest jeszcze Rivil. Ten z kolei zamordował własną matkę, za to, że zabroniła mu zadawać się z gangiem małaolatów. Ken Brady uważa się za wspaniałego ogiera, ale, niestety, zwykłe pieprzenie mu nie wystarcza. Lubi sprawiać kobietom ból. Gardeaux musiał zapłacić niezłą łapówkę za utrzymanie go na wolności, kiedy poobcinał sutki ostatniej kochance.

- Chcesz mnie zaszokować?

- Do jasnej cholery! Próbuję ci tylko udowodnić, że postradałaś rozum.

- Ale pokazujesz mi tylko, że znasz świetnie Gardeaux i jego ludzi. Powiesz mi o nich coś więcej?

Popatrzył na nią ze złością.

- Nie.

- W takim razie sama się będę musiała dowiedzieć. Już uzyskałam trochę informacji na temat Kablera i Bellevigne.

- Od Kablera?

- Nie, poszłam do biblioteki i uruchomiłam Nexis.

- A więc dlatego wypytywałaś Phila o komputery. Będzie bardzo zawiedziony, że go tak podle wykorzystałaś. Lubi cię.

- Ja też go lubię. Ale musiałam wiedzieć. - Ruszyła w dół korytarza. - Teraz wezmę prysznic, a potem przygotuję się do wyjścia. Tania przyjdzie tu za godzinę i zabierze mnie do Joela.

Został zwolniony. Nie był jej dłużej potrzebny, więc go odprawiła. Poczuł, jak ogarnia go złość, pomieszana jednak z rozbawieniem.

- Zamieszkaż u Joela? Nic mi o tym nie mówił.

- Tylko przez kilka dni.

A potem pojedzie do Bellevigne i wpadnie prosto w ręce Maritza.

- Potrafisz strzelać?

- Nie.

- To może umiesz posługiwać się nożem?

- Również nie.

- A karate? Albo czoj kuang-do?

- Nic z tych rzeczy. - Odwróciła się do niego z płonącymi oczyma.  
- Chcesz, żebym popadła W kompleksy? Przecież wiem, że się do niczego nie nadaję. Cisnęłam w Maritza lampą. Wyobrażasz sobie? Nigdy w życiu nie czułam się bardziej bezradna. Kiedy walczyliśmy na balkonie, on przerzucił mnie przez poręcz jak szmacianą lalkę. Teraz miałby jednak z tym kłopoty. Codziennie staję się silniejsza. A jeśli siła nie wystarczy, nauczę się wszystkiego, co trzeba.

- Nie ode mnie - odparł ponuro.

- W takim razie poszukam kogoś innego.

- Nie proponowałem, żebyś wstąpiła do komandosów. Próbo-  
wałem ci tylko uświadomić, że nie poradzisz sobie z Gardeaux.

- Zrobiłeś, co do ciebie należało. Przestań się martwić. Nigdy  
więcej o nic cię nie poproszę. - Zac/ęła się powoli odwracać, ale  
przystanęła. - Z wyjątkiem jednej rzeczy. Czy możesz mi  
powiedzieć, gdzie pochowano mego męża i dziecko?

- Tak, matka twego męża prosiła, aby jego szczątki przewieziono  
do Des Moines w Iowa.

- Jill również ma tam grób?

- Tak. Czy to cię dziwi?

- Owszem. Edna Calder nie dbała o Jill. Całym jej światem był  
Richard i nie zostało tam ani odrobiny miejsca dla nikogo poza nim.

- Nawet dla ciebie?

- Przede wszystkim dla mnie. - Urwała. - Wiesz, na którym  
cmentarzu ich pochowano? Chcę pójść na groby. Gdzie one są?

- Mogę się dowiedzieć - powiedział. - Ale nie jestem pewien, czy  
to dobry pomysł.

- Nie pytam cię o zdanie - odparła gniewnie. - To moja sprawa.  
Nie miałam okazji się z nimi pożegnać. Muszę to zrobić, a dopiero  
potem zajmę się czym innym.

Przyjrzał się jej uważnie.

- W takim razie pojedziemy tam natychmiast. - Odwrócił się.

- Ubieraj się. Zarezerwuję lot i powiem Joelowi, że oddam cię  
Tani dopiero jutro.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Chcesz jechać teraz?
- Do Des Moines mamy tylko jeden skok. A tobie bardzo na tym zależy.
- Ale nie musisz mi towarzyszyć.
- Rzeczywiście. - Odsunął się o krok. - Załatwię parę telefonów i przyjadę po ciebie za godzinę.

Spokojne ogrody.

Dlaczego wejścia na cmentarz mają zawsze łukowate sklepienia? - pomyślała ponuro. Może dlatego, by przywodziły na myśl niebiosa i bramy raju.

- W porządku? - spytał Nicholas, jadąc wynajętym autem cmentarną aleją.

- Tak - skłamała. Nie ogarnęło jej odrętwienie, na które tak bardzo liczyła. Znow wrócił koszmar. I ból. Straszny. Nieunikniony.

Zahamował przed domkiem dozorca.

- Zostań, zaraz wrócę.

Chciał się dowiedzieć o położenie grobów.

*JUL*

Wsiadł z powrotem do samochodu.

- Zaraz za tym wzniesieniem.

W kilka minut później prowadził ją między alejkami. Zatrzymał się przy słupku z brązu.

- Tutaj.

JILL MEREDITH CALDER

*Raz do góry hop, hop, hop, Tam gdzie niebo  
błękitnieje...*

Zachwiała się, a Tanek chwycił ją za łokieć.

- Jej tu nie ma - powiedział gniewnie. - Została w twoim sercu i pamięci. Tam właśnie jest twoja Jill. Nie tutaj.

- Wiem. - Przełknęła ślinę. - Nie zemdleję. - Wyprostowała plecy i zrobiła kilka kroków w stronę bardziej ozdobnego obelisku.

RICHARD ANDREW CALDER UKOCHANY SYN  
EDNY CALDER

Ani słowa na temat Nell czy Jill. Edna odzyskała syna już po jego śmierci. Zresztą wcale go nie straciła. Richard nigdy nie należał do żony.

Żegnaj, Richardzie.

- Bardzo dużo kwiatów - zauważył Nicholas.

Na grobie Richarda piętrzyły się bukiety wszelkich możliwych kwiatów. Świeże bukiety. Powędrowała spojrzeniem na mogiłę Jill. Nic.

Niech cię piekło pochłonie, Edno.

Tanek nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- Niezbyt kochająca babcia.

- Ona nie jest babką Jill. - Nie chciała pozwolić, by przypisywano tej wiedźmie jakiegokolwiek prawo do jej dziecka. - Jill nie była córką Richarda. - Odwróciła się i odeszła od grobów.

*Żegnaj, Jill. Przykro mi, że to ona musiała się tym zająć. Przepraszam cię za wszystko. Boże, jak bardzo mi żal...*

- Chcę, żeby na jej grobie co tydzień leżały świeże kwiaty - powiedziała szybko. - Dopilnujesz tego, Tanek?

- Dopilnuję.

- Nie mam na razie za wiele pieniędzy. Będę musiała się skontaktować z prawnikami matki i wtedy...

- Zamknij się - odparł szorstko. - Powiedziałem, że się tym zajmę.

Jego grubiański sposób bycia wpływał na nią kojąco, podczas gdy uprzejmość jeszcze bardziej by ją rozdrażniła. Przy nim nie musiała niczego udawać. Zresztą Tanek i tak nie dałby się zwieść pozorom.

- Chcę stąd wyjechać. Jest jakiś wieczorny lot?

- Już zarezerwowałem dwa miejsca.

- Sądziłam, że zostaniemy do rana.

- Jeśli tylko się zgodzisz, to nie. Nienawidzę pożegnań. Popelniliśmy błąd.

- Mylisz się. Musiałam tu przyjechać.

Z twarzy Taneka zniknął powoli gniewny wyraz.

- Może i musiałaś - powiedział zmęczonym tonem, otwierając drzwiczki samochodu. - Skąd ja mam to niby wiedzieć?

Wrócili do Minneapolis po północy. Ktoś na nich czekał.

- Jamie Reardon, Nell Calder - powiedział Nicholas. - Dziękuję, że przyszedłeś, Jamie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Wbił zdumione spojrzenie w Nell. - Jest pani prawdziwą pięknoscią, wie pani o tym, prawda?

Jego irlandzki akcent działał na nią równie kojąco jak ostre rysy twarzy. Uśmiechnęła się.

- Nie pięknoscią, tylko żywym dowodem talentu doktora Liebera.

- To właściwie to samo. - Zrównał z nimi krok. - Jeśli wstąpi pani do mnie do pubu, chłopcy z pewnością zaczną układać o pani wiersze.

- Wiersze? Sądziłam, że poezja to zapomniana sztuka.

- Nie dla Irlandczyków. Wystarczy nam odrobina inspiracji, by stworzyć wiersz poruszający duszę. - Odwrócił się do Nicholasa. - Dzwonił do mnie nasz kumpel z Londynu. Może coś dla nas ma. Mówił, że chce, żebyście się z nim skontaktowali.

- Zaraz to zrobię. - Tanek wyszedł na parking. - Zostawimy Nell u Liebera,

- Nie dziś - zaprotestowała. - Jest za późno. Oczekują mnie dopiero jutro. Przenocuję w hotelu.

Skinął ze zrozumieniem głową.

- W takim razie wynajmiemy ci pokój w naszym hotelu.

- Wszystko jedno gdzie. - Londyn. Powinna chyba zapytać Taneka o ten telefon z Londynu. Nie, była zbyt wyczerpana, a ponadto nie wierzyła, że uzyska odpowiedź. Ogarnęło ją zbawienne odrętwienie, ale niestety za późno. - Mogę zamieszkać tam gdzie wy. Dziękuję.

Jamie otworzył przed nią drzwiczki auta.

- Chyba jest pani bardzo zmęczona. Ale w ciągu godziny położymy panią do łóżka.

- Jestem zmęczona. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Dziękuję, że pan po nas przyjechał mimo tak późnej pory.

- Mam na imię Jamie. I to żaden kłopot. Zawsze odbieram Nicholasa z lotniska. On nie lubi taksówek. Nigdy nie wiadomo, kto nimi kieruje.

Przeszedł ją dreszcz. Jak się żyje w świecie, w którym każdy jest podejrzany?

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz - odezwał się Nicholas. - Nawet nie masz o tym pojęcia.

W tych słowach kryło się tyle gniewu, że aż się zdziwiła. Nie chciała jednak podejmować tematu. Nie zniosłaby kłótni. Oparła się tylko wygodniej i przymknęła oczy.

- Porozmawiamy kiedy indziej, jeśli pozwolisz.

- Co za uprzejmość! Gardeaux też ma świetne maniery. Użyje pięknych słów, a potem każe Maritzowi poderżnąć ci gardło.

- Nick, ona chyba... - zaczaj Jamie. - Nie sądzisz, że mógłbyś z tym poczekać?

- Nie - odparł krótko Nicholas.

Jednak była tchórzem. Z trudem zmusiła się do otwarcia oczu.

- Mów wszystko, co chcesz. Patrzył na nią przez chwilę.

- Później.

Odwrócił się i wyjrzał przez okno.

Nicholas wynajął jej pokój niedaleko apartamentu, który dzielił z Jamiem.

Jamie otworzył drzwi od swojej sypialni i odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Wyśpij się dobrze. Ja nie sądzę, żeby mi się udało. Będę układał wiesz, jaki złożę rano na progu twojej komnaty, pani.

- Udaje - mruknął Nicholas, idąc dalej korytarzem. — Zaśnie za dziesięć minut.

- On nie wie, co to dusza - westchnął Jamie. - Wszystko

dlatego, że mieszka z owcami i innymi prymitywnymi stworzeniami.

- Dobranoc, Jamie - uśmiechnęła się Nell.

Nicholas otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Pozapalał światła, sprawdził termostat.

- Jadłeś obiad przed wyjazdem z kliniki?

Podszedł do telefonu i wystukał numer.

- Zupa jarzynowa, mleko, owoce. - Spojrzał na nią pytająco. - Coś jeszcze?

- Nie jestem głodna.

- To wszystko. - Odkładając słuchawkę, uśmiechnął się krzywo. - Ale i tak zjesz. Bo przecież musisz być silna. A siła, o ile się nie mylę, stała się twoją religią.

- Tak, zjem. Czy teraz już pójdziesz?

- Dopiero, jak przyniosą kolację. Uśmiechnęła się słabo.

- Bo nigdy nie wiadomo, kto pcha wózek z jedzeniem, prawda? Nie odpowiedział.

Rozejrzała się po dużym, przestronnym pokoju. Szary dywan, elegancka kanapa w złoto-zielone pasy, złote aksamitne kotary zasłaniające francuskie okno. Okno, które wychodzi na balkon.

*Balkon.*

Usłyszała, jak Nicholas głęboko wciąga powietrze.

- Zapomniałem, że wszystkie pokoje z tej strony mają balkony. Mam poprosić w recepcji o zamianę?

Boże, zupełnie nie była na to przygotowana... Najchętniej wybuchnęłaby płaczem i weszła pod łóżko. Ale nie mogła się ukrywać. Koniec z zabawą w chowanego.

- Oczywiście że nie. - Zapanowała nad sobą i podeszła do okna. - Otwiera się?

- Tak.

- Mieszkałam w wielu hotelach, gdzie wejścia na balkon są na stałe zamknięte. Chodzi prawdopodobnie o to, by uniknąć wypadków, ale Richard strasznie tego nie lubił. - Paplała jak



nakręcona, żeby tylko nie myśleć. - On kochał widoki z balkonów. Mawiał, że dodają mu energii.

- Może kojarzyły mu się z Peronem albo Mussolinim machającymi do tłumów.

- Jesteś nieuprzejmy.

- Bo nie mam ochoty na kurtuazję. Do jasnej cholery! Odejdź stamtąd!

Kiedy otworzyła drzwi prowadzące na taras, ostry wiatr uderzył ją w twarz. Na Medas było inaczej - pomyślała. Inny, mały balkonik, inny widok. Żadnych skał czy fal. Podeszła bliżej do balustrady, po czym spojrzała na światła i samochody pędzące ulicą niczym świecące żuki.

Dwie minuty. Za dwie minuty zdecyduje się wrócić do środka.

Pozytywka grała...

*/ spadamy w dół, w dół, w dół...*

- Dosyć. - Nicholas chwycił ją za rękę i wciągnął do pokoju, po czym szybko zatrzaskał balkon.

Wciągnęła głęboko powietrze i odczekała chwilę, by zapanować nad drzeniem głosu.

- Po co? Sądziłeś, że skoczę?

- Nie. Chcesz sprawdzić, ile wytrzymasz. Musisz sobie udowodnić, jaka jesteś silna. Nie wystarczyła ci wizyta na grobie córki. Dlaczego po prostu nie włożyłaś ręki do ognia?

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Bo nie miałam go pod ręką.

- To wcale nie jest śmieszne.

- Nie. - Skrzyżowała ręce na piersiach, aby powstrzymać drzenie. - Niczego nie sprawdzałam. Nic nie rozumiesz.

- W takim razie wytłumacz.

- Bałam się, że nigdy nie będę dzielna. Ale teraz nie mogę już sobie pozwolić na strach. A jeśli chcesz przestać się czegoś bać, to musisz z tym stanąć twarzą w twarz.

- Dlatego poszłaś na cmentarz?

- Nie. Z innego powodu.

*Przepraszam, JUL Wybacz mi.*

Poczuła przyływ paniki. Doznała wrażenia, że się rozpuszcza. Odwróciła się do Taneka.

- Chcę, żebyś wyszedł. Nie boję się tego biednego kelnera z obsługi i obiecuję, że nie wyskoczę przez okno.

Położył jej ręce na ramionach.

Zesztywniała.

Odwrócił ją twarzą do siebie.

- Nie wyjdę.

Patrzyła tępo na jego tors.

- Proszę - szepnęła.

- W porządku. - Wziął ją w ramiona. - Odnoszę wrażenie, że jesteś zrobiona ze szkła. Uspokój się. Ja nie jestem nikim ważnym. Po prostu jestem.

Stała spięta, patrząc przed siebie tępym wzrokiem.

*Raz do góry hop, hop, hop...*

Głowa opadła jej powoli na pierś mężczyzny. Przytulił ją mocniej. Bez czułości. Tak, jak mówił, po prostu był. Blisko. Żył. I działał na nią uspokajająco.

Stała tak dłuższą chwilę, po czym się cofnęła.

- Nie chciałam się narzucać. Proszę mi wybaczyć.

Uśmiechnął się.

- Znowu te wyszukane maniery. To twoja pierwsza charakterystyczna cecha, jaką udało mi się zauważyć. Nauczyłaś się ich na kolanach u mamy?

- Nie, matka wykładała matematykę i nie miała czasu. Wychowała mnie babcia.

- Umarła, kiedy skończyłaś trzynaście lat.

Zdziwienie trwało zaledwie chwilę. Potem przypomniała sobie dossier, jakie zebrał na jej temat.

- Masz dobrą pamięć. I dokładne dane.

- Ale nie wiedziałem, że Jill nie była córką Caldera.

Zesztywniała, ale natychmiast sobie uświadomiła, że to już nieważne. Jill i rodzice nie żyli. Nie musiała nikogo chronić, nikomu ulegać. Równie dobrze mogła powiedzieć Tanekowi prawdę. Wszystko inne o niej wiedział.

- Moi rodzice skrzętnie to ukryli. Chcieli, żebym zrobiła skrobankę, ale kiedy odmówiłam, postanowili stawić czoło temu problemowi.

- Kim był jej ojciec?

- Nazywał się Bill Wazinski, studiował na wydziale sztuki. Poznałam go w William i Mary.

- Kochałaś go?

Czy go kochała?

- Wtedy wmawiałam sobie, że tak. - Potrząsnęła głową. - Na pewno go pożałowałam. Miłość? Chyba jednak nie. Kochaliśmy życie, seks i te wszystkie piękne płótna, które uważaliśmy za arcydzieła. Po raz pierwszy znalazłam się z dala od rodziny i byłam pijana wolnością.

- A ten Wazinski nie chciał brać na siebie odpowiedzialności.

- Nic mu nie powiedziałam. Myślał, że zażywam pigułki. Jego ojciec był górnikiem z Zachodniej Wirginii, a Bill studiował dzięki stypendium. Po co miałam niszczyć życie jemu i sobie? Kiedy zorientowałam się, że jestem w ciąży, pojechałam do domu do rodziców.

- Aborcja byłaby niewątpliwie łatwiejszym rozwiązaniem.

- Ja jednak tego nie chciałam. Pragnęłam tylko skończyć college i dostać pracę. Moi rodzice nie wyrazili zgody - dodała gorzko. - Nie mogliby znieść takiego wstydu.

- W naszych czasach?

- Ach, oni oczywiście uważali się za liberałów. Ale cenili kontrolę urodzin. Uważali, że dzieci muszą mieć oboje rodziców, a życie należy starannie planować. Ja natomiast złamałam dobre obyczaje, wracając do nich w ciąży. Powinnam była zrobić zabieg lub wyjść za mąż za ojca dziecka.

- Przecież Jill przyszła na świat w rok później...

- Siedem miesięcy. Mówiłam ci, że rodzice zrećnie zatuszowali skandal. W dwa miesiące po przyjeździe do Greenbiar poślubiłam Richarda. Richard pracował jako asystent mego ojca i wiedział, że jestem w ciąży. - Uśmiechnęła się smutno. - Nie mógł nie wiedzieć. Narobiłam niezłego zamieszania. Rodzice nie

byli przyzwyczajeni do tego, że o cokolwiek walczę. A on zaproponował, że się ze mną ożeni i wyjedziemy.

- Co otrzymał w zamian?

- Nic. - Napotkała jego spojrzenie. - Richard... Richard nie był karierowiczem, choć z pewnością tak sądzisz. Nic na tym małżeństwie nie zyskał. Oczywiście, oprócz dziecka innego mężczyzny oraz żony, która nieraz wprawiała go w zażenowanie. A mnie do roli żony biznesmena predestynowało wyłącznie pochodzenie.

- Tego wieczoru, kiedy cię poznałem, świetnie sobie radziłaś.

- Akurat - mruknęła. - Nawet ślepiec by zauważył, że jestem nieśmiała i równie komunikatywna jak Godzilla. Nie udawaj, że nie pamiętasz.

Uśmiechnął się.

- Uznałem cię za bardzo sympatyczną kobietę. I tylko tyle pamiętam. - Milczał chwilę. - Zauważyłem również twój niezwykle uśmiech.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Rozległo się pukanie.

- Obsługa hotelowa. - Tanek odwrócił się i podszedł do drzwi.

Latynoska w średnim wieku szybko postawiła tacę z jedzeniem obok francuskiego okna i uśmiechnęła się pogodnie, gdy goście podpisywali rachunek.

- Niespecjalnie groźna - powiedziała sucho Nell po jej wyjściu.

- Nigdy nic nie wiadomo. - Nicholas rozejrzał się po pokoju. Zamknij dobrze pokój i nie otwieraj nikomu oprócz mnie lub Jamiego. Przyjdę o dziewiątej rano.

Zatrzasnął za sobą drzwi.

To nagłe odejście zdziwiło ją równie mocno, jak całe zachowanie Taneka.

- Zamknij - powtórzył już xza ściany. Poczwała nagły przypływ irytacji.

- Dobrze.

I już go nie było. Nie słyszała wprawdzie oddalających się kroków, ale przestała również wyczuwać jego obecność. Ode-

tchnęła z ulgą. Wolała być sama. Nie życzyła sobie również, żeby Nicholas jechał z nią na cmentarz. Sama chciała stawić czoło temu koszmarowi.

A już z pewnością nie zamierzała mu się z niczego zwierzać. Gdyby okazał jej litość, nie mogłaby go znieść. Ale on zachowywał się równie bezosobowo i elastycznie jak poduszka. Pomyślała, że tak energiczny mężczyzna jak Nicholas nie byłby zachwycony tym porównaniem. Może jednak w końcu dobrze się stało, że przerwała milczenie? Kiedy zaczęła mówić, odniosła wrażenie, że wychodzi z cienia na słońce. Bez wstydu. Bez chowania się po kątach. Z ulgą.

Znowu podeszła do stołu. Nie miała apetytu, ale postanowiła zjeść kolację. Potem chciała wziąć prysznic i położyć się do łóżka w nadziei, że zmęczenie pozwoli jej zasnąć. I nie śnić.

Usiadła przy stoliku na krześle stojącym na wprost balkonu i zabrała się do jedzenia.

JVlam coś dla ciebie - powiedział Nigel Simpson podnosząc słuchawkę. - Wiem, dlaczego dokonano zamachu.

- Dlaczego? - spytał Nicholas.

- Przyjedź, to ci powiem. I weź ze sobą dwieście tysięcy dolarów w gotówce.

- Wykluczone - powiedział cicho Nicholas.

- Muszę się zmywać. Chyba ktoś mnie obserwuje - wybuchnął Nigel. - Wszystko przez ciebie. Pracuję dla Kablera już ponad rok i nikt mnie nie podejrzewał. To niesprawiedliwe, że muszę uciekać.

- Jedyna zapłata, jaką ode mnie otrzymasz, to milczenie.

- Mówię ci, że potrzebuję pieniędzy na...

- Podobno pieniądze od Kablera odkładasz na konto w banku szwajcarskim. Wystarczy na nowe życie w jakimś tropikalnym raj.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

- Sto tysięcy dolarów i dam ci księgi Gardeaux.

- A po co mi księgi? Sam mówiłeś, że nic z nich nie wynika.

- Chyba że je połączysz z rejestrami Pardeau. Dopiero wtedy otrzymasz pełny obraz.

- Kto to jest Pardeau?

- Francois Pardeau, St. Germain 412. Księgowy z Paryża.

Widzisz, jaki jestem pożyteczny? Ta informacja nie kosztowała cię ani centa.

- Księgi mogą się okazać zupełnie bezużyteczne. Nie chcę wsadzić Gardeaux za kratki.

- Ale Kabler o tym marzy. Mogę z tym pójść do niego.

- Nie próbuj nas skłócić, Simpson. Jeśli potrzebujesz pieniędzy natychmiast, to wiesz, że na Kablera nie możesz liczyć. Niełatwo uzyskać tak gigantyczną łapówkę od skomplikowanej maszyny biurokratycznej.

- Chcesz dostać te książki czy nie?

- Owszem. Za pięćdziesiąt tysięcy, fałszywy paszport, dokumenty i eskortę z Anglii. Pasuje?

- To za mało. Powinienem...

- Jeśli spróbujesz sam sobie załatwić papiery, Gardeaux natychmiast się o tym dowie. Zginiesz marnie, kolego.

Simpson milczał chwilę.

- Kiedy?

- Jamie potrzebuje doby na przygotowania. Wylecę stąd jutro rano i przyjdę do ciebie o północy.

- Nie, nie przychodź. Nie chcę, żeby cię ktoś tutaj zobaczył. Pojutrze o dziesiątej wrzucić pieniądze i całą resztę do puszek na datki dla biednych w kościele Świętego Antoniego.

- Bez ksiąg, bez informacji? Obawiam się, że nie stać mnie na taką wspaniałomyślność.

- W skrzynce będzie klucz do pewnego ważnego schowka, który znajduje się na przystanku autobusów turystycznych Thompsona w Bath.

- Ale to ponad godzina drogi z Londynu.

- Nic więcej nie mogę zrobić. Na stacjach i przystankach w Londynie nie ma szafek z powodu IRA.

- Bardzo wygodne!

- Ja ponoszę największe ryzyko - powiedział ochryplym głosem Simpson. - Ktoś może mnie przecież śledzić.

- To masz jak w banku już od chwili, kiedy podejmiesz pieniądze, aż do czasu gdy zatelefonuję do Jamiego i powiem, że

odebrałem paczkę. Wtedy on wysze za tobą faceta, który dopilnuje, żebyś bezpiecznie znalazł się w drodze - zakończył Tanek i odłożył słuchawkę.

- Księgi? - spytał Jamie z przeciwległego kąta pokoju.

- Simpson trzęsie tyłkiem. Chce sprzedać księgi Gardeaux i informacje na temat Medas za okrągłą sumkę oraz pomoc w ucieczce.

- Po co ci te księgi?

Nicholas wzruszył ramionami.

- Może nie będę ich potrzebował. To tylko próba. Muszę zdobyć dostęp do papierów księgowego z Paryża, a dopiero potem połączyć je z materiałami Simpsona.

- To po co je kupujesz?

- Bo takie szaleństwo czasem popłaca. Jeszcze nigdy nie zbliżyliśmy się tak bardzo do Gardeaux. No a poza tym chcę wiedzieć, dlaczego on uderzył na Medas.

- Życzysz sobie również, żebym się zakrzętnął wokół papierów Simpsona. - Wstał i podszedł do telefonu. - Znów tkwię w szponach pragmatycznego świata! Fatalnie. A już układałem odę na cześć przepięknych oczu Nell.

Posiadłość Joela Liebera przypominała Nell budynek zaprojektowany przez Franka Wrighta, który widziała na zdjęciu w magazynie ilustrowanym. Skaliste wzniesienia, ogrody i maleńki wodospad na rwącym, połyskującym strumieniu stanowiły wsporniki dla nowoczesnej szklanej bryły.

- Piękny - szepnęła Nell, wysiadając z samochodu.

- Nic dziwnego - mruknął Nicholas, prowadząc ją do wejścia. - Powstał dzięki pięknu.

- Tania twierdzi, że Joel prowadzi szeroko zakrojoną działalność charytatywną.

- Ja go wcale nie krytykuję. Jestem kapitalistą. Każdy ma prawo do hojnego wynagrodzenia za swoją pracę.

- Cześć, Nicholas. Miło cię widzieć.



Nell odwróciła się ze zdziwieniem w stronę Phila. Chłopak wyszedł właśnie z ogrodu z motyką w ręku, ubrany w dżinsy i podkoszulek.

- Co ty tu robisz?

Uśmiechnął się radośnie.

- Nicholas uważa, że powinienem być na miejscu, w razie gdyby mnie pani potrzebowała. A doktor Lieber pozwolił mi na razie pracować w ogrodzie. Ukończyłem college dzięki pracy w szkółce. Sprzedawałem sadzonki. Miło jest znowu otoczyć się roślinami. - Ruszył przed siebie brzegiem strumienia. - W razie czego proszę wołać. Przybiegnę natychmiast.

Nell odwróciła się do Nicholasa-

- Przecież wiesz, że nie będę miała żadnego kryzysu.

- Nigdy nie wiadomo. - Zmienił temat. - Joel twierdzi, że chciałaś rozpocząć procedurę mającą na celu unieważnienie aktu zgonu. Dlaczego mi o tym nie wspomniałaś?

- Bo zmieniłam zdanie.

- To dobrze. Czy wolno mi wiedzieć, z jakiego powodu?

- Uznałam, że tak będzie lepiej. Będę się nazywała Eve Billings. Potrzebuję prawa jazdy i paszportu na to nazwisko. Możesz mi w tym pomóc?

- Dostaniesz wszystko za kilka dni.

- No i jeszcze finanse... Czy mógłbyś otworzyć mi konto do czasu, gdy zacznę znów rozporządzać własnymi pieniędzmi? Oczywiście podpiszę weksel.

- Pewnie, że podpiszesz. Niewykluczone, że odbiorę sobie długi z twojego majątku, jeśli nadal będziesz tak uparcie próbowała się zabić.

- Dostanę te pieniądze od razu?

- Zatelefonuję i przeleję gotówkę do banku Joela na nazwisko Eve Billings jeszcze dziś rano. A dokumenty otrzymasz pocztą.

- Dzięki. Kabler zbyt łatwo mnie odszukał. Czy nie powinnam się obawiać, że Maritz dotrze do szpitalnych danych?

- Nie.

Powiedział to z absolutnym przekonaniem. Zapewne usunął przeciek - pomyślała.

- A co z dokumentami dotyczącymi mojej operacji?

- Wszystkie, oprócz tych, które Joel trzyma tutaj, są zniszczone. Każę mu jednak pozbyć się nawet tych resztek.

- Świetnie. - Nacisnęła dzwonek. - Powiedziałam, że już nigdy cię o nic nie poproszę. To był właśnie ostatni raz. Żegnaj, Tanek.

- Po co ten patos? Jeszcze się zobaczymy. Oczywiście pod warunkiem, że nie skończysz na cmentarzu.

- Jesteś! - Tania otworzyła drzwi na oścież i uśmiechnęła się szeroko. -1 Nicholas też. To dobrze. Wejdźcie i przekonajcie się na własne oczy, jakich tu cudów dokonałam.

- Innym razem. Bardzo się spieszę. - Uśmiechnął się do Tani. - Muszę zdążyć na samolot. Do zobaczenia.

Nell odprowadziła go wzrokiem do auta. Po raz pierwszy wspomniał o podróży. Czyżby wybierał się do Londynu?

- Wejdz. - Tania wciągnęła ją do korytarza. - Chcę ci pokazać...

- Cuda - dokończyła za nią Nell. - Ale już na zewnątrz było wystarczająco ładnie.

- Ale zimno. Joel jest chirurgiem i lubi wyraźne, czyste kształty. A wewnątrz musi przecież być ciepłe, a nie zaplanowane z chirurgiczną precyzją. Dom powinien być żywy i kolorowy.

- To ci się z pewnością udało. - Krzesła i kanapy stojące w pokoju, choć zdecydowanie nowoczesne, miały luksusowe obicia w kolorze wielbłądziej sierści. Wszędzie porozrzucano wiśniowe, beżowe i pomarańczowe poduszki. Paski, wzory kwiatowe i gobeliny, które powinny się ze sobą kłócić, tworzyły przytulną, choć nieco egzotyczną całość. Kremowy dywan pokrywający dębową podłogę dodawał pokojowi spokojnego ciepła. - Jest naprawdę ślicznie.

- Moja babka twierdziła, że najtwardsze podłoże może okazać się miękkie, jeśli rozłożymy odpowiednio dużo poduszek. - Skrzywiła się. - No, oczywiście trudno doszukać się tu głębokiej filozofii, ale musisz przyznać, że miała rację.

- Twoja babka Cyganka?

Przytaknęła.

- Powinnaś była zobaczyć ten dom przed moim przybyciem. Był zimny i nowoczesny. - Wzruszyła ramionami. - Nie odpowiedni dla Joela. To człowiek, który nie zechce ciepła, o ile nie zostanie w nie wrzucony. - Uśmiechnęła się pogodnie. - Więc go wrzuciłam.

- Niezwykły projekt. Myślałaś o studiach plastycznych?

Potrząsnęła głową.

- Jesienią wybieram się na uniwersytet, ale zamierzam studio wać literaturę. - Podeszła do drzwi. - Chodź, pokażę ci pokój. Jest tuż nad wodą i sędzę, że ten szum okaże się niezwykle kojący. - Pobiegnęła krętymi schodami na górę. - Dobry?

Jeszcze więcej barw - złocistości, rudości, bordo - studium kolorów jesieni. Łóżko okryte zieloną kapą. Bluszcz w pojemnikach z brązu, wysokie, dumne chryzantemy w kryształowym wazonie. Bogato zdobione, skórzane tomy na niskiej półce.

- Świetny.

- Tak mi się też wydawało - powiedziała Tania z zadowoleniem. - To niebieski podobno działa uspokajająco, ale sądziłam, że ci się tu spodoba. Poprosiłam Phila o przyniesienie chryzantem.

Nell była wyraźnie wzruszona.

- Zadałaś sobie tyle trudu. Przecież nie zostanę tu długo.

- Na tyle długo, żeby ci było dobrze w moim domu - powiedziała Tania. - Zostawię cię teraz samą. Wypocznij przed obiadem i przymierz ubrania z szafy.

- Jakie ubrania?

- Te, które kazałam przysłać od Daytona wtedy, kiedy tak paskudnie mnie potraktowałaś.

Nell spojrzała na nią z przerażeniem.

- Nie wspominałaś o ubraniach.

- A co miałam robić? - Ruszyła do drzwi. - Nie lubię marnować czasu, więc musiałam sobie znaleźć jakieś zajęcie.

- Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

- Po co? Postąpiłaś okropnie, więc musiałam w tobie wzbudzić poczucie winy. Nie powinnaś była myśleć, że poradziłam sobie bez ciebie - zakończyła, zamykając za sobą drzwi.

Nell uśmiechnęła się mimowolnie. Tania przypominała jej ciepły, nieoczekiwany wiatr, zwiewający z drogi każdą napotkaną przeszkodę.

Zerknęła na szafę. Później.

Podeszła do okna. Szum pobliskiego wodospadu okazał się tak kojący, jak obiecywała Tania. Przy strumyku klęczał Phil pracując przy klombie żółtych róż.

Richard zawsze przynosił jej żółte róże. Wiedział, jakie drobne gesty mogą uszczęśliwić kobietę i sprawić, by poczuła, że jest wyjątkowa. Sally Brenden świata poza nim nie widziała. No ale Richarda wszyscy uwielbiali.

A teraz go nie ma. Dlaczego nie opłakiwała jego śmierci?

Cierpienie po stracie Jill tak zniszczyło Nell, że dla Richarda pozostał jedynie wyblakły cień żałoby. Czyżby nie kochała męża? Czyżby tylko sobie wmówiła, że wdzięczność i przywiązanie równają się miłości? Sama już nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Dlatego nie miała pretensji do teściowej o to, że nie wymieniła jej imienia na tablicy pamiątkowej. Nell próbowała obdarzyć Richarda uczuciem, na jakie zasługiwał, ale tylko Edna prawdziwie go kochała.

Phil odwrócił głowę od klombu i zerknął na dom. Widocznie sprawdzał, czy nie wyszła. Trzymał ją z dala od terytorium, które Nicholas uznał za swoją wyłączną własność. Niepotrzebnie się martwił. Jak słusznie zauważył Tanek, Nell nie była jeszcze gotowa, by wystąpić przeciwko Gardeaux i Maritzowi, a podejmując walkę należy zawsze wierzyć w zwycięstwo.

Niemniej jednak nie zamierzała pozostawać pod nieustanną kontrolą. Musiała trochę pomyśleć. Świtał już jej wprawdzie w głowie pewien pomysł, ale potrzebowała niezwykle dokładnego planu, aby go urzeczywistnić.

Ni gela ogarnęła panika. Ktoś z pewnością go śledził. Zerknął za siebie. Nikogo. Przyspieszył kroku. Cisza. Może jednak się mylił?

Nie, cholera. Wyczuwał kogoś za sobą od chwili, gdy wyszedł z kościoła.

Już dochodził do mieszkania Christine. Wbiegł na górę i zadzwonił.

Czyżby tam, po drugiej stronie ulicy, mignął mu jakiś cień?

- Słucham? - powiedziała Christine do domofonu.

- Wpuść mnie. Natychmiast.

Otworzyła. Nigel wszedł szybko do środka i zatrzaskał za sobą drzwi.

- Co się stało, kochanie? - Christine opierała się o poręcz, rozchylając usta w przepięknym, złośliwym uśmiechu. - Taki jesteś napalony?

- Tak. - Miał na nią ochotę, zanim jeszcze zaczął podejrzewać, że ktoś za nim łązi. Christine nie była wprawdzie nikim szczególnym, ale Nigel znał niewiele kobiet obdarzonych równie ogromnym talentem w dziedzinie seksu. Przed wyjazdem pragnął z nią spędzić choć jeden wieczór. Teraz jednak pomyślał, że powinien był raczej wśliznąć się w mysią dziurę i spokojnie tam przeczekać aż do rana, kiedy to miał ponownie odwiedzić kościół Świętego Antoniego.

- W takim razie wejdź na górę. Przygotowałam dla ciebie coś specjalnego. Nową zabawkę, którą ukarzę niegrzecznego chłopca.

Poczuł bolesną erekcję. Nową zabawkę. Po afrodyzjaku, jaki mu ostatnio zaaplikowała, miał wytrysk jak gejzer. Zerknął na drzwi. Jeśli ktoś się przyczyił na ulicy, bardziej niebezpiecznie było wyjść niż zostać. Mógł równie dobrze przeczekać u Christine, jak gdzie indziej. Cały budynek składał się tylko z dwóch mieszkań, a właściciel bliźniaczego apartamentu przebywał za granicą.

- Chodź! - ponagliła. - Przestań się guzdrać, bo pożałujesz.

Ogarnęło go podniecenie. Wyobrażał sobie, jak przed nią klęczy, zanurzony w ciemnym, gorącym wnętrzu. Szybko ruszył po schodach.

Oprócz dziesięciocentymetrowych szpilek nie miała na sobie nic. Była naga, wysoka, władcza. Cofnęła się w głąb mieszkania.

- Ile razy mam ci powtarzać, że musisz słuchać od razu?  
- Przykro mi. Zasłużyłem na karę. - Wszedł za nią do środka. - Mogę to zobaczyć?  
- Uklęknij.  
Natychmiast padł przed nią na kolana.  
- Bardzo dobrze. - Rozsunęła nogi i popatrzyła na niego z góry. - Co chcesz obejrzeć?  
- Zabawkę. Nową zabawkę.  
Zanurzyła dłonie we włosach Nigela i odgięła mu głowę do tyłu. Targnął nim ból.  
- Poproś ładnie.  
- Pani, czy mogę zobaczyć zabawkę? - szepnął.  
- To wszystko, czego sobie życzysz? Tylko popatrzeć? Nie chciałbyś, żebym ją na tobie wypróbowała?  
- Będzie bolało?  
- Bardzo.  
Drżał na całym ciele. Zawsze za pierwszym razem tak się czuł, ale nie wolno mu było skończyć, dopóki Christine nie wyraziła zgody.  
- Jeśli sprawi ci to przyjemność, to ją wypróbuj.  
- Pewien jesteś?  
Przytaknął.  
- A więc tak się stanie. - Usta Christine wykrzywił okrutny uśmiech. - Ale ja nie będę sobie tobą brudzić rąk. Niech ktoś inny pokaże ci zabawkę.  
- Ktoś inny? Przecież nikt...  
Plecę Nigela przeszył potworny ból. Chryste! Cóż to takiego? Pochodnia? Nie mógł znieść tej męki. Wczepił się kurczowo w biodra Christine. Cofnęła się gwałtownie, a on opadł na dywan.  
- Nie wytrzymam... - jęknął. - Zabierz....  
Christine patrzyła na kogoś stojącego z tyłu.  
- Obiecałeś, że to będzie szybka i czysta robota, Maritz. A on zakrwawi mi cały dywan.  
- Gardeaux kupi ci nowy.

- Wynieś go stąd. Kończ.
- Nie! - zaskowyczał Nigel. Nikt go nie śledził. Maritz po prostu na niego czekał.
- Za chwilę.
- Dokończ, bo powiem Gardeaux, że znowu się chciałeś podelektować i podjąłeś niepotrzebne ryzyko.
- Dziwka!  
Dokończył.

Kjucz leżał w skrzynce na datki.

Zanim Nicholas schował go do kieszeni, przyglądał mu się przez chwilę. Klucz jak klucz. Mógł na przykład pasować do mieszkania Nigela.

Włożył do skrzynki dokumenty oraz gotówkę, po czym natychmiast wyszedł z kościoła.

Pomachał Jamiemu siedzącemu w czarnym rollsie, wsiadł do wynajętego auta, zawrócił i skierował się do Bath.

Mam księgi - powiedział Nicholas do telefonu komórkowego. - Chyba są prawdziwe, ale jeszcze ich dokładnie nie obejrzałem. Będę miał na to czas w drodze do Stanów.

- Bardzo się dziwię - powiedział Jamie. - Sądziłem, że Simpson chciał nas wykołować, a potem obudziły się w nim resztki poczucia przyzwoitości.

-■ Dlaczego?

- Bo nasz czaruś nie zgłosił się po nagrodę,

- Co takiego?

- Nie przyszedł do kościoła. Co mam zrobić z pieniędzmi? Skrzynkę dla biednych opróżniają codziennie o ósmej.

Nicholas przeanalizował sytuację. Dochodziła piąta i szanse na to, że Simpson spóźnił się na wymianę, były niewielkie. Chyba że Gardeaux włączył się do sprawy.

Ale jeśli Simpson zginął, Nicholas nie powinien był dostać

ksiąg, a trzymał je w ręku. Przecież Gardeaux wycisnąłby z Nigela wszystkie informacje, zanimby go zabił.

Chyba że nic o tym nie wiedział. Istniało pewne prawdopodobieństwo, że odkrył wyłącznie kontakty Simpsona z Kablerem.

- Słyszałeś? - spytał Jamie. - Co mam zrobić z...

- Słyszałem. Zostań jeszcze pół godziny. Obserwuj uważnie mieszkanie Simpsona i skontaktuj się ze mną natychmiast, jak go zobaczysz.

- Cholerna strata czasu. Obaj wiemy, co się przydarzyło temu biednemu sukinsynowi.

- Dwadzieścia cztery godziny. Umowa to umowa.

Może kawy?

Uśmiechnął się do stewardesy i potrząsnął głową.

- Później.

Otworzył pierwszą księgę, kiedy tylko dziewczyna odeszła w stronę dziobu. Przejrzał uważnie zapiski. Nie rozpoznał żadnej z nazw firm. Prawdopodobnie Simpson posłużył się szyfrem. W rozliczeniach wszystkich kont widniały puste linijki oznaczone strzałkami. Czyżby w te miejsca należało wprowadzić dane z rachunków Pardeau?

Ale nawet gdyby wszedł w posiadanie tych rachunków, musiałby znaleźć jakiegoś supereksperta księgowości, aby je rozszyfrować. Na razie nie chciał zakładać podsłuchu w paryskim biurze. Po pierwsze dlatego, że nie wiedział, czy rzeczywiście znajdzie tam coś ważnego. Po drugie obawiał się poważnie, że Gardeaux odkryje niebawem brak ksiąg i zacznie obserwować Pardeau. Należało zatem czekać.

Druga księga nie różniła się od pierwszej, więc Nicholas włożył ją do teczki, a następnie otworzył dużą kopertę z napisem MED AS.

Najpierw znalazł w niej listę nazwisk, tę samą, którą dostał już od Jamiego w Atenach. Odłożył ją więc na bok i sięgnął po kolejną kartkę.

Wyprostował się w fotelu.

- Chryste!



Muszę się zobaczyć z Nell - powiedział Nicholas do Tani, wchodząc do domu Liebera. - Gdzie ona jest?

- Mam się świetnie. Miło, że zapytałeś. A ty?

- Przepraszam. Gdzie Nell?

- Już z nami nie mieszka. Wyjechała. Obrócił się na pięcie.

- Wyjechała? Dokąd? Potrząsnęła głową.

- Spędziła tutaj trzy noce, a wczoraj rano zniknęła. Zostawiła liścik. - Tania podeszła do stolika nocnego i otworzyła szufladę.

- Bardzo miły liścik z podziękowaniem za gościnę. Píše, że będzie z nami w kontakcie. - O ile mi wiadomo, nie zabrała żadnych ubrań oprócz kilku par spodni i tenisówek. Na pewno wkrótce wróci.

- Nie licz na to. - Zupełnie nie wiedział, co ta dziewczyna zamierza. Przeczytał list - serdeczny, niesłychanie uprzejmy i niczego nie wyjaśniający.

- Dostała paczkę?

- Przed dwoma dniami.

Dzięki dokumentom mogła się swobodnie poruszać.

- Gdzie Phil?

- W ogrodzie. - Zmarszczyła brwi. - I nie wolno ci o nic winić tego chłopca. On już i tak wystarczająco fatalnie się czuje.

- A jednak mam do niego pretensję. - Tanek podszedł do drzwi. - Nie zamierzam go jednak zastrzelić, jeśli to cię pociesza. Zaraz wracam.

Phil był rzeczywiście bardzo przygnębiony, a na widok Taneka aż zeszywniał ze strachu.

- Wiem. Spieprzyłem robotę. Ale naprawdę robiłem, co mogłem - powiedział, zanim Nicholas zdążył otworzyć usta.

- Nawet spałem w samochodzie.

- „Spałem” wydaje mi się właściwym słowem.

Phil przytaknął ponuro.

- Nie spodziewałem się czegoś takiego. Ona tak lubiła towarzystwo pani Ylados...

Nicholas również nie oczekiwał ucieczki. Nie tak szybko. Sądził, że Nell będzie musiała przyjść do siebie po tej strasznej wyprawie na cmentarz.

- W porządku. Załatwione. Próbowalesz ją znaleźć?

Phil skinął głową.

- Wiedziałem od pani Vlado o pieniądzech zdeponowanych na nazwisko Eve Billings. Zaszedłem po śladach pani Calder najpierw do banku, gdzie zrealizowała czek, a potem na dworzec. Nie miałem z tym zresztą specjalnych kłopotów. Ludzie pamiętają tę twarz.

- Jaki był cel jej podróży?

- Preston w stanie Minnesota. Tam wysiadła i wynajęła auto, które zostawiła na lotnisku O'Hare w Chicago. Nie udało mi się jednak dowiedzieć, dokąd się udała. Biura rezerwacji trzymają wszystko w ścisłej tajemnicy, a rozpytywanie przy wyjściach na płytę lotniska zajmie masę czasu. - Urwał. - Oczywiście, gdybym miał dostęp do komputera, znalazłbym jakiś sposób, żeby się włamać do banku danych, i...

- Ona próbuje zostawić fałszywy trop. W przeciwnym wypadku nie używałaby swego nazwiska i płaciłaby gotówką. Nie dysponowała ważnymi kartami kredytowymi.

- A to pech - skrzywił się Phil.

- Ale dostała paszport. - Myślał chwilę. - Chyba widzę pewną szansę. Jeśli Nell obrała sobie jakiś konkretny cel podróży, zapewne telefonowała tam przed wyjazdem. Robiła jakieś przygotowania. Miała okazję skorzystać z automatu?

- Zawiozłem ją kiedyś do supermarketu, ale wtedy nigdzie nie dzwoniła.

- Chodź! - Nicholas ruszył szybkim krokiem w stronę domu. Tania wyszła im naprzeciw.

- No i co?

- Phil potrzebuje komputera. Joel ma chyba komputer w bibliotece, prawda?

- Tak - zerknęła sceptycznie na Phila. - Ale niańczy to cacko tak, jakby to był piesek pokojowy. Nie chciałby, żeby coś się stało z jego programami.

- Będę bardzo ostrożny - obiecał szczerze Phil. - A cała robota nie potrwa dłużej niż pół godziny.

- Komputer Joela będzie w naprawdę znakomitych rękach - powiedział Nicholas. - Phil pomodli się po prostu w świątyni Microsoftu.

- Do kogo?

- Nieważne. Zaufaj mi. Programy Joela są całkowicie bezpieczne.

Wzruszyła ramionami i zaprowadziła ich do domu, po czym wskazała głową drzwi w końcu korytarza.

- To gabinet Joela.

- Macie tu kilka linii telefonicznych? - spytał Phil.

- Tak. Numer Joela i telefon domowy.

- Proszę mi podać oba. Wyrecytowała dwa numery telefonu.

- Może zapisać?

- Nie. Zapamiętam. Cyfry to moja specjalność. - Pospieszył do gabinetu.

- Co on knuje? - spytała Tania.

- Chce się włamać do komputera centrali telefonicznej i ustalić, dokąd dzwoniła Nell przed wyjazdem.

- Czy to przypadkiem nie jest przestępstwo?

- Owszem.

- A co będzie, jak go złapią?

- Nie złapią. Dla niego to małe piwo. Phil potrafiłby się włamać do komputera CIA i też nikt by niczego nie zauważył.

- Zmienił temat. - Gdzie ona spała? Chcę zobaczyć pokój.

- Niczego nie znajdziesz. Już posprzątałam.

- Mimo wszystko chcę tam wejść.

Zaprowadziła go na górę i otworzyła drzwi na oścież. Patrzyła, jak Tanek kręci się po pokoju, przegląda notesik leżący obok telefonu, otwiera drzwi szafy...

- Mówiłaś, że nie zabrała ubrań.

- Tylko neseser. Czego szukasz?

Szperał chwilę między wieszakami.

- Czegokolwiek. - Zamknął drzwi garderoby i rozejrzał się po pokoju. Na półce przy stoliku nocnym leżały starannie poukładane pisma. - Czy one tu już były, kiedy Nell przyjechała?

- Gazety i magazyny ilustrowane? Większość z nich tak. Ale kupiła też kilka w supermarkecie.

Przysiadł na łóżku i zdjął magazyny z półki.

- Które?

- Nie jestem pewna. Niedokładnie się im przyglądałam. - Tania podeszła bliżej. - „Cosmopolitan” jest nowy. „Newsweek” też. Reszta wydaje mi się znajoma... Co się stało?

- Ale tego chyba nie pamiętasz? - spytał, wyciągając cienkie pisemko. - Nie sądzę, by panie domu polecały taką lekturę swoim gościom.

- „Najemnik”? - Tania zmarszczyła brwi. - Co to jest?

- Urocze pismo instruktażowe, z którego możesz się nauczyć, jak zostać psem wojny. Biblia komandosów i najemników.

- Po co Nell to kupiła? - Tania rozszerzyła oczy ze zdziwienia. - Czyżby chciała skorzystać z usług któregoś z ogłoszeniodawców?

- Pojęcia nie mam. - Przeglądał czasopismo w poszukiwaniu zagiętych rogów czy zapisków. Dopiero jednak w rubryce ogłoszeń natrafił na niewielkie załamanie w środku strony.

- Masz coś?

- Tu jest chyba ze sto anonsów - mruknął ze złością.

Ogłoszenia miały różnorodny charakter. Byli żołnierze szukali kontaktu z kumplami, oferowali broń... Dlaczego ta piekielna kobieta niczego nie zakreśliła?

- Myślę, że znalazłem. - Phil stanął w progu z kartką w ręku. - Z biura telefonowano wprawdzie tylko w typowe miejsca, ale te trzy numery budzą moje podejrzenia. - Wszystkie należą do obozów przetrwania. Jeden znajduje się poza Denver w Kolorado, drugi niedaleko Seattle, trzeci tuż pod Panama City, na Florydzie.

- Co to za obozy? - spytała Tania.

- Szkolą tam ludzi, którzy sądzą, że Ameryka stanie się

państwem policyjnym lub też zostanie zaatakowana, a oni przeżyją wyłącznie dzięki umiejętności posługiwania się bronią wszelkiego rodzaju. - Nicholas dojechał palcem do końca kolumny. - Szefami tych obozów są zwykle byli najemnicy, komandosi lub też amatorzy wojska pragnący zarobić parę dolców dzięki treningom z niedzielnymi żołnierzami. Wszystkie ogłaszają się w „Najemniku”. - Spojrzał na Phila. - Do którego dzwoniła na samym końcu?

- Do Seattle.
- Naprawdę sądzisz, że Nell pojechała do takiej szkoły?
- spytała Tania. - Dlaczego?
- Bo jest upartą, głupią kobietą, która robi, co może, by dać się zabić.

I jeszcze dlatego, że on powiedział o parę słów za dużo. Przez niego poczuła się nie przygotowana do wykonania zadania, jakie już dawno sobie wyznaczyła.

- Nell chyba nie chce umrzeć - powiedziała cicho Tania.
- Już nie. Wraca do życia. I poza tym nie jest głupia. Musiała mieć jakiś powód. Grozi jej niebezpieczeństwo?

- Nie wiem, kto prowadzi ten obóz. Niektóre z nich to farsa, ale czasem głównym szkoleniowcem zostaje fanatyk, który będzie się naprawdę bardzo starał, żeby makler z brzuszkiem dostał ataku serca, o ile tylko dzięki temu trochę „stwardnieje”.

- Przecież tacy „macho” nie przyjmą Nell.
- Jeżeli dopisze jej szczęście, to nie. Jednak dzięki Joelowi Nell stanowi naprawdę łakomy kąsek i mogą ją zaakceptować z dość nietypowych względów.

- Gwałt?
- Niewykluczone.
- Możesz tam zadzwonić i zapytać, czy ją widziano?
- Udział w szkoleniu jest objęty tajemnicą.

Musi sprawdzić wszystkie obozy. A który obstawiał? Nell chciała zniknąć z pola widzenia. Seattle było najdalej i tam zadzwoniła na samym końcu.

- Biorę na siebie Seattle. Ty, Phil, jedź do Denver.

Phil skinął głową.

- Mam zadzwonić do Jamiego i prosić, żeby sprawdził Panama City?

- Jamie jest nadal w Londynie, ale może nam dopisze szczęście. - Wstał i musnął czoło Tani. - Odezwę się do was. Jeśli nie znajdę jej w Seattle, zatelefonuję i spytam, czy przypadkiem nie kontaktowała się z tobą.

- Koniecznie. - Tania odprowadziła go do wyjścia. - Bardzo się o nią martwię.

- Doskonale cię rozumiem.

*Obanako, Floryda*

Zgodnie z programem szkolenia nie przyjmujemy tu kobiet. - Południowa wymowa pułkownika Cartera Randalla drażniła uszy Nell. - Proszę stąd zabrać swój feministyczny tyłek.

Nell odgoniła komara, który latał jej koło nosa od chwili, gdy weszła do biura. W dodatku zaczęła się pocić, a panująca w pokoju duchota omal nie zwała jej z nóg. Czyżby włączenie klimatyzacji stwarzało jakieś zagrożenie dla wizerunku macho?

- Nie jestem feministką. Albo może jestem. Właściwie nie wiem dokładnie, co to znaczy. A pan?

- Ja wiem. Mieliliśmy tu parę takich strzelonych lasek, które chciały się nauczyć, jak zostać prawdziwym mężczyzną.

- I co? Nauczyły się?

Uśmiechnął się obleśnie.

- Nie, ale chłopcy im pokazali, czego się spodziewają po prawdziwej kobiecie.

Choć próbował ją zastraszyć, i to w dodatku całkiem skutecznie, postanowiła, że nie da mu satysfakcji. Ten typ człowieka uwielbiał dominować.

- Zgwałciliście je? - spytała spokojnie.

- Ja tego przecież nie powiedziałem, prawda? - Rozwalił się

na krześle. - Ale w Obanako nie ma kwater dla kobiet. Musiałabyś zamieszkać w baraku.

- Bardzo chętnie.

- Tamte też tak mówiły. Zmieniły zdanie już po pierwszej nocy.

- Ja nie zmienię. - Otarła spocone dłonie o dzinsy. Nie była już pewna, czy poci się ze strachu, czy też ze zdenerwowania,

- Dlaczego nie chcecie przyjmować kobiet? Płacimy gorszymi pieniędzmi?

- Macie gorsze kręgosłupy. - Powiódł spojrzeniem po jej piersiach. - Kobiety powinny zostać na swoim miejscu. I trzymać się tego, co im najlepiej wychodzi.

Starła się nie zwracać uwagi na te obelgi. Gdyby się rozgniewała, na pewno w niczym by jej to nie pomogło.

A może to ona powinna wyprowadzić z równowagi tego szowinistycznego sukinsyna?

- Widziałam, jak ci wielcy, silni faceci usiłują pokonać zwyczajną drewnianą ściankę. Nie radzili sobie zbyt dobrze. Boi się pan, że kobieta mogłaby ich pokonać?

Zesztywniał.

- Trenują dopiero od tygodnia. Pod koniec miesiąca przeskoczą taką wysokość w ułamku sekundy.

- Może.

W oczach pułkownika błysnął gniew.

- Zarzucasz mi kłamstwo?

- Wątpię tylko, czy mężczyzna, który nie potrafi zaprowadzić porządku w barakach, nauczy mięczaków dyscypliny wojskowej.

- W Obanako panuje wzorowa dyscyplina.

- I dlatego pozwala pan na gwałty? To nie dyscyplina, tylko barbarzyństwo. Co z pana za oficer? - Nie dopuściła go do słowa.

- A może w ogóle nie jest pan oficerem? Kupił pan ten mundur w sklepie wojskowym?

- Zarobiłem belki u komandosów, dziwko.

- Kiedy? - prychnęła. - I dlaczego nie służy pan w wojsku, zamiast ukrywać się na tych bagnach? Jest pan za stary?



- Dopiero co skończyłem czterdzieści dwa lata i dałbym radę każdemu na tym obozie! - syknął.

- Wierzę. Ci biedacy nie potrafią nawet przeskoczyć przez barierę. A pan jest od nich trochę silniejszy. I to na pewno poprawia panu samopoczucie.

- Nie mówiłem o uczestnikach, tylko... - urwał, hamując gniew.

- Sądzisz, że ta ścianka jest łatwa do pokonania? Ma ponad dziesięć metrów. Może ty poradziłabyś sobie z nią lepiej, młoda damo?

- Niewykluczone. Możemy zawrzeć umowę. Jeśli mi się uda, przyjmie mnie pan na szkolenie.

Uśmiechnął się złośliwie.

- Wtedy powitamy cię z przyjemnością w naszym gronie.

- Wstał i wskazał jej drzwi. - Proszę bardzo.

Wychodząc za nim z biura, stłumiła westchnienie ulgi.

Może?

Z bliska drewniana ściana wydawała się naprawdę bardzo wysoka. Co gorsza lepiła się od błota pozostawionego przez mężczyzn, którzy usiłowali się na nią wspiąć.

- Proszę się rozejść! - Randall chwycił jedną z lin przyczepionych do szczytu ściany i rzucił ją Nell. - Dajmy teraz szansę małej damie.

Nie zwracała uwagi na pohukiwania i rechot mężczyzn. Chwyciła sznur i zaczęła się podciągać. Od razu zrozumiała, że to zupełnie inne zadanie niż wspinaczka po linie na sali gimnastycznej. Ilekroć próbowała pomóc sobie kolanami, obijała się natychmiast o drewnianą ścianę. Mogła jedynie oprzeć się stopami o deski i gramolić się na górę.

Dwa metry.

Podeszwy tenisówek ześliznęły się z zabłoconego drewna i Nell uderzyła się o ściankę.

Ból.

Śmiech stojących w dole mężczyzn.

Nie zwracaj na nich uwagi. Trzymaj się. Nie puszczaj.

Odbiła się od przeszkody i jeszcze raz spróbowała oprzeć stopy na deskach.

Trzy metry.

Znów się pośliznęła. Opadając, poczuła, że lina wrzyna się jej boleśnie w dłoń.

- Nic nie szkodzi! - zawołał Randall kpiąco. - W razie czego na pewno cię złapiemy.

Śmiechy.

Zachowuj się tak, jakby ich tu nie było - przekonywała siebie w duchu.

To mogła sobie wyobrazić. Istniała tylko lina i ściana.

Rozpoczęła wspinaczkę od nowa. Trzy kroki w górę.

Pośliznęła się i uderzyła o ścianę.

Cztery kroki.

Jak długo jeszcze?

To nie miało znaczenia. Cierpliwość popłaca. Wolno odliczała upływające sekundy.

Ale minęło co najmniej dziesięć upiornych minut, zanim udało się jej dotrzeć na górę.

Spojrzała na Richarda i towarzyszących mu mężczyzn. Zanim jednak wydobyła z siebie głos, musiała uspokoić oddech.

- Udało mi się, ty sukinsynu. Teraz musisz dotrzymać obietnicy.

Nie był zadowolony, ale przynajmniej przestał się śmiać. Zresztą żaden z nich się nie śmiał.

- Złaź stamtąd.

- Obiecałeś, że mnie przyjmiecie, jeśli wykonam zadanie. Podobno oficerowie zawsze dotrzymują słowa.

Spojrzał na nią zimno.

- Jasne, damulko. Z przyjemnością cię przyjmiemy. Wybieramy się jutro na manewry i wiem, że to ci się na pewno spodoba.

Co znaczyło, że Randall zamierza uprzykrzyć jej życie. Ruszyła w dół po przeciwnej stronie ściany. Pułkownik już na nią czekał.

- To jest sierżant George Wilkins, który zadba o twój ekwipunek. Czy już ci mówiłem, że Wilkins nie uznaje kobiet w armii?

Skinęła głową niskiemu, dobrze zbudowanemu mężczyźnie.

- Takiej ścianie nawet dziecko dałoby radę. To pecha w porównaniu z bagnami. - Odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Musisz się dobrze postarać - powiedział Randall jowialnie.

- I jeszcze jedno. Na twoim miejscu zabandażowałbym rękę. Na bagnach żyją najrozmaitsze bakterie i grzyby. Nie chcemy, żebyś coś złapała, mała damo.

Dopiero teraz zauważyła, że ma pokaleczone, zakrwawione dłonie. Ale rany bolały ją o wiele mniej niż to protekcyjne przewisko.

- Staram się być damą, ale na pewno nie jestem mała

- powiedziała i ruszyła za Wilkinsem.

Kiedy w godzinę później weszła za nim do baraków, powitała ją cisza.

- To twoja prycza. - Sierżant wskazał łóżko pod jednym z okratowanych okien. - Tu będziesz spała.

Odwrócił się i odszedł.

Wypakowując rzeczy, próbowała nie zwracać uwagi na mężczyzn. Ale jej wysiłki na niewiele się zdały. Czuła, że wszyscy pożerają ją wzrokiem. Zaczęła się zastanawiać, co ona tu właściwie robi. To czyste szaleństwo. Musiał przecież istnieć jakiś inny sposób, by osiągnąć cel.

Najlepiej nie zwracać na nich uwagi. Może i był inny sposób, ale ten wydawał się najlepszy. Zrobiła plan, więc powinna się go trzymać.

Poskładała rzeczy i przyjrzała się uważniej M16 oraz rewolwerowi, jaki dał jej Wilkins. Zapewne powinna je oczyścić. We wszystkich filmach wojennych karano fajtlapy za nie oczyszczoną broń.

- Mogę pomóc?

Zesztywniała i odwróciła głowę.

To był po prostu chłopiec. Nie skończył chyba nawet siedemnastu lat. Na haczykowatym nosie miał mnóstwo piegów i uśmiechał się nieśmiało, niemal wstydliwie.

- Nazywam się Peter Drake. - Usiadł na brzegu jej pryczy.  
- Widziałem, jak pani wchodziła na ściankę. Jak już się pani udało, pułkownik wcale nie miał zadowolonej miny. A ja się cieszyłem. Lubię, jak się ludziom udaje - powiedział z dziecięcym zadowoleniem.

Właśnie. Dziecięcym. Randall był chyba maniakiem, skoro przyjął na szkolenie tak młodego chłopca.

- Naprawdę? - spytała łagodnie. - Pewnie dlatego, że zwycięstwo przynosi satysfakcję.

Zmarszczył brwi.

- Ja nie dałem rady tej ścianie i sierżant się na mnie wściekł. On mnie nie cierpi.

- Dlaczego stąd nie wyjedziesz?

- Bo tata chce, żebym tu został. On był żołnierzem, tak samo jak pułkownik Race. Do wojska nie chcieli mnie przyjąć, więc ojciec wysłał mnie tutaj. Mówi, że pułkownik zrobi ze mnie mężczyznę.

Poczuła przyływ mdłości.

- A co na to mama?

- Ona już z nami nie mieszka - odparł niejasno. - Pochodzę z Selena, w stanie Missisipi. A pani?

- Z Karoliny Północnej. Ale ty nie masz południowego akcentu.

- Rzadko bywam na południu. Ojciec posyłał mnie do różnych szkół. - Zaczął się bawić paskiem plecaka Nell. - Pułkownik pani nie lubi. Dlaczego?

- Bo jestem kobietą. - Skrzywiła się. - I dlatego, że wspierałam się na ścianę.

Rozejrzał się po baraku.

- Niektórzy z nich też za panią nie przepadają. Pułkownik Randall przyszedł tutaj parę minut temu i powiedział, że nie powie im złego słowa, jeśli panią skrzywdzą.

Niczego innego się nie spodziewała.

- Ale ja pani pomogę. Nie jestem bardzo mądry, ale za to silny.

- Dziękuję, dam sobie radę.

Spochmurniał.

- Może mi pani nie wierzy, bo nie potrafiłem wejść na ścianę?
- Spojrzał na nią rozżalonym wzrokiem.  
Nie mogła angażować tego chłopca w swoje sprawy, ale poczuła się tak, jakby kopnęła szczeniaka.
- Przede wszystkim chciałabym się dowiedzieć jak najwięcej o tych mężczyznach. To by mi rzeczywiście pomogło. Oni ze mną nie rozmawiają. Jak myślisz? Który z nich mógłby mnie skrzywdzić?  
Wskazał ruchem głowy krępego, łysiejącego mężczyznę leżącego o cztery prycze dalej.
- Scott. On jest wyjątkowo zły. Nazywa mnie Tępakiem.
- I który jeszcze?
- Sanchez. - Zerknął niespokojnie na małego, żylastego Latynosa, który patrzył na nich z obłęsnym uśmiechem. - I jeszcze Blumberg - dodał, robiąc nieznaczny gest w kierunku dwudziestolatka o bardzo jasnych włosach. — Oni zaczęli mnie dotykać pod prysznicem, ale przestali, bo przyszedł Scott.
- I Scott ich powstrzymał?
- Nie, ale oni nie chcieli, żeby wiedział. - Przełknął ślinę.
- Powiedzieli, że trzeba poczekać.  
Skoro Sanchez i Blumberg byli homoseksualistami, nie musiała się ich obawiać. Gwałt był zbrodnią przemocy, a nie namiętności, a ci ludzie obrali sobie za ofiarę bezbronny chłopca.
- Musisz stąd wyjechać, Peter.
- Tatuś byłby bardzo niezadowolony. Mówi, że jestem za miękki. Powinienem nabrać siły.  
I znieść molestowanie seksualne? Przecież ojciec Petera z pewnością wiedział, czego się należy spodziewać po takim piekle. Ogarnął ją nagle gniew. Nie była w stanie pomóc temu chłopcu. Ani zadbać o własne bezpieczeństwo.
- Twój ojciec się myli. To nie jest miejsce dla ciebie. Jedź do domu.
- Odeśle mnie z powrotem. On mnie nie chce - dodał szczerze.  
Diabli nadali! Wcale nie chciała współczuć Peterowi. Popatrzyła na niego bezradnie.

- Znasz się na broni?

Pojaśniał.

- O strzelbach uczyli nas już pierwszego dnia. Codziennie rano ćwiczymy strzelanie do celu.

- A co z rewolwerem?

- Umiem go złożyć i naładować. Przycupnęła obok niego na łóżku.

- Pokaż mi.

Odezwała się? - spytał Nicholas, kiedy Tania podniosła słuchawkę.

- Ani słowem. Nie ma jej w Seattle?

- Nie. I w Denver również nie. Pudło.

- Może w takim razie wybrała Florydę?

- Nie wiem. - Potarł dłonią kark. - Niewykluczone, że zostawiła za sobą kolejny fałszywy trop. A wtedy szukaj wiatru w polu.

- Co zamierzasz?

- A jak sądzisz? Za pół godziny lecę na Florydę. Do południa powinienem być w Obanako. Wysyłam do was Phila. Gdyby się pojawiła...

- Przecież ja tu jestem.

- Nie szkodzi - powiedział ponuro. - Muszę mieć pewność, że ta dziewczyna nie zrobi kroku, dopóki z nią nie porozmawiam.

Nadchodzili.

Zesztywniała. Na tę chwilę czekała od wielu godzin.

Wcale nie usiłowali zachować ciszy. Zresztą, po co mieliby to robić? I tak nikt nie pospieszyłby jej z pomocą.

Nikt, z wyjątkiem Petera. Spij, Peter. Nie pozwól się skrzywdzić.

Coraz bliżej. Cztery cienie majaczące w mroku. Jak się nazywał ten czwarty? Nieważne. Był wrogiem, jak inni.

- Zapalcie lampy. Chcę widzieć jej twarz, jak na nią wleżę.  
Światło.

Scott, Sanchez, Blumberg. Czwarty, starszy miał pospolitą twarz i rzednące włosy.

- Nie śpi. Patrzcie, chłopaki! Czekala na nas. - Scott zrobił krok w przód. - Nie lubimy takich lasek, co się przed nami popisują.

- Odejdźcie.

- Nie możemy. Musimy ci pokazać, że też umiemy się wspinać. Wleziemy na ciebie tyle razy, że rano wyjdiesz stąd na zgiętych nogach. - Zwilżył wargi. - Teraz bądź cicho i rób, co ci każemy. Nie lubimy kobiet w mundurach. To nas zniechęca. Rozbieraj się.

- Zostawcie ją w spokoju - odezwał się nagle Peter.

Gdy tak siedział na brzegu łóżka, wydał się jej o wiele słabszy i bardziej bezbronny niż przedtem.

- Zamknij się, Tępaku - nakazał Scott, nawet na niego nie patrząc.

- Nie powinniście jej krzywdzić. Przecież nie zrobiła wam nic złego.

- To tylko od niej zależy. Jak będzie nas słuchać, to też świetnie się zabawi.

- Odejdźcie - powtórzyła Nell. Peter stanął przy pryczy.

- Zostawcie ją.

Nell wyczuła natychmiast, jak bardzo chłopak się boi. Trzęsły mu się ręce i drgał mięsień policzka.

- Wracaj do łóżka, Peter.

- Może Tępak też chce sobie użyć? - powiedział Scott. - Nie - zreflektował się nagle - on jeszcze nie jest mężczyzną.

- A wy sądzicie, że zgwałcenie kobiety zrobi z was prawdziwych macho? - spytała.

- Zobaczysz. - Zerwał z niej kołdrę.

Uniosła rewolwer, który przez cały czas ścisnęła kurczowo w dłoni.

- Ja tylko widzę, że stracie swoje penisy, jeśli nie zostawicie mnie w spokoju.

Cofnął się instynktownie.

- Kurwa!

- Zabierzmy jej ten rewolwer i wsadźmy w cipę - zaproponował Sanchez.

- Spróbujcie - powiedziała, siląc się na spokój. - No, dalej Scott. Pewnie wszystkich nie uda mi się zastrzelić, ale pierwsza kula zrobi z ciebie eunucha, a drugą przeznaczam dla Sancheza. Potem już będę się spieszyć, więc postaram się celować tylko w piersi albo w żołądek.

- Nie zrobi tego - odezwał się Blumberg. - To by było morderstwo.

- Coś gorszego niż gwałt? - Nell zacisnęła rękę na kolbie. - Nie sądzę.

- Zamknęliby cię na dobre.

- Może by próbowali. - Spojrzała mu w oczy i zaczęła powoli wodzić wzrokiem po twarzach pozostałych mężczyzn. - Ale to mnie nie powstrzyma. Nie pozwolę się skrzywdzić. Poza tym bardzo mi przeszkadza. Spróbujcie tylko mnie dotknąć, a zmiotę was z powierzchni ziemi.

Boże! - pomyślała. - Przemawiam jak bohaterka trzeciorzędnego filmu.

Scott wybałuszył na nią oczy.

- Jesteś pieprzona - szepnął.

- Może. Cofnął się.

- Dacie się zastraszyć? - spytał Sanchez.

- Ona nie celuje w twojego kutasa - powiedział Scott przez zęby.

- Teraz już celuję. - Nell przesunęła lufę.

Sanchez zamrugał oczami.

- Nie mówiłeś, że taki z niej numer. - Glaser odsunął się od pryczy.

- Wrócimy później. Przecież ona nie będzie czuwać przez całą



noc. - Scott uśmiechnął się złośliwie do Nell. - Tylko zamkniesz oczy, a już będziemy na tobie.

Wyłączył światło.

Oddychała głęboko. Nagle poczuła się samotna i bezbronna.

- Zabił ci klina, nie? Nie upilnujesz nas. Co zrobisz na bagnach? Myślisz, że Wilkinsa cokolwiek obchodzi?

- Chyba stracie ochotę na gwałt po spacerach w takim błocie.

Usłyszała stłumione przekleństwo.

Odeszli. Westchnęła z ulgą, ale wiedziała, że to nie koniec. Jedynie bezpośrednio niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Nadal jednak się ich bała. Drżała ze strachu w ciemnościach.

- Będę cię pilnował - powiedział Peter. Omal o nim nie zapomniała.

- Nie, idź spad. Przed nami ciężki dzień. Musisz mieć siłę.

- Będę cię pilnował - powtórzył z uporem. Usiadł na podłodze obok jej pryczy i skrzyżował nogi.

- Peter, proszę cię, nie. - Urwała. Sama wprawdzie nie zamierzała spać, ale wiedziała, że go nie przekona. Zresztą do świtu pozostało zaledwie kilka godzin.

- Bałem się - szepnął nagle Peter.

- Ja też.

- Ale wcale tego nie okazałaś.

- Po tobie też nie było nic widać - skłamała.

- Naprawdę? - spytał z zadowoleniem. - Wydawało mi się, że Scott mnie wyczuł. On jest podobny do mojego ojca. Zna się na takich rzeczach.

- A twój ojciec twierdzi, że się zna?

- Pewnie. Mówi, że prawdziwy mężczyzna musi sobie zdawać sprawę ze swoich słabych stron. Twierdzi, że nigdy nie zostałby burmistrzem Seleny, gdyby nie dostrzegał swoich wad i nie starał się ich wykorzenić.

Nell zaczęła nienawidzić ojca Petera.

- Twój ojciec na pewno nie zachowałby się odważniej niż ty. Byłby z ciebie dumny.

Zapadła cisza.

- Nie. On nigdy nie będzie ze mnie dumny. Nie jestem mądry. Prostota tego stwierdzenia przyprawiła Nell o skurcz serca. Tak bardzo współczuła temu chłopcu.
- Ale ja byłam dumna.
- Naprawdę? - spytał żywo. - Ja też byłem dumny z ciebie.
- Urwał. - Więc chyba zostaliśmy przyjaciółmi, prawda? Chciała go odtrącić. Nie pragnęła ani jego pomocy, ani troskliwości. Peter stanął po jej stronie i ci bandyci mogli się na nim zemścić. A odpowiedzialność za tego chłopca spadłaby na Nell. Za późno. Nie mogła sprawić mu zawodu.
- Tak. Chyba tak.
- I pokazaliśmy tym draniom, gdzie raki zimują. Westchnęła.
- Pewnie, że im pokazaliśmy.

Billings? Nie znam nikogo o tym nazwisku - powiedział Randall uprzejmie. - Poza tym nie przyjmujemy tu kobiet. Nicholas rzucił na biurko jedno ze zdjęć, jakie dostał od Tani.

- Może podała inne nazwisko.
- Ładna babka. - Randall odsunął fotografię. - Ale ja jej nie znam.
- Dziwne. Wynajęła auto na lotnisku w Panama City. - Tanek otworzył notatnik. - A numer rejestracyjny tego forda na parkingu jest identyczny.
- Randall przestał się uśmiechać.
- Nie lubimy tu wścibskich.
- A ja nie lubię kłamców - powiedział cicho Nicholas.
- Gdzie ona jest?
- Mówię przecież, że się tu nie pokazała. - Randall zatoczył szeroki łuk ręką. - No, proszę. Rozejrzyj się, cwaniaku. Na pewno jej nie znajdziesz.
- To się może okazać tragiczne w skutkach. Oczywiście dla was.

Randall podniósł się wolno z krzesła.

- Grozisz mi?

- Mówię tylko, że chcę ją odzyskać. Ty natomiast na pewno nie życzyłybyś sobie kłopotów, jakich mógłbym ci narobić, gdybyś zdecydował się nadal ukrywać tę kobietę.

- Jesteśmy tu przyzwyczajeni do kłopotów. Uczymy naszych kursantów, jak im sprostać.

- Dosyć tej gadki. Władze Panama City mają was po dziurki w nosie i chętnie skorzystają z okazji, żeby zamknąć ten interes pod zarzutem działalności przestępczej.

- Jakiej działalności przestępczej? Nikt jej nie dotknął! - wybuchnął Randał.

- Ale dopuściliście się porwania.

- Ona sama tu przysłała. Z własnej woli. I jeszcze się napraszała. Na pewno nie zaprzeczy.

- A ja rozpowiem wszem i wobec, że porywacie kobiety i robicie im pranie mózgow. Świetna historia dla brukowców, prawda? - spytał z uśmiechem Nicholas. - Co o tym myślisz, Randał?

- Myślę, że mam do czynienia z niezłym sukinsynem. Kim ona jest dla ciebie? - spytał ponuro. - Żoną?

- Tak - skłamał Tanek.

- W takim razie powinieneś trzymać tę sukę w domu, żeby nie włąziła mi w drogę.

- Powiedz mi tylko, gdzie ona jest, a chętnie ją zabiorę.

Randał milczał chwilę, po czym uśmiechnął się złośliwie.

- Dlaczego nie? - Wyjął z szuflady mapę i rozłożył ją na biurku. - Eve Billings wybrała się właśnie na manewry. Chciała udowodnić, że potrafi być twarda. Nie wiem, gdzie oni są teraz, ale o zmierzchu powinni dotrzeć tutaj. - Wbił palec w jakiś punkt na mapie. - Zawsze nocują w tym samym miejscu. Na Wyspie Cyprysów. - Powinieneś być mi wdzięczny. - Z pewnością bardzo ją ucieszy twój widok po takim dniu. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale ty możesz być w gorszym nastroju po tej wędrówce przez błoto.

- Nie ma innej drogi?  
- Wyspa leży w samym środku bagna. Najbliższa szosa jest od niej oddalona o prawie trzy kilometry. - Randall puknął palcem w mapę.  
- Widzisz?  
- Widzę, że masz stanowczo za dobry humor.  
.-. Możesz się przecież tu pokręcić i poczekać, aż oni wrócą. Za cztery dni dotrą na miejsce. Nicholas wziął bez słowa mapę i ruszył do drzwi.  
- Miłej wycieczki. Pozdrów ode mnie małą damę.  
Randall zaczął go irytować. Zatrzymał się w pół kroku. Nie, nie miał czasu. Fatalnie. Wyszedł z biura.

Nie marudź, Billings! - krzyknął Wilkins, przedzierając się przez wodę sięgającą mu do bioder. - Strasznie się wleciesz. Nie zamierzamy na ciebie czekać.

Nell postanowiła go zignorować. Wcale się nie wlokła. Szło za nią jeszcze czterech mężczyzn.

- Tych, co nie zdążą, zostawię na pastwę aligatorów.

Znowu metoda zastraszania. Choć kilka godzin temu dostrzegła jedną z tych bestii, postanowiła udowodnić Wilkinsowi, że jego sposoby na nią nie działają.

- Zostanę z tobą - szepnął Peter z tyłu. - Nie bój się.

Ale ona bardzo się bała. Była kompletnie wyczerpana i pragnęła znaleźć się jak najdalej od tego niesamowitego miejsca. Ostatnie siedem godzin spędziła w mulistej wodzie. W plecy wbijały się jej paski plecaka i...

Tuż obok niej wyłonił się z wody jakiś znajomy kształt.

Wąż.

Nienawidziła węży.

- Pospiesz się, Billings!

Odwróciła wzrok od gada i ruszyła naprzód. Krok po kroku. Minuta po minucie. Wiedziała, że potrafi. Żaden koszmar nie trwa wiecznie. Z wyjątkiem jednego.

Nicholas zaparkował wynajęte auto na poboczu i przeszukał worek leżący na siedzeniu obok. Wyciągnął nóż i białą chusteczkę, po czym związał sobie na czole chustkę, a nóż wetknął za pasek. Nie był to wymarzony strój na wędrowkę po bagnach, ale musiał mu wystarczyć.

Wysiadł z samochodu i popatrzył na żółtą wodę. Już dalej nie mógł dojechać. Przykleknął i mocniej związał tenisówki, choć i tak się bał, że zgubi je w błocie.

Nienawidził bagien. No, ale Nell najwyraźniej nie mogła wybrać czystego, wysokogórskiego obozu przetrwania pod Waszyngtonem. Nie, ona musiała się chlapać w tym ciepłym bajorze pełnym aligatorów, komarów i dwunożnych wrogów w typie Randalla.

Zacisnąwszy zęby, wskoczył do wody i ruszył naprzód.

Chyba mamy kłopot - uśmiechnął się Wilkins, zawracając w ich stronę. - Potrzebuję ochotnika.

Nell popatrzyła na niego tępo. Zupełnie nie wiedziała, o co mu chodzi.

- Kto to będzie?

Wzrok Wilkinsa spoczął na Peterze.

- Ty się zgłaszasz, prawda, Drake? Dobrze. Nadajesz się do tej roboty. Jesteś młody i szybki. Idź naprzód na czoło kolumny.

- Co chcesz, żebyśmy zrobili?

- Musisz rozwiązać pewien problem. Droga jest zablokowana.

- Dobra. - Peter ruszył naprzód.

Nell zeszywniała. Młody i szybki. Dlaczego sytuacja wymagała szybkiego działania? Pospieszyła za Peterem.

Boże!

Zatrzymała się jak wryta.

Wąż owinał się na najniższej gałęzi cyprysa niczym kolorowa girlanda. Nie mogliby minąć drzewa, aby się o niego nie otrzeć.

- Chcesz popatrzeć? - spytał Wilkins. - No dalej, Drake!

- Zaczekaj. - Zwilżyła wargi. - Co to za wąż?

- Taki mały, mleczy.
  - Dlaczego go po prostu nie ominiemy?
  - Dobrzy żołnierze nie uciekają od problemów. Oni je rozwiązują.
- Wąż mleczy. Gorączkowo szukała czegoś w pamięci. Istniał przecież podobny wąż, niemal identyczny. Tylko paski miał inne. Babcia nauczyła ją kiedyś wierszyka, dzięki któremu potrafiła je rozróżnić.

Ale teraz Nell nie mogła sobie przypomnieć ani nazwy węża, ani dziecięcej rymowanki.

- Pozbądź się go - ponaglił Wilkins.

Peter zrobił krok naprzód.

Wąż koralowy. Tak nazywał się groźny gad podobny do węża mlecznego.

- Stójcie!

Chłopak spojrzał przez ramię i uśmiechnął się.

- Nie martw się. Miałem kiedyś węża. Trzeba je chwycić z tyłu, za głowę. Wtedy nie mogą ugryźć.

- Nie rób tego. On może być jadowity. Wąż mleczy jest bardzo podobny do koralowego.

- Widzisz te żółte paski obok czerwonych? Nic nam nie grozi. - Wilkins wbił wzrok w Petera. - Jazda, dzieciaku.

Peter ruszył w stronę węża.

*Czerwone przy czarnym...*

Dlaczego nie mogła sobie przypomnieć tego wierszyka?

- Spokojnie. — Peter przemawiał łagodnie do gada. - Nie zrobię ci krzywdy, przystojniaku. Muszę cię tylko usunąć z drogi.

Nell pomyślała, że chłopak za chwilę pogłaszczuje węża.

Wilkins obserwował tę scenę z uśmiechem.

*Sierżant mnie nie lubi.*

Ale przecież Wilkins nie naraziłby świadomie Petera na śmierć, tylko dlatego, że nim pogardzał. Może wąż naprawdę nie jest jadowity?

Albo Wilkins się myli.

*Czerwone na czarnym...*

- Nie! - Odepchnęła Petera i rzuciła się naprzód. Chwyła węża za głowę i odrzuciła go od siebie najdalej, jak mogła. Czerwono-żółte cielsko wpadło do wody trzydzieści metrów dalej.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał Peter z naganą w głosie.  
- Sierżant wybrał mnie do tej roboty.

- Cicho bądź! - syknęła. To pewnie był wąż mleczny, ale nie mogła ryzykować. A teraz dostała mdłości. Na rękach nadal czuła oślizły chłód węzowych łusek. Patrzyła nieprzytomnym wzrokiem na gada, który odpływał zręcznie w przeciwną stronę.

- Dzieciak ma rację - wtrącił Wilkins. - Niepotrzebnie się wtrącałaś, Billings.

- Szukał pan ochotnika. - Za wszelką cenę musiała opanować drżenie. - Więc się zgłosiłam.

- Ale nie musiałaś się z nim obchodzić tak brutalnie - powiedział Peter z naganą w głosie. - Mogłaś mu zrobić krzywdę.

Czy tam na gałęzi to tylko mech czy następny wąż?

- Bardzo mi przykro.

- Mój wąż był zielony. Nie taki ładny jak ten. Żółty, czerwony i czarny, taki kolorowy... co się stało?

- Nic.

Kłamała. Przypomniała sobie rymowankę.

*Czerwony i czarny, małe zło, Czerwony i żółty,  
zabij go!*

Dotarli na Wyspę Cyprysów na godzinę przed zachodem słońca. Był to raczej pas piasku, a nie wyspa, ale i tak wyglądał cudownie. Tuż po wyjściu z bajora Nell uznałaby za rajski zakątek każdy kawałek suchego lądu.

- Witaj - odezwał się Tanek.

Stanęła jak wryta.

Nicholas siedział na mchu pod cyprysem.

- Przepraszam, że nie wstaję, ale nie potrafię się zdobyć na kurtuazję. Właściwie to jestem nawet na ciebie zły.

Pomyślała z niepokojem, że „zły” to eufemizm. Tanek był mokry, ubłocony i wściekły.

- Co ty tu robisz?

- Chciałem cię zapytać o to samo. Wilkins odsunął ją na bok.

- Nie masz tu żadnego interesu. Kim ty właściwie jesteś?

- Zdaje się, że nie ja jeden nie zamierzam się bawić w uprzejmości.

- Tanek podniósł się z ziemi. - Ty się nazywasz...

- Wilkins. Sierżant George Wilkins.

- Nicholas Tanek. - Wskazał głową Nell. - Przyjechałem po tę damę.

Wilkins zmarszczył brwi.



- Randall cię przysłał?
- Powiedział mi tylko, gdzie was szukać.
- Ona jest pod moim dowództwem. Nigdzie nie pójdzie
- powiedział Wilkins ku ogromnemu zdumieniu Nell. - Nie otrzymałem rozkazu, aby ją zwolnić.

- Chryste!

- A ja z tobą nie idę - odezwała się Nell.

Tanek wciągnął głęboko powietrze, po czym odwrócił się od kolumny. Przedtem jednak policzył cicho do dziesięciu.

- Chcę z tobą porozmawiać.

- Ona nie ma czasu na rozmowy. - Wilkins zacisnął szczęki.

- Musi pomóc przy rozbijaniu obozu.

Tanek popatrzył na niego z błyskiem w oku.

- Mówię do niej. Nie przeszkadzaj.

Wilkins zawahał się przez chwilę i wzruszył ramionami.

- Gadaj zdrów, a ona i tak nie wyjedzie. - Odwrócił się.

- Scott, za mną.

- Wszystko w porządku? - spytał niepewnie Peter.

- Oczywiście - powiedziała Nell, podążając za Tanekiem.

- Zaraz wracam.

Kiedy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu pozostałych, Tanek odwrócił się do Nell.

- To szaleństwo. Co ty wyprawiasz, do cholery?

- Muszę tu być.

- Narażasz się na niebezpieczeństwo.

- Powiedziałeś, że nie poradzę sobie z Maritzem i Gardeaux.

- Wiem, co mówiłem. A ty sądzisz, że taplanie się w bagnie cokolwiek zmieni?

- Trochę mi pomoże. Przecież się uczę. Do wczoraj nie miałam w ręku broni.

Popatrzył na nią z irytacją.

- Wyglądasz strasznie. - Starł jej błoto z policzka. - Jesteś mokra, brudna, a za chwilę zemdlejesz z wyczerpania.

- Nie zemdleję.

Zacisnął usta.

- Nie, nie zemdlejesz. Będziesz to ciągnąć, dopóki się nie wykończysz.

- Owszem. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Skoro nie chcesz mi pomóc, muszę sama załatwić Maritza i Gardeaux. Dlatego tu jestem.

Milczał chwilę. Czuła, jak narasta w nim gniew.

- Niech cię szlag - powiedział cicho i odwrócił się szybko. - Zostaw tę strzelbę i plecak. Jedziesz ze mną.

- Już ci mówiłam, że zostaję.

- Pomogę ci - powiedział ochryplym głosem. - Tego właśnie chciałaś, prawda?

Poczuła ogromny przyływ podniecenia.

- Tak. Obiecujesz?

- Oczywiście. Mogę cię nawet wystawić na przynętę, jeśli bardzo chcesz.

- W porządku. - Rzuciła strzelbę na ziemię, zdjęła plecak. Wciągnawszy głęboko powietrze, rozprostowała plecy. Czuła, że nie tylko ten jeden ciężar spadł jej z barków. - Idziemy.

- Co się dzieje? - spytał Wilkins. - Nie wolno się w ten sposób obchodzić z bronią, Billings.

- Wyjeżdżam.

- Akurat!

- Dlaczego pan protestuje? Przecież wcale mnie tu nie chcieliście.

- Ale to zły przykład dla innych. Nie dostałaś zgody od pułkownika.

Przypadek do leczenia.

- Nie szkodzi. - Odwróciła się. Chwycił ją za ramię.

- Jak to baba. Coś pójdzie nie tak i od razu daje dyla...

- Zostaw ją - powiedział cicho Tanek.

Zaciskając mocniej rękę na ramieniu Nell, Wilkins łypnął na niego spod oka.

- Pieprzę was oboje.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że to powiedziałeś. - Zrobił

krok w przód i kantem dłoni uderzył Wilkinsa w kark. - I z jak wielką przyjemnością odpowiadam.

Wilkins przewrócił oczami i osunął się na ziemię.

Nell wbiła wzrok w twarz Taneka.

- Masz naprawdę zadowoloną minę.

- Pewnie - odparł z drapieżnym uśmiechem. - Żałuję tylko, że to nie była twoja szyja. - Odwrócił się i wskoczył do wody.

- Chodź. Droga do samochodu zajmie przynajmniej kilka godzin, a już niedługo zrobi się ciemno.

- Idę. - Ruszyła naprzód, ale natychmiast się zatrzymała. Zerknęła przez ramię i dostrzegła, że Peter patrzy na nią z przerażeniem.

Nie miała dla niego miejsca w swoim życiu. Bała się, że będzie jej tylko przeszkodzął. Teraz, kiedy mogła liczyć na pomoc Taneka, nie chciała żadnych utrudnień.

- Dokąd jedziesz? - spytał Peter.

Wyglądał wyjątkowo bezradnie i nieszczęśliwie. A w grupie mężczyzn stojących tuż za nim był przecież Scott i inni dranie.

- Zaczekaj - powiedziała do Taneka i podeszła do chłopca.

- Możesz jechać ze mną.

Spojrzał na nią niepewnie.

Wzięła go za rękę.

- Wszystko będzie w porządku. Musisz ze mną pójść, Peter.

- Tacie to się na pewno nie spodoba, prawda?

- Nie martw się. Jakoś to załatwimy. Przecież nie chcesz zostać.

Natychmiast potrząsnął głową.

- To straszne miejsce. Nie chcę zostać, skoro ty wyjeżdżasz.

- W takim razie połóż plecak, strzelbę i chodź.

- Sierżant mówił, że nie powinniśmy się nigdzie ruszać bez strzelby.

- Nell! - zawołał Tanek. Pociągnęła Petera za rękę.

- Czas na nas.

Patrzył na nią niespokojnie.

- Dlaczego on nazywa cię Nell? Przecież masz na imię Eve.

- Nell, Eve, co za różnica... - Opanowała zniecierpliwienie. - Jesteśmy przyjaciółmi. Trzeba ufać przyjaciołom. A ja uważam, że powinieneś pójść ze mną.

Twarz chłopca rozświetlił uroczy uśmiech.

- Przyjaciele. Tak. Zapomniałem. - Położył na ziemi strzelbę i zdjął plecak, - Przyjaciele powinni być razem.

Odetchnęła z ulgą i podeszła do Taneka.

- On jedzie z nami.

- Rozumiem. Może ktoś jeszcze?

Zbyła milczeniem jego sarkazm i wskoczyła do wody.

- Chodź, Peter.

Chłopak popatrzył ze zmarszczonymi brwiami na Taneka, który przedzierał się przez wodę.

- Czy on jest na mnie zły?

- Nie, ma tylko taki sposób bycia.

Przez pierwszą godzinę szli szybko, ale po zapadnięciu zmroku zwolnili tempo.

W ciemnościach bagna wydawały się jeszcze bardziej tajemnicze i przerażające. Każdy plusk stawał się nieznanym zagrożeniem, każdy trzepot skrzydeł powodował przyspieszone bicie serca, Nell utkwiała wzrok w jasnej koszuli Taneka i usiłowała nie patrzeć w stronę omszałych drzew.

- Już dochodzimy do drogi - rzucił Nicholas przez ramię, wychodząc wreszcie na brzeg. - Samochód stoi kilka metrów stąd.

Odetchnęła z ulgą. Koszmar wreszcie się skończył. A jednak niezupełnie.

Gdy Nell i Peter wynurzyli się z błota, zobaczyli, że Tanek stoi na środku drogi i klnie.

- Co się stało?

- Nie ma samochodu.

- Ktoś go ukradł?

Rozejrzał się.

- Nie, to chyba nie tutaj. Widocznie źle skręciłem. Samochód został gdzie indziej.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Zgubiłeś samochód? Łypnął na nią spod oka.

- Wcale nie. Trudno znaleźć drogę w takim bagnie. Nell wybuchnęła śmiechem.

- Co w tym widzisz zabawnego?

Nie była pewna. Widocznie ze zmęczenia dostała histerii, a oburzenie Taneka rozbawiło ją do łez.

- Pomyliłeś się! Może jednak nie jesteś Schwarzeneggerem. On by na pewno nie zabłądził na bagnach.

- Schwarzenegger? -- Skrzywił się. - O czym ty mówisz? I wcale nie zabłądziłem - dodał nie czekając na odpowiedź. - Po prostu poszedłem pod nieco innym kątem. W takich ciemnościach nietrudno się pomylić.

- Ruszył naprzód.

- On jest na ciebie wściekły - zauważył Peter. - Chyba powinniśmy mu pomóc.

- Chyba tak.

Kiedy tylko ruszyła' za Tanekiem, cała jej wesołość nagle minęła. W butach przy każdym kroku bulgotała woda, a ubranie kleiło się do ciała. Perspektywa spaceru po tej opustoszałej drodze nie wydawała się jej wcale pociągająca.

Znaleźli samochód o półtora kilometra na północ od miejsca, gdzie wyszli z bagna.

- Ani słowa - warknął Tanek, kiedy otworzył drzwi przed Nell, a sam zasiadł za kierownicą. - Jestem mokry, zmęczony i zły jak diabli.

Peter usadowił się z tyłu.

- Mówiłem ci, że będzie wściekły.

- Masz kluczyki? - Nie darowała sobie ostatniego dźgnięcia.

Zesztywniał.

- Sądzisz, że byłbym na tyle nieostrożny, by posiać gdzieś kluczyki od samochodu?

- No, przecież posiałeś... - Napotkawszy jego spojrzenie, natychmiast urwała. - Nic, już nic.

Uruchomił silnik.

- Dokąd jedziemy?

- Do Panama City i motelu, który przyjmie ludzi wyglądających tak, jakby wyszli kanału.

Peter roześmiał się głośno.

- Kto to jest? - spytał Tanek.

- Nazywam się Peter Drake.

- A to jest Nicholas Tanek. - Nell zwinęła się na siedzeniu i wyciągnęła przed siebie nogi. - Dlaczego się nie zdrzemniesz?

- Bo jestem głodny.

- Zjemy coś, kiedy przyjedziemy do miasta.

- Kurczaka?

- Jeśli masz ochotę...

- Skrzydełka kurczaka z KFC. Są najlepsze.

- Dobrze. Skrzydełka.

Peter uśmiechnął się z zadowoleniem i położył na tylnym siedzeniu.

- Nawet nie wiem, czy tam mają KFC - mruknął Nicholas.

- Więc zamówimy coś innego. Peter jest łatwy w pożyciu.

- Ale ta cała sytuacja nie należy do łatwych.

- Czy możemy porozmawiać o tym później? - spytała cicho. - Chyba że chcesz wyrzucić tego chłopca z samochodu.

Zerknął we wsteczne lusterko na Petera skulonego na tylnym siedzeniu. -Nie.

- Poradziłeś sobie świetnie z Wilkinsem. Zupełnie jak na filmie karate.

- Zastosowałem czoj kuang-do, a nie karate.

- Nauczysz mnie tego?

- O czoj kuang-do też pomówimy później.

Czuła, że nie powinna nalegać, i doszła do wniosku, że jak na jeden dzień uzyskała całkiem sporo. Oparła się o okno i przy-

mknęła oczy. Szum silnika i pęd auta podziały na nią uspokajająco. Po raz pierwszy od wielu dni poczuła się bezpieczna. Już prawie spała, kiedy Tanek znowu przemówił.

- Dlaczego wybrałaś to piekło? - spytał krótko. - Obanako to najgorszy obóz przetrwania w całych Stanach. Sądziłaś, że wybierasz się na wakacje na Florydzie?

- Nie.

- Dlaczego w takim razie nie Denver albo Seattle?

Zawahała się. Wiedziała, że nie powinna odpowiadać. Tankowi nie mogła spodobać się jej odpowiedź.

- Bo wydawały się mniej okropne.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Byłeś mi potrzebny - powiedziała z prostotą. - Postanowiłam ci pokazać, że jestem gotowa na wszystko, byle tylko dopaść Gardeaux i Maritza.

Milczał chwilę.

- Boże! Pułapka! Wiedziłaś, że będę cię szukał!

- Nie, ale miałam taką nadzieję. Do tej pory robiłeś wszystko, żeby mnie chronić. Nie mógłbyś mi pozwolić na samodzielne działanie.

- A telefony?

- Kabler powiedział, że Phil potrafi znaleźć dostęp do wszelkich danych. Musiałam zostawić jakiś ślad.

- I ulokować się w takim miejscu, żeby zmusić mnie do interwencji - powiedział zimno. - Nie cierpię takich manipulacji.

- Byłeś mi potrzebny - powtórzyła. - Musiałam to zrobić. Jak chcesz, to się wściekaj. Trudno. Mnie to i tak nic nie obchodzi.

- Ale na pewno byś się przejęła, gdybym zerwał naszą umowę.

- Nie zrobisz tego. Wiem od Tani, że zawsze dotrzymujesz słowa.

- Tania nigdy nie usiłowała mnie do niczego sprowokować. - Urwał. - I co byś właściwie zrobiła, gdybym po ciebie nie przyjechał?

- Zostałabym tutaj i dokończyła szkolenie. Próbowalabym się nauczyć, ile tylko by się dało.

- I albo by cię zgwałcili, albo umarłabyś z wyczerpania.
- Na pewno bym nie umarła.
- Nie? Ty w ogóle uważasz, że potrafisz chodzić po wodzie.
- Ta rozmowa nie ma sensu - powiedziała zmęczonym tonem.
- Nic się nie stało, ja już nie jestem na obozie. Musimy działać dalej. Przyznałam ci się do wszystkiego tylko dlatego, że nie chciałam zaczynać od kręactwa. Nienawidzę kłamstw. - Przy mknęła oczy. - Teraz chciałabym się zdrzemnąć. Obudź mnie, jak tylko dojedziemy do motelu.

Wysiadaj.

Popatrzyła na niego nieprzytomnie.

- Co takiego?

Wyciągnął ją z auta.

- Drzwi do twego pokoju są o dwa metry stąd. Tam możesz paść.

Potrząsnęła głową, żeby rozjaśnić myśli.

- Gdzie jesteśmy?
- W Best Western. - Otworzył drzwi, wepchnął ją do środka i zapalił światło. - Zamknij się od wewnątrz na klucz.
- Ale Peter...
- Mieli tylko dwa pokoje. On zostanie ze mną.
- Nie, będzie się bał. Nie mogę...
- Zaopiekuję się twoim kurczaczkiem - powiedział surowo.
- Zmyj ten muł i idź spać.
- A jedzenie? Obiecałam mu skrzydełka.
- Już powiedziałem, że się nim zaopiekuję. - Zatrzasnął za sobą drzwi.

Przez chwilę patrzyła tępo w ścianę, po czym znowu się odwróciła. Znajdowała się w zwykłym, bezosobowym pokoju motelowym. Łóżko, stół, dwa krzesła naprzeciwko okna wychodzącego na parking. Meble były lekko podniszczone, a kapa na łóżku wypłowiwała, ale czysta.

W przeciwieństwie do Nell.



Popatrzyła tęsknie na podwójne łóżko, a potem powlokła się do łazienki.

Myjąc głowę pod prysznicem, poczuła się znacznie lepiej. Zerknęła na stos brudnego ubrania na podłodze. Nie miała warunków do prania, a poza tym nie zamierzała już nigdy korzystać z tej garderoby. Wypłukała tylko bieliznę, rozwiesiła ją na drążku od ręcznika i ruszyła w stronę łóżka. Kiedy kładła głowę na poduszce, miała wciąż mokre włosy.

Pomyślała sennie o babci, która nigdy by się na coś podobnego nie zgodziła. Zawsze uważała, że Nell śmiertelnie się zaziębi, jeżeli pójdzie do łóżka z mokrymi włosami.

*1 spadamy w dół, w dół, w dół...*

- Jill!

Ale to nie była Jill, tylko znów ten koszmar. Gdy Nell usiadła na łóżku, po jej policzkach spływały łzy.

Niech to diabli! A można by sądzić, że jest zbyt zmęczona, by śnić.

Poszła do łazienki i wypija szklanek wody. Drżały jej ręce.

Rozsądek podpowiadał, że powinna się przespać. Tanek obiecał jej pomoc, więc należało zbierać siły.

Ale gdyby zasnęła, znów zacząłby się ten koszmar.

Czekała ją długa noc.

1 anek zapukał do drzwi o ósmej następnego ranka. Zanim podeszła do drzwi, chwyciła prześcieradło i szczelnie się nim okryła.

- Bardzo ładnie. - Wręczył jej torbę z napisem PELICAN SOUVENIR SHOP. - Ale sądzę, że w tym jednak będzie ci wygodniej. Szorty i bawełniany podkoszulek. O tej porze otwarty był tylko sklep z pamiątkami.

- Dziękuję. - Odsunęła się na bok, aby wpuścić go do pokoju. - Gdzie Peter?

- Przymierza swoje ciuchy.
- Dobrze się czuje? Przytaknął.

- Spał niczym przysłowiowa kłoda. Zjadł z tuzin ciastek i wypił galon soku pomarańczowego. Jedyne, co mu może dolegać, to niestrawność. - Wyciągnął przed siebie torbę. - Kawa. Jaką pijesz?

- Ze śmietanką. Siadaj. Za chwilę będę gotowa. - Pospieszyła do łazienki.

Szybko włożyła bieliznę wypraną poprzedniego wieczoru i otworzyła torbę. Fioletowe szorty i niebieska bluzeczka z różowym pelikanem. Cóż. Ubranie było przynajmniej czyste i suche.

Tanek siedział przy niskim stoliku obok okna, kiedy wyszła z łazienki.

- Wypij to - nakazał, podsuwając dzbanek z kawą bliżej wolnego krzesła. - Musimy porozmawiać.

- Uważasz, że potrzebuję kofeiny, żeby cię wysłuchać?

- Czegoś na pewno potrzebujesz. Wyglądasz okropnie. Nie spałaś?

Zajrzała do filizanki.

- Trochę spałam. - Upiła łyk kawy. - Mów.

- Będziemy postępować w sposób, jaki ja uznam za słuszny. Dotrzymam słowa, ale nie pozwolę, żebyś się wtrącała, bo to mnie może kosztować życie. Zrobię plan, a ty się dostosujesz.

- W porządku.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Nie jestem idiotką. Wiem, że to nie będzie łatwe. Nie zamierzam podawać w wątpliwość twoich działań, dopóki będę je uważała za uzasadnione.

- Wspaniale!

- Ale nie pozwolę również na to, żebyś mnie odciął od tej sprawy.

- Wcale nie zamierzam. - Urwał. - O ile oczywiście nie zmienisz zdania.

- Na pewno nie. - Znów wypiła łyk kawy. - Tylko na tym mi zależy.

- Czas leczy...
- Czas? - Spojrzała mu prosto w twarz. - O czym ty mówisz?
- Dopiero w grudniu będę mógł zrobić pierwszy krok.
- W grudniu? Przecież jest dopiero wrzesień.
- A ja zacząłem planować tę akcję jeszcze w kwietniu.
- To za długo.
- Ale najbezpieczniej.
- W grudniu? - Wygrzebywała z pamięci informacje, jakie uzyskała w bibliotece. - Festyn renesansowy?
- Otóż to. Wspaniałe miejsce.
- Przecież wszędzie będzie pełno ochroniarzy.
- Z Maritzem na czele. - Uśmiechnął się. - Maritz, Gardeaux i kilkuset gości.

- Na Medas to nie pomogło. Przestał się uśmiechać.
- Tym razem nie będę działał na ślepo. Zacisnęła ręce na filiżance.
- Nie chcę czekać.
- Ale taki jest mój plan.
- To prawie trzy miesiące!
- Możesz je wykorzystać na przygotowania.
- Jakże?
- Porozmawiamy o tym później. Na pewno nie będziesz musiała się czołgać po bagnach. - Zawahał się. - I rzucać węzami. Zamarła.

- Peter ci powiedział?
- Mówił bardzo dużo na temat twojego pobytu w obozie i tego „nic”, które się tam wydarzyło. - Wstał. - Zrobiłem rezerwację na lot do Boise na jedenastą. Telefonowałem wczoraj do Tani, ale muszę jeszcze przeprowadzić kilka innych rozmów.

- Boise?
- Polecimy do Boise, a stamtąd mamy blisko do Lasiter. Moje rancho leży siedemdziesiąt kilometrów na północ. Chcę, żebyś przebywała tam, gdzie mogę cię dopilnować. Nie zniosę kolejnych kłopotów.

- A co z Peterem?

Odwrócił się od drzwi.

- Nie rozumiem. Przecież on ma dom. A ojciec jest jego prawnym opiekunem.

- To właśnie ojciec wysłał Petera na obóz. Może mu kazać tam wrócić.

- Albo i nie. Co cię to obchodzi? Przecież ten chłopak będzie ci przeszkadzał. Myślałem, że zależy ci wyłącznie na zemście.

- Na pewno już się zdążyłeś zorientować, że Peter ma odchylenia od normy.

- Chodzi ci o to, że jest cofnięty w rozwoju?

- Przypomina dziecko. Nie potrafi sobie sam z niczym poradzić. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Dlaczego miałabyś się tym przejmować? - spytał prowokująco. Straciła cierpliwość.

- Bo się przejmuję i już. Naprawdę sądzisz, że marzę tylko o tym, żeby przejąć za niego odpowiedzialność? Tak się po prostu stało, jak się stało. On mi pomógł i nie zamierzam go zostawić. Ojciec go nie chce. To burmistrz jakiegoś małego miasteczka w Missisipi i na pewno się wstydzi swojego syna. Nie pozwolę, by ten chłopiec tam wrócił.

- Wiedziałem, że tak będzie. Zarezerwowałem dla niego bilet. Rozszerzyła oczy ze zdziwienia.

- Naprawdę?

- Ale nie chcę zostać oskarżony o porwanie. Peter ma dopiero siedemnaście lat. Między innymi to do jego ojca muszę zatelefonować.

- Sądzisz, że uda ci się go przekonać...

- Na pewno. Powiem mu, że jeśli zacznie mi robić kłopoty, natychmiast wysmażemy piękną historyjkę o tym, jak to szanowany powszechnie burmistrz oddał niedorozwiniętego syna do Obanako, bo chciał się go pozbyć. Możemy nawet dołączyć zdjęcia. - Otwierając drzwi uśmiechnął się sardonicznie. - Mówiłaś przecież chłopcu, że zajmiemy się tą sprawą. Jak widzisz, żyję tylko po to, by spełniać twoje rozkazy.

- Nick...  
- Słucham?  
- Bardzo ci dziękuję. Przecież wiem, że on ci będzie przeszkadzał.  
- Nie pozwolę na to. - Spojrzał jej w oczy. -1 oczywiście nie robię tego dla ciebie. Dostaję szału, jak widzę, że ktoś się znęca nad dziećmi.

- Takimi jak Tania?  
- Ona potrafiła sobie radzić nawet wtedy, kiedy była młodsza. W przeciwieństwie do Jill - dodał zupełnie celowo. - Gdybyś mi dała wolną rękę, dopadłbym Maritza, a on naprawdę bardzo długo by umierał.

Mówił szczerze. Odkrywszy, że Tanek nie kieruje się wyłącznie poczuciem winy, Nell miała ochotę skakać do góry z radości. Nicholas był wściekły, oburzony i chciał pomścić Jill, ponieważ uważał, że ci bandyci zasłużyli na śmierć. Nie była odosobniona w swojej nienawiści.

- Muszę to załatwić sama.

Przytaknął i wyszedł z pokoju.

Trzy miesiące to dużo czasu. Za dużo.

Musiała jednak zyskać pewność. Nie mogła ryzykować własnego życia przed zabiciem Maritza. Tanek należał do świata Gardeaux i zdawał sobie sprawę ze wszystkich zagrożeń. Na pewno zaczęłyby działać wcześniej, gdyby to było możliwe.

Trzy miesiące.

*Możesz się przez ten czas przygotować.*

Skoro nie udało się jej namówić Nicholasa na żadną akcję, istotnie nie miała innego wyjścia. Tanek pewnie sobie wyobrażał, że życie w takim odosobnieniu skłoni ją do zmiany planów. Ale to oczywiście nie wchodziło w grę.

W pięć minut później do pokoju wszedł Peter ubrany w szorty khaki i podkoszulek z nadrukiem przedstawiającym uśmiechniętego aligatora w czapce baseballowej Bravesów. Peter też miał na głowie taką czapkę. Niebieskie oczy błyszczały mu z podniecenia.

- Jedziemy na rancho Nicholasa? Mówił ci?

- Tak, owszem. Usadowił się na łóżku.
- On ma konie i owce, i psa. Ten pies nazywa się Sam.
- To miłe.
- Ja nigdy nie miałem psa. Tacie przeszkadzało szczekanie.
- Ale hodowałeś węża. Przytaknął.

- Nicholas powiedział, że na rancho są jeszcze inne psy. Owczarki pilnujące stada. Jean pozwoli mi się zajmować tymi psami.

- A kto to jest Jean?
- Jean zarządza rancho. Nazywa się Etch... - Urwał. - Jakoś tak.

Zapomniałem.

Uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Ale wiesz, że jego pies ma na imię Sam.
- To nie jest pies Jeana, tylko Nicholas. Owczarek niemiecki. Nie pilnuje stada. Od tego są collie.

Nell pomyślała z rozbawieniem, że Peter wie o prywatnym życiu Nicholasa więcej niż ona.

- Dziwię się bardzo, że go nie wypytałeś o imiona collie.
- Chciałem, ale Nicholas kazał mi się zamknąć i iść spać.

Kiedy przypomniała sobie, w jakim nastroju był Tanek, bardzo się zdziwiła, że w ogóle odpowiedział na jakiegokolwiek pytania.

Dziwiła się również, że Peter miał odwagę je zadać.

- Na pewno nie zamierzał być niegrzeczny.
- Niegrzeczny? - Popatrzył na nią ze zdziwieniem. - Myślisz,

że on się na mnie złościł? Wcale nie. Po prostu chciał spać.

I okazał Peterowi maksimum cierpliwości. Nell nigdy by go o to nie posądziła.

- Nie tęsknisz za domem?

Przestał się uśmiechać i odwrócił wzrok.

- Nie. Wolę być z tobą i Nicholasem.
- Peter... Nie mogę ci wiele obiecać. Może się tak stać, że... -

Urwała natychmiast, widząc wyraz jego twarzy.

- Wiem - powiedział cicho. - Pewnie sobie nie życzysz, żebym się koło ciebie kręcił. Rozumiem.

- Nie... Po prostu różnie bywa. Chyba będę musiała wyjechać.  
- W porządku - powtórzył. - Wszyscy gdzieś wyjeżdżają. Albo chcą, żebym ja wyjechał.

Popatrzyła na niego bezradnie.

- Ale jeszcze nie teraz, dobrze? Chciałbym najpierw zobaczyć psy.

Cholera. Przełknęła ślinę.

- Zobaczysz. I jeszcze potem zostanie nam dużo czasu.

Trzy miesiące. Czas miał znaczenie. Wieczność dla niej, chwila dla Petera.

- A jak już będę musiała wyjechać, może uda nam się coś wymyślić.

- Może. - Znowu się uśmiechnął. — Podoba ci się moja czapka i koszulka? Mówiłem Nicholasowi, że lubię Bravesów.

- Śliczna czapka i wspaniałe podkoszulek. - Odwróciła się do drzwi. - Idziemy szukać Nicholasa.

Czego się dowiedziałeś o Simpsonie? - spytał Nicholas, kiedy Jamie podniósł słuchawkę.

- Nadal ani widu, ani słyhu. Przetrzęsnięto mu mieszkanie. A ta panienska dwa dni temu wyjechała do Paryża.

- Dostałeś fotostaty materiałów?

- Wczoraj.

- Musisz je sprawdzić.

- Księgi? Sądziłem, że to się na nic nie przyda, jeśli...

- Nie księgi. Informacje o Medas. Jeśli są prawdziwe, chcę, żebyś trochę pogrzebał.

- Powiesz Nell, co odkryłeś?

- W żadnym wypadku.

- Ale jeżeli ona się dowie, że coś przed nią tajesz, może wybuchnąć.

Wiedział, że nie wolno mu ryzykować takiej eksplozji.

- Po prostu wszystko sprawdź. - Usłyszał pukanie do drzwi.

- Muszę iść. Jeśli dowiesz się czegoś jeszcze, skontaktuj się ze mną na rancho. - Odłożył słuchawkę.

Peter i Nell, którzy właśnie weszli do pokoju, wyglądali jak dwoje uciekinierów z Disneylandu. Oboje byli tacy młodzi i bezbronni, że chętnie zamknąłby ich w klatce, byle tylko ich chronić. W co on się, u diabła, wpakował?

- Jesteśmy gotowi. - Nell skrzywiła się komicznie. - O ile oczywiście wpuszczą nas do samolotu w tych strojach.

Nicholas prześliznął się wzrokiem po jej szczupłych, kształtnych nogach i piersiach wyeksponowanych przez cienki materiał bawełnianej bluzeczki. Poczul znajomy przyływ gorąca.

Chryste, nie teraz. I nie z tą kobietą.

Odwrócił się gwałtownie i sięgnął po leżącą na łóżku torbę.

- Na pewno was wpuszczą. - Ruszył do drzwi. - Ale stewardesa przyniesie wam uszy myszki Miki i książeczki do kolorowania.



Jeszcze jedno ogrodzenie? - spytała Nell, kiedy Tanek wysiadł z jeepa i ruszył do bramy. - Już trzecie. Widzę, że nie dowierzasz zabezpieczeniom.

- Wierzę w życie. A zresztą to była ostatnia brama. - Wystukał kombinację szyfrową i brama otworzyła się na oścież. - Ogrodzenie jest elektryczne, otacza dom i stajnię. - Zerknął na Petera siedzącego z tyłu. - Trzymaj się z dala od płotu, Peter, bo cię prąd kopnie.

Chłopiec zmarszczył brwi.

- W takim razie zagraża również psom.

- Sam trzyma się z daleka od ogrodzenia, a bydło i budynki gospodarcze mieszczą się zupełnie gdzie indziej. Tutaj tylko mieszkam. Prawdziwe życie rancho toczy się w Bar X, siedem mil stąd.

- To dobrze. - Chłopak znowu zaczął wyglądać przez okno. - Śmiesznie tam jest.

Nell wiedziała, o co mu chodzi. W oddali majaczyły wprawdzie góry Sawtooth, ale wokół ziemia była płaska i jałowa. Mimo wszystko nie doznawało się tutaj wrażenia izolacji od świata. Coś wyraźnie wisiało w powietrzu, czekało.

- Masz dużo miejsca.

- To prawda. Marzyłem o przestrzeni jeszcze w Hongkongu. Tam było za ciasno.

*Wierzę w przeżycie.*

Gdy Tanek wrócił do samochodu, przyjrzała się uważnie jego twarzy. Mówił spokojnie, niemal obojętnie i Nell przypomniała sobie rozmowę na lotnisku, podczas której Reardon wspomniał, że Nicholas nie lubi taksówek. Przetrawanie stanowiło jego *modus vivendi*. Teraz, gdy zobaczyła tę fortecę, nie miała już co do tego żadnych wątpliwości.

- Stworzyłeś sobie optymalne warunki - powiedziała cicho.

- Nikt cię tu nie ruszy.

- Nigdy nie ma gwarancji, ale można się starać. - Przejechał przez bramy, które zamknęły się za nim automatycznie. - Nie sądzę, by można było pokonać te ogrodzenia, ale helikopter wyposażony w wyrzutnię pocisków zmiotłby mnie łatwo z powierzchni ziemi.

- Helikopter z wyrzutnią pocisków? - Uśmiechnęła się lekko.

- To zakrawa na paranoję.

- Dlaczego? Gdyby ktoś bardzo się uparł... Południowo amerykańscy bossowie dysponują pełną gamą środków.

- Więc w jaki sposób się przed tym chronisz?

Wzruszył ramionami.

- Nikt nie żyje wiecznie. Jeżeli uniknę pocisków, to zginę podczas tornado. Ale trzeba podejmować wszelkie możliwe środki ostrożności. - Zerknął na nią spod oka. - 1 życie tak, jakby każda chwila miała być ostatnią.

Zaparkował jeepa przed domem i wyskoczył na chodnik.

- Michaela! - zawołał.

- Jestem tutaj. Nie musisz tak krzyczeć. - Z domu wyszła kobieta po czterdziestce, ubrana w dzinsy i luźną, kraciatą koszulę. Poruszała się jednak tak zgrabnie, że ten zwykły strój wyglądał na niej bardzo elegancko. - Popatrzyła na Nell i Petera.

- Masz gości. Witajcie. - Zachowywała się uprzejmie, ale sztywno.

Nell uważnie się jej przyjrzała. Kobieta miała wyraźnie zarysowane, ostre rysy i emanował z niej spokój egipskiego Sfinksa.

- To Michaela Etchbarras - powiedział Tanek. - Mógłbym ją nazwać moją gosposią, ale tak naprawdę ona zarządza tym domem i wszystkim wokół. - Pomógł Nell wysiąść z jeepa. - Nell Calder. Peter Drake. Zostaną tu jakiś czas.

- A ty? - spytała Michaela.

Przytaknął.

-; To dobrze. Sam bardzo tęsknił. Nie powinno się trzymać zwierzęcia, jeśli mu się nie poświęca ani odrobiny czasu. Wypuszczę go z kuchni. - Weszła z powrotem do domu.

- Etchbarras - powiedział nagle Peter. - Właśnie! - To on ma te owczarki.

- Michaela jest żoną Jeana. - Skrzywił się. - Kiedy Jean zabiera owce w góry na wypas, ona wyświadcza mi tę łaskę i zajmuje się domem. Na ogół jednak siedzi w Bar X, a tu przysyła córki.

- Ile ma córek? - spytała Nell.

- Cztery.

- Dziwię się, że wpuściłeś tyle osób do swojej posiadłości, skoro tak podejrzliwie traktowałeś tego biedaka z obsługi hotelowej.

- Oni stanowią część rancho. Etchbarrasowie hodowali owce od końca dziewiętnastego wieku. Przybyli z kraju Basków. Zresztą większość okolicznych mieszkańców to Baskowie. Wyjątkowo hermetyczna społeczność. Ja jestem tylko outsiderem.

- I właścicielem rancho.

- Czyżby? Kupiłem je za pieniądze. A oni zapłacili za ziemię innym towarem. - Zacisnął usta. - Ale masz rację. Posiadłość należy do mnie. Na pewno się nauczę, jak tu gospodarować i pilnować swojej własności.

Zdumiała ją nie skrywana zaborczość w jego głosie. Traktował to miejsce nie tylko jak fortecę. Nell skierowała wzrok na drzwi, za którymi zniknęła gospodyni.

- Ona ma wspaniałą twarz. Byłaby doskonałym modelem do portretu.

Uniósł kpiąco brwi.

- Czyżbym odkrył w tym fanatycznym sercu jakiś łagodniejszy impuls? Malarstwo? Cóż za niesamowita strata czasu!

Sama była zdziwiona. Nie myślała o malowaniu od czasu Medas.

- To nie znaczy, że zamierzam się tym zająć. Masz rację. Nie znalazłabym na to ani minuty.

- Skąd wiesz? - Popatrzył na góry. - Tutaj czas płynie wolniej. Mogłabyś...

Przez frontowe drzwi przeleciało brązowo-czarne tornado. Tanek aż się cofnął, gdy ogromny owczarek niemiecki skoczył mu na pierś.

Próbując polizać Taneka po twarzy, pies wydawał obłąkane jęki.

- Leżeć, Sam!

Owczarek nie zwrócił na niego uwagi. Nicholas

westchnął z rezygnacją i przyklęknął.

- No, już dobrze.

Nell patrzyła ze zdziwieniem na psa skaczącego radośnie wokół swego pana. Tanek zasłonił sobie ręką usta. Napotkawszy spojrzenie Nell, skrzywił się lekko.

- Czego się spodziewałaś? Rin Tin Tina? Nie jestem treserem. Sam reaguje jedynie na komendę: „Chodź na obiad”.

Dla Nell Tanek stanowił uosobienie siły i pewności siebie. Nigdy by się nie spodziewała, że tego rodzaju człowiek pozwoli psu na jakąkolwiek niesubordynację.

- Jest śliczny.

- Tak. - Czule podrapał Sama za uchem. - Bardzo go lubię. To było jasne. Po raz pierwszy tak się przy niej odkrył.

- Mogę go popieścić? - spytał Peter.

- Później. On nie toleruje obcych.

Nell wydało się to niemożliwe. Pies leżał na plecach i posapywał z rozkoszy, podczas gdy Tanek drapał go po szyi. Zrobiła krok naprzód.

Sam zerwał się na równe nogi z głuchym pomrukiem i obnażył groźnie zęby.

Stała w miejscu jak wryta.

- Już dobrze - powiedział Tanek uspokajająco. - Wszystko w porządku, mały.

- Zachowuje się, jakby przeszedł szkolenie na psa obronnego.

- Życie go tego nauczyło. - Wstał. - Znalazłem go przy drodze, kiedy był jeszcze maleńki. Zdychał z głodu. Niewielu ludziom ufa. - Uśmiechnął się do Petera. - Musi się do ciebie przyzwyczaić.

Peter skinął głową, ale był wyraźnie rozczarowany.

- Chciałem, żeby mnie lubił.

- I będzie. - Tanek podszedł do drzwi. - Poproszę Michaelę, żeby jutro zawiozła cię na rancho. Collie są znacznie bardziej towarzyskie.

Peter aż się rozjaśnił.

- Mogę tam zostać przez jakiś czas?

- Za kilka dni pomocnicy Jacka wyruszają w góry po owce.

- A jak wrócą?

- Jeśli Jean się zgodzi.

Peter odwrócił się do Nell.

- To nie o to chodzi, że nie chcę z tobą zostać. Byłaś bardzo dobra. Tylko że ja...

- Psy. - Uśmiechnęła się. - Wiem.

- Chodźcie. - Michaela stanęła w progu. - Nie mogę zmarnotrawić całego dnia. Chcę wam pokazać pokoje. Za godzinę się ściemni. Wieczorem wraca Jean, a ja muszę pojechać do domu i przygotować mu kolację.

Tanek skłonił się kpiąco.

- Już idziemy. Pokaż pokój Peterowi. Ja oprowadzę Nell. Nie chcielibyśmy sprawić ci kłopotu.

- Nie sprawicie. Zostawiłam garnek w piecyku. Możecie się sami obsłużyć. Chodź, Peter. - Weszła z powrotem do domu, a chłopiec skwapliwie podreptał za nią.

Nell i Tanek ruszyli od razu do salonu.

- Dom jest większy, niż mi się wydawało, kiedy patrzyłam na niego z zewnątrz - powiedziała Nell.

- Dobudowałem skrzydło. Mówiłem ci już, że lubię przestrzeń.

Nell rozejrzała się po jasnym wnętrzu, gdzie wokół kominka zgrupowano meble ze skóry w kolorze wielbłądziej wełny. W miedzianych wazonach stojących na kilku stolikach pyszniły się białe kwiaty, a chińska waza w rogu pokoju ugięła się od złotych chryzantem. Wbrew temu, czego się spodziewała, na ścianach nie było indiańskich plecionek ani atrybutów kowbojskich, ale wspaniałe obrazy.

Stała przed jednym z płócien wiszącym nad kominkiem.

- Delacroix?

- Czyżbyś uważała mnie za barbarzyńcę, który schowałby Delacroix przed światem w takiej głuszy? Przecież tutaj tylko ja mógłbym się nim cieszyć.

Przypomniała sobie zaborczość, jaką w nim dostrzegła zaledwie kilka minut temu.

- Tak.

Zaśmiał się.

- I miałabyś rację. Skarby są po to, by sprawiać przyjemność ludziom, którzy potrafią wejść w ich posiadanie i już nie oddać.

- Wejść w ich posiadanie? Czyżbyś?...

- Nie, oczywiście że nie ukradłem tego obrazu. Kupiłem go na aukcji. Ostatnio trzymam się przepisów. - Poprowadził ją długim korytarzem. - W tym skrzydle jest pięć sypialni z łazienkami, natomiast gabinet i świetnie wyposażona sala gimnastyczna znajdują się po drugiej stronie domu. Mam tylko jeden telewizor, w gabinecie, ale za to mnóstwo książek. Chciałbym, żeby ci było wygodnie.

Nie mogło być inaczej. Pokój - skromnie umeblowany - wydawał się niesłychanie przytulny. Na szerokim podwójnym łóżku leżał biały koc. Przy oknie, w rogu, stał fotel na biegunach z gobelinowym obiciem. Regał z wiśniowego drewna zajmujący przeciwległą ścianę ugięła się od książek i roślin.

- Bardzo tu ładnie. Dziwię się, że twoi goście w ogóle decydują się wyjeżdżać.

- Rzadko miewam gości. To mój dom. Nie chcę się z nikim dzielić.

Odwróciła się, by na niego popatrzeć.

- W takim razie moja obecność musi cię podwójnie irytować. Obiecuję, że nie będę ci przeszkadzać bardziej, niż to konieczne.

- Sam podjąłem decyzję, żeby cię tu przywieźć. - Wskazał drzwi po przeciwnej stronie pokoju. - Łazienka. Na pewno zechcesz się umyć przed kolacją.

Co on robi, u diabła? - spytała Nell wpatrzona w Petera siedzącego na podłodze w przeciwległym kącie pokoju. Chłopak miał skrzyżowane nogi i wpatrywał się tępo w Samę, który leżał przy kominku dwa metry dalej. - Zachowuje się niczym prawdziwy zaklinacz węży.

- On uważa ciebie za takiego zaklinacza - powiedział sucho Nicholas.

Potrząsnęła głową.

- Gniewał się na mnie. Uważał, że obeszłam się zbyt brutalnie z tym wężem. - Wróciła do tematu. - Czyżby wierzył, że zmusi Samę do sympatii?

- Może. - Tanek nalał jej drugą filiżankę kawy. - Zresztą wcale bym się nie zdziwił. Gdyby tego rzeczywiście bardzo pragnął... Psy doskonale wyczuwają uczucia i są na nie szczególnie wrażliwe.

- Nie zwracał uwagi na Petera podczas kolacji.

- Przestań kombinować.

- Ja po prostu myślę, że Peter miał trudne życie. A temu diabelskiemu psu korona by z głowy nie spadła, gdyby zamachał do niego ogonem.

- Ale on tego nie wie. A ostrożność popłaca.

- I dlatego podłączyłeś prąd do ogrodzeń?

Przytaknął.

- Wbrew temu, co ci się teraz wydaje, życie bywa miłe. I nie zamierzam rezygnować nawet z jednej sekundy. Będę walczył do ostatniego tchnienia.

Niczego innego nie mogła się po nim spodziewać. Pod tą

maską chłodu kryła się niezachwiana determinacja. Siła, inteligencja i pasja życia tworzyły intrygujące połączenie. Oderwała od niego wzrok.

- Ale chcesz postawić wszystko na jedną kartę, byle tylko dopaść Gardeaux.

- Nie, jeśli uda mi się temu zapobiec. - Uniósł filiżankę do ust. - Zamierzam zwyciężyć i przetrwać.

- A jeśli ci się nie uda?

- Uda mi się. - Urwał. - Nie pozwolę się zabić tylko dlatego, że tobie się spieszy.

- Nie rozumiesz. Ja muszę postępować w ten sposób. Tak trudno mi czekać. - Zaciśnęła palce na filiżance. - Sądzisz, że nie wiem, dlaczego tu jestem? Na pewno chcesz mnie odwieść od moich zamiarów.

- To jeden z powodów. A drugi jest taki, że wolałbym się już za tobą nie uganiać.

- I wcale byś nie musiał.

- Niestety, bardzo głęboko się mylisz.

- Dlaczego? Już ci mówiłam, że nie odpowiadasz za to, co się wydarzyło na Medas.

- Sami sobie wytyczamy granice odpowiedzialności.

- Czyżbym nie wykraczała poza twoje?

Nie chciała, by ktokolwiek czuł się za nią odpowiedzialny. A już na pewno nie życzyła sobie, aby był to Tanek. Odpowiedzialność zawsze pociągała za sobą pewną bliskość. Już i tak musiała się przywiązać do Tani i Petera. Tanek musi pozostać obcy.

- Wcale ci się to nie podoba, prawda? Ale przecież zrobiłaś wszystko, żebym ci pomógł. - Uniósł kpiąco brew. - Powinnaś być konsekwentna, moja droga.

Niech go diabli. Nie potrafiła trzymać Taneka na dystans.

- Nic nie muszę. - Zmieniła temat. - Dlaczego pragniesz śmierci Gardeaux?

Z twarzy Nicholas'a zniknęło rozbawienie.

- Bo on zasłużył na śmierć.



- To nie jest odpowiedź.

Milczał chwilę.

- Z tego samego powodu, dla którego ty chcesz, żeby umarł. Gardeaux zabił kogoś, na kim bardzo mi zależało.

- Kogo?

Znowu zdała sobie sprawę, że tak niewiele o nim wie.

- Żonę? Dziecko? Potrząsnął głową.

- Przyjaciela.

- To musiał być bardzo bliski przyjaciel. Wyczuła, że znów chce ją od siebie odepchnąć.

- Bardzo bliski. Jeszcze kawy?

Potrząsnęła głową. Zrozumiała, że Tanek nie podejmie tematu.

- Powiedz mi coś o Gardeaux.

- A co chciałabyś wiedzieć?

- To samo, co ty. Uśmiechnął się krzywo.

- Na pewno nie chcesz o nim wiedzieć tego samego, co ja. Gwarantuję.

- W jaki sposób go poznałeś?

- Spotkaliśmy się kilka lat temu w Hongkongu. Robiliśmy wtedy w tej samej branży. Tyle że on prowadził bardziej rozwiniętą działalność.

- To znaczy, że obaj byliście przestępcami - podsumowała bez ogródek.

Przytaknął.

- Ale nigdy nie chciałem, by to się stało sensem mego życia. Zamierzałem zostać neurochirurgiem.

Spojrzała na niego w osłupieniu. Zaśmiał się.

- Żartowałem. Pragnąłem zdobyć jak najwięcej forsy i dać sobie spokój. Jeśli się zajdzie zbyt wysoko, to albo nie można się odczepić od policji, albo trudno zrezygnować z władzy. A ja wolałem nie popaść w takie kłopoty, więc stałem w cieniu.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić.

- Serio. No... prawie - dodał po chwili.
- Ale Gardeaux postępował inaczej.
- On chciał zostać Bogiem. - Myślał chwilę. - Nie, raczej Cesarem Borgia. Nigdy nie byłem pewien. Chyba jednak Bogiem. Książę źle skończył.

Zwalczyła przypyływ złości.

- W jaki sposób go poznałeś?
- Dzięki wazie z epoki Tang, którą obaj postanowiliśmy zdobyć. Gardeaux kazał mi się wycofać.

- I co zrobiłeś?

- Wycofałem się, rzecz jasna.

Nell omal nie podskoczyła ze zdziwienia.

- Zrobiłem dobry interes. On był silniejszy, a wojna z Gardeaux mogła mnie kosztować więcej niż tuzin takich waz.

- Rozumiem.

Potrząsnął głową.

- Wcale nie. Uważasz, że powinienem był z nim walczyć niczym Brudny Harry.

- Wcale tego nie powiedziałam.

- Już dawno się nauczyłem, że należy rozważyć wszystkie za i przeciw przed ewentualnym podjęciem walki. A ja miałem szansę zdobyć majątek i przyjaciół, którzy na mnie polegali.

- Na przykład Phila?

- Tak, pracował wtedy dla mnie.

- Nadal pracuje.

- Od czasu do czasu. Kiedy już zdobyłem wystarczająco dużo pieniędzy, zwinąłem się. Niektórzy moi wspólnicy uznali, że nie zamierzają marnować talentu w innych organizacjach, gdzie z pewnością zyskaliby aprobatę.

- Więc pomogłeś im zacząć od nowa.

- Nie potrafiłbym postąpić inaczej. Czułem się za nich odpowiedzialny.

Lojalność. Nell wcale sobie nie życzyła, by Tanek miał bodaj jedną cechę, jaką musiałaby w nim podziwiać. Kiedy zaczęła go wypytywać, zamierzała uzyskać jak najdokładniejsze informacje

o Gardeaux, a dowiadywała się stanowczo zbyt wiele o nim samym. Wróciła więc do punktu wyjścia.

- Wycofałeś się, ale to nic nie dało, bo on i tak zabił twojego przyjaciela.

- Nie, to było później. - Wstał i przeciągnął się. - Czas spad. Znow zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

- Nie powiedziałeś mi wszystkiego o Gardeaux.

- Zdażę. Jeszcze nie wyjeżdżasz. Wstała.

- Nie chcę tracić czasu. - Urwała. - Masz przecież swoje kontakty. Skoro nie możemy się zająć niczym konkretnym, dowiedz się przynajmniej, dlaczego Gardeaux nasłał na mnie Maritza.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Muszę to wiedzieć, żeby cokolwiek zrozumieć. Już za długo tkwię w tym koszmarze.

- Czy zmienisz wtedy plany?

- Nie.

- W takim razie motyw nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma.

Patrzył na nią bez słowa.

Nie zamierzał nic mówić.

- Dobrze. Więc jutro mnie nauczysz, jak się robi to, co ty zrobiłeś Wilkinsowi?

- Nigdy nie rezygnujesz?

- Gdybym znała sztukę walk wschodu, Maritz nie byłby w stanie zepchnąć mnie z balkonu. Potrafiłabym się obronić.

Uratowałyby Jill.

Te nie wypowiedziane słowa wisały między nimi w powietrzu. Przytaknął krótko.

- Pojutrze. Jutro jadę zobaczyć się z Jeanem w Bar X. Zerknęła na niego podejrzliwie.

- Nie próbujesz mnie zwodzić?

- Nawet by mi to do głowy nie przyszło. Nauczę cię wszystkiego, co chcesz wiedzieć o śmierci i zabijaniu. Ale Gardeaux i Maritz nauczyliby cię znacznie więcej.

- Wystarczy.
- Nie wystarczy. A nawet jeśli tak, to co zrobisz, kiedy będziesz już miała wszystko za sobą? Trudno się pozbierać po popełnieniu morderstwa. Trzeba mieć określone predyspozycje psychiczne.
- To nie byłoby morderstwo - powiedziała urażona.
- Widzisz, już przed tym uciekasz. Morderstwo - powtórzył dobitnie.
- Odebranie życia jest morderstwem. Nieważne, jakie istnieją ku temu powody. Miłym ludziom twojego pokroju już od dzieciństwa wpaja się zasadę, że od takich spraw należy się trzymać z daleka.
- Mili ludzie tacy jak ja rzadko mają powody, by mordować.
- Owszem, a poza tym ty już nie jesteś kobietą, którą spotkałem na Medas. Ale trudno zmienić ludzką naturę.
- Bzdury!
- Czyżby? Chcesz być twarda, zimna i wszystkich odpychać, ale tak się wcale nie dzieje. Ze mną poszło ci łatwo, ale co z Tanią i Peterem?
- To inna sprawa. Oni nie mają nic wspólnego z Gardeaux i Maritzem.
- Ale łączą się nierozdzielnie z prawdziwą Nell.
- Sądzisz, że nie dam sobie rady?
- Owszem. I mogę się założyć, że trafnie oceniam sytuację. Nie chciałbym się mylić.
- Pokręciła głową.
- Pojutrze. Ósma rano. Sportowe ubranie. Bez śniadania.
- Odwrócił się i wyszedł z pokoju.
- Wmawiała sobie, że Tanek się myli. Musiał się mylić. Szkoda, że nie udało się jej zachować dystansu w stosunku do Tani i Petera, ale nie miało to żadnego wpływu na jej postanowienia.
- Peter. - Spojrzała w przeciwną stronę, - Czas iść...
- Sam położył głowę na kolanach Petera, który drapał go po szyi. Na twarzy chłopca malował się wyraz absolutnej rozkoszy.
- Gdyby tego rzeczywiście bardzo pragnął.*
- Poczuła, jak zalewa ją fala szczęścia. Widocznie Peter pragnął psiej miłości wystarczająco mocno.

*Nie chciałbym się mylić.*

Na wspomnienie słów Taneka przestała się uśmiechać. Nicholas z pewnością miał silniejszą wolę niż Peter, a zamierzał skoncentrować ją na Nell.

Ale ona nie była Samem. Z nią tak łatwo nie można sobie poradzić.

- Chodź, Peter - powiedziała pogodnie. - Czas spać. Możesz pobawić się z Samem jutro.

Nie żyje. Ta kobieta nie żyje.

Maritz z zadowoleniem odłożył słuchawkę. Nie nawalił. Ta cała Calder wreszcie umarła. Nie od razu, ale zawsze... Mógł powiedzieć Gardeaux, że wykonał robotę.

Chyba mógł.

W zadowolenie wkradła się nieoczekiwana nutka niepewności. Gardeaux twierdził, że Maritz dał plamę, bo kobieta wyzdrowieje. A ten sukinsyn rzadko się mylił.

Zrobiłby z siebie idiotę, gdyby dokumenty tej dziwki sfałszowano, a ją po prostu usunięto z pola widzenia. Gardeaux nie znosił idiotów.

Nie zaszkodziło sprawdzić.

Popatrzył na informacje w notesie. Szpital?

Zbyt wiele możliwości. Za dużo osób.

Dom Pogrzebowy Birnbauma.

Uśmiechnął się i wepchnął notes do kieszeni.

Proszę. - Tanek rzucił na kanapę wielką paczkę. - Prezent. Nell spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Sądziłam, że jedziesz na rancho zobaczyć się z zarządcą.

- Bo tak było. Wpadłem do miasta w drodze powrotnej. Otwórz.

Z trudem odwijala taśmę ciasno oklejoną wokół pudła.

- Peter nie wrócił jeszcze z rancho.

- I na razie nie wróci. Jean pozwolił mu zostać na parę dni. A potem może zabierze go w góry po owce.

- Czy to bezpieczne?

- Całkowicie. A on miał taką ochotę jechać. Psy i owce!

Tak, to musiała być dla Petera wspaniała perspektywa. Zaczęła zrywać z pudła szary papier. Płótno, sztalugi, szkicownik, ołówki i pudełko z farbami.

- Co to jest?

- Mówiłaś, że chcesz namalować Michaelę.

- Nic podobnego nie powiedziałam.

- Ale chcesz.

- Nie będę miała czasu. Strzelił palcami.

- No, tak, zapomniałem o zabijaniu. Ale postanowiłem obciążyć cię opłatą za lekcje. Potrzebuję paru obrazów na ściany.

- Chcesz je powiesić obok Delacroix?

- Lubię koloryt lokalny. Namaluj moich ludzi, moje góry.

Z taką samą zaborczością mówił o posiadłości. Postawiła płótno na podłodze.

- Wynajmij kogo innego do tej roboty.

- Chcę, żebyś to ty zrobiła. Godzina sztuki zabijania za dwie spędzone przy sztalugach. Umowa stoi?

Popatrzyła na niego uważnie.

- Co to ma znaczyć? Czyżbyś sądził, że przejdę jakąś cudowną metamorfozę po tej szarlatańskiej terapii?

- Może. Pomyślałem, że to ci nie może zaszkodzić.

- Ale stracę masę czasu.

- Kiedyś, dawno temu, nie uważałaś malarstwa za stratę czasu. - Napotkał jej wzrok. - Dotrzymam obietnicy. Będę z tobą ćwiczył godzinę dziennie, niezależnie od tego, czy zaczniesz malować. Jeśli jednak chcesz więcej, musisz zrobić, co każe.

- To ci w niczym nie pomoże.

- Ale i nie zaszkodzi. - Uśmiechnął się. - I tobie również nie.

Wolno pokręciła głową.

- Umowa stoi?

Dlaczego nie? Zyskiwała w ten sposób możliwość wpływu na intensywność nauki. Spojrzała na płótno i poczuła przyływ podniecenia. Powędrowała wzrokiem w kierunku kuchni, gdzie Michaela przygotowywała kolację. Co za fantastyczna twarz...

- Nie wiem, czy uda ci się namówić Michaelę, żeby mi pozowała.
- Nigdy nie próbuję jej o niczym przekonać. Sama musisz z nią porozmawiać.

- Kolejna terapia? Uśmiechnął się.
- Strach. Na samą myśl o tej kobiecie umieram z przerażenia.

Dom Pogrzebowy Birnbauma lśnił w ciemnościach niczym posiadłość plantatorów. Punktowy reflektor ukryty w krzewach na ganku rzucał jasny snop światła na trzy kolumny wspierające budynek.

Co za marnotrawstwo - pomyślał Maritz. Taka chałupa dla umarłaków.

No, ale właściwie nie tylko dla umarłaków. Właściciele czerpali ogromny zysk z grzebania trupów. Pieprzone pijawki. Wypili z niego ostatnią kroplę ciężko zapracowanej krwawicy, kiedy grzebał ojca.

Ale Maxwell i syn nie mieli takiego zakładu. Kostnica mieściła się przy ruchliwej ulicy w slumsach Detroit, a Maritz był zbyt biedny i nieważny, by wzbudzić ich zainteresowanie. Wypchnięto go do Daniela Maxwella, syna. Siedząc w kantorku dostawał białej gorączki, podczas gdy ten pryszczaty wypierdek usiłował z niego wycisnąć ostatniego dolara.

Miał ochotę chwycić bydlaka za gardło i patrzeć, jak mu gały wychodzą z orbit.

Ale to wszystko się działo, zanim znalazł nóż.

Tymczasem otworzyły się drzwi kostnicy i wyszedł z niej tłum ludzi. Podpuchnięte oczy, ciche głosy, ulga na twarzach. W końcu opuścili zmarłych i znów dołączyli do żywych.

Zerknął na zegarek. Dziewiąta. Pora zamknięcia. Postanowił podarować jeszcze kwadrans maruderom.

Patrzył, jak żałobnicy wsiadają do samochodów i odjeżdżają. On też kiedyś był żałobnikiem. Kochał ojca. To ta podła suka, jego matka powinna była umrzeć. Maritz wcale nie chciał, żeby tak się stało. Popchnął tylko ojca odrobinę za mocno, a on spadł ze schodów. Szkoda, że to nie przytrafiło się matce.

Z kostnicy wyszedł młody chłopak w ciemnym garniturze i - przecinając trawnik - skrócił sobie drogę do samochodu. Czeladnik wampirów? A może Birnbaum też miał syna? Smarkacz gwizdał wesoło, wsiadając do niebieskiego oldsmobile'a zaparkowanego obok smukłego karawanu marki Cadillac.

Karawan był nowy, kupiony za gotówkę w tydzień po domniemanej kremacji Calder.

Maritz uważał, że historia tego zakupu jest niezwykle interesująca.

W holu zgasły światła.

Zaczekał, by oldsmobile zniknął za rogiem, po czym wysiadł z samochodu, przeszedł na drugą stronę i nacisnął dzwonek.

Nikt nie odpowiedział.

Znowu zadzwonił, a po minucie spróbował raz jeszcze.

Rozbłysły światła, otworzyły się drzwi. Maritz poczuł powiew chłodnego powietrza i ciężki zapach kwiatów.

W progu stał John Birnbaum. Miał przerzedzone siwe włosy, . był niski, krępy, ubrany w szary garnitur.

- Życzy pan sobie obejrzeć ciało? Przykro mi, ale już zamknęliśmy zakład.

Maritz potrząsnął głową.

- Muszę panu zadać kilka pytań. Wiem, że jest późno, ale chciałbym wejść.

Birnbaum wahał się przez chwilę. Maritz widział oczyma wyobraźni, jak stary wampir przelicza w głowie dolary.

- Pan w sprawie pogrzebu?

Maritz wszedł do foyer i zamknął za sobą drzwi.

- Tak, właśnie w tej sprawie. Musimy porozmawiać.



Stojąc w progu kuchni, Nell obserwowała Michaelę, która - biała od mąki - wyrabiała ciasto. Jej ruchy były zręczne, oszczędne, pełne wdzięku.

- Czego sobie życzysz? - spytała Baskijka, nie podnosząc głowy nad stolnicę.

- Co robisz? - spytała Nell, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Biskopki.

- Te, które jedliśmy na śniadanie, bardzo mi smakowały.

- Wiem.

Nie zanosilo się na łatwą rozmowę.

- Jesteś bardzo zajęta?

Michaela skinęła głową.

- Miło, że pozwoliliście Peterowi zostać na rancho przez jakiś czas.

- Nie będzie nam przeszkadzał. - Odłożyła wałek i zaczęła kroić ciasto. - Gdyby robił kłopoty, na pewno byśmy go nie przyjęli. Jean jest za bardzo zapracowany, żeby jeszcze zajmować się głupkami. Ale ten chłopiec ma umysł dziecka, a dzieci należy uczyć. - Mówiła równie energicznie, jak wałkowała. - No, ale czego chcesz?

- Twojej twarzy.

Michaela podniosła na nią wzrok.

- Twoja własna jest wystarczająco ładna.

- Chciałabym cię namalować.

Michaela zaczęła układać biskopki na blasze.

- Nie mam czasu na pozowanie.

- Mogłabym cię rysować podczas pracy. Na początku nie zajmowałabym ci ani chwili.

Kobieta milczała chwilę.

- Jesteś artystką?

- Niezupełnie. Brakuje mi czasu. Maluję tylko wtedy, kiedy nie... - Urwała, gdyż zrozumiała, że zaczyna automatycznie wypowiadać to samo zdanie, jakie zwykle służyło jej za odpowiedź przed Medas. Ale teraz nie było Jill ani Richarda. Nikt

niczego od niej nie wymagał. Zignorowała przyływ bólu. - Tak, jestem artystką. - Zabrzmiało to dziwnie i obco. Michaela patrzyła na nią przez chwilę.

- Maluj. Tylko nie przeszkadzaj.

Nell nie dała jej szansy na zmianę zdania.

- Zaraz przyniosę szkicownik.

- Nie będę tkwiła jak mumia w jednym miejscu.

- Dam sobie radę.

Po godzinie wysiłków Nell zmieniła zdanie. Michaela ani przez chwilę nie stała spokojnie. Jak na kobietę o rysach Nefretete poruszała się zdecydowanie zbyt energicznie. Po wyrzuceniu kilku szkiców Nell zmieniła taktykę. Postanowiła rysować tylko jeden szczegół naraz. Zaczęła od głęboko osadzonych oczu.

Pomysł okazał się dobry. Powoli udawało się osiągnąć zamierzony efekt. Gdyby zdołała połączyć potem wszystko w całość...

- Dlaczego tu jesteś?

Podniosła wzrok na swoją niesforną modelkę. Michaela odezwała się po raz pierwszy od godziny.

- Przyjechałam z wizytą.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Nicholas mówił, że zostajesz na zimę. Wizyty nie trwają tak długo.

- Postaram się nie sprawić ci kłopotu.

- Skoro Nicholas chce, żebyś tu mieszkała, dam sobie jakoś radę.

- On twierdzi, że ta posiadłość należy bardziej do was niż do niego.

- Nicholas też powoli zapuszcza tu korzenie. Musi się tylko trochę wdrożyć do takiego życia.

- Wdrożyć?

Michaela wzruszyła ramionami.

- Myślę, że trudno mu gdziekolwiek się zadomowić, choć bardzo tego pragnie. Zobaczymy.

- Chcesz, żeby został?

Przytaknęła.

- Nicholas nas rozumie. Przy nim mamy dużo swobody. Następny właściciel mógłby okazać się głupi i tępy.

- A ty pracujesz nad Nicholasem? - uśmiechnęła się Nell.

- Oczywiście. On wcale nie jest trudny. Posiada ogromną siłę woli i umysłu. Z czasem wtopi się w ten pejzaż,

- Wydawało mi się, że silne jednostki nie lubią się w nic wtapiać.

- Ta ziemia też jest silna. Nie trawi słabeuszy. Przeżuwa ich tylko, po czym wypluwa.

Nell na chwilę przestała szkicować.

- Uważasz mnie za słabeusza?

- Nie wiem. A powinnam?

- Nie.

- W takim razie przestań się martwić.

- Wolałabyś pewnie, żeby mnie tu nie było.

- Dla mnie to nie ma znaczenia. - Wyjęła biszkopty z pieca. - Obyś tylko nie próbowała zabrać stąd Nicholasa. Rozmawiaj z nim. Uśmiechaj się do niego. Spij z nim. - Postawiła blachę na stole. - Ale jeśli wyjedziesz, zostaw go tutaj.

Nell aż się wzdrygnęła.

- Nie zamierzam z nim spać. Nie po to przyjechałam.

Michaela wzruszyła ramionami.

- Ale tak będzie. Nicholas to mężczyzną, a ty jesteś bliżej niż kobiety z miasta. - Wyjmowała delikatnie biszkopty z blachy. I należysz do takich, jakie lubią mężczyźni.

- On nie patrzy na mnie w ten sposób.

- Wszyscy mężczyźni patrzą w ten sposób na kobiety. To ich pierwsza reakcja. Dopiero później zauważają w nas istoty ludzkie, które oprócz ciała mają jeszcze umysł.

- I wydaje ci się, że tylko Tanek będzie decydował w tej sprawie?

- Lubisz na niego patrzeć. Często go obserwujesz.

Naprawdę? Niech to diabli! Oczywiście, że na niego patrzyła.

Przyciągał uwagę. Tam, w zatłoczonej sali balowej wybijał się ponad tłum niczym latarnia morska.

- To o niczym nie świadczy. Między nami nic nie było.

- Skoro tak twierdzisz... - Odwróciła się. - Nie mam już czasu na rozmowy. Zbliża się pora obiadu. Muszę nakryć do stołu.

Nell odetchnęła z ulgą. Choć Michaela głęboko się myliła, cała ta rozmowa nie należała do najprzyjemniejszych.

- Nakryję do stołu, dobrze?

- Nie. - Otworzyła szafkę i wyjęła talerze. - Ale możesz zawołać Nicholasa.

Nell odłożyła szkiecownik i zeskoczyła ze stołka.

- Już się robi.

Kiedy weszła do stajni, Nicholas oporządzał gniadego ogiera. Nell zatrzymała się w progu.

- Obiad jest gotowy.

- Zaraz przyjdę.

Patrzyła, jak szcztokuje konia długimi, posuwistymi pociągnięciami zgrzebła. Zdała sobie sprawę, że Tanek robi wszystko z taką samą siłą i rozważą. Ubrany w dzinsy i podkoszulek pasował do tego zajęcia. Można by pomyśleć, że został do tego stworzony. Nie widziała żadnego związku między Tanekiem z Medas a tym mężczyzną.

Nie podniósł wzroku.

- Jesteś bardzo cicha. O czym myślisz?

- Myślę, że świetnie sobie radzisz. Znasz się na koniach?

Uśmiechnął się.

- Dopiero się uczę. Zanim tu przyjechałem, oglądałem jedynie konie do jazdy w polo.

- Należałeś do klubu?

- Pracowałem tam jako pomywacz.

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- Nie? A ja traktowałem tę pracę jak awans. Przedtem szorowałem podłogi w burdelu, w którym pracowała moja matka.

- Ach, tak... Zerknął przez ramię.

- Reakcja godna damy. Czyżbym cię zaszokował?

- Nie, ale... - Zdała sobie sprawę, że zaczyna się jąkać. - To nie moja sprawa. Nie chciałam być wścibska.

- I nie byłaś. Ledwo znałem moją matkę. Z innymi kurwami łączyły mnie bliższe związki. Matka była amerykańską hipiską, która przybyła do Chin w poszukiwaniu prawdziwego światła. Niestety, światło dostrzegąca wyłącznie wtedy, kiedy udało się jej naćpać, w związku z czym pozostawała w takim stanie przez większość czasu. Umarła z przedawkowania, kiedy skończyłem

zaledwie sześć lat.

- W jakim wieku stamtąd wyjechałeś?

Myślał chwilę.

- Zacząłem pracować w klubie polo jako ośmioletni chłopiec. Wylali mnie po czterech latach.

- Z jakiego powodu?

- Kucharz powiedział, że ukradłem trzy skrzynki kawioru i sprzedałem je na czarnym rynku.

- Naprawdę tak zrobiłeś?

- Nie, ale stanowiłem wygodny cel. A on postąpił bardzo sprytnie.

- Tanek przybrał chłodny, obiektywny ton. - Nie potrafiłem sam się obronić i nie było nikogo, kto mógłby się za mną ująć.

- Potrafisz myśleć o tej sprawie bez gniewu?

- To dawne dzieje. Przy tamtej okazji nauczyłem się czegoś naprawdę ważnego. Już nigdy potem nie byłem bezbronny i nauczyłem się walczyć o swoje.

- A potem? Miałeś dokąd pójść?

- Ulice. - Odłożył zgrzebło i poklepał konia po nosie. - Dzięki nim nauczyłem się jeszcze więcej, ale ty z pewnością nie chciałyś poruszać takich tematów. - Wyszedł z boksu i przymknął drzwi. - A może jednak? Na kilku lekcjach przerabiałem różne brudne numery, na innych sposoby zadawania bólu.

Nie mogła sobie wyobrazić, jak można przeżyć na ulicy, w dodatku będąc dzieckiem. Zerknął na nią i pokręcił głową.

- Patrzysz na mnie tak samo jak na Petera. Jesteś miękka jak masło.

Szybko odwróciła wzrok.

- Ktoś, kto się buntuje przeciwko okrutnemu traktowaniu dzieci, nie musi wcale być miękki. Sam tego nie cierpisz.

- Ale nigdy się nie roztkliwiam.

- Ja również nie.

- Prawie. Słuchaj, nie wszystkie dzieci są takie jak Jill. Ja byłem twardym, małym draniem z ostrymi pazurami..- Napotkał jej spojrzenie. - Sądzisz, że się zmieniłaś, ale nadal jesteś zbyt delikatna. A to grozi śmiercią.

- W takim razie będę jeszcze musiała nad sobą popracować.

- Ruszyła do drzwi. - Michaela bardzo się zdenerwuje, jeżeli ostygnie nam obiad.

•. - A my wcale sobie tego nie życzymy. - Zrównał z nią krok.

- Jak się ułożyły wasze stosunki?

- Całkiem dobrze. Zgodziła się na portret. Oczywiście pod warunkiem, że nie będę wchodziła jej w drogę - dodała ze śmiechem.

- I jak się czujesz przy szkicowniku?

- Dobrze. Ale na pewno nie schowam się w żadnym przytulnym kąciuku i nie zapomnę o bożym świecie.

- Na pewno ci to jednak pomoże. Stanowi część większego planu.

- Dziś szkicowałam trzy godziny. A więc jesteś mi coś winien.

Otworzywszy przed nią drzwi, wykrzywił wargi w sardonycznym uśmiechu.

- I tu jest pies pogrzebany.

Potrząsnęła głową. Tanek stanowił dziwną mieszaninę - był zimny, twardy, a jednak odpowiedzialny i sprawiedliwy.

I to - biorąc pod uwagę jego pochodzenie - było naprawdę godne uznania.

Tanek w ogóle budził w niej podziw.

*Patrzysz na niego.*

Przypomniała sobie słowa Michaeli i na samą myśl o intymnym kontakcie z Tanekiem doznała wstrząsu.

Co za idiotyczna reakcja. Nie chciała się z nim kochać, choć go ceniła. W ogóle nie myślała o seksie, a z Nicholasem nie zamierzała się nawet przyjaźnić. Co tu dopiero mówić o łóżku...

Zależało jej na Taneku, bo mógł ją doprowadzić do Maritza, ale wyłącznie z tego powodu. I tak musi zostać. Nie wiedziała, dlaczego właściwie zaczęła go wypytywać o przeszłość. Im mniej o nim wiedziała, tym lepiej.

Nie, nieprawda. Pytała, bo była ciekawa, jakie czynniki kształtują tego rodzaju indywidualności. A ciekawość należy do zupełnie normalnych i typowych cech charakteru. Nadal zresztą nie zaspokoila jej w pełni. Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl.

- A ten kucharz, który cię wylał? Spotkałeś go jeszcze kiedyś?
- O tak, spotkałem - odparł z uśmiechem.

Nikt jej nie śledził.

Tania wmawiała sobie, że to tylko wyobraźnia i wyzywała się w myślach od idiotek. Kiedy jednak wreszcie wturlała się na podjazd, doznała głębokiego uczucia ulgi.

Dom. Bezpieczeństwo.

Siedziała jeszcze przez chwilę w aucie, wpatrzona we wsteczne lusterko. Jedynym samochodem na ulicy był szkolny autokar.

No właśnie. Najwyraźniej uległa paranoi. Mieszkała przecież w Minneapolis, a nie w Sarajewie. Wsiadła z auta, otworzyła bagażnik i wyjęła torbę z zakupami.

- Pozwolisz, że to zaniosę? Podskoczyła jak oparzona. Na podjeździe stał Phil.
- Przepraszam. Chyba cię przestraszyłem.
- Po prostu się ciebie nie spodziewałam.

Phil zabrał torbę od Tani, wyjął dwie kolejne z bagażnika i zatrzasnął wieko łokciem.

- Dlaczego mnie nie zawołałaś?
- Myślałam, że dam sobie radę. - Uśmiechnęła się i ruszyła w stronę domu. - A poza tym to nie twoja robota.
- Lubię być zajęty. Teraz, kiedy skończyło się lato, nie mam już pracy w ogrodzie. - Skrzywił się. - Sam nie



rozumiem, dlaczego nadal tu tkwię, skoro Nell jest w Idaho z Nicholasem.

- Bardzo nam pomagasz. - Nie patrząc mu w oczy otwierała frontowe drzwi. - Czy... czy może Nicholas kazał ci mnie pilnować?

Zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem. Miałem tu czekać na jakiś znak od niego i pomagać ci we wszystkim, czego zapragniesz.

- I przy okazji nade mną czuwać?

- Nie. - Przyjrzał się jej uważnie. - Jakiś kretyń za tobą łązi?

- Eee, tam. - Weszła do holu i poprowadziła go do kuchni. - Chyba ponosi mnie wyobraźnia. Nikogo nie widziałam. To tylko przecucie. Dlaczego ktoś miałby mnie obserwować?

Uśmiechnął się i gwizdnął przez zęby.

- A kto by nie chciał? - Spowaźniał. - Mało to wariatów dookoła? W tych czasach trudno przesadzić z ostrożnością. Może następnym razem dotrzymam ci towarzystwa?

Potrząsnęła głową.

- Czuję się jak idiotka. To tylko zwidy.

- Nie szkodzi. - Postawił torby na ladzie. - Przynajmniej miałbym coś do roboty.

- Zobaczymy. - Powoli wypakowywała torbę. - W każdym razie dzięki za propozycję.

Zawahał się i popatrzył na nią przeciągle.

- Ty i doktor Lieber byliście dla mnie bardzo dobrzy. Nie chcę, żebyś się martwiła. Jeśli tylko zapragniesz towarzystwa, natychmiast mnie zawołaj.

Uśmiechnęła się serdecznie, patrząc, jak Phil zamyka za sobą drzwi. Ten chłopak stał się integralną częścią jej życia. Wszędzie było go pełno - rąbał drewno, mył auta, pracował w ogrodzie. Czasem unosił głowę znad grządki i machał do niej przyjaźnie. Odczuwała wtedy miłe ciepło w okolicy serca.

Wrzuciwszy pustą torbę do kubła na papierowe odpadki, przestała się uśmiechać. Nie sądziła, że Nicholas każe Philowi jej pilnować. Dlaczego miałby to robić? Przecież to Nell groziło

niebezpieczeństwo, a ona wyjechała. W Ameryce czający się w ruinach snajperzy nie zagrażali nieuważnym przechodniom.

Te lata strachu wyostrzyły jednak zmysły, Ameryka natomiast nie okazała się rajem, za jaki ją niegdyś uważała. Tu również wybuchały bomby i zdarzały się morderstwa.

A Tania czuła na sobie te oczy.

Czyżby jednak powinna wychodzić w towarzystwie Phila?

No jasne - pomyślała z niesmakiem. W przyszłym tygodniu miała rozpocząć zajęcia na uniwersytecie. Nie mogła się zgodzić na to, żeby ten biedak wyczekiwał codziennie na koniec zajęć, ogryzając paznokcie z niecierpliwości. Zapewne były to po prostu jakieś mgliste retrospekcje z Sarajewa. Wspomnienia i doświadczenia pozostawały prawdopodobnie na zawsze w podświadomości człowieka. Niewykluczone, że...

Potrząsnęła głową i przestała o tym myśleć. Postanowiła zawierzyć swojej intuicji i działać pod wpływem chwili. Mogła w końcu poprosić Phila o towarzystwo przed kolejną wyprawą do miasta. Nie musiała się teraz martwić. W domu, gdzie uwiła sobie gniazdko, czuła się absolutnie bezpieczna.

Myśli, że nic jej nie grozi - przemknęło Maritzowi przez głowę. Ta cała Vlados siedzi u Liebera i czuje się bezpieczna.

Rozsiadł się wygodniej i sięgnął po Big Maca, którego kupił w drodze do domu. Lubił panować nad sytuacją, nadawać jej bieg. Nie musiał obserwować Vlados bez przerwy. Nell Calder teraz u niej nie mieszkała.

Ale niewątpliwie przedtem korzystała z gościny doktora. Wypytał dokładnie sąsiadów, a oni ją widzieli. Nell Calder nie była wprawdzie piękną, jak to wynikało z ich opisu, ale Lieber, znakomity chirurg plastyczny, figurował w aktach szpitalnych jako jej lekarz prowadzący. A po co komu chirurg plastyczny, jeśli nie po to, by zmienić twarz?

Nadgryzł kanapkę i zaczął żuć z upodobaniem.

Wkrótce będzie musiał rozwiązać problem Calder, ale wcale

się tym nie przejmował. Skoro ona rzeczywiście mieszkała w posiadłości Liebera, doktor i gospodyni musieli znać jej obecne miejsce pobytu. A Maritz mógł się założyć, że wyciągnie z nich wszystko, co wiedzą. Podjąłby odpowiednie kroki już wcześniej, ale trudno porównać taką sławę jak Lieber z właścicielem zakładu pogrzebowego. Gdyby usunął Vlados i doktorka ze sceny, narobiłby sobie kłopotów. Lepiej się jeszcze wstrzymać i poczekać na powrót Calder.

Poza tym Maritz lubił obserwować Tanie Vlados. Już drugiego dnia odkrył ku swojej niezwyklej radości, że ona wyczuwa jego obecność. Nie popełnił żadnego błędu, a ta dziewczyna i tak wiedziała swoje. Kilka razy szybko zerknęła przez ramię, przyspieszyła kroku... I miała tak sztucznie wyprostowane plecy.

Już dawno nie osaczał ofiary. Gardeaux zawsze nalegał na szybkie, skuteczne zabójstwo. Wejść i wyjść. Nie rozumiał tej przyjemności polowania, rozkoszowania się strachem ofiary. Strachem równie upajającym jak sam akt zabijania.

Dokończywszy hamburgera, wrzucił papier do torby. Zamierzał odczekać jeszcze pół godziny, a następnie wrócić do domu. Vlados i tak na pewno na razie nigdzie się nie wybierała.

W domu czuła się bezpieczna.

Nell upadła twardo na podłogę.

- Wstawaj! - syknął Nicholas. - I to szybko. Zawsze od razu się podnoś. W pozycji leżącej jesteś bardziej narażona na atak.

Szybko? Nie mogła nawet złapać oddechu, a już tym bardziej się ruszyć. Sala gimnastyczna wirowała jej przed oczami.

- Wstawaj.

Podniosła się wolno.

- Zginęłabyś w sekundę potem, jak przewróciłaś się na matę - powiedział Nicholas, skinąwszy na nią palcem. - No, chodź.

Łypnęła na niego spod oka.

- Nie sądzisz, że powinieneś mnie najpierw nauczyć, jak się bronić?

- Nie. Uczę cię, co masz robić, jeżeli leżysz. Takie sytuacje zdarzają się nawet najlepszym. Musisz rozluźnić mięśnie przy upadku, bo inaczej się potłuczysz. A jak już leżysz, przetocz się na bok, żeby uniknąć uderzenia, i zerwij się natychmiast na równe nogi.

- Chcę się nauczyć odpierać atak. Czy wszyscy stosują tę metodę?

- Nie wszyscy, ale ja tak. Nacieraj.

Zaatakowała.

Rzucił Nell na matę i usiadł na niej okrakiem.

- Na miejscu Maritza przyłożyłbym ci dłoń pod nos i naciskał tak długo, dopóki odłamki kości nie wbiłyby się w mózg.

Popatrzyła na niego ze złością. Najwyraźniej chciał, żeby czuła się tak bezradna, jak to tylko możliwe.

- Nie, nie zrobiłbyś tego.

- Sądzisz, że wiem, co to litość? Daj spokój...

- Mówiłeś, że Maritz lubi posługiwać się nożem. Gdybym już leżała, dlaczego miałby marnować taką okazję?

- Tak czy inaczej, już byś nie żyła - odparł twardo, choć to pytanie wyraźnie go zdziwiło.

- Dziś. Jutro poradzę sobie lepiej. A za dwa dni wręcz fantastycznie.

Patrzył na nią długo, a na jego twarzy malowały się najróżniejsze uczucia, których nie potrafiła zdefiniować.

- Z pewnością. - Kciuki mężczyzny z nadzwyczajną delikatnością musnęły jej policzek. - Niech cię cholera.

Nagle zdała sobie sprawę z jego władczej pozycji, muskularnej kontroli ud, siły rąk przygniatających przeguby do maty. Otoczył ją zapach potu i mydła. Czuła, że to ją... rozprasza. Odwróciła głowę.

- Więc pozwól mi wstać i zaczniemy od nowa.

Poczuła, że tężeją mu mięśnie ud. Nagle zerwał się na równe nogi, wyciągnął rękę i pomógł jej się podnieść.

- Nie dziś.

Otworzyła szeroko oczy.

- Jak to? Dopiero co zaczęliśmy.  
- Posunęliśmy się naprzód znacznie dalej, niż planowałem. - Na razie wystarczy.

- Obiecałeś. Jesteś mi to winien.

Zerknął na nią przez ramię.

- Więc wpisz to po stronie debetu. Na pewno prowadzisz rachunki. Weź ciepłą kąpiel, to pomaga na stłuczenia. Zobaczymy się jutro.

Gdy zatrzasnął za sobą drzwi, zacisnęła bezradnie pięści. Udowodnił, jak bardzo jest słaba, i wyszedł, zanim zdążyła odzyskać pewność siebie. Być może taką właśnie obrał strategię. Albo też uważał, że jeśli będzie ją stale zniechęcał i poniżał, sama zrezygnuje.

Ale jego odejście było zbyt nagłe. Na początku wcale nie zamierzał skracać treningu.

Zresztą to nie miało znaczenia. Tanek odszedł i cały ranek należało spisać na straty. Nie mogła do tego dopuścić. Chciała za nim pobiec i...

Co? Ściągnąć go z powrotem? Dyskusje nic by tu nie pomogły. Musiała uznać ten dzień za zmarnowany i mieć nadzieję, że Tanek dotrzyma obietnicy.

W godzinę później zaczęła się zastanawiać, czy będzie w ogóle w stanie trenować. Szybko weszła do gorącej wody i oparła się o rzeźbiony zagłówek wanny. Z każdą minutą coraz bardziej dokuczały jej mięśnie ramion i pleców. Miała ogromny siniak na biodrze, drugi na lewym udzie i pięć fioletowych znaków na prawym ramieniu.

Nikt nie może powiedzieć, że Tanek nie odciska swego piętna na kobietach - pomyślała gorzko. Każdy jego dotyk sprawiał ból.

Z wyjątkiem chwili, gdy musnął jej policzek. Wtedy nie doznała żadnych nieprzyjemnych wrażeń.

Ale ta nieoczekiwana delikatność wprawiła ją w niepokój.

Postanowiła jednak o tym nie myśleć. Przymknęła oczy i zanurzyła się głębiej w ciepłej wodzie. Musiała się jakoś doprowadzić do porządku na rano.

Gotowa? - Tanek zachęcił ją do ataku ruchem ręki. - Zaczynamy.

Patrzyła na niego w milczeniu. Twarz mężczyzny była zupełnie pozbawiona wyrazu.

- Nie zamierzasz chyba dzisiaj niczego skracać.

- Nie, choć na pewno będziesz o tym marzyć. Ruszyła na niego z impetem.

Przewrócił ją i rzucił na matę.

- Rozluźnij mięśnie. Wyobraź sobie, że nie masz kości. Kiedy uderzysz, przetocz się i wstań.

Nie usztywniaj mięśni - powtarzała sobie w duchu, próbując się podnieść. - Nie usztywniaj.

Łatwo powiedzieć. Kiedy wylatywała w powietrze, usztywnianie mięśni wydawało się jej równie naturalne jak oddychanie.

Po godzinie ogarnęło ją jednak takie zmęczenie, że nie byłaby w stanie napiąć żadnej części ciała.

Staął nad nią.

- Kończymy?

- Nie. - Wstała z trudem. - Jeszcze raz.

Po kolejnych trzydziestu minutach wziął ją na ręce, zaniósł do pokoju i rzucił na łóżko.

- Na drugi raz nie będę cię pytał o zdanie. Trenowałabyś, dopóki bym cię nie zabił.

Wyszedł z pokoju.

Postanowiła odpocząć chwilę i zmusić się do kąpieli. Boże, jak bolało! Przymknęła oczy. Obiecała sobie solennie, że zamiast naprężyć mięśnie przy upadku, nauczy się przetaczać i zrywać na równe nogi...

Coś zimnego i mokrego dotykało jej ręki.

Otworzyła oczy.

Sam. Widocznie wszedł za Tanekiem do pokoju i nie zdążył wyjść.

- Chcesz do pana? - spytała. - Musisz chwilę poczekać, bo na razie nie mogę się ruszyć. Nie jestem w najlepszej kondycji.

Rzuciwszy na nią przeciągłe spojrzenie, owczarek położył się na podłodze obok łóżka.

Sam niegdyś zaznał bólu i chciał ją pocieszyć. Opuściła nizej dłoń i pogłaskała go po głowie.

Następnego dnia nie zeszywniała wprawdzie przy upadku, ale nie potrafiła się szybko podnieść.

Podczas kolejnego treningu nauczyła się przetaczać. Niestety lekcja trwała krótko, bo Nell szybko opadła z sił.

Za trzecim podejściem opanowała te trzy umiejętności naraz. Czuła się tak, jakby namalowała arcydzieło.

- Dobrze - powiedział Tanek. - Zrób to jeszcze raz.

Ale ona nie potrafiła powtórzyć swego wyczynu przez kolejne dwa dni. Nicholas postarał się o to, by upadki były twardsze. Podkreślił również tempo.

Spędziła dwie godziny w sali gimnastycznej, ale nawet gdy nie trenowała, przygotowywała się psychicznie i fizycznie na kolejne spotkanie z Tanekiem. Nadal szkicowała, rozmawiała z Michaelą, jadła, spała, ale wszystko wydawało się jej nierzeczywiste. Czuła się tak, jakby żyła w kokonie - w świecie, gdzie istniała jedynie władcza postać Taneka, sala gimnastyczna i upadki.

Ale nabierała sił, stawała się coraz bardziej bojowa i szybsza. Wiedziała, że już niedługo Nicholas nie będzie w stanie jej całkowicie zdominować.

Tanek usłyszał pod drzwiami odgłos lekkich kroków.

Nell wyszła z pokoju. Znów miała ten upiorny sen.

Położył się na plecach i wpatrzył w ciemność.

Tania mówiła mu wprawdzie o tych koszmarach, ale teraz został ich naocznym świadkiem. Kilka razy poszedł za Nell, ale nie zdradził swojej obecności. Wiedział, że z pewnością nie życzyłaby sobie, aby ktokolwiek zobaczył jej zapłakaną twarz. Szła do salonu, zwijała się w kłębek na kanapie, patrzyła na obraz

lub wyglądała przez okno. Po godzinie lub dwóch wracała do pokoju.

Ale czy spała, gdy kładła się z powrotem do łóżka?

Może krótko? Zawsze balansowała na cienkiej, delikatnej linii zmęczenia.

To jednak nie miało wpływu na jej zdecydowanie czy też wytrzymałość. Niezależnie od otrzymanych ciosów, wracała po więcej. W tym pięknym, kruchym opakowaniu mieściła się ogromna siła ducha i nieposkromiona odwaga. Nell potrafiła w dodatku uczyć się na błędach. Wytrzymywała wszystko - szorstkość, brutalność i obojętność.

Jakże pragnął, by wróciła do sypialni.

We wtorek wreszcie się udało. Upadki przestały sprawiać jej ból, a przy tym opanowała sztukę unikania ciosu, przetaczania się po podłodze i stawania na równe nogi w pozycji obronnej.

- Do diabła... nie wierzę - mruknął Tanek. - Zrób to jeszcze raz. - Rzucił ją twardo o podłogę.

Zerwała się z maty w sekundę potem, jak upadła.

- Dobrze. Teraz możemy naprawdę zacząć. Jutro potrenujemy obronę i atak.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Naprawdę?

- Chyba że wolisz padać na matę.

- Tego i tak nie uda mi się uniknąć - powiedziała sucho.

- Ale będziesz przynajmniej mogła się skupić na tym, czego cię uczę, i nie martwić się o siniaki. - Podał jej ręcznik i patrzył, jak wyciera spoconą twarz. - Dobrze sobie poradziłaś.

Nigdy przedtem jej nie chwalił. Poczwała, jak zalewa ją fala ciepła.

- Strasznie, wolno mi to szło. Już myślałam, że się nigdy nie nauczę.

- I tak jesteś zdolniejsza ode mnie. - Otarł twarz i szyję.

- Kiedy zacząłem poznawać tę sztukę, miałem tylko czternaście



lat i wysoko rozwinięty instynkt samozachowawczy. W magazynie, gdzie trenowałem z Terence'em, nie było mat. Zanim pojąłem, na czym to wszystko polega, o mało nie skręciłem karku.

- Z Terence'em?

- Z Terence'em O'Malleyem.

Niemal widziała, jak znów się przed nią zamyka.

- A kim był Terence O'Malley?

- Przyjacielem.

Najwyraźniej zamierzał ją zabić, ale postanowiła, że tym razem na to nie pozwoli. Tanek wiedział o niej wszystko. Teraz nadszedł czas, żeby ona dowiedziała się czegoś o nim.

- I to jego właśnie zabił Gardeaux?

- Tak. - Zmienił temat. - Zasłużyłaś na nagrodę. Co byś chciała?

- Na nagrodę? - powtórzyła zdziwiona. - Nic.

- Powiedz. Jestem zwolennikiem systemu kar i nagród. A kar miałaś ostatnio dość - dokończył sucho.

- Ale ja naprawdę niczego nie chcę. - Myślała chwilę.

- Chyba że...

- Co takiego?

- Mówiłeś o Maritzu. - Urwała. - Wtedy, kiedy leżałam na podłodze. O tym ciosie w nos, który zabija. Czy mogłabym się tego nauczyć?

Patrzył na nią przez chwilę i wybuchnął śmiechem.

- Żadnych cukierków, kwiatów i biżuterii? Jeszcze jedna lekcja? - Przestał się śmiać. - Niedobrze. Sądziłem, że będziesz miała wreszcie dość przemocy. Już i tak naraziłem cię na dość brutalności.

Przemoc? Brutalność? Ból, irytacja, nawet wściekłość, ale nie przemoc. Czują, że Tanek dokładnie odmierza siłę każdego uderzenia i niczego nie robi złośliwie.

- Nie byłeś w stosunku do mnie brutalny.

- Naprawdę? A miałem takie wrażenie. - Wzruszył ramionami.

- Ale nie przyzwyczailem się jeszcze do rzucania kobietami, które nie ważą nawet połowy tego, co ja.

Zrozumiała, że za tą chłodną maską kryje się niesmak.

- Sama cię o to prosiłam.

- Zgadza się. - Zrobił krok naprzód i wziął ją za rękę. - Tak samo jak prosiłaś o ten uroczy, mały prezencik. Prosiłaś, więc ci uległem. - Uniósł jej dłoń do ust. - Podaruję ci również tajemnicę zabijania jednym ciosem. Przycisnął wargi do jej nadgarstka. - Tą właśnie rączką.

Zaskoczył ją całkowicie. Nie mogła oderwać wzroku od twarzy mężczyzny. Z trudem chwyciła powietrze, zupełnie jak wtedy, kiedy jeszcze nie umiała padać na matę. Straciła czucie w dłoni.

- Nie sądzisz, że namalowanie obrazu powinno dawać większą satysfakcję niż zabicie człowieka? - spytał, po czym puścił jej rękę i wyszedł z sali.

Następnego dnia Michaela przywiozła z Bar X dwa kartony. Kiedy wniosła je do kuchni, Nell siedziała na stołku i szkicowała. Z pudeł wystawały fragmenty tkanin. Michaela zerknęła na kartony.

- Stare ciuchy, jakie zamierzam zawieźć po południu do Lasiter. Towarzystwo Dobroczynne Basków organizuje w sobotę wyprzedaż. Muszę włożyć te rzeczy do samochodu. Rano sprawdzałam, czy przypadkiem nie wymagają reperacji. - Wzruszyła ramionami. - Dzieci strasznie niszczą ubrania.

- Dzieci?

- Mam dwoje wnuków. Nie wiedziałaś?

Michaela babcią? Dziwne. Nell nie potrafiła sobie wyobrazić tej kobiety z wnuczkiem na kolanach.

- Moja Sara ma sześciolatniego synka i ośmioletnią córeczkę - powiedziała Michaela. - Oderwij się na chwilę od tego szkicownika i pomóż mi trochę.

Nell posłusznie odłożyła blok na stół i poszła za Michaelą.

- Weź ten. - Michaela podała jej karton. - Zostawiłam auto przed stajnią. - Z drugim pudełkiem na rękach wyszła z kuchni.

Nell pokręciła głową. Michaela nadawałaby się bardziej na

kaprała niż na babcię. Oczyma wyobraźni zobaczyła, jak ta władcza Baskijka wydaje komendy żołnierzom i...

Coś wypadło z pudła. Zatrzymała się, by to podnieść.

Tenisówka. Mała czerwona tenisówka.

Dziecięcy bucik. Ileż to razy podnosiła takie buciki i wrzucała je do szafy po położeniu Jill do łóżka?

Nie była w stanie podnieść tenisówki.

Mogła tylko na nią patrzeć.

*JUL*

- Pospiesz się. Muszę jeszcze coś upiec - zawołała niecierpliwie Michaela.

Nell uklękła i z trudem zmusiła się do tego, by wziąć bucik do ręki. Zacisnęła kurczowo palce. Doznała tak miłego, znajomego uczucia...

- Boże... - szepnęła, przyciskając do siebie czerwoną tenisówkę. - Nie, tylko nie to.

- Co się... - Michaela stanęła w progu. - Aha, upuściłaś but.

- Zabrała tenisówkę i wrzuciła ją do pudła. - Już teraz sama sobie poradzę. A ty idź się umyć. Ubrudziłaś sobie twarz.

- Podniosła karton i wyszła z kuchni.

Nell podniosła się wolno i powłokła do łazienki. Wcale nie była brudna. Po policzkach spływały jej łzy. Idiotyzm. Załamać się przez but? Nie mogła kontrolować swoich snów, ale do tej pory uważała, że na jawie panuje nad emocjami, staje się coraz silniejsza, może nawet zaczyna zdrowieć. Czyżby jednak się myliła?

- Nie grzeb się tak! - krzyknęła Michaela z za drzwi. - Chcę, żebyś mi pomogła przy ziemniakach.

Uparta Baskijka nigdy nikogo nie angażowała do gotowania. Kuchnia stanowiła jej królestwo. Zbyła milczeniem łzy Nell, a jednocześnie chciała ją wyraźnie czymś zająć. Dobroć ma wiele twarzy.

- Idę. Przepraszam, ja...

- Za co? Jesteś niezdara i tyle. - Michaela ruszyła do kuchni.

- Nie interesuje mnie twoja paplanina. Chodź tu zaraz i pomóż mi.

Dobrze. - Nicholas oglądał szkic pod światło. - Uchwyciłaś podobieństwo.

Nell potrząsnęła głową.

- Nie całkiem. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak denerwujące jest szkicowanie kogoś, kto tak bez przerwy fruwa.

- Michaela nie fruwa. Nie ma w sobie nic zwiewnego.

- Wszystko jedno. - Wzięła rysunek i schowała do notatnika, - Ale sądzę, że jutro przygotuję sztalugi i farby. - Zerknęła na niego spod rzes. - Czy dostanę za to premię?

- Nie. - Ukłękł przy kominku i dołożył do ognia. - I tak już trenujemy wystarczająco długo. Nie wolno przesadzać.

Oczekiwała właśnie takiej odpowiedzi, ale nie zaszkodziło spróbować. Zresztą Tanek miał zapewne rację. Od kiedy zaczęła ją uczyć zasad ataku i obrony, była naprawdę zadowolona z postępów. Ale musiała jeszcze dużo ćwiczyć, by wykonywać wszystkie chwytaki jak automat.

- W Obanako nie nauczyłam się zbyt wiele o rewolwerach - powiedziała prowokująco.

- To nie moja branża. Jamie lubi broń palną. Jeśli tu przyjedzie, może go namówisz, żeby ci dał kilka lekcji.

- O nożach również niewiele wiem.

Spojrzał jej w oczy.

- Nauczę cię obrony przed nożem, ale na tym poprzestanę. I tak by ci się nie udało pokonać Maritza. Nie opanujesz w trzy miesiące czegoś, co jemu zajęło całe lata. - Wstał i napełnił jej filiżankę.

- Lepiej mieć inną broń, świetny plan albo po prostu szczęście.

- A co z Gardeaux? Co powinnam umieć, żeby stawić mu czoło?

- Zostaw go mnie.

- Nie mogę. To on wydał rozkaz. - Uniosła filiżankę do ust. Opowiedz mi o nim.

Usiadł przy palenisku, obejmując kolana ramionami.

- Podobno zdobyłaś materiały na jego temat.

- Wiem wszystko to, co wie „Time”. Teraz chcę uzyskać informacje od ciebie.

- Jest inteligentny. Ostrożny. Zależy mu na zajęciu wysokiej pozycji w hierarchii narkobiznesu.

- Myślałam, że już to osiągnął.

- Uplasował się na razie na niższym szczeblu, ale idzie w górę. Chce rządzić razem z Sandequezem, Juarezem i Palomą. Tam właśnie się mieści prawdziwa władza, a on kocha jej smak. Kocha również pieniądze i piękne kobiety. Jego wielką namiętnością jest rzadka, stara broń.

Przypomniała sobie wzmiankę na temat kolekcji szpad.

- Namiętnością?

Wzruszył ramionami.

- Bez wątplenia. Może to po prostu kolejna manifestacja żądzy władzy.

- Albo fallusa. Zaśmiał się.

- Może i tak, choć to przerażający obrazek.

- Ma żonę?

- Od dwudziestu lat tę samą. Jest bardzo dobrym, oddanym mężem i ojcem. Choć nie na tyle oddanym, by zrezygnować z kochanki w Paryżu.

- Wiesz, kim ona jest?

- Nazywa się Simone Ledeau, pracuje jako modelka. Ale przez nią nie dotrzesz do Gardeaux. Wszystkie damy bossa doskonale wiedzą, co je czeka, jeśli go zdradzą.

- Skąd?

- Prawdopodobnie zaprasza te panie na prywatne mecze szermiercze. Kazał wybudować w zamku specjalną halę. Kiedy chce zademonstrować na przykładzie, co grozi za nielojalność, pokazuje wyczyny pewnego młodego szpadzisty, Pietra, który sprawnie eliminuje wszystkich wrogów swego sponsora. Taka forma przekonywania bardzo mu odpowiada.

- Posuwa się więc do morderstwa?

- Tak. Choć przeciwnik szpadzisty zawsze dostaje broń do ręki.

- A jeśli wygra?

- Gardeaux obiecuje mu wolność, ale już od dwóch lat nie

musiał wymieniać Pietra na nikogo nowego. W końcu szermierki nie można się nauczyć w najbliższym klubie sportowym.

- Od dwóch lat? To znaczy, że przedtem ktoś wygrał z poprzednikiem Pietra? Może ty?

- Nie. - Popatrzył na swoje ręce. - Ten, który tego dokonał, już nie żyje.

- Gardeaux nikogo stamtąd nie wypuszcza?

- Czasem wypuszcza. - Podniósł się gwałtownie. - Jadę do miasta.

- Teraz? Dlaczego? - spytała zdziwiona.

- Jestem zmęczony pytaniami. Nie wytrzymuję ustawicznego myślenia o Gardeaux i Maritzu. - Skierował się do drzwi. - Zaczyna mnie to dusić.

Nell uświadomiła sobie, że rozmowa zirytowała Taneka dopiero w chwili, gdy poruszyli temat meczów szermierczych.

- Przepraszam, jeśli cię uraziłam - powiedziała cicho.

Wzdrygnęła się, kiedy głośno zatrzasnął za sobą drzwi.

W chwilę później usłyszała ryk jeepa wyjeżdżającego na podwórze. Na widok tylnych świateł auta znikających w oddali poczuła się nagle bardzo samotna i opuszczona. W ciągu ostatnich kilku tygodni Tanek bywał w Bar X, ale po raz pierwszy pojechał w nocy do miasta. Idiotyczne. Przecież powinna się cieszyć. Zdecydowanie za bardzo polubiła wspólne wieczory przy kominku.

*To mężczyzna, a ty jesteś bliżej niż kobiety w mieście.*

Tanek nie mógł przecież żyć w tej dziczy bez seksu. Właściwie powinna się dziwić, że tak długo nie potrzebował kochanki.

Czy w życiu Nicholasa była jakaś konkretna kobieta?

Nie jej interes. Tanek miał swoje sprawy, ona swoje. A w ich związku pojęcie porzucenia w ogóle nie istniało.

Coś otarło się o jej udo. Opuściła wzrok i dostrzegła Sama, który zadarł łeb i popatrzył na nią uważnie.

- Cześć, mały. - Pogłaskała go po głowie. - Chcesz dzisiaj spać u mnie?

Mogli w końcu trzymać się razem. Sam również został porzucony.

Jeszcze... — Melissa z trudem chwyciła powietrze. Uniosła się przy tym lekko, by wchłonąć go głębiej.

-Tak... Pomóż mi...

Wszedł w nią mocno, do końca.

Rozładowanie przyszło zbyt szybko, targnęły nim skurcze.

W tej samej chwili Melissa osiągnęła spełnienie.

Odwrócił się na plecy i podłożył sobie ramię pod głowę. Wiedział, że powinien ją przytulić. Kobiety bardzo sobie ceniły taką bliskość po stosunku.

Ale nie chciał jej tulić.

Nie chciał w ogóle tu być.

- Cieszę się, że wpadłeś - mruknęła Melissa, kładąc mu głowę na piersiach. - Było cudownie.

Pogłaskał ją po włosach.

Melissa Rawlins lubiła seks. Ta - na szczęście - mało skomplikowana kobieta prawie o nic nie prosiła, a wiele dawała. Trzydziestoczteroletniej rozwódce z własną agencją nieruchomości nie zależało na stałych związkach. Tanek nie mógł trafić lepiej.

A jednak nie chciał tu być.

Pocałowała go w ramię.

- Bałam się, że już cię nie zobaczę. Słyszałam, że przywiozłeś na rancho jakąś kobietę. Ona nadal tam mieszka?

Nie chciał również myśleć o Nell.

- Tak. Zachichotała.

- No to chyba jest kiepska. - Przyciągnęła go do siebie.

- O mało mnie nie zgwałciłeś. Ledwo zdążyłam się rozebrać.

- Niewłaściwe słowo. Gwałt zakłada brak zgody. - Ucałował jej skroń.

- Rzeczywiście, nie walczyłam zbyt ostro. Tęskniłam za tobą. A ty za mną?

- Oczywiście. - Nie mógł wrócić do domu. Melissa nie była przecież prostytutką. Gdyby wyszedł, złamałby reguły gry. Daj coś tej kobiecie, sukinsynu. Zmusił się, by objąć ją ramieniem.

- Przykro mi, jeśli kochałem się z tobą zbyt brutalnie.

- Podobało mi się. - Ziewnęła. - Lubię wszystko, co ze mną robisz. Chociaż dzisiaj czułam się jakoś inaczej. - Mogę się zdrzemnąć? Miałam straszny dzień.

- Sugerujesz, żebym sobie poszedł?

- Nie, muszę się tylko przespać. - Otarła się policzkiem o jego ramię. - Wiem, że niedługo znowu mnie zapragniesz.

- Liczy się tylko to, czego ty chcesz.

- Więc zostań całą noc. Nie wypuszczę cię tak łatwo.

Opanował przyпіływ irytacji. Miała prawo się tego spodziewać. Zwykle zostawał.

- Spij. Będę tutaj.

- Dobrze - mruknęła niewyraźnie i zamilkła. - Kto to jest? - spytała w chwili, gdy myślał, że już zapadła w sen.

- Przyjaciółka.

- Nie zamierałam być wścibska - szepnęła. - Po prostu mnie to ciekawi. Sprawiliś mi ból.

- Długo czekałam. - Położył jej palec na ustach. - Spij.

- Nie chcesz o niej rozmawiać?

- Bo nie ma o czym.

Nie chciał ani rozmawiać, ani myśleć o Nell. Zatrącenie się w seksie powinno było wymazać obraz tej kobiety z jego pamięci. Seks służył mu zawsze do rozładowania napięcia, a ostatnio żył w ciągłym stresie. Ale to nic nie pomogło. Nie chciał tu być. Wolał wrócić na rancho, do Nell, i obserwować wyraz jej twarzy podczas szkicowania, pragnął patrzeć, jak się nachyla i głaszcze Sama.

I pragnął jeszcze czegoś.

Pieprzyć się z nią do upojenia.

Ale ona nie była gotowa. I mogła jeszcze długo nie być gotowa na jego przyjęcie. A Tanek powinien się cieszyć z takiego obrotu sprawy. Długo pracował nad tym, żeby ułożyć swoje życie w zadowalający sposób, a Nell na pewno natychmiast obróciłaby w niwecz jego osiągnięcia. Już zresztą odniosła częściowy sukces. Nie należała do kobiet, które się odstawia na boczny tor i odwiedza od czasu do czasu. Często - gdy cichła - łapał się na tym, że bacznie ją obserwuje i martwi się tym milczeniem.



Rozstanie, niestety, nie wchodziło w grę, więc zanosilo się na to, że znów będą się co dzień zwierać na sali gimnastycznej w intymnym uścisku. Chryste!

Nicholas nie wrócił? - spytała Michaela. Nell nie podniosła wzroku znad szkicownika.

- Jeszcze nie.

- Zrobiło się ciemno. Zwykle tak długo z nią nie zostaje.

Poskromiła ciekawość i nie spytała, kogo Michaela ma na myśli.

- Dlaczego pozwoliłaś mu wyjść?

- Jest dorosły.

- Mogłaś go zatrzymać. On ją tylko wykorzystuje. Następnym razem powinnaś mu dać to, czego chce. Zostanie.

Szybko podniosła głowę.

- Co takiego?

- Przecież słyszałaś.

- Nie jestem pewna. Przecież marzyłaś o moim wyjeździe.

- Zmieniłam zdanie. Chyba mogłabym się do ciebie przyzwyczaić.

- Dzięki - powiedziała sucho Nell.

- A ty mogłabyś się przyzwyczaić do ziemi. I związać z nami Nicholasa.

- Cieszę się, że nie jestem tak całkiem bezużyteczna.

- Przekręcasz moje słowa. Życzę wam jak najlepiej.

- O ile to ty będziesz stawiać warunki.

Uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Ale jestem skłonna pójść na ustępstwa. Przez piętnaście minut dziennie nie będę się ruszać, żebyś mogła mnie malować.

- Twoja wspaniałomyślność mnie poraża.

- Nic dziwnego. - Michaela ruszyła do drzwi. - Nie lubię stać spokojnie.

- Używasz eufemizmów - mruknęła Nell, odkładając szkicownik.

Ta kobieta była absolutnie zadziwiająca. Nie dbała o nic, prócz realizacji swych własnych celów.

Ale czyż Nell nie zachowywała się podobnie? Przy ganiał kociół garnkowi.

Wstała i podeszła do okna. Niebo ciemniało, zapadał wieczór. Brakowało jej zajęć na sali gimnastycznej. Przyzwyczała się już do pewnego porządku, ustalonego rytmu dni.

Przyzwyczała się do Taneka.

To było zresztą całkowicie naturalne i o niczym nie świadczyło. Przyzwyczała się również do Michaeli i Sama.

Gdzie on się podziewa?

Przeszedł ją dreszcz. A jeśli nie pojechał do kobiety? Michaela twierdziła, że nie spędzał tam nigdy tak wiele czasu. Człowiekowi ukrytemu za kilkoma ogrodzeniami podłączonymi do prądu z pewnością groziło niebezpieczeństwo, gdy zza nich wychodził.

Sam zaszczekał piskliwie i wybiegł na ganek.

Jeep.

Zanim zdążyła się obejrzeć, już stała na werandzie i czekała.

Sam otarł się niemalże o koła nadjeżdżającego auta.

Uśmiechnęła się, słysząc, jak Tanek klnie, naciskając gwałtownie hamulce.

- Spóźniłeś się. - Zeszła na podwórze. - Michaela przygotowała kolację. Byłoby jej bardzo przykro, gdyby... - Zamarła na widok Jamiego Reardona, który właśnie wysiadał z jeepa. - Dobry wieczór.

Tanek na klęczkach uspokajał psa.

- Musiałem odebrać Jamiego z lotniska. Przyleciał zaledwie godzinę temu.

Reardon podszedł z uśmiechem do Nell.

- Nick zatelefonował do mnie dziś rano do Minneapolis i powiedział, że potrzebujesz moich usług. I choć sama myśl o pięknej kobiecie ze śmiercionośną bronią w ręku napawa mnie wstrętem, natychmiast stawilem się na rozkaz. - Zerknął na góry i wzdrygnął się przesadnie. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie

to poświęcenie z mojej strony. Żaden cywilizowany człowiek nie przyjechałby dobrowolnie do takiej głuszy.

Rewolwer. Jamie robił przejrystą aluzję do rewolweru. Poprzedniego wieczoru napomknęła tylko Tanekowi, że nie zna się zupełnie na broni palnej. A on powiedział coś na temat Jamiego, ale Nell nigdy by nie przypuszczała, że Nick go tu sprowadzi.

- Dziękuję bardzo, że przyjechałeś.

Tanek wchodził powoli na schody.

- Obejrzyj posiadłość, Jamie. U mnie wcale nie jest tak strasznie, jak myślisz.

- Skoro Nell wytrzymała tutaj tyle tygodni, ja też chyba jakoś wytrzymam.

Szła za nimi w milczeniu.

- Nie chciałem przeszkadzać. - Jamie odwrócił się do niej z uśmiechem. - Mam wracać do domu?

- Nie, oczywiście że nie. Po prostu jestem zaskoczona.

- Ja też byłem zdziwiony. - Skrzywił się. - Ale Nick posiada dar przekonywania. Przyrzekam, że nie wejdem ci w paradę.

Nell wiedziała jednak, że wszystko się zmieni. Przyjazd Jamiego wykluczał intymność.

Tego właśnie najwyraźniej pragnął Nicholas, bo w przeciwnym przypadku nigdy by go tu nie wezwał. Widocznie nudził się coraz bardziej w jej towarzystwie.

Ta myśl sprawiła jej przykrość, ale natychmiast opanowała to uczucie. W porządku. Należało zaakceptować zmianę i obrócić ją przy okazji na swoją korzyść. Wykorzystywała pobyt u Taneka na naukę, a Jamie mógł się jej przydać.

- Nie będziesz mi w niczym przeszkadzał. Bardzo się cieszę z twojej wizyty.

Maritz pomyślał z żalem, że traci czas. Ta cała Calder mogła się tu w ogóle nie pojawić. Musiał położyć temu kres. Szkoda. Myślał o Tani Vlados jak o kimś bliskim.

Niemal z czułością.

Obserwował tę kobietę i Wyczuwał jej strach. Choć wyczuwała jego obecność, nie chciała się do tego przyznać. Zajmowała się jak gdyby nic swoimi sprawami^ czym wzbudziła jego szacunek. Takie polowanie sprawiało mu o stokroć większą przyjemność.

Zwykle nie pożywał swojej ofiary, ale z Tanią miał ochotę się zabawić. Traktował to jak pewnego rodzaju komplement wyróżniający tę dziewczynę spośród innych. Aby ją jednak odpowiednio uhonorować, musiałby to zrobić po południu, tak by Lieber nie zdołał im przeszkodzić. W ciągu dnia po posesji kręcił się tylko ten pomocnik, ale jego można było łatwo wywabić na zewnątrz. Jakakolwiek walka pociągała za sobą ryzyko, a Maritz potrzebował informacji. Wolał je otrzymać od Tani, jeśli ona w ogóle coś wiedziała.

Pomyślał z dumą, że zmuszenie Tani Vlados do mówienia może mu zająć sporo czasu. Jak na razie dziewczyna zachowywała się niezwykle odważnie.

Tak, zasłużyła sobie na lepsze traktowanie.

Jamie długo przyglądał się Nell, która akurat wychodziła z sali gimnastycznej.

- Nieźle sobie radzi - mruknął z aprobatą.
- Powoli nabiera wprawy. - Tanek otarł twarz ręcznikiem.
- Agresywna jak cholera. Raz omal nie zwała cię z nóg.
- Jak już mówiłem, robi postępy.
- Wyglądaliście naprawdę interesująco. Zwykle kiedy leżysz na kobiecie, to na pewno nie po to, żeby...
- Dowiedziałeś się czegoś?

Jamie potrząsnął głową.

- Złapałem parę tropów, ale ten sukinsyn uszczelnił większość kanałów. Telefonowałem do Phila, żeby sprawdzić, co słyhać. Powiedział mi, że kilka tygodni temu natknął się na wzmiankę o zniknięciu Birnbauma.

Birnbaum. Myślał chwilę. Tak, to ten dyrektor zakładu pogrzebowego, który dostał łapówkę za sfałszowanie świadectwa zgonu Nell.

- Sądzisz, że to się jakoś wiąże z naszą transakcją?
- Pozornie nie. Ani śladu zabójstwa. Pieniądze z sejfów zabrał ktoś, kto znał kombinację. Razem z tym kimś ulotnił się również samochód Birnbauma. John Birnbaum jest właśnie w trakcie bardzo nieprzyjemnego rozwodu, więc być może wyciął taki

numer, żeby nie płacić alimentów. - Myślał chwilę. - Ale jego syn uważa, że brakuje jednej z trumien sosnowych, jakich używa się do kremacji.

- Kremacja. Gardeaux zawsze nalegał na czystą robotę.

- A w Minnesocie jest tyle jezior, że łatwo w nich utopić samochód. - Jamie wzruszył ramionami. - Oczywiście to wszystko tylko przypuszczenia. Przecież teoria o ucieczce Birnbauma też może okazać się słuszna.

- Albo i nie. Na wszelki wypadek trzeba założyć, że załatwił go Gardeaux albo Maritz. Oczywiście najpierw wyciągnęli z Birnbauma wszystko, co chcieli wiedzieć. Mówiłeś Philowi, że ma pilnować Tani i Joela jak oka w głowie?

- Nie musiałem mu nic mówić. Sam mi to obiecał. Nie jest idiotą. Mówi, że nic szczególnego nie zauważył, ale podobno kilka tygodni temu Tania odniosła wrażenie, że ktoś ją śledzi. Od tego czasu już nic się nie wydarzyło.

- To niedobrze.

- Nie zgadzam się. W tym przypadku brak wiadomości to dobra wiadomość.

- Do domu nikt się nie włamał? Jamie potrząsnął głową.

- Nie. Ich system alarmowy zalicza się do grupy A jeden.

- Nadal mi się to wszystko nie podoba.

- Przecież nie postawisz tam strażników pod bronią tak na wszelki wypadek.

- Obiecałem Joelowi, że będę go chronił. Na Medas popełniłem fatalny błąd. Więcej tego nie zrobię. - Myślał chwilę. - Porozum się z Philem i powiedz mu, żeby się z nami skontaktował, jeśli cokolwiek...

- Już to zrobiłem.

- No jasne. - Skrzywił się. - Przepraszam.

- I pojedę tam natychmiast, jak mi pozwolisz uciec z tej głuszy. Będę również miał jakiś intelektualny wkład w wyjaśnienie tej sprawy.

A więc koniec nadziei na rozstania i bariery. Cóż, przynajmniej

próbował. Widać tak chciało przeznaczenie. Bzdura - pomyślał z niesmakiem. Szukał tylko pretekstu i właśnie go znalazł.

- Trzy dni. Naucz ją wszystkiego, co możliwe w tak krótkim czasie. Nie chcę, żeby się czegoś domyśliła, bo od razu wskoczy na pokład samolotu do Minneapolis.

Jamie skinął głową.

- Zapoznam ją z podstawami. Reszta to i tak kwestia praktyki.

- Wydał westchnienie ulgi. - Przyznaję, że wyjadę z przyjemnością. Wszystko tutaj wydaje mi się zbyt duże. W dodatku przeszkadza mi cisza.

- Skąd wiesz? Jak na razie ani na chwilę nie zamilkłeś.

- Twoja niewdzięczność łamie mi serce. - Ruszył do drzwi.

- Poszukam Nell. Ona na pewno doceni moją dobroć.

Znowu niedokładnie - skrzywiła się Nell.

- Ale za każdym razem trafiasz do celu - powiedział Jamie.

- Precyzja przyjdzie z czasem.

- Kiedy?

- Jesteś stanowczo zbyt niecierpliwa. Nie możesz oczekiwać, że trafisz w dziesiątkę po jednodniowym treningu. - Ustawił cel na płocie.

- Masz dobre oko i pewną rękę. Wykorzystaj te zalety. Spróbuj się po prostu skoncentrować.

Zmarszczyła brwi. - \* Cały czas próbuję.

- Może w takim razie za bardzo. Może nadmiernie ci na tym zależy.

Zapewne się nie mylił. Tak właśnie było. Zacisnęła dłoń na damskim colcie, który ofiarował jej Jamie.

- Prawie mi się udało.

- Nikt nie rodzi się strzelcem wyborowym, a człowiek to cel znacznie większy niż tarcza. Jeśli tylko się nauczysz oddawać szybkie strzały z każdej pozycji, to już będzie nieźle.

- Ale ja chcę być bardzo dobra.

- Chyba idealna.

Uśmiechnęła się i przytaknęła.

- To prawda.
- 1 będziesz ćwiczyć, dopóki nie osiągniesz doskonałości.
- Westchnął. - Niech mnie Pan Bóg broni przed maniakami.
- Zabrał jej rewolwer. - Chodź. Zrobimy sobie przerwę i napijemy się kawy.
- Nie jestem zmęczona.
- Ale ja jestem. - Ujął ją mocno pod ramię. - W dodatku na świeżym powietrzu nie mogę się skupić. Nie dziwota, że Stwórca wymyślił puby.
- Myślałam, że zawdzięczamy je człowiekowi.
- Wszyscy tak sądzą i oczywiście głęboko się mylą. Puby to po prostu raj. - Machnięciem ręki wskazał góry i równiny. - Tam właśnie udał się Pan Bóg, kiedy opuścił tę dzicz.
- Jeśli tak bardzo tęsknisz za swoim pubem, to co tu jeszcze robisz?
- Nick mnie wezwał. - Wzruszył ramionami. - I sam też zresztą mam obsesję. Terence i ja przeszliśmy razem długą drogę.
- Terence O'Malley?
- Nick ci o nim wspominał?
- Mówił mi, że Gardeaux go zabił. Bardzo się przyjaźnili?
- Kiedy Terence wyciągnął go z rynsztoka, Nick był tylko zwykłym, małym dzikusiem, który ledwo zdołał przetrwać. Terence mimo wszystko go lubił. Wziął do siebie, karmił, poił, uczył. A Nicholas chciał się uczyć i szybko prześcignął Terence'a. Potem zaczął się wspinać i pociągnął go za sobą. - Skłonił głowę.
- Twego pokornego sługę również.
- Wspinał się? Jak to?
- Chciał za wszelką cenę wydostać się z rynsztoka. Dokonał tego w jedyny sobie dostępny sposób.
- Wszedł na drogę przestępstwa?
- Nic innego nie potrafiliśmy robić. Terence i ja byliśmy zwykłymi włóczęgami, przemytnikami na małą skalę. Od czasu do czasu dokonywaliśmy drobnych kradzieży. Ale Nick... On należał do artystów. Zawsze wiedział, czego chce i jak to zdobyć.



- A czego chciał?
- Uciec. Z taką ilością pieniędzy, aby być pewnym, że nie wpadnie z powrotem w bagno.
- I, jak widać, całkowicie mu się udało.  
Jamie skinął głową.
- Chciał nam dać wszystko, czego pragnęliśmy. Ja skorzystałem z jego pomocy i poszedłem swoją drogą, ale Terence nie zamierzał się ustatkować. Zbyt długo w tym tkwił. Lubił takie życie, dreszczyk ryzyka. Kiedy Nick kupił rancho, Terence uchylił tylko kapelusza i odszedł.
- A potem?
- Nadepnął Gardeaux na odcisk. - Jamie zacisnął usta. - I wrócił do Nicka, by umrzeć.
- Co się stało?
- Gardeaux zrobił z niego kozła ofiarnego. Można by rzec, że przykładowie go ukarał. Wystarczyła odrobina szczepu *coloño* na czubku szpady. Zgon gwarantowany w dziewięćdziesięciu siedmiu procentach. I śmierć w niewyobrażalnych męczarniach. Terence cierpiał i umarł na oczach Nicka.
- *Coloño*? Nigdy o tym nie słyszałam.
- *Coloño* pochodzi z Amazonii. Wszystkie nowe choroby zaczęły się w puszczech tropikalnych. Ta akurat nie jest bardzo zaraźliwa, bo wirus dostaje się do organizmu wyłącznie przez krew. To coś podobnego do Eboli, a o nim musiałaś słyszeć.
- Aż się wzdrygnęła. Czytała w gazetach o chorobie, która dosłownie zżerała organy wewnętrzne swoich ofiar.
- Owszem.
- Kartel aplikuje wirusa tym, którzy mu się narazili. Groźba oczywiście działa, a Gardeaux nigdy się nie nudzi.
- Szatański pomysł.
- Tak. Weź sobie do serca to ostrzeżenie. - Spojrzał jej w oczy. - Sądzisz, że Nick działałby tak ostrożnie, gdyby Gardeaux stanowił łatwy cel?
- Nie. Tanek musiał cierpieć jak potępieniec, gdy patrzył na męczeńską śmierć przyjaciela.

- Przecież jestem tutaj. I staram się być cierpliwa.
- Chyba że nie trafiasz w dziesiątkę. Uśmiechnęła się.
- Właśnie.

Myślałam, że Jamie zostanie dłużej - powiedziała Nell, patrząc zawiedzionym wzrokiem na auto wyjeżdżające na drogę. Prowadziła Michaela, obok niej siedział Reardon. - Jeszcze niewiele umiem.

- On miał inne rzeczy do roboty. Powiedział, że radzisz sobie wystarczająco dobrze, by samodzielnie kontynuować naukę.
- Poza tym, jak na jego gust, na rancho jest zbyt prymitywnie.
- Wcale nie jest prymitywnie. - Spojrzała na góry. - Po prostu wraca się tu do źródeł.

- Właśnie. - Zerknął na jeepa dojeżdżającego do bramy.
- Podoba ci się ta okolica?

Zupełnie o tym nie myślała. Traktowała posiadłość Taneka wyłącznie jako tło swoich działań. Teraz jednak zdała sobie sprawę z tego, że stopniowo zaczęła się przyzwyczajać do panującego tu spokoju i specyficznej atmosfery. Czuła się na rancho jak w domu.

- Tak, podoba mi się... Ta posiadłość ma... korzenie.
- Dlatego ją kupiłem. - Milczał chwilę i obrócił się na pięcie. - Włóż dzinsy, kurtkę i przyjdź do stajni.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Po co?
- Umiesz jeździć konno?
- Siedziałam już na koniu, ale nie jestem amazonką.
- I wcale nie musisz być. Pojedziemy po prostu do stóp wzgórza na spotkanie Petera i Jeana. Oni chyba już zeszli na dół razem ze stadem.
- Ale dlaczego mamy tam jechać?
- Bo ja tak chcę. - Uśmiechnął się nagle beztrósco. - Postanowiłem, że przestanę być odpowiedzialny i zacznę robić

wszystko, na co mi przyjdzie ochota. Nie chcesz sprawdzić, czy Peterowi udało się przystosować do pasterskiego trybu życia?

- Tak... ale... Ile czasu to zajmie?

- Późnym popołudniem dotrzemy do miejsca, gdzie zwykle rozbijają obóz. Tam zanocujemy i wrócimy rano. - Uśmiechnął się kpiąco. - Jeszcze zdążysz się nacieszyć swoją nową zabawką.

- Zabiorę ze sobą rewolwer.

- Wykluczone. Nadal niewiele umiesz. Mogłabyś postrzelić owcę albo psa.

- W takim razie chyba powinnam zostać i...

- Chcesz jechać czy nie? - spytał z irytacją.

Nagle zrozumiała, że ma ochotę na tę wycieczkę oraz spotkanie z Jeanem i Peterem. Odrobina wypoczynku nie zaszkodzi... Po powrocie musi tylko o wiele więcej ćwiczyć.

- Spotkamy się w stajni - rzuciła, idąc dziarskim krokiem w stronę ganku.

Jean Etchbarras nie miał więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu, był mocno zbudowany, a jego pooraną zmarszczkami, okrągłą twarz rozjaśniał uśmiech. Nell uważała, że ten mężczyzna pasuje do posągowej Michaeli równie dobrze, jak pasowałby do Kleopatry.

- Bardzo mi miło. - Promieniał. - Moja żona twierdzi, że świetna z ciebie kobieta.

- Naprawdę? - Nell aż zamrugła oczami ze zdziwienia.

Przytaknął i odwrócił się do Taneka.

- Jedną owcę porwał nam wilk, ale poza tym wszystko dobrze.

- Świetnie - uśmiechnął się Tanek. - Nell chciała się zobaczyć z Peterem. Gdzie on jest?

- Tam - odparł Jean, wskazując tyły stada. - Bardzo dobrze sobie radzi.

Peter dostrzegł tymczasem Nell i pomachał do niej radośnie, ale się nie zbliżył.

- Widzicie? Pilnuje stada. Czasem zdarza mu się zapominać

o różnych rzeczach, ale nigdy nie są to owce. — Dumny uśmiech pogłębił mu zmarszczki wokół oczu. - Bardzo szybko się wszystkiego nauczył.

- A ja mogę tam pójść? - spytała Nell.

- I tak już pora rozbijać obóz. Powiedz mu, żeby wydał komendy psom i przyszedł na kolację.

Nell wręczyła cugle Tanekowi i ruszyła w kierunku stada. Zbliżywszy się do owiec, zmarszczyła nos. W tak dużej grupie owce z pewnością nie pachniały i były raczej beżowe niż białe. Koniec z marzeniami o słodkim baranku.

- Czyż nie są ładne? - spytał Peter. - Nie podobają ci się?

- Ważne, że tyje lubisz. - Ucisnęła mocno chłopca i cofnęła się o krok, by mu się lepiej przyjrzeć.

Wyglądał znacznie zdrowiej niż wówczas, gdy go widziała po raz ostatni, choć nie opalił się tak mocno jak Jean. Miał na sobie zniszczone wełniane poncho, wysokie buty i skórzane rękawice. Oczy błyszczały mu radością. Promieniał.

- Nawet nie muszę pytać, czy dobrze się czujesz.

Wskazał jej biało-czarnego collie okrążającego owce.

- To Jonti. Jest pasterzem, jak ja. W nocy, kiedy nie czuwamy, śpimy obok siebie.

- Jakie to miłe. - Nic dziwnego, że Peter pachniał niczym skrzyżowanie owcy z psem. Ale to jej nie przeszkadzało. Cieszyła się bardzo, że chłopiec jest szczęśliwy i dumny z siebie.

- Jean mówi, że kiedy żona Jontiego urodzi szczeniaki, to mi jednego da i pokaże, jak go wyszkolić.

Plan wydawał się niepokojąco dalekosiężny.

- A tresura nie zajmie zbyt wiele czasu?

Przestał się uśmiechać.

- Myślisz, że będę musiał wracać do domu? - Potrząsnął głową.

- Nigdy stąd nie wyjadę. Jean wcale tego nie chce. Mówi, że będę dobrym pasterzem. - Tu jest moje miejsce - dodał z prostotą.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Cudownie, Peter. - Odchrząknęła. - Jean prosi, żebyś wydał komendy psom i przyszedł na kolację.

- Pilnuj, Bess, pilnuj, Jonti. - Odwrócił się i zrównał z nią krok. - Czyż tu nie jest ładnie? Powinnaś zobaczyć hale. Tam jest zielono, miękko, a nad tobą są jeszcze góry i trochę się boisz, ale nie tak bardzo, i...

On jest szczęśliwy. - Upiła łyk kawy i popatrzyła nad ogniskiem na Petera i Jeana siedzących po przeciwnej stronie. Jean pokazywał chłopcu, jak się struga kij, a Peter przyglądał mu się uważnie ze zmarszczonymi w skupieniu brwiami. - Chłopak po prostu fruwa z radości.

- Tak. - Tanek poszedł za jej wzrokiem. - Bardzo się cieszę.

- Chce tu zostać.

- Więc zostanieie.

- Dziękuję.

- Za co? Zasłużył sobie na to. Niełatwo być pasterzem. Odosobnienie, ciężka praca, słońce, śnieg... Ja też próbowałem się tym zajmować, kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy.

- Dlaczego?

- Bo sądziłem, że posiadłość stanie się w ten sposób bardziej moja.

- I co?

- Trochę pomogło.

- Przywiązujesz ogromną wagę do własności.

Skinał głowę.

- Kiedy byłem dzieckiem, miałem tylko ubranie na grzbiecie, więc pragnąłem zdobyć wszystko i już nigdy nie wypuścić tego z rąk. Nadal zresztą pozostał mi ten instynkt.

- Bez wątpienia - odparła z uśmiechem.

- Przynajmniej ograniczyłem swoje wymagania. - Poruszył kijem w ognisku. - No i dzisiaj płacę za swoje zachcianki.

Spojrzała na góry.

- Kochasz to miejsce?

- Zakochałem się w nim od pierwszego wejrzenia. Czasem tak bywa.

- Peterowi też się to przytrafiło. Twierdzi, że tu jest jego dom.
- Przeniosła wzrok na twarz chłopca. - I ja mu wierzę. Chyba wreszcie mu się udało.
- Udało?
- Tak. Przeszedł tę drogę. Jest gotów. - Tanek nadal patrzył na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem. - Już nie jest brzydkim kaczątkiem.
- Opalił się, to prawda, ale nie widzę żadnej radykalnej zmiany w jego wyglądzie.
- Nie to miałam na myśli. Kiedy byłam mała, babcia opowiadała mi o brzydkim kaczątku, które zmieniło się z czasem w pięknego łabędzia. - Wzruszyła ramionami. - Ale ja potem odkryłam, że wcale nie zawsze tak się dzieje.
- Ty się zmieniłaś.
- Bo Joel dokonał cudu. Ale dużo ostatnio myślałam i doszłam do wniosku, że każdy ma szansę zostać łabędziem. Każdy. Jeśli uda ci się odkryć, kim jesteś, i pogodzić się z samym sobą, chyba należy to również uznać za cud. Wyrastamy z młodzieńczej niezręczności i braku wiary we własne siły. Może wówczas...
- Urwała i skrzywiła się. - Zupełnie, jakbym wygłaszała kazanie. Dlaczego się nie śmiejesz?
- Bo cieszy mnie każdy przejaw tego, że nie myślisz wyłącznie o Medas. A więc Peter jest gotów.
- Jednak się śmiejesz. Może nie gotów, ale zrobił ogromny krok naprzód - dodała, gdy nie odpowiadał.
- Gęsi krok? - Uniósł rękę. - Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać. - Coś mi się chyba pomieszało. Ale dostrzegam tu sens. Więc Joel stworzył łabędzia nie tylko pod względem wyglądu?
- Potrząsnęła głową.
- Ja nie jestem jeszcze gotowa. Nadal czuję się... rozdarta. Ale ty już wiesz, kim się stałeś. Tania też. - Czuła na sobie jego niepokojąco intensywne spojrzenie. - Ona zmieniła się w łabędzia, a ty chyba w jastrzębia.
- Może — odparł z roztargnieniem, nie odwracając od niej wzroku.

Zadrzała, gdy chłodny powiew wiatru przeniknął ciepły kokon obozowiska.

- Zapnij kurtkę - powiedział. Nawet się nie poruszyła.

- Zapnij. Tu w górach o tej porze robi się zimno. Pomyślała, że go nie posłucha, ale po co miała odmrażać sobie uszy na złość Tanekowi?

- Nie musisz się o mnie troszczyć. Potrafię sobie radzić sama.

- Nie za dobrze - powiedział nieoczekiwanie twardo. — Pozwoliłaś się poniżyć. Zrezygnowałaś z ukochanego zawodu, nie protestowałaś, kiedy rodzice zmusili cię do małżeństwa z facetem, którego obchodziłaś tyle, co zeszłoroczny śnieg, a potem...

- Mylisz się. - Zaskoczył ją tą nagłą brutalnością. - Richardowi na mnie zależało. To ja go oszukiwałam.

- Nie wierzę. On nadal manipuluje twoimi uczuciami.

- Richard nie żyje. Przestańmy o nim mówić.

- Pewnie, że przestanę. - Odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy. - Dlaczego nie przyznasz, że ten sukinsyn cię wykorzystał? Miał słodką, wspaniale wychowaną żoneczkę i mógł ją tyranizować do woli. Ona przecież zgadzała się na wszystko, bo była mu wdzięczna za to, że...

- Zamknij się. - Głęboko wciągnęła powietrze. - Co to ciebie właściwie obchodzi?

- Chcę iść z tobą do łóżka, cholera jasna! Otworzyła szeroko usta.

- Co takiego?

- Przecież słyszałaś. A może mam użyć bardziej dosadnego określenia? Albo powiedzieć to po chińsku? Czy wolisz po grecku?

- W ogóle nie chcę słuchać takich rzeczy - odparła drżącym głosem.

- Wiem. Ale nie powiedziałem, że zamierzam cię do czegokolwiek zmuszać. Jeszcze nie czas.

- Dlaczego w takim razie w ogóle poruszyłeś ten temat?

- Bo ja tego pragnę - odparł z prostotą. - Już nie mam siły ze

sobą walczyć. I dlatego, że warto zaszczepić ci w głowie tę myśl. Może dopisze mi szczęście. Zwilżyła wargi.

- Niepotrzebnie zaczęliśmy tę rozmowę. Będę się teraz czuła bardzo niezręcznie.

- Witaj w klubie. Ja już od dawna tak się czuję. Teraz zresztą też.

Opuściła wzrok na dolne partie jego ciała i szybko odwróciła oczy.

- Przykro mi... Nie chciałam. Wolałabym...

- Żebyś pozwolił ci schować głowę w piasek? Tak jak to robiłaś przez ostatnie kilka tygodni?

- Ja naprawdę nie wiedziałam.

- Nieprawda. Nie sposób czegoś takiego nie zauważyć.

- Dobrze się maskujesz. Uśmiechnął się krzywo.

- Chyba nie bardzo. Ten stan dość trudno ukryć.

Czy naprawdę prowadziła strusią politykę? Może. Albo też odpędzała od siebie słowa Michaeli, bo tak jej było wygodniej.

- Nie zrobiłam niczego umyślnie. Nie chciałam.

- No pewnie. Przecież seks przeszkadza, prawda? Choć pewnie zdołalibyśmy go jakoś upchnąć między morderstwem a torturami.

- Nie musisz być sarkastyczny.

- Muszę. Sarkazm przynosi wiele satysfakcji. Jedynej, jakiej mogę od ciebie oczekiwać.

- Poszukaj sobie innego sparring partnera do tych potyczek słownych. - Urwała, bo przyszła jej nagle do głowy pewna myśl. - Czy to znaczy, że już nie będziesz mnie uczył?

Wybałuszył na nią oczy.

- Jesteś po prostu niesamowita.

- Odpowiedz.

- To ja jestem panem swego ciała, a nie ono moim. W każdym razie do tej pory tak było.

- Świetnie. - Postawiła na podłodze swoją zapomnianą filiżankę kawy i położyła się na kocu. - Wobec tego nic nam nie będzie przeszkadzać.



- Nie przeszkadzałoby również i wtedy, gdybyś zgodziła się pójść ze mną do łóżka. Proszę o seks, a nie zobowiązania na całe życie.

- Nie rozumiesz. My się bardzo od siebie różnimy. - Przygryzła dolną wargę. - Nie mogę tak po prostu... Miałam w życiu tylko dwóch mężczyzn.

- I podobało ci się?

- Oczywiście.

- Więc może powinnaś spróbować z trzecim? Twierdzisz, że Nell Calder nie żyje. Dlaczego czepiasz się tak kurczowo jej moralności?

- Uśmiechnął się beztrudnie. - Pozwól Eve Billings pójść ze mną do łóżka. Ona żyje, funkcjonuje... A ja jestem po prostu zwykłym człowiekiem.

Zmarszczyła brwi.

- Nie bądź śmieszny. Rozmowa na ten temat to czysta strata czasu.

- Niezupełnie. Przynajmniej dowiedziałaś się o mnie czegoś nowego. - Rozesłał koc. - Zastanowisz się nad tym i będziesz usiłowała się domyślić, jak by nam ze sobą było. - Położył się i zamknął oczy. - Na pewno cudownie. Nie na darmo wychowałem się w burdelu.

Poczuła, jak zalewa ją fala gorąca, i natychmiast postanowiła ją wystudzić.

- Wyprowadziłeś się stamtąd, kiedy miałeś osiem lat - powiedziała zgryźliwie.

Otworzył jedno oko.

- Ale byłem nad wiek rozwinięty. Nakryła się kocem i ziewnęła ostentacyjnie.

- Chrzanisz.

- Nigdy się o tym nie przekonasz, jeżeli nie spróbujesz.

- Usłyszała szelest koca. Tanek szykował się do snu.

Ty też idź spać - nakazała sobie w duchu. Nicholas złożył jej pewną propozycję, a ona odmówiła. Temat został wyczerpany. Nie było powodu, aby odczuwać niepokój. Miała przecież do czynienia z cywilizowanym człowiekiem, który rozumie znaczenie słowa „nie”.

Tyle że ów człowiek już od dzieciństwa walczył o wszystko, czego zapragnął, i na ogół mu się udawało to osiągnąć. Nie poddawał się łatwo. Nie posunąłby się do przymusu, ale perswazja nie była na pewno poniżej jego godności.

Ale perswazji można nie ulec. Można zresztą nie wyrażać zgody na nic, czego się nie chce. A ona nie życzyła sobie niepokoju i rozgorączkowania, jakie zawsze łączy się z seksem. Pragnęła pozostać chłodna, opanowana i skupiona, patrzeć na wszystko z pozycji outsidera.

Rozchyliła powieki. Tanek leżał z zamkniętymi oczyma, a spod koca wystawała jego bezwładna ręka. Silna, ładnie ukształtowana, sprawna, z krótko obciętymi paznokciami. Znała dobrze tę rękę. Znała jej siłę i zabójczą moc. Była to niebezpieczna ręka, choć teraz wydawała się jej tylko silna i... męska. Nell zawsze kochała malować ręce. Dostrzegała w nich coś magicznego. Ręce wznosiły miasta, tworzyły wielkie dzieła sztuki, potrafiły być brutalne, delikatne, powodować ból, dawać przyjemność.

Tak jak Tanek.

Patrząc na tę masywną dłoń, odnosiła wrażenie, że topnieje. Dlaczego tak się działo? Przecież chciała, aby jej seksualność pozostawała w głębokim uśpieniu.

Za późno. Ale nie za późno na opanowanie. Można jeszcze odpędzić te myśli.

Przymknęła oczy. Czuła zapach wiecznie zielonych drzew, płonących polan... Przenikał ją chłód nocnego powietrza. Znowu reagowała na bodźce... Nagle zaczęła odbierać dźwięki i zapachy z wyostrzoną wrażliwością. Nawet wełniany koc wydawał się zbyt szorstki. Nic się nie zmieniło. Jill nadal nie żyła. A więc i ciało Nell nie miało prawa wrócić do życia.

Niech diabli porwą Taneka.

Ostrzej! - zawołał Tanek. - Nie leń się. Mogłem cię już dwa razy zwalić z nóg.

Okręciła się na pięcie i kopnęła go w żołądek.

Zachwiał się lekko, ale natychmiast odzyskał równowagę i gdy znów na niego ruszyła, chwycił ją za ramiona, rzucił na matę i stanął nad nią w rozkroku.

- Niezdara.
- Pozwól mi wstać.
- Maritz z pewnością by się na to nie zgodził.
- Jestem rozkojarzona. Przy nim na pewno nie będę.

Pociągnął ją za rękę, pomagając wstać.

- Dlaczego jesteś rozkojarzona?
- Nie spałam dobrze.
- Nigdy dobrze nie sypiasz. Snujesz się po domu niczym duch.

Nie wiedziała, że zauważył.

- Bardzo mi przykro, że ci przeszkadzam.
- Naprawdę przeszkadzasz. - Odwrócił się do niej plecami.
- Idź się wykapać i zdrzemnąć. Jutro masz być czujna i ostra jak brzytwa.

Raczej jak Tanek. Odkąd wrócili z gór, właśnie w ten sposób ją traktował. Zupełnie się po nim nie spodziewała takiej szorstkiej obojętności.

Nie, to nie była obojętność. Nicholas ani na chwilę o niej nie zapominał. Spod tej chłodnej, nieprzyjemnej maski wyciekała świadomość istnienia Nell.

A ona pamiętała o nim.

Chryste, jak dobrze pamiętała!

Idź do łóżka. - Tanek zamknął książkę i wstał. - Już późno.

- Za chwilę. Muszę najpierw dokończyć szkic - odparła, nawet na niego nie patrząc. - Dobranoc.

- Myślałem, że już zamknęłaś ten etap.
- Kilka rysunków więcej nie zaszkodzi.

Czuła, że Tanek na nią patrzy, ale nadal nie podnosiła na niego wzroku.

- Tylko nie marudź. Dziś rano byłaś taka śpiąca, że zmarnowałaś tylko mój czas.

- Spróbuję nie sprawić ci zawodu - odparła z przekąsem.
- Jeżeli znowu nawalisz, zawieszę na tydzień zajęcia. Przecież ci mówiłem, że jestem zwolennikiem metody kar i nagród.
- Nie szukasz sobie przypadkiem pretekstu? - spytała cicho.
- Może. Tym bardziej nie powinnaś mi pomagać.

Usłyszawszy skrzypnięcie zamykanych drzwi, odetchnęła z ulgą. Kiedy Nicholas był w pobliżu, nie mogła na niego nie patrzeć. A wcale nie chciała oglądać ani jego smukłego ciała, ani nawet męskiej dłoni przewracającej kartki książki. Nie chciała czuć charakterystycznego zapachu mydła i płynu po goleniu.

Kilkoma pociągnięciami ołówka naszkicowała Mnie włosów i zdała sobie sprawę, że drży jej ręka. Nie chciała czuć się tak słaba. Nie chciała się zachowywać jak zwierzę w rui, kiedy Tanek przechodził przez pokój. Przy Richardzie, a nawet przy Billu nigdy nie zaznała tego rodzaju emocji. Co się z nią działo?

Odłożyła ołówek i przyjrzała się portretowi Taneka. Rysując jego twarz, przeżyła pewnego rodzaju *katharsis*. Podobieństwo uchwyciła nadspodziewanie dobrze. Ta cicha inteligencja, siła, skupienie... delikatna sugestia zmysłowości zawarta w kształcie dolnej wargi.

Zmysłowość... Czy rzeczywiście Tanek miał zmysłowe usta, czy też Nell dała w tym szkicu wyraz swojej obsesji? Nie była pewna. Ta zmysłowość jednak istniała - surowa i pierwotna - tuż przed jej oczami.

Podskoczyła i wepchnęła szkice do teczki. Czuła, że ma rozpalone policzki. Idiotka! Idiotka! Idiotka! Nie powinna była go szkicować. To nic nie pomogło. Gdzie się podziało opanowanie, jakie zamierzała ćwiczyć? Nie była już młodą dziewczyną z buzującymi hormonami, nie mogącą się doczekać pierwszego stosunku.

Ale była równie bezbronna i niespokojna jak nastolatka, choć wydawało się, że niepewność ma już za sobą. Na co się mogło przydać doświadczenie w innych dziedzinach życia, skoro pozwoliła się pokonać...

Koniec z tym. Do łóżka. Trzeba spać. A jutro zacząć wszystko od początku.

A jeśli nie uda się jej zasnąć? Poprzedniej nocy leżała tak kilka godzin, sfrustrowana, spragniona...

Postanowiła sobie, że zaśnie.

Znowu miała te sny.

Na dźwięk cichego kwilenia dochodzącego z pokoju Nell Tanek zatrzymał się w korytarzu.

Ona cierpiała.

Powinien pójść do swego pokoju i przestać o tym myśleć. To się przecież zdarzało niemal każdej nocy. Nie mógł jej pomóc. Nie mógł i nie chciał.

Gdyby zdołał położyć kres tym koszmarom, zbliżyłby się do niej jeszcze bardziej, choć i tak już panowały między nimi zbyt intymne stosunki.

Miał ochotę wyłącznie na to, by się wreszcie nacieszyć tym pięknym ciałem, a nie koić zboląłą duszę dziewczyny.

Postanowił wrócić do siebie i zapomnieć o Nell.

*w dół, w dół, w dół, gdzie różyczka czerwienieje...*

Nell wyzwoliła się wreszcie z koszmaru.

Drżąc na całym ciele, próbowała powstrzymać łkanie.

*Przepraszam, maleńka, przepraszam, JM.*

Wstała i wsunęła na ślepo bosc stopy w ranne pantofle.

Wyrwać się z łóżka, z pokoju, ze snu...

Salon. Przestrzeń. Okna.

Szła szybko ciemnym korytarzem. Przed oczami jaśniały jej ściany pokoju oświetlone blaskiem ognia. Musi tylko tam dojść, odzyskać spokój, a potem wrócić do sypialni i...

Zatrzymała się gwałtownie w progu.

- Wejdz. - Tanek siedział na skórzanej kanapie przed kominkiem, otulony w biały szlafrok. - Czekam na ciebie.

- Nie... ja... - szepnęła i zrobiła krok w tył. - Nie chciałam... Chyba pójdę.

- A ja zostanę tu sam i będę się o ciebie zamartwiał? Dlaczego? Czyżbyś w samotności rozmyślała bardziej efektywnie?

- Wcale nie rozmyślałam.

- Akurat... - Urwał. - Nie, oczywiście, że nie - powiedział zmęczonym tonem. - To przecież moja domena. Ty tylko starasz się przeżyć. Chodź tu do mnie, a spróbujemy zrobić to razem.

Zawahała się. Już i tak miały ją sprzeczne uczucia. Nie chciała jego towarzystwa w sytuacji, gdy nie mogła się przed nim bronić.

Uśmiechnął się lekko.

- No chodź. Nie ugryzę.

Szorstkość ulotniła się bezpowrotnie. Postąpiła krok naprzód.

- Dobrze.

Znowu odwrócił wzrok do ognia. Przycupnęła na ławie przed kominkiem.

- Nie musisz się bać. Nie zamierzam cię atakować. Ani fizycznie, ani werbalnie. Nie stosuję brudnych chwytów w stosunku do rannych.

- W ogóle nie stosujesz brudnych chwytów.

- Głęboko się mylisz. Nie widziałaś mnie po prostu w akcji. - Sięgnął do kieszeni szlafroka, wyciągnął chusteczkę i rzucił ją Nell. - Wytrzymaj sobie twarz.

Przyłożyła chustkę do policzka.

- Dziękuję.

Zapadła cisza zakłócana jedynie trzaskami płonących polan i oddechami dwojga ludzi. Powoli wracał jej spokój. Milcząca obecność tego mężczyzny przynosiła ulgę. W towarzystwie Taneka łatwiej było jej walczyć z demonami. Nicholas nie mógł dzielić z nią koszmarów, ale potrafił je trzymać na uwięzi.

- Nie wolno ci dalej tak żyć - powiedział cicho.

Milczała. Bo i cóż miała powiedzieć?

- Tania wspominała mi o tych snach. Czasem lepiej wyrzucić coś z siebie. Czego one dotyczą?

- Nie... - zaczęła, ale napotkała jego spojrzenie i wzruszyła ramionami. - Medas.

- Tego sam się domyślam. A konkretnie?
- Jill - powiedziała szybko. - Przecież wiesz.
- Rozumiem smutek. Nie rozumiem samoudręczenia.
- Jill nie żyje, a Maritz nadal istnieje.

- To powinno budzić gniew, nie udrękę. Przyparł ją do muru.

- Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać.

- Chcesz. Dlatego nie uciekaś do pokoju. Co się dzieje w twoim śnie, Nell?

Zaciskała nerwowo dłonie.

- Jak sądzisz?
- Walczysz z Maritzem?
- Tak.
- A gdzie jest Jill? Nie odpowiedziała.
- Może w sypialni?
- Nic nie powiem.
- Ty stoisz na balkonie?
- Nie.
- Słyszysz strzały z dołu?
- Nie, tylko pozytywkę.

*W dół, w dół, w dół, gdzie różyczka czerwienieje. Dlaczego on nie chce przestać i wciąga ją znowu w ten ciemny, mglisty świat?*

- Gdzie jest Jill?

Niech go diabli, dlaczego znowu pyta?

- Gdzie ona jest?

- Stoi w drzwiach! - wybuchnęła Nell. - Stoi w drzwiach, płacze, patrzy na nas. O to ci chodziło?

- Właśnie o to. Dlaczego nie chciałaś odpowiedzieć?

Wbiła paznokcie w dłonie.

- Bo to nie twój interes.

*/ spadamy w dół, w dół, w dół...*

- Dlaczego, Nell?

- Bo ja krzyczałam! - Po jej policzkach spływały łzy. - Nie sądziłam, że... Zawsze mi mówiono, że w takich sytuacjach należy krzyczeć, by odstraszyć napastnika. Krzyczałam, a ona wyszła z sypialni. To była moja wina. Gdybym nie krzyczała, Jill zostałaby w łóżku. A on by wcale jej nie zauważył. Nic by się jej nie stało!

- O Boże!

Nell kiwała się na stołku jak w transie.

- To była moja wina. Jill wyszła, a on ją zobaczył.

- Mylisz się.

- Przestań - powiedziała z naciskiem. Nie słyszałeś? Krzyczałam.

- Rzeczywiście. Popełniłaś po prostu śmiertelny grzech, zważywszy, że Maritz nacierał na ciebie z nożem.

- Popełniłam grzech. Nie pomyślałam. Nie obroniłam własnego dziecka.

Tanek chwycił Nell za ramię i mocno nią potrząsnął.

- Zrobiłaś to, co uznałaś za słuszne. A Maritz i tak by ją znalazł.

On nie rezygnuje łatwo.

- Mógłby się nie domyślić, że ona tam jest.

- Oczywiście, że by się domyślił.

- Nie. Ja krzyczałam i...

- Cicho bądź. Pozytywka! - Porwał Nell w ramiona i przytulił jej głowę do swego ramienia. - Mówiłaś, że ona nadal grała. Maritz musiałby się domyślić, że ktoś jest w drugim pokoju. Z pewnością by tam zajrzał.

Popatrzyła na niego wyraźnie zaszokowana.

- W ogóle nie wzięłaś tego pod uwagę?

Potrząsnęła głową.

- Wcale się nie dziwię. - Odsunął jej włosy z twarzy. - Nie rozumiałem, dlaczego nie winiłaś mnie o to, co zaszło, a ty po prostu byłaś zbyt zajęta obwinianiem siebie.



- I nadal się obwiniam. Sądzisz, że pozytywka wszystko załatwia?  
- Nie, dopóki nie zdołasz sobie przebaczyć tego, że żyjesz, choć Jill umarła.

- To stanie się możliwe dopiero wtedy, kiedy zginie Maritz.

- Na pewno?

- Nie wiem - szepnęła. - Mam nadzieję.

- Ja również. - Wziął ją w ramiona i kołysał. - Ja również, Nell.

Czuła jego zapach, szorstkość tkaniny szlafroka przy policzku i nie namiętność, nie podniecenie, tylko cudowny spokój. Pozostała tak nieruchomo przez dłuższą chwilę, pozwalając, by ten spokój ogarnął ją całkowicie, uzdrowił...

W końcu uniosła głowę.

- Powinnam wrócić do pokoju i położyć się spać. Jutro znowu powiesz, że się lenię.

- Niewykluczone. - Wyciągnął się na kozetce i położył sobie jej głowę na ramieniu. - I wtedy będziesz się tym martwić.

Tanek przynosił jej ukojenie. Jakie to dziwne.... Postanowiła, że zostanie jeszcze chwilkę i zaraz sobie pójdzie.

Nicholas pomyślał ponuro, że Nell tuli się do niego jak do matki. A jemu przecież wcale nie o to chodziło.

Pragnął wyłącznie seksu i dystansu emocjonalnego.

Seksu nie dostał, ale za to doświadczył najgłębszego jak do tej pory poczucia intymności.

Sam był sobie winien. Nikt mu nie narzucał roli przybranej matki.

Musiał jedynie uspokoić Nell.

Zdrętwiała ręka zaczynała go już boleć, ale jej nie cofnął. Popatrzył na dłoń kobiety opartą o jego udo. W miejscach, gdzie Nell wbijała sobie paznokcie w skórę, nadal widniały ślady w kształcie półksiężyców. Dotknął delikatnie czerwonej plamki. Wiedział, że powierzchowne blizny wkrótce znikną, a pozostaną

jedynie te, które tkwią głębiej, brzydkie jak jego własne. Łączyły ich odniesione rany.

Poruszyła się niespokojnie i wyszeptała kilka niezrozumiałych słów.

- Ciii... - Objął ją mocniej ramieniem.

Tak się właśnie powinna zachować matka. Zapewnić spokój i odpędzać koszmary.

Westchnął z rezygnacją. Zdecydowanie nie o to mu chodziło.

Kiedy kładł ją na łóżku, Nell otworzyła na chwilę powieki.

- Wszystko dobrze. Tylko cię otulę. - Nakrył ją kocem. Spij. Napotkała jego oczy, piękne, jasne oczy, lśniące w mroku pokoju.

- Dobranoc.

- Zawołaj, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

- Nie będę. Dzięki za...

Wyszedł. Ale nie na dobre. Nadal czuła jego obecność - kojącą, zmysłową. Jakie to dziwne, że Tanek działał na nią w tak różny sposób. Na razie najważniejsze było poczucie bezpieczeństwa, ale Nell wiedziała, że to się wkrótce zmieni. Taka perspektywa wcale jej zresztą nie przerażała. Tej nocy coś się między nimi wydarzyło.

Pomyślała sennie, że postępowała głupio, broniąc się przed Tanekiem. Mężczyzna, który tulił ją w ramionach, gdy spała, nie stanowił zagrożenia. Seks z tym mężczyzną również nie wydawał się jej niebezpieczny. Nawet seks można kontrolować, a Nell potrzebowała zapomnienia. W dodatku najbliższe tygodnie i tak musieli spędzić razem, więc nie było sensu komplikować sytuacji. Postanowiła, że następnego wieczoru przyjdzie do jego sypialni.

Przeszedł ją lekki dresczyk oczekiwania, ale natychmiast się

opanovała. Nie należało nadawać tej sprawie zbyt wielkiego znaczenia. W końcu chodziło tylko o seks.

Jeszcze jej nie znalazłeś? - spytał cicho Gardeaux. - Czym ty się, u diabła, zajmujesz? Maritz zacisnął dłoń na słuchawce.

- Złapałem ślad. Ona się przyjaźniła z gosposią doktora. Gosposia może coś o niej wiedzieć. Obserwuję dom Liebera.

- Tylko obserwujesz?

- Znajdę ją.

- Wszystko się zmieniło. Potrzebujemy jej żywej, rozumiesz?

- Wiem. Już pan to mówił.

- Ale czy ty mnie słuchałeś?

Drań. Maritz zacisnął zęby.

- Zdaje się, że masz kłopoty. Może powinienem tam posłać kogo innego?

- Nie - powiedział szybko Maritz. - Muszę iść. Będziemy w kontakcie.

Odwiesił słuchawkę. Kogoś innego? - pomyślał z oburzeniem. Gardeaux miałby mu zepsuć koniec polowania, na które poświęcił tyle czasu i energii?

Wykluczone.

Gdy Nell otworzyła drzwi, Tanek podniósł wzrok znad książki.

Stała w progu. Na nagie ramiona i owłosioną pierś mężczyzny padało światło lampy. Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Mogę wejść? Zamknął książkę.

- Chcesz porozmawiać?

- Nie. - Zwilżyła wargi. - Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Tak się właśnie zastanawiałam, czy ty... czy ty nadal... Chciałabym pójść z tobą do łóżka, jeśli nie masz nic przeciwko temu - dokończyła pospiesznie.

Zamarł.

- Pewnie, że nie mam. A mogę wiedzieć dlaczego?

- Myślałam... Zapanowała między nami strasznie napięta atmosfera. Lepiej będzie, jeśli...

- Ach, więc to rodzaj terapii?

- Tak. Nie. - Odetchnęła głęboko. - Chcę tego - powiedziała śmiało.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

- Alleluja!

Zrzuciła koszulę nocną, przebiegła przez pokój i dała nurka pod kołdrę.

- Nie wiem, co robić - powiedziała gniewnie. - Jestem wściekła. Myślałam, że ta niepewność już nigdy nie wróci. Wszystko wydawało się proste.

- I słusznie. - Pogłaskał ją po włosach. - W czym problem?

- Po pierwsze, nie wiem, czy postępuję słusznie. Po drugie, usiłuję sobie wmówić, że branie tego, czego się pragnie, jest dowodem siły, ale przecież mogę się mylić. A po trzecie, ja miałam tylko dwóch mężczyzn, a ty pewnie z milion kobiet.

Zaśmiał się.

- Niezupełnie.

- Rozumiesz, o co mi chodzi.

- Rozumiem. - Musnął wargami jej skroń. - Jeśli się denerwujesz, poleżymy po prostu razem przez chwilę.

Zamilkła i przybrała wygodniejszą pozycję. Słyszała równomierne bicie jego serca. Tak samo było zeszłej nocy, a wtedy czuła się bezpieczna.

- Może przez małą chwilkę.

- A poza tym, jeśli ci to doda pewności siebie, muszę przyznać, że nigdy nie byłem w łóżku z Heleną Trojańską.

- Co takiego?

- Joel pragnął, abyś wywierała jeszcze większe wrażenie na mężczyznach niż Helena Trojańska. Nie mówił ci o tym?

- Nie. - Urwała. - I dlatego właśnie jesteś skłonny...

- Skłonny? Cóż za określenie! Raczej chętny. Szalony.

- Nie przerywaj, bo się rozpraszam. Pragniesz mnie z powodu tej twarzy?

- Pragnę Nell Calder i wszystkiego, co z nią związane.

- Ale nigdy byś nie poszedł do łóżka z dawną Nell. Nawet byś jej nie dostrzegł.

- Oczywiście, że cię dostrzegłem. Dostrzegłem ten uśmiech i oczy, i...

- Ale nie poszedłbyś ze mną do łóżka.

Uniosł delikatnie jej podbródek.

- Co chcesz, żebym powiedział? Czy pociąga mnie piękno? Na pewno, ale nie tylko urody szukam w kobiecie. Gdybyś się zmieniła w tamtą Nell z Medas, nadal bym cię pragnął, bo już cię znam. Znam twoje możliwości intelektualne, twój upór, siłę...

- Jakie to seksowne!

- Siła jest pociągająca. Inteligencja również. A te cechy zawsze w tobie istniały, chód ukryte pod powłoką nieśmiałości. - Uśmiechnął się lekko. - Ale przestańmy porównywać, bo zaczynam się czuć jak bigamista.

- Przepraszam. Tak sobie tylko myślałam... - Znów ukryła twarz na jego piersi. - Czasem rzeczywiście czuję się tak, jakbym była dwiema kobietami. Ale nieczęsto. Tamta powoli znika.

- Wcale nie. Ona po prostu zaczyna się wtapiać w nowo narodzoną Nell. - Dotknął jej dolnej wargi. - Ja również o tym marzę. Jesteś gotowa? Przyrzekam, że będę się posuwał bardzo powoli.

Nagle usłyszała, że serce mężczyzny bije znacznie głośniej, poczuła, jak napinają się jego mięśnie. Nie chciał czekać, ale dał jej czas i słowa, których pragnęła.

Uniosła głowę i pocałowała go w usta.

- Nie musisz się tak bardzo ociągać.

Idź się umyć - nakazała Tania, kiedy Joel wszedł do domu.

Nie czekając na odpowiedź, włożyła mu na głowę kapelusz w kolorze fuksji i wsunęła przytrzymującą go gumkę pod brodę doktora. Lieber był jednak najwyraźniej zmęczony. Zły znak.

- Dziś będziemy świętować.

- Głupio wyglądam w takich kapeluszach.

Nie pozwoliła mu jednak zdjąć nakrycia głowy.

- Bzdura. Wyglądasz świetnie. I kolor jest odpowiedni. Pasuje do twoich włosów.

- Przecież nie mam fioletowych włosów. - Zerknął na zwiewną, wzorzystą suknię Tani. - Bardzo ładna. Podobają mi się te kwiaty. Przypominasz ogród. Co świętujemy?

- Dostałam piątkę z egzaminu z angielskiego. A to przecież bardzo dobrze, szczególnie, że ten język jest wyjątkowo okropny. - Cmoknęła Liebera w policzek, popchnęła w stronę schodów i włożyła sobie na głowę zielony kapelusz. - Jestem bardzo mądra, no nie?

Uśmiechnął się.

- Bardzo.

- Ugotowałam wołowinę, ziemniaki i zrobiłam taki nowy deser z sosem cytrynowym. Bez cholesterolu. Skoro się uważasz za staruszka, powinieneś być zadowolony.

- Wcale się nie uważam za staruszka - odparł, wyraźnie dotknięty.

- To raczej ty jesteś bardzo młoda.

Wzruszyła ramionami i pospieszyła do jadalni.

- Nie grzeb się. - Sprawdziła ułożenie kwiatów w wazonie, zapaliła świece i poszła do kuchni. Kiedy Joel wchodził do jadalni, już ustawiała na stole półmisek. Zauważyła z zadowoleniem

,

że Lieber nie zdjął kapelusza. - Siadaj. Jedz.

Prowadziła z nim towarzyską pogawędkę podczas kolacji i przy kawie, którą podała w salonie.

- Dobrze się spisałam. Cudownie, no nie?

- Cudownie - odparł z uśmiechem.

Zawsze uwielbiała ten uśmiech. Właściwie od chwili, gdy przed laty Joel zjawił się po raz pierwszy w szpitalnej sali.

- Dodałam nawet kofeiny do kawy. Oczywiście zauważyłeś, że staram ci się podlizać.

- Właśnie zaczynałem coś podejrzewać. Nie dostałaś piątki?

- Dostałam, ale nie uważam tego za specjalny sukces.

- Dlaczego w takim razie mam na głowie ten durny kapelusz?

Uśmiechnęła się.

- Bo ci w nim ładnie. - Już bez uśmiechu przeszła przez pokój i wyrzała przez okno. - A gdybyś był mądrzejszy, znalazłby się powód do świętowania.

Natychmiast wstał z krzesła.

- Miałem ciężki dzień. Nie zamierzam z tobą dyskutować.

- I wcale nie dyskutujesz, bo nie starczyłoby ci argumentów. Po prostu się nie zgadzasz.

- Oczywiście, że się nie zgadzam. Dlaczego sądziłaś, że akurat dziś zmienię zdanie?

Odwróciła się do niego gwałtownie.

- Zachowujesz się jak ten głupi Galahad - powiedziała drżącym głosem. - Dlaczego nie możesz być taki jak inni mężczyźni i zaznać trochę szczęścia?

- To samoobrona. Bardzo by mi było przykro, gdybyś uznała mnie za... Co się stało? - Przyjrzał się jej uważniej. - Ty naprawdę jesteś przygnębiona.

- Oczywiście. Mam się z tego śmiać? Każda minuta życia jest bardzo cenna, a ty pozwalasz, żeby nam to wszystko umknęło. - Skrzyżowała ręce na piersiach, by powstrzymać ich drżenie. - Skąd wiesz, że... Odwróciła się gwałtownie. - Nieważne. Idź sobie. Nic nie rozumiesz. Jesteś głupi jak but.

- Robię to, co uważam za słuszne, Taniu - powiedział łagodnie. - Życie rzeczywiście jest cenne. Nie wolno ci go zmarnować.

- Idź sobie! - Wyglądała przez okno, walcząc z napływającymi do oczu łzami.

- Taniu...

Nie odezwała się już ani słowem, a w kilka minut później



usłyszała, jak Lieber wychodzi z domu. Od początku wiedziała, że go nie przekona. Wieczór okazał się kompletnym fiaskiem. Wybrała moment, kiedy Joel był zmęczony i czuł na karku każdy rok swego życia. Powinna była zrezygnować już w chwili, gdy stanął w progu.

Ale przecież nie mogła się poddać. Musiała podjąć tę próbę. Ostatnio nader często doznawała wrażenia, że czas przecieka przez palce.

Wpatrzyła się w ciemność. Chyba jednak brakowało jej piątej klepki. Przecież nikt tam się na pewno nie czał. Zauważyłaby jakiś konkretny ślad.

Ty draniu, dlaczego nie chcesz zostawić mnie w spokoju?

Mówiła wyłącznie do widma z przeszłości. W ogrodzie nikogo nie było.

Wygląda naprawdę słodko w tym idiotycznym kapeluszu, chociaż jest spięta - pomyślał Maritz. - To on nadał wyraz niepokoju twarzy dziewczyny.

*Dzięki za zaproszenie na przyjęcie, Taniu.*

*Tak, nadal jestem z tobą.*

Odwróciła się od okna, a on opuścił rosyjską lornetkę.

Tak, to się z pewnością musi odbyć w domu.

Ona czuje się tam taka bezpieczna.

Nell uchyliła się przed ciosem Nicka, podcięła go i rzuciła na matę.

- Udało mi się! - dyszała, a jej twarz jaśniała z radości. - Leżysz!

- Przestań się tak cieszyć - nakazał ze śmiechem. - I tak ci to zajęło za dużo czasu.

- Ale w końcu dopięłam swego. Twoje życie zależy ode mnie.

- Całkowicie.

- Nie traktuj mnie tak protekcjonalnie.

- Zawsze niezadowolona. Po prostu chciałem ei oddać sprawiedliwość.

- Przyznaj, że jesteś ze mnie dumny.

- Szalenie.

Triumf przyprawił Nell o lekki zawrót głowy.

- Kara i nagroda. Go dostanę? Uśmiechnął się rozbrajająco.

- A co byś chciała?

- Posiadłość. Sama. Cały świat.

- Za jeden rzut?

- To był wspaniały rzut, pierwszorzędny rzut.

- Owszem, ale nie możesz dostać ani posiadłości, ani Sama. Poproś o coś innego.

- Dobrze. - Uniosła mu podkoszulek i pogładziła ciemne włosy na torsie. - Więc chcę ciebie. Teraz!

- O rany! Jaka się zrobiłaś agresywna!

Kiedy dotknęła językiem jego sutki, natychmiast poczuł przyływ podniecenia.

- Już.

Nawet się nie ruszył.

- Przerwanie treningu nie jest wskazane. To wbrew dyscyplinie.

- Chcę dostać nagrodę. Sprawiedliwości musi się stać zadość.

- Skoro w ten sposób stawiasz sprawę... - Wstał i zerwał z siebie koszulkę. - Nie pozostaje mi nic innego, jak pokornie się poddać.

Prychnęła. Nicholas niczego nie robił pokornie. Czasem delikatnie, czasem brutalnie, ale zawsze z determinacją i... radością. Nigdy by się nie spodziewała, że jest w nim tyle pogańskiej zmysłowości.

Odkryła ją również w sobie. Pękły w niej wszystkie tamy, nauczyła się czerpać przyjemność z seksu. Będąc żoną Richarda dbała wyłącznie o to, by on był zadowolony, i czuła się winna, ilekroć cokolwiek od niego wymagała. Nicholasa

traktowała jak równego partnera, a seks z nim pełen był eksperymentów.

- Cieszę się, że rozumiesz swoje położenie. - Ściągnęła bluzę oraz biustonosz, a gdy otarła się o tors mężczyzny, natychmiast przeszedł ją dreszcz.

- Nie mam wyboru. Jestem zdany na twoją łaskę i niełaskę. - Pochylił głowę i głęboko wessał jej sutkę.

Wyciągnęła dłonie, by je zanurzyć we włosach Nicka, ale on przerwał pieszczotę i zaczął się rozbierać.

- Szybciej! - nakazał.

Przynaglenie wcale nie było konieczne. Nell zdzierała z siebie ubranie, rozrzucając części garderoby na wszystkie strony.

A on już rozsuwał jej uda. Wszedł w nią głęboko, mocno... Wbił mu paznokcie w ramiona.

Nagle przewrócił się na plecy, pociągając ją za sobą.

Spojrzała na niego z góry.

- Co ty...

Rozbłyły mu oczy.

- Sądziłem, że dziś będzie ci bardziej odpowiadała taka dominująca pozycja. - Uniósł biodra do góry i uśmiechnął się widząc, jak Nell wstrzymuje oddech. - W ten sposób jestem całkowicie do twojej dyspozycji.

- Wcale tego tak nie odbieram - stęknęła.

- A jak?

- Jakbym miała kij... Urwała, bo znów wbił się w nią mocniej.

- Ruszaj się - szepnął. - Ujeżdżaj mnie jak konia. Chcę cię czuć.

Zaczęła się poruszać - szybko, zdecydowanie, radośnie.

A kiedy przyszedł orgazm, opadła na jego tors, całkowicie wyczerpana.

Drżąc, przywarła do niego bezradnie i zdziwiła się bardzo, gdy dostrzegła, że Tanek zanosi się od śmiechu.

- Co cię tak bawi?

-. Już nigdy nie będę mógł spojrzeć normalnie na tę matę. Za

każdym razem, kiedy cię na nią powałę, na pewno ogarnie mnie ochota, żeby się z tobą kochać. - Pocałował Nell w policzek. - Mówiłem, że nie należy łamać dyscypliny. - Pomógł jej się podnieść. - Chodź, weźmiemy prysznic.

- Nie mogę się ruszyć. Ta nagroda zupełnie mnie wykończyła. Chyba się rozpląnę.

- Wykluczone. Michaela nie będzie po nas sprzątać. - Wniósł ją na rękach do łazienki i postawił dopiero wtedy, kiedy uregulował temperaturę wody. Potem objął Nell od tyłu i zaczął pieścić jej brzuch. Te cudowne ręce... Nigdy nie miała dość ich widoku ani dotyku. Odkryła, że Tanek jest wyjątkowo czułym mężczyzną. Nawet wtedy, kiedy się nie kochali, bardzo lubił ją tulić, całować.

Prysznic podziałał na nią kojąco. Czuła się bezpieczna, spokojna, rozpieszczana.

- Słyszałem cię wczoraj - szepnął jej do ucha. - Znowu ten sen?

Nastrój błogości prysł.

- Tak.

- Miałem nadzieję, że to minęło. Potrząsnęła głową.

- Wprowadź się dziś do mnie.

- Co takiego? Namydlił jej plecy.

- Chcę, żebyś spała w moim łóżku. Chcę się budzić w nocy i móc cię dotknąć.

Zrozumiała natychmiast.

- Chcesz po prostu mnie obudzić, kiedy będę miała zły sen.

- Między innymi. - Przesunął mydło po jej piersi. - Nie widzę w tym nic złego. I tak spędzasz ze mną większą część nocy.

Nie rozumiała dlaczego, ale pomysł Nicka wzbudził w niej niepokój. Przecież na pewno byłoby jej łatwiej stawić czoło koszmarom, gdyby Tanek leżał obok.

Zbyt łatwo. Dzięki takim chwilom jak ta pod prysznicem

Nicholas otaczał ją pajęczyną przyjemności i ukojenia. Czuła się aż za dobrze. Sen sprawiał jej wprawdzie ogromny ból, ale przypominał jednocześnie o tym, co nadal pozostawało do zrobienia.

- Nie.

Zamarł, ale już po chwili wznowił kojący masaż.

- Jak sobie życzysz. Jeśli zmienisz zdanie, będę do twojej dyspozycji.

Żadnych dyskusji, nacisków. Wszystko przychodziło lekko, zupełnie bez wysiłku.

Czyż on nie zdawał sobie sprawy z tego, że w ten sposób wciąga ją jeszcze bardziej w pajęczynę? A może właśnie był tak mądry?

- Nadal usiłujesz mnie przekonać, żebym zostawiła Maritza w spokoju?

- Oczywiście. - Zaśmiał się. - Złożyłem nawet swoje ciało na ołtarzu twojej żądz. Sądzisz, że jestem z tego zadowolony?

Szczerłość. Humor, seks i uczciwość za jednym zamachem. Jakie to miłe. Nie trzeba się bać.

- Tak mi się wydaje.

Masował delikatnie jej kark. Omal nie zaczęła mruzczyć z rozkoszy.

- I masz rację - powiedział pogodnie. - Cieszę się, że ten trening nie uszkodził ci mózgu.

Ani śladu Maritza - powiedział Jamie. - Sam chodziłem za Tanią, ale na niego się nie natknąłem.

- Co nie znaczy, że on jej nie śledzi - mruknął Nicholas.

- Pewnie że nie. Jest dobry i lubi tę fazę działań. Trzymam rękę na pulsie. Kazałem nawet Philowi wklepać numer alarmowy doktora do mojego pagera. Nic ponadto nie możemy zrobić. - Urwał. - Ale dostałem wiadomość od Connera z Aten. Bingo.

- Masz to? - Nicholas poczuł, że sztywnieją mu mięśnie.
- Tak. Wszystkie informacje zweryfikowane i uzupełnione. Wysłałam ci faksem pełny raport.
- Dobrze.
- Nadal nie informujesz o niczym Nell? Pakujesz się w nie lada kłopoty.
- Nie musisz mi tego mówić. Czekam na twój faks. - Nicholas odwiesił słuchawkę.

Jedzie tu jakiś facet. Zatrzymał się przy trzecim ogrodzeniu. Wpuścić go? - Michaela stała w drzwiach sali gimnastycznej, patrząc z dezaprobatą na Nell, która leżała na brzuchu przyciskana do maty przez Taneka. - Nie lubię takich brutalnych ćwiczeń. - Powinniście sobie znaleźć coś ciekawszego do roboty.

- Jaki facet? - Tanek stoczył się z Nell i wstał.
  - To ten Kabler. Już tu kiedyś był. Nell spojrzała niespokojnie na Taneka.
  - Jest sam? - spytał Nick.
  - Tak twierdzi. Decyduj się na coś. Muszę wracać do roboty.
- Wpuść go. - Tanek ruszył do drzwi. - Koniec treningu. Idź pod prysznic, a ja zobaczę, czego on chce.
- Nie.
- Zerknął na nią przez ramię.
- Nie pozwolę się z tego wyłączyć. Nie zgadzam się na żadne tajemnice.
  - Trudno mówić o tajemnicy, skoro nie mam pojęcia, o co mu chodzi - powiedział sucho.
- Poszła do swego pokoju, umyła twarz, zdjęła przepoconą górę od dresu i włożyła świeżą bluzkę.
- Kiedy wyszła na ganek, Kabler właśnie wjeżdżał na podwórze.
- Było przenikliwie zimno, na ziemię zaczynały powoli spadać ogromne płatki śniegu.
- Nie włożyłaś płaszcza - powiedział Tanek, nawet na nią nie

patrząc. - Czy uznasz to za machiawelizm, jeśli poproszę, żebyś zaczekała wewnątrz?

- Nie jest mi zimno.

Kabler wysiadł z samochodu.

- Wizyta tutaj przypomina forsowanie Fortu Knox - powiedział i zerknął na Nell. - Dzień dobry. Czy to właśnie pani jest złotem, które Tanek usiłuje zachować dla siebie?

Skłoniła głowę.

- Bardzo mi miło pana widzieć.

- Właż, Kabler. Kończmy z tą sprawą - mruknął Tanek przechodząc przez próg.

- Jak się pani miewa? - spytał cicho Kabler mijając Nell.

- Dobrze. Czyżbym źle wyglądała?

- Wygląda pani naprawdę wspaniale.

Odkąd przyjechała do Idaho, niemal zapomniała o swojej zmienionej aparycji.

- Jestem zdrowa i silna. Chyba pan widzi, że Nicholas nie trzyma mnie w lochu. Naprawdę przyjechał pan po to, żeby się o tym przekonać?

- Częściowo tak.

- Kabler! - zawołał Tanek z głębi domu.

- Co za niecierpliwy drań - mruknął policjant i wszedł do domu.

Nell pospieszyła za nim i zamknęła drzwi, by zimne powietrze nie wlatywało do mieszkania.

- Ładnie tutaj - zauważył Kabler. - Luksusowo i wygodnie. Bardzo mi się to podoba. Zatrzymał się przed obrazem Delacroix. - Nowy?

- Nie, widziałeś go już przy okazji poprzedniej wizyty, Kabler. Nawet mówiłeś coś na ten temat.

- Rzeczywiście. - Uśmiechnął się. - Nawet później sprawdziłem, czy wszedłeś w jego posiadanie legalną drogą.

- Dlaczego? Przecież nie zajmujesz się kradzieżami dzieł sztuki.

- Ale miałem szansę znaleźć na ciebie haka. Nigdy nie

wiadomo, kiedy mógłby się przydać. - Potrząsnął głową.  
- Niestety transakcja okazała się legalna. Trudny z ciebie człowiek.

- Po co przyjechałeś?

- Pani Calder zniknęła wkrótce po opuszczeniu szpitala. Nie wierzyłem, że zapadła się pod ziemię, więc pomyślałem od razu o tobie. - Spojrzał Tanekowi w oczy. - Po co ją tu trzymasz? Na przynętę?

- Przecież pan twierdził, że stałam się przypadkową ofiarą - powiedziała szybko Nell. - A jeśli tak, to dlaczego Tanek miałby mnie uznać za odpowiednią przynętę?

- Słyszysz, jak cię broni? - westchnął Kabler. - Zawsze potrafiłeś zdobywać zaufanie. Przecież Tanek nie podziela mojej opinii. Już pani o tym zapomniała? Bardzo jestem ciekaw, czy zdążył pani powiedzieć o Nigelu Simpsonie? - Uśmiechnął się lekko. - Nie. Najwyraźniej nie zdążył.

- Sam jej powiedz - powiedział Tanek z kamienną miną. Przecież widzę, że aż się ślinisz.

- Jaki ty jesteś spostrzegawczy! Nigel Simpson był księgowym Gardeaux i dostarczał mi pewnych informacji. Ale zniknął.

- Kabler potrząsnął z niedowierzaniem głową. - Mniej więcej w tym samym czasie Tanek odwiedził Londyn. Co za zbieg okoliczności!

Londyn. Nell przypomniała sobie telefon z Londynu i wyjazd Taneka. Za wszelką cenę starała się jednak nie okazać zdziwienia.

- Podejrzewasz, że jego również ukrywam? - spytał Tanek.

- Nie. Ten nieszczęśnik leży pewnie na dnie oceanu.

- I ja go tam wrzuciłem?

- Niewykluczone. - Kabler wzruszył ramionami. - Albo też za ostro się do niego zabrałeś i Gardeaux postanowił go wykończyć. Go Simpson ci powiedział?

- Nic. W ogóle się z nim nie widziałem.

- Mógłbym cię wezwać na przesłuchanie.

- Na jakiej podstawie? Wiesz tylko tyle, że byliśmy w tym samym mieście mniej więcej w tym samym czasie.



- I to wystarczy. - Zawahał się lekko. - Dobra. Nie mogę na ciebie naciskać. Podzieliłeś się już swoim odkryciem z tą damą?

- Nie zdołaliśmy jeszcze ustalić, że cokolwiek odkryłem.

- Dlaczego w takim razie Reardon nadal zapuszcza sondy?

Tanek popatrzył na niego tępo.

- Zapuszcza sondy? Gdzie?

- W Atenach. Nell zeszywniała.

- Grecja to piękny kraj - uśmiechnął się Tanek. - Może Jamie potrzebował wakacji? Czy przyjechałeś tutaj wyłącznie dlatego, że chciałeś mnie o to zapytać?

- Nie. Sądzę, że znam odpowiedź. - Kabler wyraźnie spochmurniał. - Nie życzę tylko sobie, żebyś znów następował mi na odcisk. A jak nie posłuchasz, to cię załatwię. Bardzo potrzebowałem Simpsona.

- Ja również. - Tanek otworzył drzwi na oścież. - Do zobaczenia.

Kabler aż uniósł brwi ze zdziwienia.

- Wyrzucasz mnie na mróz? Jaki ty jesteś niegościnnie! Czy takie obowiązują zwyczaje w zachodnich stanach? - Zbliżył się do Taneka. - W głębi serca nadal pozostałeś zwykłym przestępcą, prawda?

- Nigdy temu nie zaprzeczałem. Jesteśmy tymi, kim... jesteśmy. Lub byliśmy.

Kabler znowu rozejrzał się po pokoju i zatrzymał wzrok na chińskim wazonie stojącym w rogu.

- I dobrze ci płacono. Za ten wazon mógłbym wysłać dzieci do college'u. Żyjesz na wysokim poziomie, prawda? - dodał gorzko. - Ty i ta szmata Gardeaux. Czy tobie to naprawdę nie przeszkadza, że...

- Do widzenia.

Kabler otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale urwał bo napotkał spojrzenie Nicholasa.

- Odprowadzi mnie pani do auta? - zwrócił się do Nell.

- Chciałbym zamienić z panią kilka słów na osobności. Oczywiście , o ile Tanek zgodzi się spuścić panią z oczu.

- Ależ oczywiście - odparł Nicholas bezbarwnym głosem.

- Weź zakiet, Nell.

Nell chwyciła zakiet z wieszaka przy drzwiach i poszła za Kablerem.

Śnieg padał coraz szybciej i gęściej. Przednia szyba auta, którym przyjechał policjant, była już całkowicie zasypana.

- Będę miał szczęście, jeśli dojadę do miasta, zanim zacznie się zadymka - mruknął.

- Mógłby pan zostać na noc.

- Po tym, jak Tanek wyrzucił mnie za drzwi? Z dwojga złego już wolę tę śnieżycę.

- Przecież on nie jest potworem. Na pewno pozwoliliby panu zostać.

- Potworem może nie jest, ale nie liczyłbym specjalnie na jego dobre serce. Poza tym i tak muszę wracać do Waszyngtonu. Dzieciak mi choruje - dodał zmartwionym tonem. - Żona potrzebuje pomocy.

Po raz pierwszy dostrzegła, że Kabler wygląda starzej i poważniej niż ostatnio. - Impulsywnie położyła mu rękę na ramieniu.

- Wiem, że to gorsze, niż gdyby pan sam był chory. Co mu jest?

Wzruszył ramionami.

- Pewnie grypa. Ale jakoś nie może z tego wyjść.

- Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

- Na pewno. - Uśmiechnął się z wysiłkiem. - Już to przerabialiśmy z poprzednią dwójką. Dzieci szybko dochodzą do siebie.

Przytaknęła.

- Jill miała zapalenie płuc, a w dwa tygodnie później biegała po parku jak gdyby nigdy nic... - Urwała. - On na pewno wyzdrowieje.

- Jasne. Dzięki za zrozumienie. Myślę, że chciałem po prostu to usłyszeć od kogoś innego. - Zerknął na dom. Proszę nie ufać Tanekowi. Oszustem był i oszustem pozostanie.

- Niekoniecznie. Ludzie się zmieniają.

- Ale on nie jest taki jak my. Żaden z nich nie jest. Może pani sobie wyobrazić, że taki facet zamartwia się na śmierć chorym dzieckiem? Oni taplają się w błocie, a błoto zasycha i tworzy skorupę, przez którą nic się już nie przebije.

- Nic podobnego.

Potrząsnął głową.

- Oglądam te obrazki od dwudziestu czterech lat. Oni nie są tacy jak my. - Zacisnął dłoń w pięść. - Ale rządzą na świecie. Pieniądzy mają jak lodu, nie obowiązują ich żadne reguły. Tylko biorą, biorą i jeszcze raz biorą...

- To właśnie chciał mi pan powiedzieć?

- Tanek panią wykiwa. Jestem o tym przekonany. Nie chcę, żeby pani cierpiała. Już dosyć.

- Nic mi nie grozi, a on wcale nie próbuje mnie oszukać. Już nie.

- Dlaczego w takim razie nie powiedział pani ani słowa o Nigelu?

- Nie mam pojęcia. Ale z pewnością wszystko mi wyjaśni, jeśli go o to poproszę.

Zacisnął usta.

- Ten drań naprawdę panią opętał. Sypia pani z nim?

- To nie pańska sprawa - odparła chłodno.

- Przepraszam. Oczywiście, że nie moja. Chciałem tylko pomóc. Nadal ma pani moją wizytówkę?

- Tak.

- Będę w pogotowiu. - Włączył silnik. - Proszę nie czekać do ostatniej chwili, żeby nie było za późno.

Patrzyła, jak Kabler wyjeżdża z podwórza.

*Ten drań naprawdę panią opętał.*

Kabler głęboko się mylił. Tanek nie wywierał na nią żadnego wpływu. Zresztą ten policjant w ogóle nic nie wiedział. Chyba że o Simpsonie.

Wróciła wolno do domu.

Nicholas stał przy ogniu z otwartymi ramionami.

- Chodź i ogrzej się. Długo cię nie było.

Zrzuciła żakiet i zrobiła krok naprzód.

- Pada. Zaproponowałam mu nocleg.
- On jednak wolał nie ryzykować.
- Powiedziałam Kablerowi, że nie będziesz protestował.
- Ale nie jesteś pewna, czy nie wygnałbym go na mróz i nie zostawił na pastwę wilków.
- Nie bądź śmieszny.
- Z pewnością bym tego nie zrobił. - Uśmiechnął się do niej.

— A już na pewno nie wtedy, gdybyś ty go zaprosiła.

Zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć.

- Lubię go.
- Wiem. Dlaczego nie? To ojciec rodziny, wyrozumiały, opiekuńczy.
- A ty go nie cierpisz.
- Dla mnie jest zbyt zasadniczy. Skoro mam zostać ukamienowany, nie pałam gorącą sympatią do człowieka, o którym wiem, że ciśnie we mnie pierwszy.
- Co się stało z Simpsonem?
- Prawdopodobnie koncepcja Kablera jest słuszna. - Przymrużył oczy. - Ale jeśli zamierzasz pytać, czy maczałem w tym palce...
- Nie zamierzam - przerwała szybko.
- Bo nie sądzisz, żebym był zdolny do takiego barbarzyństwa?

- spytał kpiąco.

- Nie wiem. Może i jesteś zdolny, ale chyba... Nie zrobiłbyś tego, jeśli... Po prostu nie wierzę, że go zabiłeś - dokończyła szybko.
- W takim razie wszystko jasne.
- Ale chcę wiedzieć, co ci się udało ustalić.

Milczał chwilę.

- Dostałem od Simpsona część ksiąg Gardeaux i dokumenty buchaltera z Paryża, który mógłby je uzupełnić.
- I to okazało się dla ciebie ważne?
- Chyba tak.
- Dlaczego?

- Informacje zawsze się przydają. W Hongkongu nauczyłem się je cenić. Część wykorzystywałem od razu, inne trzymałem w zanadrzu. Kiedy opuściłem sieć, stworzyłem sobie z nich polisę ubezpieczeniową.

- Polisę?

- Przez te lata narobiłem sobie wielu wrogów. Nie mogłem być pewien, czy się do mnie nie dobiorą. W związku z tym w różnych skrzynkach depozytowych na świecie zostawiłem elektryzujące informacje na temat Ramona Sandequeza, z instrukcją, by w razie mojego zniknięcia lub śmierci przekazano je zainteresowanym stronom.

Nazwisko zabrzmiało znajomo.

- Kim jest Ramon Sandequez?

- To jeden z trzech szefów kartelu narkotykowego.

Zgadza się - przypomniała sobie Nell. Paloma, Suarez, Sandequez. Tak się właśnie nazywali szefowie Gardeaux.

- Sandequez natychmiast rozesał wieść, żeby mnie nie tykać, bo się wkurzy - ciągnął Tanek.

Poczuła przyływ ulgi.

- Zatem jesteś bezpieczny.

- Dopóki Sandequezowi nie zacznie się wydawać, że znalazł wszystkie skrzynki. A już zlokalizował dwie. Albo dopóki sam nie zginie. Chyba że wcześniej jakiś szaleniec, na przykład Maritz, dojdzie do wniosku, że mimo wszystko warto zaryzykować.

- Ale gdybyś nie dawał znaku życia i został tutaj, nic by ci nie groziło?

- Mam położyć uszy po sobie i modlić się? - Potrząsnął głową. - Chcę zachować odpowiednie środki ostrożności, ale nie zrezygnuję z pełni życia. Nie po to tu przyjechałem.

Przyjechał, by zapuścić korzenie, ale te nowe korzenie okazały się niezwykle wiotkie.

- Nie bądź idiotą - powiedziała gniewnie. - Powinieneś siedzieć spokojnie tutaj. Kochasz to miejsce. Nie ma powodu, żebyś musiał gdziekolwiek jechać.

- Jest.

- Nie wart takiego ryzyka.

Gardeaux. Maritz. Oczywiście, że był powód. O co jej właściwie chodziło?

O to, żeby Tanek był bezpieczny.

Nell ogarnęło ogromne nagłe poczucie winy. Bliskość i intymność, jakie wkradły się w jej życie, zaczęły kolidować z innymi planami. Szybko odwróciła głowę.

- Muszę wziąć prysznic.

- Uciekasz? - spytał cicho.

- Nie... ja tylko... Tak. - Nie zamierzała kłamać. - Chyba powinnam wyjechać. Sytuacja zaczyna się komplikować.

- Wiedziałem, że tak będzie - powiedział. - Niech tego Kablera szlag trafi.

- Przecież to nie jego wina, tylko...

- Sytuacja zaczyna się komplikować - zacytował ironicznie.

- A Kabler odegrał rolę katalizatora. - Wyciągnął rękę i chwycił ją za ramiona. - Słuchaj. Nic się nie zmieniło. Nie musisz uciekać.

Jednak coś się zmieniło. Na chwilę zapomniała o tym, co ważne, gdyż za bardzo jej zależało na Nicholasie.

A Tanek zdawał sobie ze wszystkiego sprawę. Poznała to po wyrazie jego twarzy.

- W porządku. Już cię nie dotknę - powiedział. - Będzie jak przedtem.

W jaki sposób? Przyzwyczaiła się do niego zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym.

- Nie jesteś gotowa. - Ujął jej twarz w dłonie. - Zostań - szepnął.

Pocałował ją lekko, delikatnie. Uniósł głowę.

- Widzisz? Całkowicie braterski pocałunek. Co się mianowicie skomplikowało?

Przytuliła się do niego. Bardzo pragnęła zostać. Musiała zostać. Tanek miał rację. Nie jest gotowa, by odejść. Może już teraz, kiedy zrozumiała, co się z nią dzieje, wszystko się jakoś ułoży.

- Dobrze. Jeszcze trochę zostanę.

Poczuła, jak opuszcza go napięcie.

- Mądra decyzja.

Nie wiedziała, czy postępuje mądrze. Wiedziała tylko tyle, że jego ramiona są silne i troskliwe. Pragnęła, by nadal ją obejmował.

- Puść mnie.

- Za chwilę. Teraz jest ci to potrzebne.

Jak zwykle miał rację. Znał świetnie jej pragnienia i marzenia. Kiedy miała ochotę na seks, dawał jej tyle, ile chciała przyjąć. To on okazał się mądrzejszy, co powinno ją jednak przerażać, a nie stwarzać poczucie bezpieczeństwa.

Wyrwała się z jego objęć i ruszyła do drzwi.

- Do zobaczenia na lunchu.

- Dobrze.

Zatrzymała się przy drzwiach, bo przyszła jej do głowy pewna myśl.

- Nie powiedziałeś mi, dlaczego Jamie pojechał do Grecji.

- Sprawdzał pewne tropy prowadzące do Medas.

- I co z tego wynikło?

- Jeszcze za wcześnie, by o tym mówić - powiedział obojętnie.

Aż nazbyt obojętnie. Zamierzała od razu zapytać Taneka o Jamiego, ale on przeskoczył z Simpsona na Sandequeza i Nell zgubiła wątek. Czyżby celowo pomijał ten temat?

- Mówisz prawdę?

- Oczywiście.

- To dla mnie bardzo ważne - powiedziała. - Muszę ci ufać, Nicholas.

- Postawiłaś sprawę jasno. Czy zrobiłem kiedykolwiek coś, czym zawiodłem twoje zaufanie?

Potrząsnęła głową. Uśmiech rozjaśnił mu twarz. -

Więc daj mi spokój, dzieciaku.

To był piękny uśmiech, pełen ciepła. Złapała się na tym, że sama zaczyna się uśmiechać.

- Przepraszam. - Odwróciła się do wyjścia, ale przystanąła na chwilę, aby wyjrzeć przez okno. - Coraz bardziej pada.

Westchnął.

- A ty się martwisz o Kablera. Chcesz, żebym za nim pojechał i sprawdził, czy dotarł do miasta?

- Zrobiłbyś to dla mnie? - spytała, zdziwiona.

- Jeśli wyraziłabyś takie życzenie... Poczula, jak zalewa ją fala serdecznych uczuć.

- Nie, bo wtedy martwiłabym się o ciebie.

- Miło wiedzieć, że jestem ważniejszy od Kablera.

- Może przestanie padać?

- Wątpię. Podobno śnieżyce mają się utrzymywać przez cały tydzień. - Zerknął na białe płatki osiadające na szybie. - Za parę dni dotrą nawet do Joela i Tani w Minneapolis.



Potrzebujesz czegoś ze sklepu? - Phil stanął w progu kuchni i wciągnął powietrze w nozdrza. - Ładnie pachnie. Co to takiego?

- Gulasz - uśmiechnęła się Tania. - Zostawię ci trochę na kolację.

- Świetnie. - Podeszedł do kuchenki. - A mógłbym teraz spróbować?

On jest po prostu dużym dzieckiem - pomyślała pobłaźliwie, zanurzając łyżkę w garnku i wyciągając ją do Phila. Spróbował gulaszu i przymknął oczy z rozkoszą.

- Wspaniały.

- To stary przepis rodzinny. Znam go od babci. - Zmniejszyła gaz.

- Za parę godzin, jak się trochę pogotuje, będzie jeszcze lepszy.

- Niemożliwe. - Phil zerknął na szybę. - Coraz bardziej pada. Niedługo w ogóle nie będzie można wyjść. Potrzebujesz może mleka, chleba czy czegoś innego w tym rodzaju?

- Mleka. Zużyłam resztki na śniadanie. - Powędrowała wzrokiem do okna. - Ale nie chcę cię fatygować. Jezdnie są na pewno bardzo oblodzone.

- I tak zamierzałem wyjść. Auto zaczyna mi nawalać. Muszę podjechać do warsztatu.

- Co się stało?

- Żebym to ja wiedział. Jeszcze dwa dni temu wszystko było

w porządku, a wczoraj ten grat zaczął się krztusić. - Wzruszył ramionami. - Może kupiłem kiepską benzynę? - Ruszył do drzwi. - Wrócę za parę godzin. Włącz alarm. Po co w ogóle zakładać systemy zabezpieczające, skoro się z nich nie korzysta? Wszedłem do domu bez żadnych trudności.

- Ja go zawsze włączam. Widocznie Joel zapomniał. - Ruszyła za Philem na korytarz, a gdy chłopak znalazł się już na zewnątrz, nacisnęła guzik. Popatrzyła z troską na wirujące płatki śniegu. - Okropność. Naprawdę musisz wyjść?

- Nie mogę żyć bez auta. - Uśmiechnął się. - A jazda w taką pogodę to dla mnie żadna nowość. - Schodząc ostrożnie oblodzonymi schodkami, pomachał Tani na pożegnanie. - Będę pamiętał o mleku.

Zniknął za kurtyną śniegu.

Zamknęła drzwi i ruszyła z powrotem do kuchni. Po dwóch krokach zatrzymała się jednak i zmarszczyła brwi, kiedy zauważyła mokrą plamę na dębowej podłodze. Phil zwykle bardzo starannie wycierał obuwie. Widocznie naprawdę się martwił o samochód, skoro o tym zapomniał. Musiała jak najszybciej wytrzeć wodę, żeby ta śliczna posadzka się nie zniszczyła.

Maritz pomyślał z żalem, że tym razem Tania nie wyczuła jego obecności.

Patrzył, jak się pochyła i starannie wyciera wodę, która pociekła mu z butów, kiedy wszedł za chłopakiem do hallu. Sam by wytarł kałużę, ale nie wiedział, jak długo ten facet zamierza zostać w domu. Wolał nie ryzykować. Zdjął tylko mokre buty i pobiegł na podest na piętrze.

*Jestem tutaj, śliczna Taniu. Jeśli tylko spojrzysz w górę, to od razu mnie zobaczysz.*

Ale ona nie podniosła wzroku. Dokończyła sprzątanie i wróciła do kuchni.

Doszedł do wniosku, że nie powinien być zawiedziony. Już się

kiedyś zetknął z taką ślepotą. W miejscu uważanym za bezpieczne wrażliwość zawsze ulega stępieniu.

Mimo wszystko myślał, że Tania jest inna.

A może tak właśnie było lepiej? Mógł się spodziewać większego zaskoczenia, większego strachu.

Jeszcze nie zdecydował, dokąd ją zabierze.

Słyszał, jak nuci w kuchni. Tego ranka wydawała się szczęśliwa.

Kuchnia, centrum domu, podstawa życia rodzinnego.

Dlaczego nie?

Ruszył powoli na dół.

Phil skręcił kierownicę i wyszedł gładko z poślizgu. Lubił czuć, że panuje nad autem. Jazda przypominała mu przeszukiwanie Internetu, skakanie z jednego programu na drugi do chwili, kiedy się natrafi na coś naprawdę godnego uwagi.

Pomyślał ponuro, że gdyby wiedział tyle samo o silnikach co o komputerach, pewnie miałby więcej pieniędzy. Czuł, że za naprawę auta znowu będzie musiał zapłacić majątek.

A może nie? Zmieniał regularnie olej w warsztacie Acme i chłopcy nigdy nie przesadzali z ceną. Gadał też czasem z Irvingiem Jessupem, właścicielem i...

Warsztat Acme.

Szyld zawieszony na wysokim słupie wyrósł mu przed oczami zupełnie jak spod ziemi. Ostrożnie wjechał na podwórze.

Mimo śnieżycy w kolejce do naprawy czekało jedno auto. Musiał zaczekać, ale wcale się tym nie martwił. Widać trafił na dobrych specjalistów. Doskonale.

Przecież miał czas.

Do gulaszu należało dodać trochę pieprzu. Tania odłożyła chochlę i sięgnęła po kryształowy młynek. Phil uważał, że potrawa jest znakomita, ale on nigdy nie jadł gulaszu przyrządzanego przez babkę. A Tania bardzo lubiła gotować według

rodziny przepisów. Przywodziło jej to na myśl wspomnienia, których te wszystkie straszne lata nie zdołały zatrzeć. Babka siedząca przy stole, obierająca ziemniaki, opowiadająca jej historie o starych czasach, kiedy to podróżowała po całym kraju, matka wracająca z biura...

- Już czas, Taniu.

Rzuciła się w stronę drzwi.

Stał tam mężczyzna z nożem w ręku. Uśmiechał się. Serce podskoczyło jej w piersiach, a potem zamarło. To on. To był z pewnością on. Przytaknął, jakby czytał w jej myślach.

- Wiedziałaś, że przyjdę. Czekalaś na mnie, prawda?

- Nie - szepnęła.

Wyglądał zupełnie zwyczajnie, jak każdy przeciętny człowiek. Ciemne włosy, oczy, dość wysoki. Mógł być sprzedawcą w supermarkecie lub agentem ubezpieczeniowym, takim jak ten, który usiłował sprzedać jej polisę w zeszłym tygodniu.

Ale miał nóż.

- Wcale nie chcesz tego zrobić. - Zwilżyła wargi. - Nawet mnie nie znasz. Nic się jeszcze nie stało. Możesz po prostu stąd wyjść.

- Oczywiście, że znam. Nikt cię nie zna lepiej niż ja. - Postąpił krok naprzód. - A poza tym głęboko się mylisz. Ja bardzo chcę to zrobić. Już od dawna.

- Dlaczego?

- Bo jesteś wyjątkowa. Wiedziałem o tym od chwili, kiedy zacząłem cię śledzić.

Drzwi?

Nie, on blokował przejście.

Musiła podtrzymywać rozmowę i jednocześnie myśleć.

- Dlaczego za mną szedłeś?

- Z powodu tej całej Calder. Sądziłem, że ona tu przyjdzie albo się z tobą skontaktuje. - Zrobił jeszcze jeden krok. - Ale potem zrozumiałem, że jesteś naprawdę niezwykła, i postanowiłem to zrobić dla przyjemności.

- Nie wiem, gdzie jest Nell.

- Sądziłem, że tak właśnie powiesz. Zaraz się przekonam, czy to prawda - dodał z uśmiechem. - Mam nadzieję, że nie od razu się wygadasz. Będzie mi przykro kończyć.

Szuflada z nożami? Nie zdąży jej dosięgnąć.

- Kim jesteś?

- Zapomniałem, że nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jesteś mi taka bliska. Nazywam się Paul Maritz.

O Boże! Potwór Nell stał się teraz jej własnym potworem i podchodził coraz bliżej. Co robić?

- Skłamałam. Wiem, gdzie ona mieszka, ale nigdy ci tego nie powiem, jeśli będę martwa.

- Mówiłem ci, że wolałbym dowiedzieć się wszystkiego raczej później niż wcześniej. - Stał zaledwie dwa metry od niej. - Ale możemy porozmawiać później, kiedy już...

Rąbnęła kryształowym młynkiem o stół, sypnęła Maritzowi pieprzem w oczy i rzuciła mu w twarz stłuczone kawałki szkła.

Zaklął i zaczął machać na oślep nożem.

Minąwszy go pędem, ruszyła do foyer.

Cały czas słyszała przekleństwa Maritza.

Dopadła frontowych drzwi i zaczęła walczyć z zamkiem.

Poczuła na plecach rękę bandyty, który zaczął odciągać ją od drzwi.

Zachwiała się, uderzyła o ścianę, ale zanim upadła, zdążyła chwycić krawędź stolika.

- Głupia dziwka! - Po jego czerwonej, opuchniętej twarzy spływały łzy. - Myślisz, że bym ci pozwolił...

Cisnęła w niego wazonem i rzuciła się do wyjścia.

Wybiegając na zewnątrz włączyła sygnał alarmowy.

W tej samej chwili straciła równowagę i zsunęła się ze schodów.

On schodził za nią, wolno, ostrożnie, aby nie popełnić tego samego błędu.

Alarm zawodził jak opętany, a Tania usiłowała się podnieść. Ktoś musiał ją usłyszeć. Ktoś musiał przyjść jej z pomocą.

Poczuła przenikliwy ból w lewej kostce. Zaczęła skakać na jednej nodze w stronę jezdni.

- Dokąd idziesz, Taniu? - zawołał za nią. - Nie uciekniesz daleko, a przecież w tej śnieżycy nikt cię nie usłyszy. Ochrona? Nie dojadą tu na czas.

Z trudem posuwała się naprzód.

- Jestem tuż za tobą.

- Zamknij się, sukinsynu.

- Poddaj się. I tak ci nic nie pomoże. Znów pośliznęła się na lodzie.

- Przecież wiesz, że to się musi stać. Już od dawna wiesz. Kostka nie wytrzymała obciążenia i Tania upadła na śnieg. Przetoczywszy się na plecy, popatrzyła Maritzowi prosto

w oczy.

- Śliczna Tania. - Ukląkł przy niej i zaczął pieścić jej włosy. - Nie tak to wszystko planowałem. Wymyśliłem coś znacznie przyjemniejszego niż tarzanie się w śniegu. Ale ty włączyłaś alarm i teraz musimy się spieszyć.

- Nie powiedziałam ci jeszcze o Nell - szepnęła z desperacją.

- Więc mów.

- Ona jest na Florydzie. Puść mnie...

Potrząsnął głową.

- Chyba kłamiesz. Zawsze potrafię to poznać. Nie wierzę, że mi cokolwiek zdradzisz. Pogadam raczej z doktorkiem.

- Nie!

- Przecież nie zostawiłaś mi wyboru. - Zacisnął dłoń na jej włosach i uniósł nóż. - Nie sprawię ci bólu, chociaż ty nie miałaś dla mnie litości. Jedno szybkie pchnięcie i będzie po wszystkim,

A więc tak wyglądały ostatnie sekundy jej życia. Myśleć! Musi istnieć jakieś wyjście. Nie po to przetrwała piekło Sarajewa, żeby umrzeć tutaj, w Ameryce.

Nagle zrozumiała z przerażeniem, że jednak tak się stanie.

Nóż zbliżył się niebezpiecznie do jej gardła.

Nie miała szans na ocalenie...

Jamie Reardon siedział w pokoju hotelowym, kiedy jego beeper wydał sygnał dochodzący z domu Lieberów.

Jazda zajęła mu dwadzieścia minut. Przy krawężniku stał wóz firmy ochroniarskiej, ale nikogo w nim nie było. Syrena alarmowa wyła w najlepsze.

Dlaczego, do jasnej cholery, nikt jej nie wyłączył?

Pierwszy krwawy ślad dojrzał przy końcu podjazdu. Ciemna plama na śniegu zaczynała powoli zamarzać.

Poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

Krople krwi wytyczały drogę.

Wokół wirowały gęste płatki śniegu.

Dwaj ochroniarze stali tyłem do niego z pochylonymi głowami.

Wiedział, na co patrzą.

Przybył za późno.

Muszę porozmawiać z Nickiem. I to natychmiast.

- Nick pojechał do Bar X. - Nell zerknęła na zegarek. - Ale wątpię, czy go tam zastaniesz. Pewnie teraz jest już w drodze do domu, ale w taką pogodę jazda zajmie mu pewnie dużo czasu. Ma do ciebie zadzwonić?

- Jak tylko stanie w progu.

- Jesteś w hotelu?

- Nie, podam ci telefon.

Zapisała numer w notatniku leżącym obok aparatu.

- Co się stało? Może mu coś powtórzyć? Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

- Nie, nic.

Zesztywniała. Czowała się tak jak wówczas, gdy Jamie przekazał Nickowi zaszyfrowaną wiadomość o Nigelu. Ale to się wydarzyło, zanim Nicholas obiecał niczego przed nią nie ukrywać.

- Chcę wiedzieć, co się dzieje, Jamie.

- Zapytaj Nicka - odparł Reardon zmęczonym tonem. - Przecież on skróciłby mnie o głowę, gdybym się wygadał.

Odłożył słuchawkę.

Opadła na krzesło przy telefonie. Poczwała, że robi się jej niedobrze. Wniosek był prosty. Zdrada. Nicholas nakazał Jamie-mu, by ten coś przed nią zataił. Ile jeszcze faktów nadal pozostawało dla niej tajemnicą?

Zerknęła na zapisany w notesie numer, który wydawał się jej znajomy. Jakie to miasto miało taki kierunkowy?

Minneapolis.

Zaczęła wybierać cyfry, zanim jeszcze się zorientowała, do kogo należy ten numer.

- Halo!

- Co robisz u Lieberów, Jamie?

- Chryste! Powinienem był ci podać numer pagera.

- Co tam robisz? Poproś Tanie - dodała, gdy nadal nie odpowiadał.

- To niemożliwe.

Poczwała nagły przyływ strachu.

- Jak to niemożliwe?

- Słuchaj. Nie mogę już rozmawiać. Poproś Nicka, żeby do mnie zadzwonił.

Kiedy usłyszała, że się rozłączył, trzasnęła słuchawką o widełki.

- Michaela! - krzyknęła, biegnąc do sypialni.

Dopiero osiem godzin później przybyła pod dom Lieberów. Żółta taśma. Wokół domu rozciągnięto żółtą taśmę. Tak zawsze oznaczają miejsce zbrodni - myślała gorączkowo, płacąc za taksówkę. Ileż to razy widywała tego rodzaju scenki w wiadomościach? Ale to dotyczyło zawsze nieznanymi budynków, a nie domu Tani.

Porządku pilnował gburowaty policjant z zimnym wyrazem twarzy. Niemal tak zimnym jak jej ręce.

- Nell.

Z samochodu zaparkowanego obok krawężnika wysiadł Jamie.

- Nie powinnaś była przyjeżdżać - powiedział łagodnie. - Tego właśnie Nick chciał uniknąć.



- Co tu się stało?
- Maritz. Śledził Tanie. Czekał, aż się pojawisz.

Poczuła się tak, jakby dostała silny cios w żołądek. Jej wina. To ona sprowadziła nieszczęście na Tanie. Tania i Joel próbowali tylko jej pomóc, a w ich życiu pojawił się ten potwór. Przez Nell.

- Ona nie żyje? Potrząsnął głową.
- Jest w szpitalu ze złamaną kostką. Omal nie podskoczyła z radości.

- Dzięki Bogu! - Zerknęła ponownie na żółtą taśmę i zalała ją kolejna fala strachu.

- Joel?

- Nie było go tutaj. - Wciągnął głęboko powietrze. - Ale Phil niestety był. Maritz uszkodził mu auto, więc zabrał je do warsztatu. Tam dowiedział się od mechanika, że ktoś gmerał przy przewodach paliwowych. Natychmiast pożyczył od nich dostaw-czaka i zdążył uratować życie Tani. - Zacisnął usta. - Ale sam zginął. Maritz go zabił. Przedtem jednak chyba dosyć długo walczyli, bo tymczasem na miejscu pojawili się ochroniarze. Maritz musiał uciekać i nie zdążył zamordować Tani.

Phil. Miły, słoneczny Phil. Łzy napłynęły jej do oczu. Przypomniała sobie, jaki ten chłopak był dla niej dobry w szpitalu.

- Bardzo go lubiłam - szepnęła.
- Ja też. - Jamie odchrząknął z trudem. Miał podejrzenie mokre oczy. - Był świetnym facetem.
- Chcę się zobaczyć z Tanią. Zabierzesz mnie do szpitala?
- Dlatego tu jestem. - Ujął ją pod łokieć i zaprowadził do auta. - Nick zakazał mi spuszczać cię z oka, dopóki sam tu nie przyjedzie.
- Rozmawiałeś z nim?
- Trzy godziny potem, jak wyjechałaś na lotnisko. Miał ochotę udusić ciebie i... mnie.
- Ty już byłeś na miejscu. Wiedziałeś, że coś im grozi?
- Właściciel domu pogrzebowego zniknął bez wieści. Musieliśmy sprawdzić, czy Tania i Joel są bezpieczni.

- Ale nie byli. - Wsiadła do auta. - Phil również nie.
- Nie sądzisz, że jest mi już wystarczająco źle? Przecież się z nim przyjaźniłem.
- Nic mnie nie obchodzi twoje samopoczucie. Maritz zamordował Phila i próbował zabić Tanie, bo chciał znaleźć mnie. A Nicholas nawet mi o tym nie wspomniał.
- Przecież wiedzieliśmy, że natychmiast tu przyjedziesz. Nickowi zależało wyłącznie na twoim bezpieczeństwie.
- Jakie on miał prawo, żeby... - Urwała. Rozmowa z Jamiem nie miała sensu, skoro to Nicholas zawinił. - Dajmy już temu spokój. Po prostu zawieź mnie do Tani.

Ona leży na piątym piętrze - powiedział Jamie, zajeżdżając pod szpital. - Chcesz, żebym z tobą poszedł?

- Nie. - Wsiadła z samochodu i trzasnęła drzwiami. Pod pokojem Tani siedział Joel.
  - Wyglądasz strasznie - powiedziała Nell. - Jak ona się czuje?
  - Pęknięta kostka, skaleczenia, szok. Widziała, jak Maritz zabija Phila. - Uśmiechnął się gorzko. - Poza tym nic jej nie dolega.
  - Wszystko przeze mnie.
  - To ja zapomniałem włączyć alarm, kiedy wychodziłem. Ten drań wszedł po prostu do środka. - Potrząsnął głową. - Po prostu wszedł.
  - Przykro mi, Joel.
  - On mogła umrzeć. - Popatrzył na Nell kamiennym wzrokiem. - Trzymaj się od niej z daleka. Nie chcę, żebyś się do niej zbliżała.
- Przez twarz dziewczyny przebiegł skurcz bólu. Nie mogła się wprawdzie dziwić takiemu zachowaniu Joela, ale było jej bardzo przykro.

- Obiecuję, że nie będę szukać kontaktu z Tanią, dopóki ten koszmar się nie skończy. Chciałabym jej tylko powiedzieć, jak bardzo... Mogę tam na chwilę wejść?

Wzruszył ramionami.

- Dopiero wtedy, kiedy Kabler skończy z nią rozmawiać. Zerknęła w stronę drzwi.
- Kabler tu jest?
  
- Przyszedł parę minut temu. Mówił, że chce ją wypytać o Maritza.
- Mają szansę go złapać?
- Kabler twierdzi, że ten drań siedzi już pewnie w samolocie odlatującym z kraju.
- Ale Tania widziała, jak zabił Phila. Co z możliwością ekstradycji?
- Najpierw trzeba go znaleźć.
  
- Maritz na pewno poprosi Gardeaux o ochronę. Lieber potrząsnął głową.
- Nie wiem. Chcę tylko, żeby trzymał się z dala od Tani.
  
- Ja też. - Dotknęła jego ramienia. - Teraz, kiedy ona go rozpoznała, na pewno nie odważy się ponownie wyjść z ukrycia.
- Nie? Przecież ten sukinsyn jest szalony. Stać go na wszystko. Obserwował ją, śledził, po prostu wszedł do domu i... - Urwał.
- Mów, co chcesz powiedzieć, i odczep się od niej. Miała już dość...
- Spodziewałem się pani - powiedział Kabler, zamykając za sobą drzwi od separatki. - Gdzie Tanek?
- Przyjechałam sama. - Odwróciła się do Joela. - Czy teraz mogę wejść?
- Najpierw muszę się upewnić, w jakiej jest formie. - Doktor wszedł do pokoju Tani.
- Bardzo mi przykro z powodu Phila - powiedział Kabler.
- Dobrze go pani znała?
- Nie, raczej nie. Co pan tu robi?
- Mój człowiek obserwował sytuację w Minneapolis, odkąd tylko się dowiedziałem o zniknięciu Birnbauma. Pamięta pani, że byłem ciekaw, czy Maritz przypadkiem nie maczał w tym palców.
- Oparła się o ścianę.
- Najwyraźniej pański człowiek nie jest szczególnie byстрыm obserwatorem.

- Nie wiedziała pani, że Maritz śledził panią Vlados?
  - Oczywiście że nie - odparła niecierpliwie. - Sądzi pan, że mogłabym ją narazić na takie ryzyko?
  - Spokojnie. - Uniósł dłoń. - Po prostu pytałem. Tanek musiał o wszystkim wiedzieć, skoro przysłał tu Reardona. - Potrząsnął głową. - Mówiłem pani, że nie należy mu ufać. Jeśli posłużył się Tanią Vlados, dlaczego nie miałby wystawić na przynętę również i pani?
  - On jej wcale nie wystawił na przynętę.
  - W takim razie dlaczego nic pani nie powiedział? - Potrząsnął głową. - Nadal mu pani wierzy - stwierdził z rozpaczą w głosie.
  - On nie naraziłby Tani na niebezpieczeństwo.
  - Zdradził pani, czego się dowiedział od Nigela Simpsona?
  - Tak.
  - Nieprawda. Nie byłaby pani tak spokojna. - Zaciśnął usta.
  - Już nigdy na coś podobnego nie pozwolę. Proszę, żeby po rozmowie z panią Vlados zeszła pani na dół.
  - Dlaczego?
  - Zamierzam pani pokazać, że Tanekowi nie wolno ufać. Nawet przez chwilę.
- Popatrzyła za Kablerem. Była wściekła na Nicholasa, ale instynktownie go broniła. Okazała się kompletną idiotką. Trzymała się tak kurczowo wiary w prawdomówność Nicka, jakby to się stało jej dewizą życiową.
- Nigdy w życiu nie czuła się bardziej samotna.
- Możesz teraz wejść. - Joel stanął w otwartych drzwiach.
  - Ale tylko na chwilę. Ona potrzebuje spokoju.
- Tania - oparta o poduszki - wyglądała blado i krucho. Nie zmieniła jednak sposobu mówienia.
- Nie patrz tak na mnie - burknęła. - Nic mi nie dolega. Kostka się wygoi.
  - Chyba się domyślasz, jak bardzo mi przykro. - Nell zrobiła krok naprzód. - Nigdy nie sądziłam, że coś podobnego może się zdarzyć. To powinnam być ja. Na mnie polował.
  - Przestań sobie schlebiać. Ja też bardzo mu odpowiadałam.

- Uśmiechnęła się smutno. - Uważa, że jestem wyjątkowa. Czyż to nie miłe?

- Jak możesz żartować?

Tania przestała się uśmiechać.

- Bo inaczej bym oszalała - szepnęła. - Nigdy w życiu tak się nie bałam. On po prostu szedł na mnie z nożem. Rozumiesz?

Nell przytaknęła.

- Zabił Phila - wyjąkała Tania ze łzami w oczach.

- Wiem.

- Phil ocalił mnie od śmierci, a Maritz go zabił. Widziałam kiedyś taki horror o zabójcy, którego tylko zło utrzymywało przy życiu.

- Tania zacisnęła dłoń na dłoni Nell. - On po prostu zabijał. Czułam się inaczej niż w Sarajewie. Tamci, w przeciwieństwie do Maritza, nie mieli twarzy. A ten potwór wygląda zupełnie zwyczajnie, jak wszyscy.

- Widzę, że cię zdenerwowałam. Lepiej już pójdę, bo Joel każe mnie aresztować.

Tania spróbowała się uśmiechnąć, ale nie bardzo się jej to udało.

- On bardzo o mnie dba, prawda? Rzeczywiście, lepiej idź. Nie jestem teraz najmilszym towarzystwem. Odezwij się niedługo.

- Na pewno. Obiecuję. - Pocałowała Tanie w policzek. -1 zdrowiej. Dziewczyna skinęła głową.

- Nell - szepnęła. - Uważaj. - On jest naprawdę uosobieniem zła.

Tanek stał za drzwiami i czekał.

- Jak ona się czuje?

- Niedobrze - odparła Nell chłodno. - A ty jak sądziłeś? Przecież była o krok od śmierci i w dodatku na jej oczach zginaj Phil. - Ruszyła w dół korytarza.

- Dokąd idziesz?

- Teraz? Chcę się napić kawy. Widok Tani w tym stanie nie sprawił mi przyjemności. - Nell potrzebowała nie tylko kawy. Trzęsła się ze zdenerwowania, a wiedziała, że Nicholas potrafi to

wyczuć i wykorzystać przeciwko niej. Skręciła do poczekalni i zaczęła grzebać w portmonetce w poszukiwaniu drobnych do automatu do kawy. - Zresztą to nie twój interes.

- Pewnie, że nie. - Wrzucił pieniądze i patrzył, jak czarny płyn spływa do kubka. - Dlaczego nie zaczekałaś na mój powrót? Przecież bym cię tutaj przywiózł.

Wzięła od niego kubek.

- Nie mogłam być tego pewna. Nawet mi nie powiedziałeś, że Maritz za nią łązi.

- Nie wiedzieliśmy tego na sto procent.

- Ale przysłałaś tu Jamiego.

- Ze względu na bezpieczeństwo. Nie chciałem dopuścić do drugiego Medas.

Sączyła kawę.

- Ale i tak je masz. Phil nie żyje.

Przytaknęła.

- Czy ty w ogóle wiesz, jak ja się czuję? Przecież to ja go tu ściągnąłem.

- Szczerze mówiąc, twoje samopoczucie niewiele mnie obchodzi.

Zacisnął usta.

- W porządku. Nie powiedziałem ci wszystkiego. Nie chciałem, żebyś tu wracała.

- Ten wybór nie należał do ciebie.

- Mimo wszystko go dokonałem. Bałem się o ciebie.

- Gdybym tu była, Maritz dobrałby się do mnie, a nie do Tani.

- Właśnie.

- Dlaczego uważasz, że jesteś Bogiem? Kto ci dał prawo do podejmowania takich decyzji?

- Zrobiłem po prostu to, co musiałem zrobić. Dokończyła kawę dwoma haustami i wrzuciła kubek do kosza na śmieci.

- Ja również. - Szybkim krokiem wyszła z poczekalni i ruszyła w stronę windy.

Pospieszył za nią.

- Dokąd się wybierasz?

Nie odpowiedziała.

- Słuchaj, rozumiem, że jesteś zdenerwowana, ale to, co się stało, nie zmienia sytuacji. Maritz ukrył się pewnie pod skrzydłami Gardeaux. Powinniśmy trzymać się planu.

Wcisnęła guzik windy.

- Ten plan już nie wyjdzie. Wymagał bodaj elementarnego zaufania.

Napotkał jej wzrok.

- Pewnie sądzisz, że to niemożliwe, ale kiedyś znów mi uwierzysz.

- Nie będę taką idiotką. - Wsiadła do windy i powstrzymała Taneka gestem ręki. - Nie, nie chcę, żebyś za mną szedł.

Przytaknął i zrobił krok w tył.

- W porządku, rozumiem. Potrzebujesz swobody.

To ją zaskoczyło. Nie sądziła, że Tanek tak łatwo się podda. Drzwi windy zatrzęsły się, a ona oparła plecy o ściankę. Czuła się tak wyczerpana i poturbowana jak po bitwie, a musiała jeszcze stawić czoło Kablerowi.

Kiedy wysiadła z windy, Kabler wychodził właśnie ze sklepiku z upominkami.

- Mighty Morphin, Czerwony Szeryf -wyjaśnił, gdy zauważył, że Nell przygląda się torbie, którą trzymał w ręku. - Dla dzieciaka. Trudno znaleźć takie atrakcje w tej mojej głuszy.

- Chyba nie spotkaliśmy się tutaj po to, żeby mi pan opowiadał o Czerwonym Szeryfie?

- Widziałem, jak Tanek jedzie na górę. Co on...

- Podobno chciał mi pan coś pokazać - nalegała.

Ujął ją pod rękę.

- Tego tutaj nie ma. - Wyprowadził ją ze szpitala na parking.

- Chyba jest pani zmęczona. Proszę się odprężyć i całkowicie mi zaufać.

Dlaczego nie? Zresztą Nell czuła, że zaczyna mu wierzyć. Może jednak nie wszyscy kłamią? Wsiadła do samochodu, oparła się o siedzenie i przymknęła oczy.

- Dobrze. Postaram się zrelaksować, ale pan niech lepiej uważa. Nicholas zbyt łatwo pozwolił mi odejść. Jamie Reardon na pewno kręci się w pobliżu. Wynajął szarego taurusa.

- Jedzie pięć aut za nami. To nie ma znaczenia. Może nas śledzić tylko do tego momentu.

A więc ona jest z Kablerem? - Nicholas zaklął pod nosem. - Nie spuszcza ich z oka. Co on, do cholery, wyprawia?

- Dzwonię z lotniska. Właśnie wsiedli do prywatnego samolotu i kołują po pasie. Na razie koniec mojej misji.

- Wiesz, dokąd lecą?

- Lot charterowy CAA. Za jakiś czas może coś ustalę. Ale tak od razu - nie ma mowy.

Nicholas zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że żąda od Jamiego rzeczy niemożliwych, ale chwycił się każdego sposobu, by potwierdzić swoje domysły. Nadal trudno mu było uwierzyć, że Kabler posunie się tak daleko.

- Już jadę. Wyczarteruj samolot i czekaj na mnie z paliwem w baku.

- Chyba wiem, jaką mam opracować trasę.

- Bakersfield w Kalifornii.

Ogromny dom w wiktoriańskim stylu stał daleko od ulicy otoczony przez rozległe trawniki i wysokie dęby. W pogłębiającym się mroku wyglądał wyniośle, pięknie i ponadczasowo.

- Niech pani idzie - powiedział Kabler.

- Nie wierzę - szepnęła Nell. - To nieprawda. Kabler obszedł auto i pomógł jej wysiąść.

- Proszę się przekonać.

Nell weszła wolno schodkami na kolistą werandę i nacisnęła dzwonek.

Poprzez rzeźbione kwiaty na szybie ledwo widziała smukłą postać schodzącą ze schodów.



Uliczna latarnia rozświetliła nagle ganek. Młoda kobieta przysunęła twarz do szyby i otworzyła drzwi.

- Czym mogę służyć?

Nell zamarła. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Na nieskazitelnym czole kobiety pojawiła się zmarszczka.

- Czy pani coś sprzedaje?

- Co się dzieje, Marlo? - Na schodach pojawił się mężczyzna. Pomyślała, że zemdleje. Nie, raczej zbierało się jej na wymioty. Mężczyzna objął czule kobietę.

- Co możemy dla pani zrobić?

- Richard... - Z trudnością wymówiła jego imię. Uśmiech mężczyzny zniknął.

- Pani się myli. Na pewno pomyliła pani domy. Ja nazywam się Noel Tillinger, a to jest moja żona, Marla.

Nell potrząsnęła głową. Chciała w ten sposób jednocześnie rozjaśnić myśli i zadać kłam jego słowom.

- Nie. - Przeniosła zdumione spojrzenie na kobietę. - Dlaczego, Nadine?

Nadine przymrużyła oczy i wbiła wzrok w Nell.

- Kim...

- Daj spokój, Marlo. Ja się nią zajmę.

- Ktoś się nią już chyba zajął - odezwał się nagle Kabler zza pleców Nell. - I to niezbyt troskliwie.

- Kabler? Co ty tu robisz, do diabła? Ten zignorował Richarda całkowicie.

- Dobrze się pani czuje, pani Calder?

Ale Nell nie czuła się dobrze. Pomyślała, że chyba już nic nigdy nie ułoży się dobrze.

- A ja panu nie uwierzyłam.

Richard błyskawicznie przeniósł na nią wzrok.

- Nell?

- Lepiej wejdźmy do środka - zaproponował Kabler. Richard cofnął się, ale nie spuszczał oczu z Nell.

- Mówił mi, że miałaś operację, ale... aż trudno uwierzyć...

Wyglądasz niesamowicie.

Nieomal roześmiała się histerycznie.

Czyżby Richard naprawdę był w stanie myśleć wyłącznie o zmianie w jej aparycji?

Kabler przepchnął ją lekko przez próg.

- Zejdźmy z ganku. Pierwszą zasadą programu ochrony świadków jest nie zwracać na siebie uwagi.

Nadine zmusiła się do uśmiechu.

- Możecie równie dobrze wejść do holu. — Jak zawsze piękna i pewna siebie poprowadziła ich przez foyer do pokoju, który - z ciemnymi meblami, palmami i paprociami - wyglądał, jakby został żywcem wyjęty z powieści Edith Wharton. Modelka najwyraźniej czuła się wspaniale w roli gospodyni.

- Siadaj, Nell.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Kocham Richarda. Przybyłam po prostu na jego wezwanie - odparła. - Nie chciałam, żeby tak się stało. Bardzo cię lubiłam. Nikt nie chciał cię skrzywdzić.

Nell zwilżyła wysuszone wargi.

- Jak długo to trwało?

- Byliśmy kochankami ponad dwa lata.

Dwa lata. Jej mąż sypiał z Nadine, a ona nawet niczego nie podejrzewała. Taki był sprytny. Albo ona taka głupia.

- Dlaczego ją tu przywiozłeś, Kabler? - spytał Richard.  
- Mówiłeś, że nigdy się nie dowie.

- Musiałem coś udowodnić, bo Nell pchała się w kłopoty. Ja natomiast uważałem, że miała już ich dość.

- A co ze mną? - spytał Richard. - Co będzie, jeśli ona komuś wypaple?

- Wątpię, czy pomagałaby ludziom, którzy zabili jej córkę. Ty sądzisz inaczej?

Richard oblał się rumieńcem.

- Pewnie, że nie - mruknął. - Ale niepotrzebnie ją tutaj przywiozłeś.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała Nell ochryłym głosem. - Może mnie pan oświecić, Kabler?

- Atak na Medas był wymierzony w pani męża - powiedział Kabler. - Richard przepuszczał pieniądze Gardeaux przez swój bank. Kiedy wyłoniła się możliwość pracy dla Kavinsky'ego, postanowił się wycofać i zakomunikował szefowi swoją decyzję. Nie postąpił oczywiście najrozsądniej. Nikt nie może wypaść z gry, jeśli Gardeaux sobie tego nie życzy. A on potrzebował Richarda, więc zdecydował, że wystosuje ostrzeżenie.

- Jakie ostrzeżenie?

- Calder miał najpierw stracić żonę, a dopiero potem, gdyby nie zmienił zdania, własne życie.

- Zamierzali mnie zabić, żeby ukarać Richarda?

- W tych kręgach to popularna metoda działania.

- A Jill? - spytała ostro. - Ją również zamierzali zabić?

- Nie wiemy. Ale raczej nie. Maritz zrobił to chyba na własny rachunek. On jest niezrównoważony psychicznie.

*Niezrównoważony psychicznie. Szedł na mnie z nożem. Potwór.*

- Skoro to ja byłem celem, dlaczego strzelano do Richarda?

- Odpowiedź sama przyszła jej do głowy. - Ale przecież nikt do niego nie strzelał, prawda? Sfingowaliście jego śmierć.

Kabler przytaknął.

- Na kilka godzin przed przyjęciem odkryliśmy, że informacje na temat planowanego zamachu na ciebie są prawdziwe. - Urwał.

- Równocześnie dostaliśmy cynk, że Gardeaux chce jednak załatwić Richarda. Widocznie się dowiedział, dlaczego Calder tak łatwo rezygnuje z procentów od prania pieniędzy. Czerpał zyski z powierzonych mu funduszy, a forszę lokował w banku szwajcarskim. Miałem tak mało czasu, że mogłem wysłać na wyspę tylko kilku ludzi.

- Dlaczego w takim razie nie ocaliliście Jill? - spytała gniewnie. - Dlaczego?

Richard uśmiechnął się kpiąco.

- No, powiedz jej. Niech wie, jakie były wasze priorytety.

- Odwrócił się do Nell. - Dlatego tu jesteś. Dlatego on się tak o ciebie martwi. Dostali rozkaz, żeby najpierw skontaktować się

ze mną i zaproponować mi układ. Nowe, bezpieczne życie w zamian za zeznania przeciwko Gardeaux.

- Myślałem, że będziesz w sali balowej - powiedział Kabler.

- Wyznaczyłem nawet człowieka, żeby cię krył.

- Gardeaux był jednak twoim priorytetem numer jeden - powiedział Richard. - Przygotowałeś odpowiedni plan. - Posłałeś na Medas lekarza udającego jednego z gości. Ja miałem symulować atak serca i zostałem zabrany z wyspy. - Richard wykrzywił usta. - Ale twoje kalkulacje wzięły w łeb.

- Wyciągnęliśmy cię stamtąd - odparł Kabler.

- I wysłaliście na to zadupie. Chciałem pojechać do Nowego Jorku.

- Nie byłbyś tam bezpieczny.

- Obiecaliście mi nową twarz. Wtedy nic by mi nie groziło.

- Wszystko w swoim czasie.

- Minęło już prawie pół roku, do diabła!

- Zamknij się, Calder. - Kabler odwrócił głowę do Nell.

- Słyszała pani już dość?

Zbyt wiele. Kłamstwa. Obrzydliwość. Zdrada.

Odwróciła się do wyjścia.

- Nell! - Richard zacisnął dłoń na jej ramieniu. - Wiem, że przeżyłaś szok, ale muszę cię prosić o dyskrecję.

- Puść mnie!

- Ja też kochałem Jill - powiedział cicho. - Nie zrobiłbym nic, co mogłoby skrzywdzić ją lub ciebie.

- Puść mnie.

- Najpierw musisz mi obiecać, że zachowasz milczenie. Wiesz, że mam rację. Po prostu...

- Na miłość boską, pozwól tej biednej kobiecie wyjść - odezwała się Nadine.

- Cicho bądź! - nakazał, nie odwracając wzroku od Nell. - To sprawa między nami. Nie z mojej winy Jill nie żyje. Byłem na dole. To nie ja miałem ją chronić, tylko ty, Nell.

Zesztywniała, patrząc na niego z niedowierzaniem.

Próbował w niej wzbudzić poczucie winy.

Dlaczegoż by nie? - pomyślała gorzko. Przecież nie ustawał w tych wysiłkach przez cały czas trwania ich małżeństwa.

- Ty sukinsynu...

Poczerwieniał, ale wzmocnił uścisk.

- Chciałem iść naprzód. Posuwałem się zbyt wolno. Opiekowałem się dobrze tobą i Jill.

- Zostaw mnie! - syknęła przez zęby.

- Wiesz, że...

Rąbnęła go w żołądek, a kiedy zgiął się z bólu, zadała mu silny cios w kark. Richard upadł, a wtedy rzuciła się na niego w przypływie furii. On to wszystko zaczął, cały ten łańcuch prowadzący do śmierci Jill. Jeden dobrze wymierzony cios i po nim. Uniosła ramię. Jeden cios i...

- Nie! - Kabler próbował oderwać ją od Richarda. - Wcale nie chcesz tego zrobić.

Miotła się jak szalona.

- Oczywiście, że chcę!

- Ale ja ci na to nie pozwolę. Potrzebuję mojego świadka. - Kabler wykrzywił wargi w cynicznym uśmiechu. - Niemniej jednak wcale ci się nie dziwię.

Trzymał ją mocno, ale dzięki Nicholasowi potrafiłaby się z łatwością oswobodzić. Oznaczałoby to jednak wyrządzenie krzywdy Kablerowi, na co on absolutnie nie zasłużył. Przecież usiłował jej pomóc. Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Możesz mnie puścić. Na razie nic mu nie zrobię.

Richard wstał i trzymając się za brzuch powiódł wokół nieprzytomnym wzrokiem.

- Co cię opętało, do diabła?

- Ty! Ty! Ty! Maritz i... - Odwróciła się na pięcie. - Jeśli chcesz go mieć w jednym kawałku, to lepiej mnie stąd zabierz.

- Nie tyle chcę, co muszę. Gdybym mógł wybierać, przejechałbym po nim czołgiem. - Ujął ją pod ramię i próbował odprowadzić na bok.

Strząsnęła jego rękę i popatrzyła na Richarda.

- Powiedz mi jeszcze jedno. Dlaczego się ze mną ożeniłeś?

Uśmiechnął się złośliwie.

- A jak uważasz? Myślisz, że naprawdę zapalałem uczuciem do takiego małego, głupiego zera, które pozwoliło sobie zrobić dzieciaka? No, ale twój ojciec dał mi hojny czek i rekomendacje do Martina Brendena...

Sądził, że znalazł sposób, by ją zranić. Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że przeciął ostatnie kruche więzy, jakie ich łączyły. Była znów wolna.

- Nie musiałeś jej tego mówić - szepnęła Nadine, pomagając mu się podnieść. - Potrafisz być sukinsynem.

Kabler delikatnie wyprowadził Nell z pokoju.

- Przykro mi, że naraziłem panią na takie przeżycia - powiedział, otwierając przed nią drzwi. - Tylko w ten sposób mogłem pani udowodnić, że Tanek kłamie.

- Ono wszystkim wiedział?

- Od Nigela Simpsona.

- Skąd ta pewność?

- Reardon pojechał do Aten i rozmawiał z lekarzem, który stwierdził zgon Caldera. Potem węszył i próbował się dowiedzieć, co z nim zrobiliśmy.

- Nicholas wiedział, że Richard żyje?

- Mówiłem pani, że w tych kręgach wszyscy są do siebie podobni. - Odwrócił na chwilę głowę w stronę domu. - Zrobiła pani na mnie piorunujące wrażenie. To Tanek tak panią wyćwiczył?

Ledwo go słyszała.

- Dlaczego mi nie powiedział?

- Bo miał inne plany w związku z pani osobą. A one wykluczały zajmowanie się takimi drobiazgami jak zmarły mąż.

Sugerował, że Nicholas chce się znów nią posłużyć jak przynętą. Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy Kabler przypadkiem nie ma racji. Nicholas był bardzo sprytny. Może tylko jej wmówił, że to ona panuje nad sytuacją. Wprawdzie nie sądziła, by tak się dała zwieść, ale...

Później. Była zbyt zaszokowana i zła, żeby jasno myśleć.

- Czy mogę liczyć na to, że się pani nie wygada? - spytał Kabler. - Przywożąc panią tutaj, ryzykowałem całą swoją karierę zawodową. Nie chciałbym, żeby Gardeaux otrzymał anonim z informacją o miejscu pobytu Caldera.

- Więc on wie, że Richard nie zginął? Dlaczego pan tak sądzi?

- Bo nie tylko Reardon zadaje pytania, a Simpson nie otrzymał informacji od nas.

Poczuła nowy przyływ gniewu.

- Obiecuję, że go nie wydam. Nie obiecuję natomiast, że sama go nie zabiję.

- Tego się bałem. - Westchnął. - Będę musiał przenieść Caldera...

- Możemy już iść?

Obróciła się i osłupiała na widok Nicholasa, który wyłonił się przed nimi zupełnie jak spod ziemi.

- Chciałaś dowodu, że on wiedział o Calderze. Oto i dowód

- mruknął Kabler. - Spóźniłeś się, Tanek. Ona chyba z tobą nie pójdzie.

- Więc wiedziałeś - szepnęła. - Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak rozpaczliwie pragnęła wierzyć, że Tanek nie kłamał. - Wiedziałeś i nic nie mówiłeś.

- W końcu bym powiedział.

- Kiedy? W przyszłym roku? Za pięć lat?

- Wtedy, kiedy byłoby to bezpieczne. - Odwrócił się do Kablera. - Musiałeś ją tu ściągnąć, prawda? Zdajesz sobie sprawę z tego, że Gardeaux namierza Caldera, a jednak ją przywiozłeś.

- Przecież Nell nie powinna się koło niego kręcić.

- Calder jest bezpieczny. To raczej koło ciebie nie powinna się kręcić.

Nagle jakaś gigantyczna pięść powaliła Nell na ziemię.

Nicholas również upadł, ale zdążył osłonić ją własnym ciałem przed odłamkami.

Co się stało? - pomyślała przerażona. - Skąd się to wzięło?

A potem zerknęła mu przez ramię i zobaczyła dom. Dom bez okien. Bez ganku. Południowa ściana wyleciała w powietrze, a jej szczątki płonęły.

- Co to było? - spytała martwym głosem.
- Bomba. - Kabler klęczał obok, miał poranioną twarz. Z dłońmi zaciśniętymi w pięści patrzył na palące się ruiny.
- Niech to jasny szlag! Dostali go!  
Mówił o Richardzie. W domu był Richard. Nie żył. Nie żyła również Nadine.  
Jeszcze przed chwilą z nimi rozmawiała, a teraz oni nie żyli.  
Czuła, że Nicholas wstaje i pomaga jej się podnieść.
- Chodź. Musimy stąd zniknąć.  
Kabler podnosił się powoli i z rozpaczą w oczach patrzył na wysadzony w powietrze budynek.
- Niech ich diabli wezmą. Niech ich wszyscy diabli. Nicholas chwycił Nell za ramię i pociągnął w stronę auta.
- A ty dokąd się wybierasz? - spytał Kabler.
- Oby jak najdalej stąd. Chcesz, żeby ją też zabili?
  
- Może to nie był Gardeaux? Zjawiliś się akurat w odpowiednim momencie... Może to ty?
- Chciałbyś, żeby tak było. Wtedy nie ponosiłbyś żadnej odpowiedzialności za to, że sam ich tutaj sprowadziłeś. - Popatrzył Kablerowi w oczy. - Ale ty wcale nie sądzisz, że to byłem ja. Wiesz, że zrobiłeś błąd, przywożąc Nell do Richarda. Ludzie Gardeaux obserwowali ją prawdopodobnie od chwili, gdy pokazała się u Liebera. Przyjechali za tobą aż tutaj i zainstalowali bombę, podczas gdy ty spokojnie rozmawiałeś z Calderem.
- Niemożliwe. Wszystkie plany lotów są tajne.
- Ale można je odtajnić. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.  
Kabler otworzył usta, żeby zaprotestować, po czym natychmiast je zamknął.
- Wiem - powiedział.  
Wyglądał staro, żałośnie. Przegrał.
- Czy pozwolisz mi teraz opuścić to pobojewisko, zanim ją również zabiją?
- Kabler milczał chwilę, a potem skinął szybko głową.
- Zmywajcie się stąd. - Popatrzył na Nell. - Muszę oszacować straty, ale skontaktuję się z panią później. Jeśli okaże się pani



bystra, przypomni pani sobie na pewno, co się tutaj stało, i nie pozwoli się wykorzystać. - Zerknął na płonący dom. - Albo będzie pani tak martwa jak Calder.

- Utrzymałem ją przy życiu przez pięć miesięcy. - Nicholas trochę ciągnął, a trochę pchał Nell do auta.

Z sąsiednich domów wyglądali ludzie, gdzieś dalej wyła syrena.

Tanek otworzył drzwi od strony pasażera.

- Wsiadaj.

Zawahała się i zerknęła na Kablera.

Policjant nie patrzył już na dom. Pochylał się nad otwartymi drzwiczkami swojego auta i rozmawiał pospiesznie przez telefon.

Oszacowanie strat? Co można było szacować w takim piekle? Richard i Nadine już nie żyli.

Wsiadła do samochodu, a Nicholas zatrzasnął za nią drzwi.

Dobrze się czujesz? - spytał cicho Nicholas, manewrując autem po eleganckiej ulicy. Nie odpowiedziała od razu.

- Kabler narobił sobie kłopotów?
- Niewykluczone. Popęłnił ogromny błąd. Ale on ma naprawdę ogromne wpływy w agencji. Chyba go nie wyrzucą.
- To nie jego wina. Skąd mógł wiedzieć, że będą nas śledzić.
- Nie chce mi się gadać o Kablerze. Ten facet obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Jak ty się czujesz?
- Dobrze. - Ścisnęła mocno pasek torebki. Musiała się czegoś trzymać. Czegoś, kogoś.... - Gdzie jest Jamie? Przyjechał z tobą?
- Czeka na lotnisku. Tam właśnie jedziemy.
- Nie wsiądę z tobą do samolotu.
- Chryste! Sądzisz, że zamierzam cię porwać?
- Nie wiem, co zrobisz.
- Wywiozę cię po prostu z tego miasta.
- Dlaczego mam wierzyć, że cokolwiek z tego, co mówisz, jest prawdą?

Zmełł przekleństwo, przyhamował przy krawężniku pod latarnią i wyłączył silnik.

- Dobrze. Porozmawiajmy.

- Nie chcę rozmawiać. - Boże! Czuła się tak, jakby miała się rozpaść na drobne kawałki.

- Spójrz na mnie.

Wbiła wzrok w przestrzeń.

Ujął Nell pod brodę i obrócił do siebie jej głowę.

- W porządku. Nie będę cię do niczego zmuszał.

- I tak by ci się to nie udało.

- Istotnie, mógłbym się spodziewać kłopotów. Za dobrze cię wytrenowałem. - Dotknął palcem jej policzka. - Ale nie potrafiłem cię nauczyć, jak radzić sobie ze sobą w takich sytuacjach. Musisz po prostu głęboko oddychać i czekać, aż minie szok.

- Dlaczego miałabym być zaszokowana? Bo widziałam, jak dwoje ludzi wyleciało w powietrze? Sama bym chętnie podłożyła im bombę. Przecież to Richard wszystko zaczął.

- Jaka silna. I odporna.

- Zamknij się. - Czuła, że zaczyna drżeć. - Włącz silnik. Mówiłam ci przecież, że nie chcę rozmawiać.

Spróbował wziąć ją w ramiona. Zesztywniała.

- Puść. I nie dotykaj mnie.

- Najpierw przestań dygotać.

Oparła się o siedzenie.

- Dobrze. Straszny ze mnie kłamca, więc ty mi nie wierzysz. W takim razie spróbuj mnie wykorzystać. To powinno załatwić sprawę.

- Zabierz ręce. Posłuchał.

- W porządku. Mów. To czasem pomaga.

- Nie chcę rozmawiać.

- Opowiedz mi o Calderze. Potrząsnęła głową.

- Nie sądziłem, że śmierć tego drania tak cię załamie.

- Nienawidziłam go - odparła ze złością. - Jill żyłaby do dziś, gdyby ten łajdak nie zadawał się z Gardeaux. Zabiłabym Richarda, gdyby Kabler mnie nie powstrzymał. Chciałam, żeby umarł.

- Jej również życzyłaś śmierci?
- Nadine? Nie. Nie wiem. Ona chyba nie zamierzała nikogo skrzywdzić. Nie jestem pewna.
- W każdym razie przestałaś nad sobą panować.
- Tak.
- I to cię przeraża, bo czujesz się bezradna. Trudno. Musisz być przygotowana na takie ryzyko. Nie uda ci się zapanować nad wszystkimi emocjami. Czasem najlepiej po prostu wybuchnąć.
- Ruszaj.
- Dokąd jedziemy?
- Odwieszysz mnie na lotnisko.
- Pozwolisz się zabrać na rancho?
- Chyba żartujesz.
- Wcale nie. Co zamierzasz zrobić?
- Nie zmieniałam planów.
- Tyle że teraz chcesz je realizować bez mojej pomocy.
- Nie mogę ci ufać.
- Ale mnie potrzebujesz. Uczucia zaciemniają ci obraz sytuacji.
- Zerknął na nią spod oka. - No dobrze. Skłamałem. Właściwie to było niedopowiedzenie, ale wszystko jedno. Skłamałem. Wierzysz Kablerowi, że chcę cię wykorzystać w charakterze przynęty?
- Ty jesteś zdolny do wszystkiego.
- Nadal nie odpowiedziałas na moje pytanie.
- Nie wierzę.
- Zrobiłem coś, co zagroziło twojemu bezpieczeństwu?
- Nie.
- Więc czym sobie zasłużyłem na twój gniew?
- Ograbiłeś mnie! Wyłączyłeś z życia - powiedziała gniewnie.
- A ono należy do mnie. Miałam prawo poznać prawdę o Richardzie. Miałam prawo pojechać do Tani, kiedy była w niebezpieczeństwie.
- Tak, ograbiłem cię z tych wszystkich praw i gdybym mógł, zrobiłbym to na pewno jeszcze raz.
- I sądzisz, że będę się zachowywać jak gdyby nigdy nic?
- Nie. Chyba rozumiesz, że dla twojego bezpieczeństwa jestem

gotów kłamać i oszukiwać. I sędzę, że nauczysz się przed tym bronić. Myślę również, że wykorzystasz mnie tak, jak zamierzałaś to zrobić na początku. Dlaczego nie miałabyś tego zrobić? Pomyśl spokojnie i logicznie. Czyżbym się mylił?

Najchętniej rzuciłaby się na niego z pięściami. Nie zamierzała rozumować logicznie. Czuła się oszukana, zdradzona i samotna. A nade wszystko pragnęła, żeby on z tego powodu cierpiał.

- Znam ten teren. Umiem się po nim poruszać. Śmierć Caldera naprawdę niczego cię nie nauczyła?

Na samo wspomnienie tego piekła aż się wzdrygnęła. Eksplozja przyszła znikąd. Nigdy by nie przypuszczała... A Nicholas wiedział od razu, co się stało. W porządku. Należało odłożyć na bok gniew i ból. Tanek był dla niej bezcenny. Wszystko inne mogło się zmienić, ale akurat to - nie.

- Nie wrócę na rancho.

- Wiem. Już mówiłaś.

- I nie zamierzam czekać do końca roku. Natychmiast wyjeżdżam do Paryża.

- Skoro tak sobie życzysz.

Popatrzyła na niego podejrzliwie. Ulegał stanowczo zbyt łatwo.

- Czy masz coś przeciwko temu, żeby Jamie nam towarzyszył? On może pomóc.

- Niech jedzie - powiedziała wolno.

- Dobrze. W takim razie oprzyj się wygodnie i zostaw wszystko mnie.

- To ostatnia rzecz, jaką zamierzam zrobić. - Napotkała jego wzrok. - Wielu błędów już nie popełnię. Nie sędź, że wszystko będzie tak samo.

- Nie musisz mi tego mówić. - Uruchomił silnik. - Podobnie jak ty będę się musiał jakoś przyzwycząić do nowej sytuacji.

Gdzie się zatrzymamy? - zapytała Nell, wsiadając do ciemnoniebieskiego volkswagena, którego Jamie wynajął na lotnisku de Gaulle'a.

- Mam mieszkanie na przedmieściach Paryża. Nic szczególnego, ale gwarantuję dyskrecję. Zostaniemy tam na noc.

- O ile w Paryżu w ogóle można marzyć o dyskrecji. - Jamie usiadł z tyłu. - Nie wolno ci liczyć na to, że Gardeaux nie wie o tej garsonierze.

- Na nic nie liczę. - Nicholas wyprowadził samochód z parkingu. - Dlatego musisz jutro znaleźć jakieś lokum pod miastem. Ludzie Gardeaux nie mogą jej zobaczyć. Oni wiedzą wprawdzie, że Nell żyje, ale nie mają pojęcia, jak wygląda. A to może działać na naszą korzyść.

Popatrzyła na niego pytająco.

- Na wypadek, gdybym cię posłał w paszczę lwa. A może postąpię tak, jak przewidywał Kabler, i posłużę się tobą jak przynętą?

- Nie zrobisz tego.

- Po co miałbym zawracać sobie tym głowę, skoro ty zrobisz wszystko za mnie? - Wzruszył ramionami. - Niestety, wbrew temu, co twierdzi Kabler, trochę straciłaś na wartości. Nie będziesz już nadrzędnym celem Gardeaux.

- Dlaczego?

- Bo najpierw chcieli cię zabić wyłącznie po to> żeby ukarać Caldera. Potem Maritz postanowił wydusić z ciebie informacje na temat miejsca jego pobytu.

- Ale ty się przekonałeś, że ja naprawdę nic na ten temat nie wiedziałam, prawda? — spytała gorzko.

- Oni jednak sądzili inaczej. Żona powinna wiedzieć, gdzie może być mąż. Logiczne, prawda?

- Sądzisz, że Nell jest bezpieczna? - spytał Jamie.

- Chyba tak. Nie znajduje się w każdym razie na liście Gardeaux. - Popatrzył na nią z ukosa. - Co nie znaczy, że zniknęła z listy Maritza. On łatwo ulega takim obsesjom.

*To naprawdę potwór.*

- Wiem. - Zapanowała nad strachem, jaki w niej wzbudziła myśl o Maritzu. - Możemy to jednak wykorzystać na naszą korzyść.

- Z drugiej strony niewykluczone, że on uzna całą sprawę za nieaktualną i zostawi cię w spokoju.

- Właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, żebym już dzisiaj zaczął szukać jakiegoś domu - powiedział Jamie. - Kiedy dotrzemy do mieszkania, zostawię was na miejscu, a sam zobaczę, co się da zrobić.

Nicholas otworzył drzwi przed Nell i zrobił jej przejście.

- Bardzo tu ładnie. - Rozejrzała się po salonie. Był wygodny, elegancki, przestronny. Tego ostatniego mogła się spodziewać. Nicholas lubił takie wnętrza.

- Który pokój jest dla mnie? Nicholas wskazał jej drzwi na lewo.

- W szafie wisi szlafrok. Jutro kupimy resztę.

- Dobrze. - Ruszyła do wskazanych przez niego drzwi.

- Przyjdź do kuchni, jak skończysz się myć. Gospodyni zostawiła w lodówce kilka podstawowych rzeczy. Zrobię omlet. W samolocie nic nie jadłaś.

- Nie jestem... - Urwała. - Właśnie, że była głodna, i nie zamierzała cierpieć tylko po to, żeby uniknąć towarzystwa Taneka. - Dziękuję.

- No tak, przecież musisz mieć siłę - mruknął sarkastycznie Nicholas. - W końcu zabawa się jeszcze nie zaczęła.

Nie zwracając uwagi na ironię w jego głosie, zaniósła torbę do sypialni.

Na razie brakowało jej sił. Wysiłki, by zapanować nad emocjami, zbierały swoje żniwo.

Poszła do łazienki i umyła twarz. Jej wygląd nie odzwierciedlał fatalnego samopoczucia. Z lustra patrzyła na nią wprawdzie kobieta blada i trochę wymizerowana, ale tak samo piękna jak wówczas, kiedy stworzył ją Joel.

Joel. Poczowała ukłucie bólu. Jak surowo rozmawiał z nią w szpitalu... Nie mogła go oczywiście o to winić. Myślał przecież wyłącznie o Tani, która o mało przez nią nie zginęła. Ale jeśli

Nicholas miał rację i Nell nie stanowiła już celu, Tani również nie groziło niebezpieczeństwo. Należało przynajmniej mieć taką nadzieję.

Wytarłszy twarz, poszła szukać kuchni.

- Poczęstuj się kawą. - Nicholas wyjmował talerze z kredensu.
- Za minutę będzie jedzenie.

Nalała kawę z maszynki stojącej na bufecie i zaniósła dwie filiżanki do wnęki kuchennej.

Nicholas postawił na stole omlety i usiadł naprzeciwko Nell.

- *Bon appetit.*

Wzięła do ręki widelec. Omlet z grzybami i serem okazał się fantastyczny.

- Dobrze. Nauczyłeś się gotować w tej kuchni w Hongkongu?
- Tyle, ile mogłem. Omlety są łatwe do przyrządzenia. - Zaczął jeść. - Co zamierzasz?
- Zabić Maritza.
- Musisz to przecież zaplanować, do cholery.
- Wiem. Zaplanuję. Jeszcze nie miałam czasu pomyśleć.
- A może najpierw wysłuchasz mojej koncepcji?
  
- Nie, jeśli zakłada czekanie. Zacisnął dłoń na widelcu.
- Zostało niewiele ponad miesiąc. Nie odpowiedziała.

- Słuchaj. Gardeaux to bardzo ostrożny człowiek, ale ma słabość do broni. Jak sądzisz, co by zrobił, żeby zdobyć miecz Karola Wielkiego?

- Miecz Karola Wielkiego? - Pamiętała jak przez mgłę, że widziała ten miecz w muzeum. - Chyba nie zamierzasz go ukraść?

Potrząsnął głową.

- Nie, ale powiem Gardeaux, że go ukradłem, a potem zastąpię falsyfikatem.

- Przecież on ci nie uwierzy.

- Dlaczego? - Uśmiechnął się. - Wie, że już robiłem takie rzeczy.

Otworzyła szeroko oczy.



- Naprawdę?
- Miecza nie mam jeszcze na koncie, ale zasady są te same. Od zeszłego kwietnia rzemieślnik z Toledo biedzi się nad duplikatem. Wyślę Gardeaux zdjęcia i zaproponuję, aby jeden z jego ekspertów rzucił na nie okiem. Bez testów chemicznych nikt nie zauważy różnicy. Jeśli zgodzę się pokazać mu miecz pod warunkiem spotkania w cztery oczy, taki fanatyk białej broni na pewno nie oprze się pokusie.
- Czyżby nie wiedział, że chcesz go zabić?
- Nie na jego własnym terytorium pełnym gości i strażników.
- W takim razie zginiesz.
- Gardeaux uczyni wszystko, żeby tak się nie stało. Jego współpracownicy byliby niepokojeni.
- Zrozumiała, że mówi o Sandequezie. Polisa ubezpieczeniowa.
- To mimo wszystko bardzo niebezpieczne.
- Ale możliwe do przeprowadzenia. O ile zdecydujesz się poczekać...
- Co z Maritzem?
- Zawahał się.
- Może go nie być w Bellevigne. Gardeaux zapewne sądzi, że po jego ataku na Tanie to byłoby jednak zbyt ryzykowne.
- W takim razie dokąd go wysłał?
- Jamie pogada z kilkoma osobami i może się czegoś dowie.
- Sądziłam, że Maritz tam będzie.
- Ja wcale nie wykluczam takiej możliwości. Po prostu nie wiem. - Dopił kawę. - To ty mi powiedziałaś, że jedziemy do Paryża.
- Nie zależy mi na Gardeaux bez Maritza.
- W takim razie spróbujemy go znaleźć.
- Nie pozwolę się zwodzić. Chcę go dostać teraz.
- Zaufaj mojej inteligencji. Naprawdę sądzisz, że usiłowałbym cię nabierać? - Rozsiadł się wygodniej. - Więc postanowiłaś nie czekać?
- A jakie są powody, żeby postąpić inaczej?
- Tak byłoby bezpieczniej.

- Przecież uważasz, że Gardeaux nie pozwoli cię zabić.
- Chyba że w obronie własnej. A poza tym tarcza Sandequeza nie chroni ciebie.

Odepchnęła stołek i wstała.

- Już i tak za długo to trwa. Znajdź mi Maritza albo sama go poszukam.

Poszła prosto do swego pokoju. Nie miała już siły na dyskusje z Tanekiem. Dostrzegała słusność niektórych jego argumentów, ale cały ten koszmar musiał się wreszcie skończyć. Wszystko wokół niej zmieniało się jak w kalejdoskopie. Czarne okazało się białym. Białe czarnym. Nic już nie wyglądało tak samo. Sprawy posunęły się stanowczo za daleko.

Należało położyć temu kres.

Wzięła długi, gorący prysznic i zatelefonowała do szpitala, gdzie uzyskała informację, że Tanie wypisano rano.

Zadzwoiła więc do niej do domu.

- Jak się czujesz? Jak twoja kostka? - spytała, kiedy tylko dziewczyna podniosła słuchawkę.

- Daje mi się nieźle we znaki. Chodzę tylko o lasce. Skąd dzwonicz?

- Z Paryża.

Na drugim końcu linii zapadła cisza.

- Maritz? - spytała w końcu Tania.

- Jeśli mi się uda go znaleźć. Nicholas twierdzi, że on się chyba nie pojawi w Bellevigne. Przez ten napad na ciebie najprawdopodobniej stał się *persona non grata*. Chyba będę musiała znaleźć jakiś sposób, żeby to Maritz zaczął mnie szukać. - Skrzywiła się. - Co pewnie będzie trudne. Nicholas twierdzi, że jemu już chyba nie zależy na mojej śmierci.

- Dzięki Bogu. - Urwała. - Dlaczego? — spytała po chwili milczenia.

Nell zacisnęła rękę na słuchawce. Przed oczyma znów stanął jej obraz płonącego domu w wiktoriańskim stylu.

- Powiem ci kiedy indziej. Jutro się przenosimy, ale potem zadzwonię, żeby spytać, jak się czujesz.

- Jutro nie - odparła Tania lekko schrypniętym głosem. - Jedziemy na pogrzeb Phila do Indiany i wrócimy dopiero następnego dnia wieczorem.

- Dasz radę? Phil na pewno by ci wybaczył, gdybyś się tam nie pojawiła.

- On uratował mi życie. Oczywiście, że dam radę.

Głupie pytanie. Przecież Tania doczołgałaby się do Indiany na kolanach, gdyby było trzeba - pomyślała Nell.

- Trzymaj się. I pozdrów Joela.

- Nell - powiedziała Tania z wahaniem. - Nie miej do niego pretensji. On jakoś sobie z tym poradzi. Naskakuje na wszystkich, bo sam siebie wini.

- Ależ ja nie czuję do niego urazy. Zresztą całkowicie się z nim zgadzam. To ja powinnam była ucierpieć, nie ty. Wyjechaliśmy tak szybko, że nie zdążyłam wysłać kwiatów na pogrzeb. Mogę na ciebie liczyć?

- Zajmę się tym zaraz po naszej rozmowie.

- Czyli już teraz, bo kończymy. Pozwolę ci odpocząć. Do widzenia, Taniu.

Tania położyła słuchawkę na widełki i odwróciła się do Joela.

- Dzwoniła z Paryża.

- Świetnie. Może powinienem jej wysłać bilet do Timbuktu?

- Nie bądź niesprawiedliwy. Nell nic tu nie zawiniła.

- I wcale nie chcę być sprawiedliwy. Jestem wściekły jak diabli.

- Na siebie. Za to, że nie włączyłeś alarmu. Nie mam do ciebie żalu.

- A powinnaś. Postąpiłem zupełnie nieodpowiedzialnie.

- Przecież nie wiedziałeś o zagrożeniu. Ja również nie wiedziałam. To było tylko przeczucie.

- Którym nie podzieliłaś się ze mną.

- Jesteś bardzo zajęty. Miałam marnować twój czas na coś, co mogło okazać się zwykłym urojeniem?

- Tak. - Potrząsnął głową. - Do jasnej cholery! Niewiele brakowało, a już byś nie żyła!

- I dlatego od tamtej pory krążysz nade mną jak jastrząb? Odwołałeś wszystkich pacjentów, a ja nie mogę nawet iść bez ciebie do łazienki. - Uśmiechnęła się ponuro. - To bardzo krępujące.

- Jestem przecież lekarzem. - Wstał i przeszedł przez pokój.

- I jako twój lekarz mówię ci, że najwyższy czas przestać forsować tę nogę. Pora spać. - Wziął Tanie na rękę, po czym ruszył w stronę schodów. - Bez dyskusji.

- Nie zamierzam z tobą dyskutować. Jestem zmęczona.

- Ukryła twarz na jego ramieniu. - Ciężar na sercu wpływa na stan ciała. Ten biedny chłopiec był...

- Nie myśl o tym.

- Przecież nie potrafię myśleć o niczym innym. Tyle zła... Położył ją na łóżku i okrył kołdrą.

- Ono już nigdy cię nie dotknie - powiedział gniewnie. Na ustach Tani pojawił się uśmiech.

- Utrzymasz je z dala, odwołując pacjentów i odprowadzając mnie do łazienki?

Usiadł na łóżku i wziął ją za rękę.

- Wiem, że daleko mi do Taneka - zaczął z trudem. - Jestem raczej Paulem Henreidem, a nie Humphreyem Bogartem, ale przysięgam, że już do końca życia będziesz bezpieczna.

Zamarła.

- Rozumiem, że powiedziałaś coś bardzo ważnego. Ale robisz to niezręcznie. Czyżbyś już nie zamierzała wyłączyć mnie ze swego życia?

- Powinienem. Wiem, że postępuję jak ostatni łotr, ale...

- Ciii... - Położyła mu palce na ustach. - Nie psuj tego. Wykrztuś wreszcie to, co pragnę usłyszeć.

- Kocham cię - powiedział.

- Och, to wiem. Powiedz mi resztę.

- Chcę spędzić z tobą życie. Nie opuszczaj mnie.

- Dobrze. I?

- Wyjdiesz za mnie?  
Uśmiechnęła się promiennie.  
- Z przyjemnością. - Przyciągnęła go do siebie. - Ale ty też będziesz zadowolony. Na pewno cię uszczęśliwię. Obiecuję.  
- Już ci się to udaje. - Przytulił ją mocniej. - Nie wiem, dlaczego mnie chcesz, ale jestem do twojej wyłącznej dyspozycji.  
Pocałowała go gorąco.  
- Bądź zawsze taki skromny. To na pewno nie zaszkodzi.  
- Przestała się uśmiechać. - Wybrałeś fatalny moment na oświadczenie. Tak usilnie próbowałam zaciągnąć cię do łóżka, a teraz...  
- Wiem, że jesteś chora. Nigdy bym nie...  
- Nie chodzi o nogę, tylko o nastrój. Opłakujemy przyjaciela.  
Przytaknął i pocałował ją w policzek.  
- Lepiej zajmę się kolacją. Potrząsnęła głową.  
- Wykluczone. To dla nas wyjątkowy wieczór. Zostaniesz tutaj, przytulisz mnie i będziemy sobie opowiadać, o czym myślimy.  
- Pociągnęła Joela na łóżko. - Widzisz, tak też jest dobrze.  
- Tak - odparł drżącym głosem.  
- A kiedy już zabraknie nam słów, włączymy telewizor.  
- Telewizor? Chcesz włączyć telewizor?  
- I wideo. - Pocałowała go w szyję. - Obejrzymy „Casablance”.  
Muszę się przyjrzeć temu Paulowi Henreidowi.

Wynoś się stąd, Maritz - powiedział Gardeuax. - Od czasu Medas partolisz każdą robotę. - Podeszedł do barku i nalał sobie kieliszek wina. - A w dodatku przychodzisz tutaj, mimo że kategorycznie ci tego zabroniłem.

Na policzki Maritza wypęły szkarłatne rumieńce.  
- Musiałem się z panem zobaczyć. Nie odpowiadał pan na moje telefony.  
- I to ci powinno było dać wiele do myślenia.  
- Potrzebuję ochrony. Szuka mnie policja. Tania Vlados mnie widziała. Wie, kim jestem.

- Bo spartaczyłeś robotę. Nie korzystam z usług partaczy.
  - Nadal mogę się panu przydać. Gdyby nie kazał mi pan wyjechać, załatwiłbym Caldera. Nie musiał pan dzwonić po nikogo z zewnątrz.
  - Musiałem. Musiałem mieć pewność. Już ci nie mogę ufać.
  - Wróć i załatwię Tanie Vlados. Wtedy nie będzie świadka.
  - Nie zbliżaj się do niej. Nie mogę tak ryzykować. Złapią cię, a wtedy... Zdecydowanie za dużo wiesz. Zostań we Francji i ukryj się dobrze.
  - A pan mnie wezwie, jak już będzie bezpiecznie?
  - Niewykluczone. Będziemy w kontakcie.
- Kłamię - pomyślał Maritz. Czy ten sukinsyn naprawdę uważa go za idiotę? On znajdzie sobie melinę, w której pewnego dnia zjawi się ktoś, kto zadba, żeby Maritza już nigdy nie aresztowano.
- Będę potrzebował pieniędzy. Gardeux popatrzył na niego wymownie.
  - Nie żebrzę. Jest mi pan coś winien.
  - Płacę za sukcesy, a nie porażki.
- Pracuję dla pana od sześciu lat. Ta robota nie wypaliła z powodu pecha.
  - Nie mam już dla ciebie zajęcia.
  - A ta cała Calder?
  - Ona już się nie liczy.
- Szukał gorączkowo w myślach jakiegoś innego obiektu.
- Tanek. Wiem od Rivila, że jego nazwisko jest na liście pasażerów samolotu, który przyleciał dzisiaj do Paryża. Zajmę się Tanekiem.
  - Mówiłem ci już, że jego nie wolno tknąć.
  - Przecież pan go nienawidzi. To nie ma sensu. Proszę pozwolić mi się nim zająć.
  - Ma sens. Jak dotąd, Tanek jest pod ochroną. Ale to się może zmienić.
  - Zaczekam. Niech mi pan tylko zleci tę robotę.
  - Pomyślę. - Gardeaux otworzył drzwi. - Zostaw Braceau adres i zaczekaj na telefon.

Albo gościa z garrotą - pomyślał cierpko Maritz. Podszedł do drzwi.

- Dobrze.

Gardeaux miał go dość, więc właściwie już nie żył. Jasne jak słońce. Ale nie zamierzał po prostu się położyć i beczynn timer czekać. Mógł nadal wyjść z tej kabały obronną ręką, o ile tylko udałoby mu się wrócić do łask.

Zamierzał się ukryć, ale nie dzwonić do Braceau.

Cały swój czas powinien poświęcić na znalezienie sposobu, by ocalić głowę.

Rozmowa na linii prywatnej. - Henri Braceau z uśmiechem podał Gardeaux telefon. - Medellin.

- Zrobione?

- Dziesięć minut temu.

- Wszystko w porządku?

- Poszło gładko jak po maśle. Gardeaux położył słuchawkę. Braceau popatrzył na niego pytająco.

- Zadzwoń do Rivila. Powiedz mu, żeby zajął się sprawą, którą z nim omawiałem. I to natychmiast.

To był piękny pogrzeb. - Joel otworzył drzwi i zapalił światła w holu. - Polubiłem rodziców Phila.

- Żaden pogrzeb nie może być piękny. - Tania weszła szybko do domu, odwracając oczy od trawnika pokrytego śniegiem. Żółte taśmy wprawdzie zniknęły, ale wspomnienie krwi na śniegu pozostało żywe w jej pamięci.

- Wiesz, co miałem na myśli - powiedział Joel.

- Przykro mi. Nie zamierzałam być niemiła. - Pokuśtykała do okna. - To był trudny dzień.

- Dla mnie również. Usiądź i odpocznij. Zaparzę kawę. Dobrze nam obojgu zrobi.

Nie usiadła. Nadal patrzyła na trawnik - tam uciekła i tam zginął Phil.

- Proszę. - Joel wręczył jej szklanę. Widocznie wyglądała przez okno dłużej, niż sądziła. Wzięła filiżankę.

- Jesteś strasznie blada - powiedział Joel. - Nie powinnaś była jechać. - Zbyt mocno to przeżywasz.

- On nadal przebywa na wolności - szepnęła.

- Ale nic ci nie robi. Chyba w ogóle wyjechał z kraju.

- Nell chce go sprowokować.

- Powinna zostawić tę sprawę policji.

- Policja nie powstrzyma takiego człowieka. On nadal będzie zabijał.

- Maritz to nie jakiś demon o nadludzkich siłach, tylko człowiek, Taniu.

A jej się wydawało, że demon. Joel nie mógł tego zrozumieć. Jedynie Nell wiedziała, o co chodzi. Sama stanęła twarzą w twarz z tym demonem i znała jego siłę.

Odwróciła się do okna.

- Nienawidzę go. Zacisnął rękę na jej ramieniu.

- Phil był dobrym człowiekiem.

- Ale ja go nienawidzę nie tylko dlatego, że zabił Phila. Przez niego zaczęłam się bać. Do niedawna sądziłam, że wiem, co to strach. W Sarajewie czułam się jednak inaczej. - Zadrżała. - A teraz nadal się boję.

- Chcesz stąd wyjechać? Sprzedamy wszystko i wyjedziemy.

- Mam się ukrywać do końca życia? Jemu to by się na pewno bardzo podobało. Odniósłby kolejne zwycięstwo.

- Więc, co zamierzasz?

Doznała takiego wrażenia, jakby do pokoju wkradł się nagle zimowy chłód. Skrzyżowała ramiona na piersiach, by obronić się przed zimnem.

- Nie wiem. - Chwilę milczała. - Nell nie jest pewna, czy potrafi zmusić Maritza do ataku.

Zesztywniał.



- Nie podoba mi się ta cała rozmowa.
- Ze mnie nie zrezygnuje.
- Nie - odparł martwym głosem Lieber.
- On traktował Nell jak kolejne zadanie do wykonania, ale kiedy zaczął łączyć za mną, naprawdę „zaangażował się” w pracę. Powinieneś być zobaczyć jego twarz, kiedy zrozumiał, że nie zdąży mnie zabić przed pojawieniem się straży. - Uśmiechnęła się gorzko.
- Nie, ze mnie na pewno by nie zrezygnował.
- Joel odwrócił ją szybko twarzą do siebie.
- Powiedziałem nie.
- Nie lubię się bać. Dopóki będę się go bała, nigdy nie zaznam spokoju.
- Słyszałaś? Nigdzie nie pojedziesz, Nie spuszczę cię z oczu.
- A jeśli on zniknie? Już do końca życia będę się musiała oglądać przez ramię. - Popatrzyła twardo na Liebera. - On nie wygra, Joel. Nie pozwolę mu wygrać.
- Na miłość boską! To nie zabawa.
- Dla niego to była zabawa. Świetna zabawa.
- Przyciągnął ją mocno do siebie.
- Zamknij się. Nigdzie cię nie puszczę. Słyszysz? Nie pojedziesz!

Oparła mu głowę na piersiach.

*Masz rację, Joel. Zatrzymaj mnie przy sobie, z dala od zimna. Daj mi poczucie bezpieczeństwa. Nie pozwól mi wyjechać.*

Reardon znalazł dla nich dom na wybrzeżu, położony na wysokiej skale, z widokiem na Atlantyk i kamienistą plażę.

- Czy to ci przeszkadza? - spytał Nicholas. - Jamie widać nie pomyślał.

Reardon stłumił przekleństwo.

- Nie, wcale nie.

Mówiła prawdę. Ta skała nie robiła na niej wrażenia. Czuła się tu zupełnie inaczej niż wtedy, na Medas. Być może minęło po

prostu tyle czasu, że ból się stępił. Odwróciła się i weszła do willi. Czyste, przytulne wnętrze urządzone zupełnie bezpretensjonalnie.

Jamie poszedł za nią.

- Co za idiota ze mnie! Wybaczysz mi?

- Nie ma tu nic do wybaczenia. Bardzo miły dom.

- Cóż, na razie będziesz musiała sama rozkoszować się morskim powietrzem. Nick i ja jedziemy do Paryża.

Odwróciła się na pięcie.

- Dlaczego?

- Zobaczyć się z Pardeau. Nicholas chce sprawdzić, czy uda się nam coś zdziałać na tym terytorium.

Zbyt wiele ostrożności nigdy nie zawadzi - powiedział jej kiedyś Nicholas.

- A co z Maritzem?

- Rozejrzemy się - odparł Nick od drzwi. - Będziesz tu bezpieczna. Nikt cię nie rozpozna, a Jamie sprawdzał to lokum setki razy. Zapisalem numer telefonu do samochodu w notesie.

- Dlaczego nie mogę pojechać z wami?

- Z tego samego powodu, dla którego się tutaj przeprowadziliśmy. Nie chcę, żeby cię rozpoznano. Jak tylko zaczniemy węszyć, Gardeaux na pewno się zorientuje, że jestem w Paryżu. Jeśli ktoś cię zobaczy w moim towarzystwie, zacznie wyciągać wnioski i stracimy przewagę. Rozumiesz?

- Tak - odparła wolno. - Kiedy wracasz?

- Za dzień lub dwa. Dajesz słowo, że się stąd nie ruszysz ani na krok?

- A po co miałabym wyjeżdżać, skoro i tak nie wiem, gdzie szukać Maritza?

- Obiecuj.

- Zostanę tutaj. Zadowolony jesteś?

Uśmiechnął się krzywo.

- Oczywiście, że nie, do diabła. Już zapomniałem, co to znaczy być zadowolonym. - Odwrócił się. - Idziemy, Jamie.

- Bądź ostrożny - powiedziała impulsywnie.

Nicholas uniósł brew.

- Troskliwość? Czyżby to znaczyło, że mi wybaczasz?
- Nie, ale nie chcę, żeby coś ci się stało.
- W takim razie muszę być wdzięczny losowi choć za to.

Popatrzyła za nim od drzwi. Volkswagen potoczył się krętą dwupasmową drogą i bardzo szybko zniknął z pola widzenia.

Została sama.

Wmawiała sobie, że samotność jej służy. Potrzebowała czasu na przemyślenia. W ciągu tych kilku miesięcy tak naprawdę zawsze mogła liczyć na jego towarzystwo. Nicholas trwał przy niej, trenowali, rozmawiali, kochali się...

Nie, nie kochali się. Uprawiali seks. Nigdy nawet nie wspominali o miłości.

Chociaż czasem ich związek do złudzenia przypominał miłość.

Dlatego właśnie powinna się cieszyć, że już nic ich nie łączy. Różnili się przecież od siebie jak noc i dzień. Tanek nie krył, czego od niej oczekuje. I nie było to nic stałego. Z takim człowiekiem jak Nicholas nie należało wiązać przyszłości.

Przyszłości?

Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że nie myśli wyłącznie o Maritzu. Czyżby wracała do zdrowia?

Możliwe. Nie nadszedł jeszcze czas na wyciąganie wniosków, ale jeśli rzeczywiście jej stan się poprawiał, zawdzięczała to w tym samym stopniu Nicholasowi, co przemijaniu czasu.

Tanek ją okłamał, zranił i uzdrowił.

Myślała o nim stanowczo zbyt wiele. Bezpieczniej było więc nie myśleć wcale.

Pardeau jest przerażony - powiedział Jamie, wysiadając z samochodu przy St. Germain 412. - Nie będzie łatwo.

- A pieniądze? - spytał Nicholas. Uruchomił silnik i ruszył wzdłuż Sekwany.

- Kuszą go, ale ten tchórz słyszał, co się stało z Simpsonem. Twierdzi, że Gardeaux wie o moich kontaktach z Nigelem i nie chce, żebym do niego przychodził.

Potrząsnął głową.

- Podczas ostatniej rozmowy myślałem, że już go mam, ale coś się zmieniło. On się boi.

- Skąd ten wniosek?

Jamie wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien. Mówił tylko, że nie może teraz dać nam ksiąg. Gdziekolwiek by się ukrył, Gardeaux i tak nie przestanie go szukać.

- Co się w takim razie zmieniło? - spytał Nicholas. - Pewnie dowiedział się czegoś, co mogłoby narobić Gardeaux więcej kłopotów niż zwykle ujawnienie jego interesów.

- Tak mi się też wydaje - uśmiechnął się Jamie. - Kupiłem jednak pewną informację, która może cię zainteresować. Dwa dni temu Pardeau zamknął rachunek Maritza. Oczywiście na polecenie szefa.

Gardeaux wyrzucił swego głównego demona poza nawias. Albo też skreślił Maritza nie tylko z listy płac. A Maritz - choć z pewnością nie grzeszył intelektem - miał instynkt i był przebiegły. Na pewno zszedł do podziemia.

- Chcę wiedzieć...

- Ktoś nas śledzi - przerwał Jamie. - Trzy auta za nami. Nicholas zerknął we wsteczne lusterko i zeszywniał. Zauważył dwa reflektory, ale w ciemnościach nie udało mu się rozpoznać ani marki, ani koloru samochodu.

- Od dawna?

- Od kiedy wyjechaliśmy spod domu Pardeau. Ciemnozielony mercedes.

- Ogon Pardeau?

- Może. Ale dlaczego uczeplił się nas?

Taki powód nie istniał. Chyba że Pardeau się nie mylił i Gardeaux czekał, aż ktoś znowu nawiąże kontakt z księgowym. Nicholas niespecjalnie się tym martwił. Gardeaux często wysyłał za nim swoich ludzi i nie miało to znaczenia. Jednak teraz pragnął wrócić do Nell.

- Spróbujemy ich zgubić?

Nicholas przytaknął.

- Na pewno znają Paryż lepiej niż my, ale na tych wzniesieniach poza miastem jest cała masa bocznych dróg. - Wcisnął gaz.

- Zaraz zobaczymy, czy się nam uda je odszukać.

Po dwóch kilometrach zauważył, że mercedes już się za nimi nie ciągnie. Ten samochód ich ścigał. Pędził z zawrotną szybkością.

Grzmotnął w tylny zderzak volkswagena.

- Chryste!

- Akurat tutaj - mruknął Jamie ponuro, rozglądając się po górzystym terenie. - Jeśli wylecimy z szosy, spadniemy dobre sześć metrów w dół. - Gdzie są te wszystkie boczne drogi, kiedy potrzeba?

Mercedes znów uderzył w zderzak wynajętego auta. Nicholas docisnął gaz do dechy i samochód wyskoczył do przodu jak z procy.

- Nie utrzymasz się z przodu - zauważył Jamie. - Mercedes ma mocniejszy silnik. Nie mówiąc już o tym, że jest zbudowany jak czołg.

- Wiem.

Ten atak stanowił dla nich śmiertelne zagrożenie. Nie byli przygotowani na taką sytuację.

Mercedes zaczął ich wyprzedzać. *Nie* mieli szans. Nicholas mógł jeszcze walczyć, ale w końcu musieli zostać zepchnięci z drogi.

W porządku. Skoro tak, należało przynajmniej wybrać najlepsze miejsce.

<- Odepnij pas.

Jamie odpiął posłusznie zacisk klamry.

Przedni zderzak mercedesa uderzył w ich lewy bok.

Volkswagen wpadł w poślizg i o mało nie wyleciał z szosy. Jamie uderzył głową w szybę, zaklął głośno, po czym potarł skroń.

- Jeśli masz zamiar to powtórzyć, zapnę pas.

- To nie wyjdiesz żywy z tej kabały. Wyskakujemy.

- Zdażyłem się domyślić. Gdzie?

- Na następnym zakręcie. Tam jest mniej stromo. Dojadę na sam skraj. Trzymaj rękę na klamce. Spróbuję zwolnić, jak tylko się da, ale oni będą się trzymać bardzo blisko. Nie mogą zauważyć, że już nas nie ma w aucie.

Zakręt był tuż przed nimi.

Nicholas znów docisnął gaz i samochód zaczął pędzić z ogromną szybkością. Mercedes został z tyłu.

- To chyba nie jest dobry pomysł - mruknął Jamie. Nicholas odpiął pas.

- Ja również mam wątpliwości.

Skrećali. Tanek wcisnął hamulec i volkswagen stanął dęba.

- To na pewno nie jest dobry pomysł - jęknął Jamie.

Zjeżdżając gwałtownie na sam skraj szosy, Nicholas otworzył na oścież drzwiczki auta.

- Skacz!

Volkswagen wypadł z drogi i zaczął się staczać ze wzniesienia.

Pierwsze uderzenie wyrzuciło Nicholasa na zewnątrz.

Koniec marzeń o skoku.

Nie mógł oddychać. Upadek pozbawił go całkowicie tchu. Staczał się po wzgórzu.

Co się stało z Jamiem?

Widział światła spadającego volkswagena.

Chwyił gałązkę krzaka i wbił wzrok w szosę.

Trzej mężczyźni patrzyli w dół.

Na niego czy na samochód?

Było jednak za ciemno, żeby mogli dojrzeć mężczyznę uczonego zarośli. Z pewnością obserwowali volkswagena.

Auto musiało się zatrzymać u stóp wzgórza. Czyżby zamierzali sprawdzić?...

Błysnęła lufa automatu.

Potężny wybuch stłumił odgłos wystrzałów. Samochód stanął w płomieniach.

Czysta robota. Misja spełniona.

Zejdą?

Nie, wracali do mercedesa.

Leniuchy.

I chwała Bogu.

W kilka minut później Nicholas nie widział już blasku reflektorów.

Gdzie, u licha, podziewał się Jamie?

- Nick?

Doznał ogromnej ulgi. Jamie przyczał się nieco wyżej.

- Tutaj. - Nicholas puścił krzak i zaczął się wspinać. - Nic ci się nie stało?

- Prawy bok boli mnie jak cholera. A tobie?

- Żyję. A jeszcze dziesięć minut temu nie dawałem nam wielkich szans.

- Teraz mi to mówisz?

Jamie leżał pod nawisem skalnym zaledwie kilka metrów od szosy.

- Nie chciałem cię zniechęcać. Widziałeś, kto to był?

- Rozpoznałem tego z automatem. Nazywa się Rivil.

Jeden ze snajperów Gardeaux, należący do elity, której nie wykorzystuje się w żadnym wypadku do tak podrzędnych zadań jak śledzenie księgowego. Rwilowi zlecano zwykle tylko jedną misję.

- Chyba masz kłopoty - powiedział Jamie.

Nell obudziła się z przerażeniem. Ktoś chodził po domu.

Z salonu dobiegał wyraźnie odgłos cichych kroków. Maritz?

Wiedział, gdzie ich szukać? Tania nie

byłaby zdziwiona. *To naprawdę potwór.*

Wzięła colta ze stolika i zacisnęła palce na rękojeści. Wstała i podeszła bezszelestnie do drzwi. Nadal słyszała kroki. Czyżby intruz szedł do sypialni? Nie zamierzała czekać, by się o tym przekonać. Zacisnęła dłoń na rękojeści rewolweru, otworzyła drzwi na oścież i włączyła światło. Przy zlewie stał Nicholas. Miał zakrwawioną głowę i twarz.

- Czy mogłabyś celować w inny obiekt? Nadal nie dowierzam twoim umiejętnościom w tym zakresie. - Odkręcił kran. - Próbowałem cię nie obudzić, ale chyba....

- Co ci się stało?

- Zepchnęli nas z drogi. - Spryskał twarz wodą. - Hertz będzie musiał pomyśleć o nowym volkswagenie.

- A co z Jamiem?

- Chyba wszystko w porządku. Bardzo się potłukł. Zatrzymałem jakiś wóz i poprosiłem kierowcę, żeby nas podwiózł do szpitala. Jamie został na badaniach.

- Dlaczego ciebie też nie zatrzymali? Wyglądasz, jakbyś potrzebował nowej głowy.



- Chciałem wracać. Zupełnie się czegoś podobnego nie spodziewałem. Musiałem sprawdzić, czy nie odkryli naszego schronienia.

- Oni? - szepnęła. - Gardeuax?

- Jamie rozpoznał jednego z jego ludzi, Rivila. Nie wiem, kto jeszcze był w samochodzie.

- Usiądź. Opatrzę ci głowę.

- Daj spokój. Potrafię się sam połatać.

- Skoro tak, pożyczę ci swój przybornik do szycia.

- To miłe, że jesteś taka sarkastyczna, podczas gdy ja...

- Siadaj. - Przeszła przez pokój i pchnęła go na krzesło stojące przy stole. - Najpierw dokładnie to umyję. - Wzięła ręcznik. - Skoro samochód nie nadawał się do użytku, to jak się tu dostałeś?

- Podwiózł mnie pewien farmer, którego spotkałem w szpitalu. Naprawdę niepotrzebnie poświęcasz mi tyle uwagi - dodał, kiedy zaczęła zmywać mu krew z twarzy. - Nic mi nie dolega.

- Masz rację. To głupstwo - powiedziała, odsłaniając wreszcie ranę. Boże! Jak mocno drżały jej ręce. - Widocznie wystarczy bile skaleczenie, żebyś zaczął mocno krwawić.

- Tak naprawdę to wcale nie krew. W drodze powrotnej kupiłem butelkę keczupu. Terence zawsze mi powtarzał, że należy trochę krwawić, aby obudzić współczucie kobiety.

- Mylił się. Wcale mi ciebie nie żal.

- Nieprawda. Jesteś bladejsza niż ja. - Uśmiechnął się. - Czasem ta zasada jednak działa.

Zrobiło się jej niedobrze. Duszno.

- Z pewnością nie potrzebujesz mojej pomocy. - Rzuciła ręcznik. - A poza tym muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

- Jeśli na widok krwi dostajesz mdłości, to nie powinno cię tu w ogóle być.

Zrobiła krok w tył.

- Potrzebowałam powietrza. Nie dostaję mdłości na widok krwi.

- Akurat!

- Wydawało mi się, że ze strony Gardeaux nic ci już nie grozi.
- Jak widać, głęboko się myliłem.
- Dlaczego cię zaatakowano? Co się stało z polisą?
- Może ktoś ją unieważnił.
- Sandequez nie żyje?
- Bardzo logiczny wniosek.
- Dlaczego jesteś taki spokojny? Gardeaux chciał cię przecież zabić. - Zaczęła iść szybciej. - I spróbuje znowu, prawda?
- Przy najbliższej sposobności.
- Już nigdy nie będziesz bezpieczny.
- Niekoniecznie. Muszę po prostu zachować maksymalną ostrożność, dopóki nie umocnię swojej pozycji.
- Jeśli wystarczająco długo pożyczysz.
- Zawsze istnieje tego rodzaju ograniczenie.
- Przestań się wygłupiać - powiedziała ostro. - Nie widzę w tym nic śmiesznego.
- Ja również nie. Ale ty jesteś poważna za nas dwoje.  
Miała ochotę go uderzyć.
- Owszem. Ty natomiast wierzysz w używanie życia do ostatka. Cholera jasna! Nie rozumiesz, że oni właśnie wysadzili wszystkie zapory i zamierzają się do ciebie dobrać?
- Cieszę się, że cię martwi perspektywa mojej śmierci.  
Ale Nell wcale się nie cieszyła. Nie miała wcale ochoty odczuwać strachu, jaki ogarnął ją tego wieczoru na widok Nicholasa.
- Co zamierzasz zrobić?
- To samo co przedtem. Ale znacznie ostrożniej.
- Przecież nawet nie powinieneś żyć w tym samym kraju, co on. - Odwróciła wzrok. - Jeżeli nie dotrzymasz słowa, naprawdę nie będę miała do ciebie żalu.  
Przestał się uśmiechać.
- Już zapomniałaś, że nie zacząłem tego wszystkiego wyłącznie po to, by ci pomóc? Nie zamierzam się wycofać.  
Doznała jednocześnie uczucia strachu i ulgi.
- Musiałam ci to powiedzieć. - Urwała. - Oczywiście, tobie wcale nie zależy...

- Nell - powiedział cicho. - Wszystko będzie dobrze. Muszę tylko oszacować straty.

Oszacować straty. To samo powiedział Kabler, patrząc na płonący dom. Śmierć, zniszczenie i szacowanie strat.

- Rób, co chcesz. - Zwilżyła wargi. - Ale w tej sytuacji chyba nie będziemy się tak spieszyć. Lepiej zaczekajmy do Nowego Roku.

- Jeśli tego chcesz - odparł z uśmiechem.

- Wręcz odwrotnie. Wcale nie chcę. - Odwróciła się i ruszyła do pokoju. - Ale musimy tak zrobić, żebyś nie zginął.

Jamie zjawił się następnego dnia ze świeżymi rogalikami i gazetą. Rogaliki podał Nell, a gazetę rzucił Nicholasowi.

- Mówiłem ci, że masz kłopoty.

- Sandeąuez?

- Nie żyje. Zabili go ludzie z kolumbijskich brygad antynarkotykowych. Zmiotli z powierzchni ziemi całą jego grupę.

- Kiedy?

- Na trzy godziny przed naszym wyjściem od Pardeau. Podano to do wiadomości publicznej dopiero osiem godzin później, więc Gardeaux musiał mieć poufne informacje.

- Lub też sam przekazał je władzom. Sandeąueza dobrze strzeżono. Policja usiłowała go namierzyć już od lat.

- Sugerujesz, że Gardeaux wystawił im Sandeąueza? Co za niemiły z niego z facet!

- Dlaczego miałby to robić? - spytała Nell. - Mówiłeś, że Sandeąuez to jeden z mocodawców Gardeaux.

- Ale ja dawałem mu się ostatnio ostro we znaki, a na usunięciu Sandeąueza skorzystał podwójnie.

Jamie skinał głową.

- Być może przesunie się o parę miejsc na drabinie korporacyjnej, a rząd Kolumbii zapłacił za Sandeąueza pięć milionów dolarów. To na pewno zasiliło jedno ze szwajcarskich kont Gardeaux. Sądzisz, że on przekupił władze?

- Możliwe. - Nicholas wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej to bezpłodna dyskusja. Sandequez nie żyje, więc ja będę się musiał ukrywać, dopóki nie nadejdzie czas na akcję.

Nell poczuła przyływ ulgi, który jednak szybko zdażyła ukryć,

- Jakie to rozsądne z twojej strony. - Włożyła rogaliki do kuchenki mikrofalowej. - Ale ja nie zamierzam się nigdzie chować. Jak już zauważyłeś, nikt mnie nie rozpozna.

Czuła spojrzenie Nicholasa na swoich plecach.

- Czy mogę zapytać, dokąd się wybierasz?

- Do Paryża.

- I co tam będziesz robić?

- Pracować.

- Gdzie?

- Nie jestem pewna. Będziesz musiał mi pomóc. - Odwróciła do niego twarz. - W której agencji modelk pracuje kochanka Gardeaux?

- „Chez Molambre”. - Nicholas wpatrywał się uważnie w jej twarz. - Dlaczego pytasz?

- Muszę dostać zaproszenie na Festyn Renesansowy. Wątpię, żeby Gardeaux zamierzał mi je przysłać, a ty nie powinieneś ryzykować fałszerstwa czy kradzieży. W „Sports Illustrated” wyczytałam, że uroczystościom towarzyszy pokaz mody. Jacques Dumoit przygotowuje specjalną kolekcję na tę okazję, więc Gardeaux na pewno będzie chciał, by na pokazie wystąpiły modelki z agencji, w której pracuje jego kochanka.

- Na pewno.

- A ty chcesz się u nich zatrudnić - powiedział Jamie z uśmiechem.

- Mądra dziewczynka. Powinniśmy byli skorzystać z jej usług za starych czasów - dodał, patrząc na Nicka.

- Brakuje ci doświadczenia - powiedział Tanek.

- Byłam na kilkunastu pokazach. Potrafię udawać profesjonalistkę.

- Odwróciła się do Jamiego. - Chciałabym tylko dostać jakieś referencje i pakiet zdjęć.

- W Nicei jest pewien fotograf, któremu mogę zaufać - powiedział Jamie. - Potrzebuję trzech dni.

- Wcale mi się to nie podoba - powiedział Nick.
  - A ja wcale nie sądziłam, że będzie ci się podobało. - Spojrzała mu w oczy. - Tylko czy oni mnie zatrudnią?
  - Dobrze wiesz, że tak - uśmiechnął się ponuro. - Kto by nie chciał zaangażować Heleny Trojańskiej?
  - To świetnie. Podoba mi się ten pomysł. Jest w nim jakaś... sprawiedliwość.
  - Sprawiedliwość? - spytał Jamie.
  - Ma na myśli to, że dzięki Maritzowi i Gardeaux zyskała tę wyjątkową twarz, więc powinna jej teraz użyć przeciwko nim.
- Powinna się była spodziewać, że Nicholas zrozumie jej intencje. Znał ją aż nazbyt dobrze. Wyjęła rogaliki z kuchenki i położyła je na stole.
- Nie jestem tak wysoka i szczupła jak większość modelek. Te referencje będą musiały być wyjątkowo dobre, Jamie.
  - Zaufaj mi. Poza tym oni zakochają się do tego stopnia w twojej twarzy, że niczego poza nią nie zauważą.
  - Oby.
  - Chyba już od dawna o tym myślisz - powiedział cicho Nicholas.
- ,
- Zostawiłeś mnie samą na dwa dni. Co miałam robić? Ogryzać paznokcie?
  - Skądże znowu. - Wstał i podszedł do drzwi. - Przypomnij mi, żebym cię już nigdy nie zostawiał bez opieki.

Ciemnowłosy młodzieniec, trochę może starszy od Petera, przywiózł następnego ranka duplikat miecza Karola Wielkiego. Chłopak miał na sobie czarną, skórzaną kurtkę, przyjechał na motocyklu i uśmiechał się pewnie.

Zamaszystym ruchem podał Nicholasowi paczkę owiniętą w skórę.

- Proszę bardzo, *señor*. Najlepsza robota mojego ojca.
- Dziękuję. Tomas Armandariz, Eve Billings - dodał, widząc, że chłopak nie rusza się z miejsca.

- Ja też jestem świetnym rzemieślnikiem - odezwał się Tomas z promiennym uśmiechem. - Pewnego dnia będę sławny.

- To świetnie - odparła z roztargnieniem, idąc za Nicholasem w głąb willi.

Chłopak natychmiast podążył za nią.

- Sam włożyłem w ten miecz masę pracy.

Nicholas wyjął broń ze skórzanej pochwy.

- Ojciec pozwolił mi w nagrodę zostać przez kilka dni w Paryżu, - Uśmiechnął się niewinnie do Nell. - Może chciałaby pani...

- Do widzenia, Tomas - powiedział Nicholas, wbijając wzrok w szpadę.

Tomas jednak zachowywał się tak, jakby go nie słyszał.

- Znam kilka kawiarni, które... Nicholas zwrócił miecz w jego stronę.

- Do widzenia.

Tomas zamrugął i wolno ruszył do drzwi.

Nell wcale mu się nie dziwiła. Ostatni raz widziała Taneka w takim wydaniu podczas jego rozmowy z sierżantem Wilkinsem.

- To był tylko żart, panie Tanek.

- Tak też mi się wydawało - Nicholas uśmiechnął się łagodnie.

- Powiedz ojcu, że jestem bardzo zadowolony z tego miecza.

A ty pojedziesz teraz do Paryża, prawda?

- Tak, tak. I to natychmiast. - Wypadł z willi.

- Nie musiałeś go straszyć - powiedziała Nell. - Wystarczyło, żebym odmówiła.

- Strasznie się puszył. - Nicholas znów wbił wzrok w ostrze.

- I okropnie mnie zirytował.

Zmieniła temat i popatrzyła na miecz. Widziała autentyczny miecz Karola Wielkiego tylko raz, ale ten falsyfikat wydawał się jej bardzo podobny do oryginału.

- Wystarczająco zbliżony do prawdziwego?

- To prawdziwe dzieło sztuki - powiedział.

- Nadal zamierzasz się nim posłużyć?

- Teraz, po śmierci Sandequeza, jest to, dosłownie i w przenośni, jedyna broń, jaką posiadam.

- Wejdiesz do jaskini Iwa. - Zawahała się. - Tak sobie myślałam... Skoro ja mogę się dostać bez trudności do Bellevigne, dlaczego po prostu tutaj nie zostaniesz i nie pozwolisz mi się tym zająć?

Popatrzył na nią w milczeniu.

- To jedyne rozsądne wyjście. Zapomnij o tym mieczu. Rozpoznają cię i nie wyjdiesz stamtąd żywy.

- Czy przyszło ci na myśl, że próbujesz mnie z tego wyłączyć?  
- spytał cicho. - Wiesz, że chcesz mnie okraść?

Słowa wydawały się znajome, tych samych użyła kiedyś Nell.

- To zupełnie co innego.

- Wszystko zawsze wygląda inaczej, jeśli odnosi się do nas.

- Uśmiechnął się. - Doskonale to rozumiem. Ale czyżbyś powoli przestawała się dziwić, dlaczego tak bardzo chciałem zatrzymać cię na rancho i tam pilnować?

- Bo jesteś aroganckim człowiekiem i uważasz, że tylko ty...

- Nieprawda. Zresztą sama wiesz. - Napotkał jej spojrzenie.

- Może jeszcze nie jesteś gotowa, by wyjąć głowę z piasku?

Zacisnęła rękę.

- Nie podoba mi się to wszystko.

- Wiem. Ale będziesz się musiała przyzwyczaić. Mnie już się udało. - Zerknął na miecz. - I będę musiał wyciągnąć parę atutów z rękawa, żeby zapanować nad sytuacją. - Wyjął z kuchennej szuflady plik fotografii i zaczął je porównywać z mieczem.

- Zdziwiał się - mruknął.

Najwyraźniej zakończył rozmowę. Skierowała się w stronę wyjścia.

- Maritza nie będzie w Bellevigne.

- Jesteś pewien?

Przytaknął.

- Gardeaux go wyrzucił. Wszystko po kolei. Najpierw skupimy się na Gardeaux, a dopiero potem zaczniemy martwić o Maritza.

Rozczarowanie zmieszało się ze strachem i niezadowoleniem.

- A zdołamy go znaleźć?

- Na pewno. - Przyłożył fotografię rękojęści do oryginału. - Wolałbym, żebyś nie przyjeżdżała tutaj z Paryża. Przynajmniej do czasu, kiedy będziemy gotowi do przeprowadzki.

- Dlaczego?

- Bo to zbyt niebezpieczne. Skoro zamierzasz być Eve Billings, bądź nią. Zaprzyjajnij się z innymi modelkami. Nie znikaj tajemniczo w weekendy. Spędzaj je w Paryżu.

- Rozumiem. - Poczowała się dziwnie osierocona, choć Tanek niewątpliwie miał rację. To ona zdecydowała się na wyjazd i musiała ponieść konsekwencje tego kroku. - Ale będziemy musieli zrobić jakieś plany.

- Najpierw skontaktuję się z Gardeaux i wybadam, co w trawie piszczy. Przyjdę do ciebie w przeddzień twego wyjazdu do Bellevigne. Do tego czasu żadnych kontaktów, chyba że w stanie najwyższej konieczności.

Spróbowała się uśmiechnąć.

- To wydaje się rozsądne.

- Jutro Jamie zabierze cię do Nicei na zdjęcia. Już ci załatwił małe mieszkanko w okolicach Sorbony. Nic drogiego. Coś, na co może sobie pozwolić studentka albo początkująca modelka.

- Jamie bardzo szybko działa.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak szybko.

Miał rację. Tak naprawdę wcale nie stanowiła części ich życia, a już na pewno nie była związana z przeszłością tych mężczyzn. Bliskość, jaka ją z nimi łączyła, musiała zniknąć w chwili wyjazdu.

- Będiesz uważał? - Nie zamierzała zadawać tego pytania. Tak jej się tylko wyrwało.

Uśmiechnął się lekko.

- Na co? Na mewy? Chcesz mnie wysłać z powrotem na rancho?

Tak, właśnie tego pragnęła. Wysłać Taneka na rancho i zamknąć za nim wszystkie bramy.



- Przy tym zatruciu środowiska trudno cokolwiek powiedzieć o zarazkach, jakie mogą przenosić mewy - powiedziała lekko.
- Pójdę się spakować.

Miecz był równie nęcący jak pieśń syreny.

Gardeaux oglądał kolorowe zdjęcia przez szkło powiększające.

Jeśli nawet miał przed oczami falsyfikat, to wykonał go mistrz.

Ale niewykluczone, że patrzył na fotografię oryginału. Tanek odznaczał się talentem do zdobywania takich rzeczy.

Z podniecenia drżały mu ręce. Miecz zwycięzcy. Wodza wszech czasów.

Tanek zamierzał w nim wzbudzić dokładnie takie uczucia. Usiłował sterować jego emocjami.

Miecz Karola Wielkiego.

Czyżby jednak oferował mu genialną podróbkę?

I wpędzał tym samym w śmiertelną pułapkę?

Karola Wielkiego również próbowano zgładzić, ale on okazał się na tyle silny i dzielny, by wznieść się ponad swoich wrogów.

Tak jak Gardeaux górował nad Tanekiem.

Dotknął delikatnie miecza na fotografii. Był niesamowity. Wspaniały.

Jego własny.

Przykro mi, proszę pani, nie możemy skorzystać z pani oferty.

- Molambre postukał palcem w otwartą aktówkę. - Te zdjęcia są świetne, ale my zatrudniamy tylko modelki wybiegowe, a pani nie odpowiada naszym wymaganiom.

- Jestem za niska?

- Niespełna metr siedemdziesiąt. Brak pani siły, prezencji... Może w Nowym Jorku przyjęliby panią z otwartymi ramionami, ale nasi projektanci mają większe wymagania. - Wzruszył ramionami. - Proszę trzymać się pism. Jako fotomodelka zrobi pani karierę.

- Chciałabym robić obie rzeczy.

Wręczył jej pakiet.

- Jak już powiedziałem, bardzo mi przykro - zakończył stanowczo.

Wstała.

- Do widzenia panu.

Natrafiała na mur, który należało jakoś obejść.

Oo mogę dla pani zrobić? - spytała obojętnie Celinę Dumoit.

Nell nie mogła oczekiwać niczego innego. Jacques Dumoit należał do czołowych projektantów w kraju. Ci ludzie zajmowali się pięknem, wykorzystywali je i wyrzucali na śmietnik, gdy bladło.

- Muszę się zobaczyć z pani mężem, *madame*.

- Wykluczone - powiedziała pospiesznie kobieta. - Ja prowadzę ten salon. Proszę rozmawiać ze mną. Wszyscy chcą się widzieć z Jacques'em. A on jest bardzo zajęty. Przygotowuje specjalną kolekcję.

- Na Festyn Renesansowy? - Nell skinęła głową. - Zamierzam mu zaproponować swoje usługi.

- On korzysta z „Chez Molambre”. Proszę iść do nich.

- Byłam. Odrzucili moją ofertę. Mówią, że brak mi prezencji.

Madame Dumoit uważnie się jej przyjrzała.

- Nie podzielam ich opinii, ale to niczego nie zmienia.

- Zależy mi na tej pracy.

- I to ma wywrzeć na mnie jakiś wpływ?

Nell nie sądziła, aby jakakolwiek istota ludzka mogła wpłynąć na tę górę lodu.

- Próbuję się wkręcić do środowiska tu, w Europie. Festyn Renesansowy byłby dla mnie doskonałą okazją.

- Dla pozostałego tysiąca paryskich modelek również.

- Pani mąż tworzy kolekcję inspirowaną przez stroje odrodzenia.

Ja się do tego świetnie nadaję.

- Skąd ta pewność?

- Proszę mnie ubrać w suknię. Niech pan Dumoit sam zobaczy.
- Już nie potrzebujemy modelek. - Zawahała się. - Ale pani ma rzeczywiście wyjątkową twarz, a Jacques chce sprawić przyjemność panu Gardeaux. Zobaczymy, jak będzie pani wyglądać w ósemce.
- Ósemka okazała się wspaniałą wiśniową szatą z długimi, obcisłymi rękawami i kwadratowym dekoltem.
- Suknię uszyto jednak w rozmiarze szóstym i jej talia była tak wąska, że Nell ledwo mogła oddychać.
- Jest pani niesamowicie gruba - powiedziała Celinę Dumoit. Włożyła Nell na głowę czepek wyszywany perłami, cofnęła się o krok i przekrzywiła głowę.
- Dostrzegam jednak w pani coś, co... - Odwróciła się do wysokiego mężczyzny, który właśnie wszedł do pokoju. - Ach, to ty, Jacques.
- Dlaczego po mnie posłałaś? - spytał poirytowanym tonem. - Nie mam czasu.
- Wiem, kochanie. - Wskazała mężowi Nell. - Co o niej myślisz?
- Za tęga. Będzie musiała schudnąć przynajmniej pięć kilogramów przed pokazem.
- W takim razie sądzisz, że się nadaje? - spytała.
- No pewnie. Jest niezwykła. Renesansowa kurtyzana. Twarz jak z portretu Leonarda da Vinci. Mogę już iść?
- Oczywiście, słoneczko. Obiecuję, że więcej ci nie będę przeszkadzać.
- Niech prezentuje tę zieloną suknię. I dopilnuj, żeby zgubiła to obrzydliwe sadło - dorzucił, wychodząc z garderoby.
- Tak, Jacques. - Zwróciła się do Nell. - Zostaw recepcjonistce numer telefonu. Musisz przychodzić na próby, ilekroć cię wezwiemy. Jedna nieobecność i wylatujesz.
- Tak, *madame*.
- Daję ci dwa tygodnie na schudnięcie.
- Rozumiem.
- Powinnaś być nam wdzięczna. Stoisz przed wielką szansą.

- Bardzo pani dziękuję.
- Oczywiście nie zapłacimy ci za usługi. Ty powinnaś płacić nam. Zimna kutwa.
- Jestem państwu szalenie zobowiązana.

Celinę Dumoit skinęła z zadowoleniem głową i wyszła z przy-  
mierzalni.

Kiedy garderobiana odpinała guziki sukni, Nell odwróciła się do lustra i popatrzyła na twarz, dzięki której otrzymała bilet do Bellevigne. Renesansowa kurtyzana w niczym nie ustępowała Helenie Trojańskiej. Powiedziała tej kobiecie prawdę. Była jej wdzięczna.

Nigdy ci tego nie zapomnę, Joel.

Jak miło, że dzwonicz - powiedział Gardeaux.

- Tak, dzięki Rivilowi wiedziałem wcześniej, że się ucieszysz. Masz zdjęcia?

- Wspaniała przynęta, ale nie wierzę, że to autentyk. Nie jestem idiotą.

- Dopóki nie zobaczysz miecza na własne oczy, to się nie przekonasz. Chciałem wyrazić zgodę na oględziny dokonane przez eksperta, ale teraz widzę, że jakiegokolwiek kontakty z tobą są niebezpieczne dla zdrowia.

- Już wiesz o Sandeąezie. Smutne, prawda?

- To zależy od punktu widzenia. I sytuacji, w jakiej się człowiek aktualnie znajduje.

- Moja jest stabilna, twoja dosyć kiepska. - Urwał. - Nie chcę cię widzieć na festynie. Wybierz inne miejsce i czas.

- Pewnie bym cię posłuchał, gdyby nie ta kiepska sytuacja. Zaczekam, dopóki nie będę mógł wejść na dziedziniec razem z bardzo ważnymi osobistościami. Ludźmi, przy których nie mógłbyś się mnie pozbyć.

- Przecież ty masz w stosunku do mnie takie same zamiary. - Umilkł. - Zadajesz sobie naprawdę dużo trudu z powodu O'Malleya. On nie był tego wart.

- Był.
- Nie zgadzam się z tobą. Nie dostrzegłem w nim naprawdę nic interesującego. Ale ty będziesz bardzo interesujący. Piętro na pewno się ucieszy z takiego przeciwnika.
- On się nigdy niczego o mnie nie dowie. Nie gram w tę grę.
- Zagrasz.
- Zależy ci na mieczu?
- Oddzwonię. Podaj mi numer.
- Sam się odezwę - zakończył rozmowę Tanek. - Chce go mieć - powiedział do Jamiego. - Aż się ślini. W przeciwnym wypadku w ogóle by ze mną nie rozmawiał.
- Jamie popatrzył na miecz.
- Piękna broń. Ale niewarta takiego ryzyka.
- Gardeaux jest innego zdania - powiedział Tanek. - I chwala Bogu.
- Cała ta historia dobiegała końca. Jeszcze niewiele ponad miesiąc i koniec czekania. Koniec szarpaniny.
- Co mam teraz robić? - spytał Jamie.
- Zostań tutaj na wypadek, gdyby zadzwoniła Nell. Trzymaj się od niej z daleka, chyba że zajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności. Spróbuję zatelefonować i podać ci numer, pod którym będziesz mógł mnie złapać.
  
- Nie tutaj? Potrząsnął głową.
- Jutro lecę pierwszym samolotem do Paryża.

*Ósmego grudnia, Paryż*

Nie, nie zgadzam się, Taniu. - Nell zacisnęła dłoń na słuchawce. - Zostań w domu, tam gdzie nic ci nie grozi.

- Ale Maritz już zatroszczył się o to, żebym nie była bezpieczna nawet w domu. Wszystko mi zniszczył.

- Nie wystawię cię na przynętę. Za kogo ty mnie uważasz?

- Ja o nic nie proszę, tylko informuję. Możesz mi pomóc albo nie. Twój wybór.

- Wiesz, że nie naraziłabym cię nigdy na... Taniu. Błagam, zastanów się. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby coś ci się stało.

- Nie robię tego dla ciebie, tylko dla siebie.

- A co na to Joel?

- Uważa, że oszalałam. Oczywiście, nie chce mnie puścić, sam zamierza znaleźć Maritza. Będzie z nim kłopot.

- Ale on ma rację. Oszalałaś.

- Nie, to Maritz jest szaleńcem. Ja postępuję zupełnie normalnie. Nie pozwolę, by ktoś taki miał władzę nad moim życiem. - Urwała. - Muszę, Nell. Maritz nie zostawił mi wyboru, podobnie jak tobie. Nie chcę się już z tobą kłócić. Odkładam słuchawkę.

- Zaczekaj. Kiedy przyjedziesz?
- Jak już dotrę na miejsce, na pewno się o tym dowiesz.

*Dwudziestego trzeciego grudnia, Marsylia*

Przyjechała do niego.

I była najwyraźniej szczęśliwa.

Maritz wbił wzrok w kolumnę towarzyską paryskiej gazety. Tania miała na sobie biały kostium i patrzyła na Liebera z promiennym uśmiechem.

Ale w końcu wszystkie panny młode promieniały szczęściem.

Przeczytał tekst pod fotografią.

*Joel Lieber, znany chirurg plastyczny, i Tania Vlados przybyli na lotnisko Charlesa de Gaulle'a. Kilka dni przedłużonego miesiąca miodowego spędzą w Paryżu, a potem udadzą się do Cannes. Zamieszkają w hotelu Carlton, gdzie spędzą Nowy Rok i pierwsze dni stycznia.*

A już myślał, że szczęście go opuściło. Ale piękna Tania wkroczyła z powrotem w jego życie. Gdyby usunął tego świadka, Gardeaux przyjąłby go z powrotem pod swoje skrzydła. Jednak nie to budziło w nim takie podniecenie. Polowanie miało się wkrótce rozpocząć od nowa.

Po przeczytaniu artykułu Jamie zagwizdał cicho. Nickowi to by się na pewno nie spodobało. Bardzo chciał się z nim skontaktować. Próbował przed dwoma dniami, ale Nick nie był już osiągalny pod numerem, jaki mu zostawił.

Połączył się z Nell.

- Widziałaś gazetę?
- Tak. Bardzo się cieszę. Tania wyglądała ślicznie, prawda?

- Co ona tu robi?
- Spędza miodowy miesiąc. Tak przynajmniej napisali w prasie.
- Nie mówiła ci?
- Kiedy ostatnio z nią rozmawiałam, nie wspominała nic o ślubie.
- Nie wolno ci się z nią spotkać. Joel to zbyt znana postać.
- Wiem. Nie miałam takiego zamiaru. - Urwała. - Jak tam Nicholas?
- Świetnie. - Zmienił temat. - Co sądzisz o swoim nowym zawodzie?
- Jest strasznie nudny.
- Cóż, pojutrze Boże Narodzenie. To już długo nie potrwa. Ale wcale nie jestem zadowolony z tego, że Tania tu przyjechała.
- Ja też się nie cieszę. Do zobaczenia, Jamie.

Nell potrząsnęła głową i odłożyła słuchawkę. Nie kłamała, ale uciekła się do przemilczenia, jak nazwał to kiedyś Nicholas.

Zdjęcie śmiertelnie ją przeraziło. Nie sądziła, że Tania posunie się aż tak daleko. Zostawiła nawet temu sukinsynowi swój adres.

Telefon znowu zadzwonił.

- Ładnie wyszłam, prawda? - spytała Tania. - To kostium od Armaniego. Joel postanowił zatrzymać się w Nowym Jorku i kupić mi garderobę.

- Cudowny. Nie mówiłaś, że chcecie się pobrać.

- Joel nalegał na ślub przed wyjazdem do Paryża. Jemu się chyba wydaje, że jako mój mąż łatwiej nade mną zapanuje. - Nell usłyszała ironiczne pochrząkiwanie w tle. - Oczywiście, że kontrolujesz każdy mój krok, Joel.

- Skąd dzwonisz?

- Z Carltona. To bardzo elegancki hotel. Podczas festiwalu w Cannes mieszkają tu wszystkie gwiazdy.

- Chyba jesteś bardzo szczęśliwa.

- Do obłędu. Ale Joel jeszcze bardziej. Zresztą nic dziwnego.



Mnie się dostał podstarzały, zgryźliwy doktorek, a jemu ja. - Zachichotała. - Muszę odłożyć słuchawkę. On się zaraz na mnie rzuci. Będziemy w kontakcie.

Chciała przez to powiedzieć, że zadzwoni do Nell, kiedy tylko Maritz da o sobie znać. Bez wątpienia ostatnie zdanie było najważniejsze z całej tej rozmowy.

Ale mimo wszystko Tania jest szczęśliwa - pomyślała tęsknie Nell. Tak szczęśliwa, że jedna chmurka nie mogła tu niczego zmienić. Tania Vlados potrafiła chwytać chwilę.

Nicholas również to potrafił.

Już od trzech tygodni nie dawał znaku życia.

Zresztą o czym właściwie mogli rozmawiać?

Czekali.

Zostało jeszcze dziewięć dni.

Może zejdziemy na kolację, a ja zaprezentuję jedną ze swoich nowych sukien? - spytała Tania, odkładając słuchawkę po zakończonej rozmowie z Nell. - Tę różową. Będę wyglądała cudownie. Kelnerzy pomyślą, że jestem gwiazdą filmową.

- Skoro tak sobie życzysz. - Lieber patrzył, jak Tania otwiera drzwi na balkon. - Jak się czuje Nell?

- Nie dopuściłam jej do głosu. Kocham tę różową suknię. Kocham ten hotel. - Odetchnęła świeżym powietrzem. - Kocham ten ocean. - Zerknęła przez ramię. - I ciebie, Joelu Lieber.

- Akurat. Jestem ostatni na liście. - Wyszedł na balkon i wziął ją w ramiona. - A powinienem być przed suknią.

- Ale wtedy nie miałbyś na co pracować. - Przytuliła się do niego mocno. - Nie mogę cię pozbawić sensu życia.

- Mam cel. - Ukrył twarz w jej włosach. - Muszę cię chronić.

Kochał ją. Prawdziwe błogosławieństwo. Ale nie powinien się w nic angażować. Wiedziała, jak trudno będzie utrzymać Joela z dala od tej sprawy.

- Dajmy temu spokój. On się może w ogóle nie pojawić.

-Pocałowała Liebera w policzek. - A teraz kochaj się ze mną jak wariat. Musisz mnie przekonać, że wolę ciebie od różowej sukni.

*Dwudziestego siódmego grudnia*

Przyjedź na festyn - powiedział Gardeaux. - Oczywiście, przywieź miecz.

- Dobrze.
- W porządku. Bo inaczej nie wpuszczę cię na dziedziniec.
- Sprawdzasz broń przy wejściu? Zupełnie jak dziewiętnastowieczny szeryf.
- Interesuje mnie wyłącznie twój miecz.
- Zobaczysz go przy świadkach. Ale nie dostaniesz.
- Mam wywijać ukradzionym bezcennym mieczem na oczach tysięcy ludzi?
- Powiedz im, że to świetna kopia. Uwierzą. Przecież masz nieskazitelną reputację.

- A co zrobisz, żebym ci go nie odebrał?

Zapadła cisza.

- Nie uda ci się, Tanek. Przecholowałeś i zasłużyłeś na karę. Skończysz jak O'Malley. Pamiętasz jak on cierpiał?

Nie mógł zapomnieć.

- Do zobaczenia za kilka dni, Gardeaux. O jedenastej.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Jamiego.

- Załatwione.
- Chyba wiesz, co robisz.
- Też tak sędzę.

Gardeaux wpatrywał się w słuchawkę telefonu. Nie powinien się martwić. Miał wszystkie karty w ręku.

Ale Tanek cierpiał na obsesję. Skoro nie potrafił zniszczyć swego wroga całkowicie, postanowił się uciec do półśrodków.

Zagroził na przykład, że skompromituje go przed gośćmi, a to by naprawdę było fatalne. Z trudem zdobył prestiż oraz władzę, a gdyby Tanek go zdemaskował, straciłby wszystko za jednym zamachem.

Nonsens. Przecież zgodnie z planem miał się pozbyć Taneka, zanim ten zdołałby zareagować. A nawet gdyby coś nie wypaliło, mógł zawsze zaprzeczyć. Powiedzieć, że Tanek się upił albo oszalał.

Jednak nawet nieistotne kłopoty zirytowałyby tych paranoicznych kretynów w Medellin. Powiedzieliby z pewnością, że Gardeaux zabawia się ich kosztem. Człowiek z taką pozycją musi być zawsze bez zarzutu.

Zatem należało się bronić. Znaleźć sposób, by zneutralizować ewentualne szkody.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

*Dwudziestego ósmego grudnia*

Spójrz, Joel. Prawda, że śliczny? - Szalik z egipskim motywem wisiał na wystawie małego butik. - Lubię egipskie rzeczy. Mają taki nieprzemijający wdzięk.

- Stracimy stolik, jeśli w ciągu pięciu minut nie znajdziemy się w restauracji. - Joel uśmiechnął się łagodnie. - Zatrzymujesz się przed każdym sklepem i nie pozwalasz mi nic kupić.

- Bo nie muszę mieć. Lubię po prostu oglądać. - Wzięła go pod ramię. - Myślę, że dałbyś sobie doskonale radę w starożytnym Egipcie. Tam się znali na chirurgii.

- Wolę współczesne narzędzia i lekarstwa.

- Też nie chciałabym się poddawać operacji mózgu bez narkozy, ale...

Joel popatrzył na nią pytająco.

- Co?

- Chyba jednak muszę mieć tę apaszkę. Może byś ją kupił? Ja chciałabym popatrzeć na torebki w sklepie obok.

Joel popatrzył na nią z rezygnacją.

- Nigdy tam nie dojdziemy.

- Dojdziemy. Obiecuję, że po drodze już się nie zatrzymam przed żadną wystawą.

- Obiecanki, cacanki. - Wszedł do sklepu.

Tania przestała się uśmiechać.

On tam był, patrzył na nią.

Bez żadnych wątpliwości. Jej instynkt dawał wyraźnie o sobie znać i nie zamierzała go znowu zignorować.

Pozwoliła sobie na jedno zerknięcie przez ramię.

Nie spodziewała się go zobaczyć. Maritz znał się za dobrze na swojej robocie.

Ale lubił wiedzieć, że ona wyczuwa jego obecność. Lubiał patrzeć, jak się poci, wiedzieć, jak bardzo się boi.

Musiała zachować równowagę. Nie odbierać Maritzowi frajdy i zrobić wszystko, żeby Joel niczego się nie domyślił.

Zrobiła krok w stronę sklepu z torebkami i popatrzyła na wystawę.

Szybko zerknęła przez ramię.

*Zadowolony jesteś, sukinsynu?*

*To się ciesz. Tym razem będzie inaczej.*

Przestań mnie straszyć - powiedziała Nell.

- Nie ma się czego bać. Ja uważam, a jemu się nie spieszy. To bydlę lubi się delektować - powiedziała Tania. - Wymyśliłaś jakieś miejsce?

- Willę nad jeziorem, którą wynajął Nicholas. Dom stoi na uboczu i jest chyba bardzo kuszący dla Maritza. Jamie i Nicholas nadal tam mieszkają, ale to się wkrótce zmieni. Dlaczego jesteś taka pewna, że Maritz wyszedł z ukrycia? Przecież go nie widziałaś.

- Nie szkodzi. Nie muszę go widzieć. Jesteśmy sobie bliżsi niż bliźniaki syjamskie. Zadzwoń, kiedy ten potwór już będzie gotowy, żeby wpaść w moje sieci.

- Pojutrze wyjeżdżam do Bellevigne.
- Jasne. Przecież to prawie Nowy Rok. Wszystkiego najlepszego, Nell.

*Trzydziestego grudnia, Paryż*

Schudłaś - powiedział Nicholas, kiedy Nell otworzyła drzwi.

- Masz kłopoty ze zdrowiem?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Ale byłam „niesamowicie gruba” i musiałam zrzucić kilka kilo. Szkoda, że madame Dumoit nie widziała mnie przed Medas.

Tanek wyglądał jak zwykle wspaniale - miał doskonałą figurę i prezencję. Nell patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby nigdy nie widziała mężczyzny.

- Nie byłam pewna, czy przyjdiesz. Zdjął płaszcz i rzucił go na krzesło.

- Przecież się z tobą umówiłem.

- Miesiąc temu.

- Oboje byliśmy zajęci. Ale nie pozwoliłbym ci wyjechać bez planu. - Uniósł brew. - Kawy?

- Już zrobiłam. Weszła do małej kuchenki i naląła kawę.

- Miałaś jakieś wiadomości z rancho?

- W zeszłym tygodniu telefonowałam do Michaeli. Peter czuje się dobrze. Przeprowadził się na stałe do Bar X. Prosiłem Michaelę, żeby przekazała mu twoje pozdrowienia.

- A Jamie?

- W porządku.

- Nadal mieszka w willi?

- Nie, przyjechał ze mną do Paryża. Zatrzymał się w Inter Continentalu.

Wręczyła mu filiżankę.

- Wybiera się z tobą do Bellevigne?

- Tego nie przewiduje umowa z Gardeaux. Będę sam. - Skłonił głowę. - Oczywiście, nie wspominając o pani, *madame*.

Zaniósł filiżankę z kawą do salonu. Nachylił się nad kominkiem.

- Gaz?

Skinęła głową, a on podпалиł szczapy.

- Tak lepiej. Nie cierpię wilgotnych, chłodnych nocy.

Znowu przytaknęła.

Co się z nią działo? Nie mogła oderwać od niego oczu.

- Usiądź.

Opadła na kanapę stojącą przed kominkiem. Chwilami czuła się tak, jakby Tanek potrafił czytać w jej myślach. Teraz nie mogła mu na to pozwolić.

- O której jest ten pokaz? - zmienił temat.

Usiłowała nie odetchnąć z ulgą.

- O pierwszej. Jutro rano wyjeżdżamy. A po pokazie mamy się wmieszać tłum i prezentować suknie.

- Przez cały dzień?

Przytaknęła.

- Wieczorem zmieniamy kreacje, a potem idziemy na przyjęcie.^

- Świetnie. - Ukląkł przed kominkiem, wyjął z kieszeni kartkę papieru i rozłożył ją na podłodze. - Oto plan Bellevigne. Tu znajduje się budynek, w którym odbywać się będzie festyn. Zanim ja dotrę na miejsce, przyjęcie rozkręci się na dobre. - Wskazał placem długi prostokąt z boku. - A to jest prywatna sala, gdzie Gardeaux urządza mecze szermiercze. Ostatni zaczyna się o trzeciej, nagrody rozdają o szóstej, więc do wieczora zrobi się pusto.

Sala szermiercza. Na samo wspomnienie opowieści Jamiego poczuła przyływ strachu. Wirusy na ostrzach. Makabryczna zemsta Gardeaux. Przeniosła spojrzenie na twarz Taneka.

- Dlaczego o tym mówisz?

- Bo na tę salę zabierze mnie Gardeaux. Omal nie rozlała kawy.

- Nie!

- Tak - powiedział cicho. - To jedyne miejsce, gdzie mój plan

może się powieść. Jeśli Gardeaux połknął haczyk, będzie musiał ze mną rozmawiać w odosobnionym miejscu.

- Gdzie zastawi na ciebie pułapkę.

- Myślę, że go przechytrzę. Gardeaux na pewno mnie obszuka, więc wczesnym wieczorem wśliznij się jakoś na salę i zostaw to magnum 44 pod krzesłem A15. - Wręczył jej broń. - To pierwszy rząd w środkowym sektorze.

- Myślisz, że go przechytrzysz? Co właściwie zamierzasz?

- Doprowadzę do sytuacji, w której uda mi się go załatwić.

- W jaki sposób?

- Na sali będę musiał zaufać intuicji. Już tak robiłem.

- On cię zabije.

Uśmiechnął się.

- Zawsze braliśmy pod uwagę tę możliwość. Ale tym razem wszystko się uda. Pomożesz mi?

- Twój przyjaciel O'Malley zginął.

- Nie widzę innego sposobu. Mogę na ciebie liczyć?

Najwyraźniej już podjął decyzję.

- Czy to wszystko?

Wskazał jej inne miejsce na planie.

- Ten most zwodzony. Będzie strzeżony, ale chyba nie każą go podnieść ze względu na gości. Do dwudziestej trzeciej czterdzieści musisz się pozbyć strażników. Do dwudziestej trzeciej czterdzieści, powtarzam, bo o tej porze musisz już być przy skrzynce z bezpiecznikami zawieszanej jakieś pięć metrów od drzwi. - Wskazał południową stronę sali. - Wygasisz światła i pobiegniesz szybko do mostu. Po drugiej stronie fosy, w lesie spotkasz się z Jamiem. A ja będę tuż za tobą.

- Może.

Nie zwrócił uwagi na ten komentarz.

- Gardeaux zostawi pewnie strażnika przed salą. Zanim wejdiesz do środka przez południowe wejście, zrobisz z nim porządek. Postaraj się to załatwić cicho i sprawnie, bo inaczej zginę. Weźmiesz na siebie taką odpowiedzialność?

- To o wiele poważniejsze zadanie, niż sądziłam. - Tak

poważne, że nawet nie chciała o nim myśleć. - Myślałam, że jesteś większym egoistą.

- Słusznie. Przecież zostawiłem dla siebie Gardeaux. - Spojrzał jej w oczy. - Dziwię się zresztą, że nie walczysz ze mną o ten przywilej.

Potrząsnęła głową.

- On musi umrzeć i ja chcę się do tego przyczynić, ale będę całkowicie usatysfakcjonowana, jeśli ty to zrobisz. Gardeaux jest dla mnie zbyt... daleki. Nigdy go nie widziałam, nigdy nawet nie słyszałam jego głosu. Wiem, że ponosi za wszystko taką samą odpowiedzialność jak Maritz, ale traktuję go inaczej niż ty.

- Zaciśnęła usta. - Ale nawet nie próbuj odebrać mi Maritza.

- Wszystko po kolei.

- Czy to był wykręt?

- Chyba tak. Nie chcę na razie myśleć o Maritzu. Fakt, że powierzam ci takie zadanie w Bellevigne, absolutnie mnie przeraża.

- Czyżby? Sądzisz, że sobie nie poradzę?

- Gdybym tak uważał, dosypałbym ci do kawy środków nasennych i zamknął do jutra wieczór. - Uśmiechnął się. - Jesteś bystra, dobra, a Jamie ma rację. Ja też żałuję, że z nami nie pracowałaś za starych czasów. - Spoważniał. - Co nie znaczy, że nie trzymałbym cię jak najdalej od Bellevigne, gdybym tylko mógł.

- Mam prawo tam być.

- Tak. - Mrugnął. - Ale mimo wszystko nie trać z oczu tego dzbanka z kawą.

Uśmiechnęła się do niego.

- Zamierzam go bez przerwy pilnować.

- Może nie bez przerwy. - Postawił filiżankę na kominku.

- Będzie nam przeszkadzał. Dobrze? - spytał, biorąc ją w ramiona.

Bardziej niż dobrze. Namiętność. Komfort. Dom. Przytuliła się mocno do Taneka.

- Dobrze.

- To było za łatwe. Może powinienem częściej wyjeżdżać.

- Pocałował ją. - Albo po prostu pomagasz żołnierzom idącym na wojnę?



- Zamknij się - szepnęła. - Ja też będę walczyć. - Tego właśnie potrzebowała. Potrzebowała Nicholasa. Zaczęła rozpinąć bluzkę. - To ty powinieneś wspierać mnie.

- Nie tutaj. - Podniósł ją na nogi. - Gdzie jest sypialnia? Nie zamierzam pozwolić się uwieść przed kominkiem. Ognisko kojarzy mi się raczej z obozem harcerskim.

Gdy zaczął się ubierać, wyglądał jak cień - blada, niewyraźna figura w mrocznej szarości pokoju.

- Bądź ostrożny - szepnęła.

- Próbowałem cię nie obudzić. - Usiadł na łożku. - Dlaczego, Nell? Wzięła go za rękę.

- Mówiłam ci już, że potrzebowałam pomocy i pociechy.

- Dałaś więcej, niż wzięłaś. Gdzie się podział ten cały gniew?

- Nie wiem. Czułam tylko, że bardzo się za tobą stęskniłam. Chyba nie myślę jasno.

- Nadal trzymasz głowę w piasku. - Pieścił delikatnie jej włosy. - Ale może myślisz jaśniej, niż ci się wydaje. Czasem najlepiej jest zaufać intuicji. - Uśmiechnął się. - Efekt murowany.

Ścisnęła mocniej jego rękę.

- Nie podoba mi się ten plan. Zbyt wiele rzeczy może się nie udać.

- Nigdy nie będzie lepszego planu ani momentu. I jestem tym wszystkim śmiertelnie zmęczony. Ten sukinsyn Gardeaux żyje sobie w pałacu jak tłusty kocur. Nie chcę się już zadręczać bezsensowną śmiercią Terence'a. Nie chcę się już martwić o ciebie. Muszę załatwić tę sprawę i wrócić do domu. To ostatnia okazja, Nell. Sądzisz, że warto?

- Świetny sobie wybrałaś moment na takie rozmowy! Znasz odpowiedź.

- Mimo wszystko pytam.

- Zostawiasz mi pole manewru. A ja wcale sobie tego nie życzę. - Spojrzała mu w oczy. - Ci ludzie zabili moją córkę.

Z rozmysłem i okrucieństwem. Odebrali jej życie, jakby była nic niewarta, i uszło im to na sucho. Nadal będą mordować i krzywdzić niewinnych ludzi, jeśli... - Urwała. - Nie. Nie robię tego dlatego, że się boję o innych. Nie jestem typem społecznicy. Chodzi o Jill. Zawsze chodziło wyłącznie o nią.

- W porządku. Spodziewałem się takiej odpowiedzi. Gdyby jednak coś zaczęło się walić, zwiewaj. Słyszysz?

- Słyszę.

- Ale niczego nie obiecujesz. W takim razie powiem to inaczej. Jeżeli zginiesz, Gardeaux i Maritz przeżyją i nikt nie zapłaci za śmierć Jill.

Przez twarz Nell przebiegł skurcz bólu.

- Miałem nadzieję, że to do ciebie dotrze. - Wstał i ruszył do drzwi. - Jedenasta czterdzieści pięć. Tylko się nie spóźnij.

*Sylwester. Dwudziesta druga trzydzieści pięć*

Szczupły, wypielegnowany Gardeaux wyglądał w zielono--złotym renesansowym kostiumie jak dostojny polityk. Uśmiechał się wytwornie do swojej żony i nie zwracał uwagi na całe stado ustosunkowanych gości.

Uroczy facet.

Nell nigdy by się nie domyśliła, że w przeciwległym kącie sali stoi jego kochanka i że Gardeaux to morderca dzieci.

- Na co się gapisz? - syknęła madame Dumoit. - Nie przywieźliśmy cię tutaj po to, żebyś stała w kącie i wybałuszała gały. Prezentuj suknię Jacquesa.

- Bardzo przepraszam. - Nell postawiła kieliszek na tacy, weszła w ciżbę i zmieszała się z tłumem gości. Na sali był taki ścisk, że w ciągu kilku sekund mogła się ulotnić.

A za dwadzieścia pięć minut Nicholas miał pojawić się na zamku.

W sali panował zbyt wielki upał, muzyka była za głośna.

Obserwować Gardeaux. Obserwować zabójcę dzieci. Jak on mógł się tak uśmiechać, skoro za kilka godzin zamierzał zabić Nicholasa?

Boże, jak ona się bała.

Gardeaux odwrócił się od żony, wyciągnął rękę, a jego twarz rozjaśnił powitalny uśmiech.

Zbliżał się do niego mężczyzna - niski, dość krępy, poruszający się nieco niezręcznie w czarnym smokingu.

Nell zamarła z wrażenia.

Kabler?

Kabler również się uśmiechał. Uścisnął dłoń Gardeaux i poklepał go po plecach.

Kabler. Przecież Kabler go nienawidził. Kablera by tutaj nie było.

Ale jednak był i traktował Gardeaux jak najlepszego przyjaciela.

Przecież pracował w policji. Widocznie przybył tutaj z tajną misją. Udawał kogo innego.

Podeszła bliżej, utkwivszy wzrok w obu mężczyznach.

Gardeaux przedstawiał Kablera żonie. Jego dobry przyjaciel Joe Kabler z Centralnej Agencji Antynarkotykowej.

Wiedział, kim jest Kabler. Kabler, jego dobry przyjaciel.

Nicholas powiedział, że za pieniądze można kupić wszystkich.

Nell nigdy by jednak nie posądzała Kablera o zdradę.

Uśmiechał się teraz do żony Gardeaux i mruczał coś na temat wspaniałego przyjęcia, dziękując wylewnie za zaproszenie. Powędrował spojrzeniem po pokoju. Teraz już Nell nie miała wątpliwości. Ten policjant należał do ludzi Gardeaux.

I mógł ją rozpoznać.

Poczuła przyspieszone bicie serca. Co ona wyprawia? Szybko obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi.

Widział ją?

Bała się spojrzeć przez ramię. Kabler dostrzegł co najwyżej jej profil i tył głowy.

Co najwyżej? To by mu przecież całkowicie wystarczyło. Tyle godzin spędzili razem.

Przeszła szybko przez drzwi w holu.

Oby jej nie widział!

Zbiegając schodami prowadzącymi na dziedziniec, zerknęła przez ramię.

Kabler - z ponurą miną - przebijał się przez tłum w korytarzu.

Dopadł ją w holu i odwrócił twarzą do siebie.

- Puść mnie. - Podniosła na niego wzrok. - O parę metrów stąd są ludzie. Zacznę krzyczeć.

- Nie zaczniesz. Nie zechcesz zepsuć tego, co zamierzasz zrobić. Ostrzegałem cię przecież, żebyś trzymała się z dala od Taneka. Widzisz, co zrobił. - W jego głosie wyraźnie pobrzmiwał żal. - Nie chcę, żeby ci się coś stało. Daj sobie spokój. Nadal mogę cię uratować.

- Wstawiając się za mną u swego przyjaciela Gardeaux?

- Ten śmieć nie jest moim przyjacielem i nie zwróciłby uwagi na żadne wstawiennictwa, gdyby się dowiedział, kim jesteś.

- Jeszcze mu nie powiedziałaś?

- Powiedziałem, że chyba zauważyłem kogoś znajomego. Nie chcę, żebyś zginęła. Niech Gardeaux się lepiej zajmie Tanekiem, który jest takim samym śmieciem, jak ta cała reszta.

- A ty?

Skrzywił się.

- Już nie mogłem z nimi walczyć. To się zbyt długo ciągnie. Kiedy wróciłem do domu z Idaho, znów zastałem u siebie jednego z ludzi Gardeaux. I lekarza. Mój syn jest chory na białaczkę. Należy mu się wszystko, co najlepsze i teraz mnie na to stać. A z nimi nie można wygrać. Mają za dużo pieniędzy i władzy. Nikt ich nie pokona.

- Więc postanowiłeś się do nich przyłączyć. Ile on ci płaci, Kabler?

- Dosyc. Moja żona wreszcie dostaje rzeczy, na jakie zasłużyła. Zapewnię odpowiednią przyszłość dzieciom.

- Świetnie. Gratuluję. Ja straciłam dziecko. Moją córkę zabił Gardeaux.

- Ale ty żyjesz. I ja chcę, żebyś żyła. Nie jesteś taka jak oni.

- Może taka jak ty?

Przytaknął.

- Nieważne, co się z nimi stanie. Nie zależało mi ani na Calderze, ani na tamtej kobiecie. Byli równie szmatławi jak Gardeaux.

Popatrzyła na niego z przerażeniem.

- Więc to ty ich zabiłeś?

Potrząsnął głową.

- Ja tylko powiedziałem Gardeaux, gdzie ich szukać. On chciał, żebym najpierw zabrał tam ciebie. Dzięki temu mogłem twierdzić, że ktoś mnie śledził. - Uśmiechnął się gorzko. - Jestem dla niego bardzo cenny. Bał się, że moi szefowie zaczną coś podejrzewać.

- Wykorzystałeś mnie. Zrobiłeś dokładnie to, o co oskarżałeś Nicholasa.

- Miałś prawo się dowiedzieć prawdy o Calderze.

- A jak wyjaśnisz swoją obecność tutaj? Przecież twoi ludzie wiedzą, kim jest Gardeaux.

- Próbuję tylko zbierać informacje. Wykonuję swoją pracę.

- Zerknął przez ramię. - Za długo rozmawiamy. Tanek zjawi się tutaj za kilka minut. A ty w niczym mi nie przeszkodzisz.

- Pomożesz mu zabić Nicholasa?

- Nie muszę mu pomagać. Nie dlatego tu przyjechałem. Gardeaux chciał, żebym się pojawił, klepnął go w plecy i zneutralizował ewentualne szkody, jakie Tanek mógłby wyrządzić jego reputacji. - Wziął ją pod ramię. - Zabiorę cię do swego pokoju i zostaniemy tam razem. Jak już będzie po wszystkim, pozwolę ci iść swoją drogą.

Kiedy będzie po wszystkim. Po śmierci Nicholasa.

- A jeżeli zacznę się opierać?

- Wtedy będę musiał powiedzieć Gardeaux, kim jesteś. A on zabije i ciebie, i Taneka. Ale ja wcale tego nie chcę, Nell - dodał łagodnie. - Wolałbym, żeby nic ci się nie stało. Idziemy?

Nie blefował. Na pewno by ją wydał. Zanadto sobie cenił związek z Gardeaux.

- Tak.

W mgnieniu oka znalazł się obok i ujął ją pod łokieć.

- Pod tym błazeńskim ubraniem mam rewolwer. Musisz o tym wiedzieć. - Poprowadził ją na schody. - Uśmiechaj się - mruknął.

Zerknęła na zegar wiszący obok drzwi sali balowej. Zaciśnęła rękę na poręczu.

Dochodziła jedenasta.

*Dwudziesta trzecia dziesiątka*

Z limuzyny wysiadły cztery osoby. Dwie kobiety w renesansowych sukniach pod aksamitnymi pelerynami oraz ich towarzysze ubrani w smokingi. Rozmowy. Śmiechy.

Nicholas skorzystał ze wspaniałej sposobności, by wmieszać się w tłum. Wszedł z cienia drzew i szybko pokonał fosę.

Przez cały czas trzymał się blisko czwórki nowych gości.

- Tanek! No, nareszcie. - Gardeaux stał u szczytu schodów. Nie patrzył na eleganckie pary, tylko na Taneka. - Czekałem na ciebie.

Nicholas zbliżył się do nieznajomych.

- Nigdy nie mogę się oprzeć zaproszeniu na przyjęcie.

- Ten festyn będziesz musiał opuścić. - Zrobił szybki gest ręką i goście rozstąpili się nagle niczym Morze Czerwone. - Nie przyprowadziłeś straży przybocznej?

Nicholas patrzył, jak cała czwórka zmierza pospiesznie w stronę limuzyny.

- Twoi ludzie?

- Oczywiście. Wiedziałem, o której godzinie się ciebie spodziewać. Wystarczyło tylko skonstruować pułapkę. Nie mogłem cię przecież wpuścić do sali balowej. Z pewnością narobiłbyś mi kłopotów. - Zerknął przez ramię. - Rivil, zaprowadzimy teraz pana Taneka na salę. - Znow spozrzył na Nicholasa. - Pamiętasz Rivila?

- Jakże mógłbym zapomnieć? - Patrzył, jak goryl schodzi ze schodów. - Zrobił na mnie ogromne wrażenie.

Za Rivilem szedł niski mężczyzna. Nicholas rozpoznał w nim Marple'a, który doskonale posługiwał się garrotą, miał szybki refleks i nie znał litości. Gardeaux najwyraźniej zebrał w Bel-levigne najlepszych fachowców.

- Widzę, że dopisuje ci poczucie humoru. Ale to dobrze. Będzie interesująco, jeżeli się nie załamiesz. - Gardeaux wbił wzrok w zawinięty w skórę miecz i na jego twarzy pojawił się błysk zainteresowania. - To ten?

Nicholas przytaknął.

Gardeaux zbiegł szybko po schodach i odebrał mu pakunek.

- Wszystkie starania na nic. Jesteś skończony, Tanek. - Zaczął odwijać miecz i nagle przerwał. - Zabierzmy go z dziedzińca.

- A jeśli nie pójdę?

- To Rivil walnie cię w głowę i będziemy musieli cię zanieść.

- Gardeaux ruszył w stronę sali. - Proste, prawda?

Nie należało przesadzać. Gardeaux znał go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że Tanek nie będzie tracił energii na daremne protesty.

Pozwolił się zaprowadzić na salę.

### *Dwudziesta trzecia dwadzieścia*

Ciardeaux zaczął oglądać swoją zdobycz, kiedy tylko dotarli na salę.

- Wspaniały - szepnął. - Czuję tę siłę.

Nim ruszył wzdłuż nawy w stronę podium, dotknął czule miecza.

- Nigdy nie widziałeś mojej sali, prawda? - spytał Taneka.

- Dziś po południu walczyli tutaj najwięksi szpadziści świata. Oprócz Pietra. Choć on zapewne pobiłby ich wszystkich. - Gardeaux zatrzymał się obok pochylni i wskazał wysokiego, szczupłego szermierza. - Przedstawiam wam Pietra Daniela. - W szermierczym stroju i masce mężczyzna wydawał się zupełnie anonimowy. - Już od dawna chciałem, żebyście się poznali.

- Podał miecz Karola Wielkiego Nicholasowi. - Broń zwycięzcy powinna przynieść ci szczęście.

Nicholas zignorował miecz.



- Nie zamierzam z nim walczyć. Nie dostarczę ci rozrywki, Gardeaux.

- Chodź tu, Piętro.

Szermierz zeskoczył z pochylni i podszedł do nich z wyciągniętą szpadą. Rivil i Marple odeszli na bok.

- Pokaż Tanekowi swoje cudo. On ostatnio interesuje się bronią.

Piętro wyciągnął klingę na odległość dwóch centymetrów od piersi Taneka. W świetle reflektorów czubek szpady błysnął wilgocią.

- *Coloño*. Kiedy się dowiedziałem o twoim przybyciu, zamówiłem świeżą dostawę. Piętro musi tylko przebić skórę. Pamiętasz, jak niewielka była ranka O'Malleya? I wcale długo nie krwawiła. Od razu wytworzył się wokół niej niewielki pęcherz. Ale kiedy O'Malley umierał, całe jego ciało było pokryte strupami i ranami. Wirus zjadł go od środka.

Nicholas nie mógł oderwać wzroku od czubka klingi.

- Pamiętam.

- Jeśli Piętro cię teraz skaleczy, nie będziesz miał szans. Weź miecz. To też jest broń, a tobie nie brakuje sprytu. Skorzystaj z okazji.

- Jeśli zwyciężę, Rivil i Marple wycelują we mnie z rewolwerów, a ty skaleczysz mnie szpadą. Prawda?

- Nie obiecywałem, że zaproponuję ci korzystne warunki.

- Chcesz zobaczyć, jak się spełnia twoja wola.

- Trudno mi sobie wyobrazić większą przyjemność. - Znow podał miecz Tanekowi. - Weź go.

Piętro musnął czubkiem szpady przód koszuli Taneka.

- Bierz - powtórzył cicho Gardeaux.

Nicholas pomyślał, że to wszystko się dzieje zbyt szybko. Nell miała wygasić światła dopiero za dwadzieścia pięć minut.

- Na pewno nie chcesz umrzeć w ten sposób - powiedział Gardeaux.

Przed oczami Nicholasa znow stanął obraz Terence'a konającego w bólach.

- Nie, nie chcę. - Wyciągnął rękę, wziął miecz od Gardeaux i wskoczył na podest. - Zaczynamy.

Nell szarpnęła zasłony. W sali paliło się światło.

Zacisnęła palce na kotarze. Tam był teraz Nicholas, a Gardeaux chciał go zabić.

- Odejdź od okna - odezwał się Kabler.

Odwróciła się na pięcie.

- Nie wolno ci tego zrobić. On jest tam, na sali. Wiesz, co oni zamierzają?

- Nie pytałem o szczegóły. - Przyglądał się jej przez chwilę.

- Wydaje mi się, że planujesz coś głupiego, więc chyba będę musiał przedsięwziąć pewne środki ostrożności. Bardzo mi przykro. - Wyciągnął broń z kabury i wycelował w Nell. - Teraz siadaj. Ja nie jestem Calder i znam twoje możliwości. Niczym mnie nie zaskoczysz.

- Zabiłbyś mnie?

- Bardzo niechętnie.

- Ale jednak mógłbyś to zrobić. Nie sądzisz, że stałbyś się wówczas takim samym śmieciem, za jakiego uważasz Gardeaux?

Zacisnął usta.

- Nigdy nie będę do niego podobny.

- Będiesz, jeżeli mnie zastrzelisz. - Ruszyła w stronę wyjścia.

- Ale ty się na to nie odważysz.

- Odejdź od drzwi.

- Być może pozwolisz, żeby Gardeaux mnie zabił, ale sam tego nie zrobisz. Jesteśmy przecież inni. Nie tacy jak on.

- Świadomie parodiowała przemowę Kablera. - W żaden sposób nie potrafiłbyś sam przed sobą usprawiedliwić morderstwa.

- Zostań. Nie mogę cię stąd wypuścić.

Ale ona nie mogła się zatrzymać. Odczuła gwałtowny przyptyw paniki. Zacisnęła rękę na klamce.

Wymamrotawszy przekleństwo, rzucił się w stronę drzwi.

Zrobiła szybki obrót i kopnęła go w brzuch. Krzyknął i zgiął się z bólu.

Jeszcze jedno kopnięcie w żebra. Uderzenie kantem dłoni w szyję. Kabler był unieruchomiony, ale nadal przytomny. Musiał zniknąć na dobre ze sceny. Podniosła rzucony przez niego pistolet i walnęła go kolbą po głowie.

Kiedy policjant upadł na podłogę, otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz. W przelocie zerknęła na zegar. Do północy pozostało zaledwie dziesięć minut.

Nie zdążyła zdjąć strażnika.

Nie zdążyła odciąć prądu i zapewnić Nicholasowi ciemności.

Spóźniła się.

### *Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt jeden*

Co się z nią dzieje, u diabła?

Piętro natarł na Nicholasa, musnął go delikatnie czubkiem szpady i odskoczył tanecznym krokiem.

Szermierz po prostu się z nim drażnił. Urządzał przedstawienie dla Gardeaux. W ciągu ostatnich dziesięciu minut mógł ranić Nicholasa eo najmniej kilkanaście razy. Tanek - z ciężkim mieczem w ręku - poruszał się niezdarnie jak niedźwiedź i z trudem robił uniki.

Zerknął na ścienny zegar.

Za osiem dwunasta.

- Zmęczyłeś się, Tanek? - spytał Gardeaux, siedzący w pierwszym rzędzie.

Nicholas zablokował kolejne pchnięcie Pietra i cofnął się o krok.

- Myślałem, że jesteś silniejszy - zawołał Gardeaux. - Piętro potrafi to ciągnąć godzinami.

Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt trzy. Nie mógł dłużej czekać. Opuścił broń.

- Poddajesz się? Jestem zawiedziony. Sądziłem...

Nicholas uniósł miecz i rzucił nim w Pietra jak dzidą. Ostrze trafiło Pietra w udo, a ranny krzyknął boleśnie.

Zeskoczywszy szczupakiem z podium, Tanek pobiegł w stronę krzesła, pod którym Nell miała ukryć pistolet. Tuż koło głowy gwizdnęła mu kula.

- Zatrzymaj go, ale nie zastrzel, głupcze.

Nie, Gardeaux nie pozwoliłby sobie odebrać takiej frajdy.

Sięgnął pod siedzenie i wyciągnął magnum.

Dopadli go, zanim zdołał wycelować. Kiedy Rivil wytrącił mu broń z ręki, Gardeaux wysunął się naprzód z ironicznym uśmiechem na ustach.

Naigrywał się też na pewno z bezradności Terence'a - pomyślał Tanek. Poczuł, jak zalewa go nienawiść.

- Ty sukinsynu! - Zamachnął się szeroko i rąbnął Gardeaux pięścią w twarz.

Rivil kopnął Nicholasa w żołądek, a Marple uderzył go kolbą w skroń. Tanek upadł na podłogę, bliski utraty przytomności.

Zobaczył nad sobą twarz Gardeaux, który już się nie uśmiechał. Z ust ciekła mu krew.

- Przynieście szpadę Pietra,

Rivil wszedł na podium.

Nicholas próbował się podnieść, ale Gardeaux postawił mu stopę na piersiach.

- Czujesz się bezradny, Tanek? I boisz się tak bardzo, że zbiera ci się na wymioty? - Wziął od Rivila szpadę Pietra. - To nic w porównaniu z tym, jak się będziesz czuł za dzień lub dwa.

- Zatrzymał szpadę tuż nad jego barkiem.

- Nie za głęboko. Nie chciałbym, żebyś umarł zbyt szybko.

Tanekowi mignęło przed oczami błyszczące ostrze.

Gardeaux zatopił klingę w jego ramieniu.'

Nicholas zagryzł zęby, by powstrzymać okrzyk bólu. Trysnęła krew. Zamknął oczy.

- Szczęśliwego Nowego Roku! - rzucił Gardeaux, odwracając się w stronę wyjścia.

Do sali wlewał się cały strumień ludzi. Zbrodniarz zatrzymał się jak wryty i popatrzył z osłupieniem na orkiestrę, która właśnie zaczęła grać „Auld Lang Syne”.

- Co się dzieje, u diabła?

W powietrze rzucono confetti, trąbiono w rogi.

- Szczęśliwego Nowego Roku!

- Boże! To przecież premier! - Gardeaux zerknął na Nicholasa. - Rivil, zabierz go stąd. Tamtędy! Tym ostatnim wyjściem. Jeszcze go nie widzieli. - Osuszysz ostrożnie szpadę Pietra, wsunął ją pod rząd krzesel, a potem wytarł krew z ust zalezioną w kieszeni chusteczka. - Marple! Na podeście jest miecz. Powiedz Piętrowi, żeby go stamtąd usunął, zanim któryś z tych głupców go znajdzie. - Z przylepionym uśmiechem ruszył w stronę gości napływających falami do audytorium.

Rivil postawił Taneka na nogi i powlókł go do wyjścia. Nagle wyrosła przed nimi Nell.

- Ja go zabiorę.

Bandyta zaczął ją odpychać.

- Powiedziałam, że go zabiorę. - Wycelowwała do niego z pistoletu dobytego z fałd renesansowej sukni. Głos jej drżał.

- Puść go, draniu.

Rivil wzruszył ramionami i odsunął się na bok.

- Proszę bardzo. Właściwie chodziło tylko o to, żeby ten facet stąd zniknął. Gardeaux już go załatwił. Wszystko jedno, kto go stąd wyniesie. - Poszedł w kierunku tłumu.

Nell podłożyła Nickowi ramię pod żebra.

- Oprzyj się o mnie.

- Nie mam wyboru. Niezbyt dobrze się czuję.

- Tak mi przykro - szepnęła. Po jej twarzy spływały łzy.

- Próbowałam... Kabler... Nie mogłam...

- Nie bardzo rozumiem, co mówisz. Kręci mi się w głowie. Później... - Zerknął za siebie. - Ale skąd się tutaj wzięli ci ludzie?

Otworzyła drzwi.

- Spóźniłam się - powiedziała szybko. - Nie zdążyłam ani zlikwidować strażnika, ani wygasic światel. Pobiegłam więc do sali balowej i powiedziałam orkiestrze, że Gardeaux chce ob-

chodzić Nowy Rok w miejscu, gdzie sportowcy święcili swoje największe triumfy. A tłum wparował tutaj za muzykami.

- Dobry pomysł.

- Nie był dobry - powiedziała gniewnie. - Zjawiłam się za późno. Co oni ci zrobili?

- Dostałem po głowie. No i jeszcze to skaleczenie...

Oddychała głęboko.

- Szpadą? Czyją?

- Bardzo nieprzyjemną szpadą. Jej właścicielem jest Piętro. Powinnaś mnie zawieźć do szpitala.

- Boże!

Z minuty na minutę coraz bardziej kręciło mu się w głowie.

- Po prostu zaprowadź mnie do Jamiego. Dobrze?

Przytaknęła i pomogła mu przejść przez podwórze. Strażnicy nawet nie próbowali ich zatrzymać.

- Mówiłaś, że będę musiała się ich pozbyć - powiedziała tępo.  
- A oni mają nas gdzieś.

- Gardeaux również tam nas ma. Przytulila Taneka mocniej.

- Niech go diabli wezmą.

Nell cierpiała, a on chciał ją pocieszyć. Nie potrafił jednak tego zrobić. Później. Pomyślał, że zajmie się tym później.

Izba przyjęć szpitala Our Lady of Mercy pękała w szwach i doktor Minot nie miał ochoty wysłuchiwać prośb Nicholasa.

- Rana nie jest zbyt głęboka, proszę pana. Podamy antybiotyki i zastrzyk przeciwtężcowy. Nie widzę powodu, by robić badanie krwi.

- Bardzo mi na tym zależy - powiedział Nicholas. - Pan przecież zna takich hipochondryków jak ja.

- Nie mamy tu czasu na takie zabawy. Jeśli jednak pan nalega, wyślemy krew do laboratorium poza szpitalem. Wyniki powinny nadejść za dzień lub dwa.

- Potrzebuję ich zaraz.

- Niemożliwe, nie...

Nell zrobiła krok do przodu i znalazła się zaledwie o parę centymetrów od młodego doktora.

- Zrobi pan to. - Patrzyła na niego płomiennym wzrokiem.

- Pobierze pan tę próbkę zaraz. Nie jutro. Natychmiast.

Młody lekarz cofnął się lekko i zdobył się na uśmiech.

- Oczywiście. Dla tak pięknej damy uczynię wszystko.

- Ile czasu to panu zajmie?

- Najwyżej pięć minut. Nie więcej. - Skierował się do odejścia.

Nicholas uśmiechnął się z trudem.

- Co zamierzałaś mu zrobić?

- Cokolwiek. Zabić albo pójść z nim do łóżka. - Usiadła.

- Jak się czujesz?

- Czuję, że się o mnie troszczysz.

- W Bellevigne nie zatroszczyłam się o ciebie zbyt dobrze.

- Zdarza się. Nie przewidzieliśmy Kablera. Gdzie Jamie?

- Nadal w poczekalni. Wpuszczają tylko jedną osobę. Czy Minot będzie w stanie nam powiedzieć, jak poważnie cię zainfekowano?

Przytaknął.

- Te wirusy są niesamowite. Pod mikroskopem doskonale je widać.

- Co zrobimy?

- Nie liczymy bakcyli na niedźwiedziu, zanim...

- Zamknij się. - Głos jej drżał. - Jak śmiesz żartować w takiej sytuacji?

- No, już dobrze - powiedział z uśmiechem. - Na razie czekajmy.

Lekarz nie wrócił jednak za pięć minut. Pojawił się po kwadransie z marsową miną.

- Gotowe. Nic szczególnego. Całkowita strata czasu. Mam nadzieję, że jest pan zadowolony.

Nell popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Wszystko w normie?

- Całkowicie.

Nicholas oparł się o poduszki.

- Bogu dzięki!

- Teraz przepiszę panu antybiotyki i jakiś środek uspokajający w razie...

- Muszę zadzwonić - powiedział Nicholas, siadając na łóżku. - Nie widzę tutaj aparatu.

- Będzie pan mógł z niego skorzystać po tym, jak... - Zerknął na Nell.

- Poproszę pielęgniarkę, żeby przyniosła panu telefon. - Wyszedł z pokoju.

- Jak to się mogło stać? - szepnęła Nell. - Przecież to cud.

- Żaden cud. To coś o wiele sprytniejszego.

Crardeaux był nadal na sali, kiedy zadzwonił do niego Nicholas. Przyjęcie trwało w najlepsze i goście najwyraźniej nie zamierzali przerywać zabawy.

- Gzy mogą mi państwo wybaczyć? - spytał Gardeaux, gdy podano mu aparat. - Ktoś, kto dzwoni o tej porze, z pewnością potrzebuje pomocy.

- Albo drinka - roześmiał się premier. - Zaproś go na przyjęcie. Masz najlepsze wino w całej południowej Francji.

Gardeux uśmiechnął się i przeszedł w spokojniejszy kąt sali. Mógł wprawdzie zignorować Taneka, ale wiedział, że ta rozmowa sprawi mu przyjemność.

- O co chodzi? - rzucił w słuchawkę. - Wpadłeś w panikę? Zebranie na nic się nie zda. Jak wiesz, antidotum na *coloño* nie istnieje.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że miecz Karola Wielkiego to falsyfikat.

- Nawet gdyby był prawdziwy, w tej sytuacji nie powiedziałbyś nic innego - odparł gniewnie Gardeaux.

- Wykonał go Hernando Armandariz z Toledo. Możesz sprawdzić.

Gardeaux wciągnął głęboko powietrze.



- Nie chodzi o miecz. Nadal jestem do przodu. Ty przecież już nie żyjesz. A teraz, jeśli mi wybaczysz, muszę wracać do gości.

- Nie zatrzymam cię długo. Chciałem ci tylko powiedzieć, że jutro kurier dostarczy ci pewną wiadomość. - Urwał. - I jeszcze coś. Powinieneś się przejrzeć.

Odłożył słuchawkę.

Gardeaux zmarszczył brwi. Tanek był zdecydowanie zbyt tajemniczy. Oczywiście, nie zamierzał korzystać z lustra. Czyżby miał tam zobaczyć potwora? Przecież to on odniósł sukces. Z jakiego powodu...

Jego odbicie wyglądało tak, jak powinno wyglądać. Ze szklanej tafli patrzył na niego człowiek sukcesu, zwycięzca. Już zbierał się do odejścia, gdy zamarł i spojrzął za siebie.

Światło padało akurat na zranioną przez Nicholasa wargę.

Wokół rany powoli tworzył się pęcherz.

Zaczął krzyczeć jak opętany.

*Colonol* - Nell pokręciła głową z niedowierzaniem, pomagając Nicholasowi wsiąść do samochodu zaparkowanego poza szpitalem.

- Gardeaux ma *colohol* To czyste szaleństwo. Nie rozumiem.

- Udało się? - Jamie odwrócił się do nich zza kierownicy. Twarz rozjaśniał mu uśmiech. - Załatwiłeś tego sukinsyna?

- Mogę się założyć. - Nicholas rozparł się wygodniej. - Sprawdzimy wszystko jutro, ale Gardeaux jest teraz z pewnością w drodze do szpitala.

- Jak to się stało?

Nicholas znalazł w kieszeni chusteczkę i zdjął ostrożnie sygnet ze środkowego palca.

- To współczesna wersja renesansowego zatrutego pierścienia. Pomyślałem, że się nada, bo Gardeaux tak bardzo kocha tę epokę.

- Włożył sygnet do chustki i związał dokładnie cztery rogi przed wrzuceniem zawiniątka do popielniczki. - Pod wpływem uderze-

nia wyryty w złocie monogram sprężynuje, a ze środka wypływa trucizna.

Na samą myśl o tym, że Tanek miał sygnet na palcu podczas walki z ludźmi Gardeaux, Nell dostała dreszczy.

- Byłem bardzo ostrożny - powiedział Nick, najwyraźniej czytając w jej myślach.

- Dopisało ci szczęście. Ale skąd wzięłeś *coloñol*

- Z tego samego źródła, z którego korzystał Gardeaux. Od Palomy i Juareza.

Paloma i Juarez. Wspólnicy Sandequeza.

- Dali ci truciznę, żebyś mógł wykończyć ich człowieka?

- Nie od razu. Spędziłem dwa tygodnie w Medellin, czekając na ich decyzję. Wszystko wisiało na włosku aż do ostatniej chwili. - Oparł głowę o siedzenie. - Kiedy sytuacja się wyjaśniła, pojechałem do Pardeau. To on księgował pieniądze, jakie przywłaszczył sobie Gardeaux z puli przeznaczonej dla Kolumbijskiej Brygady Antynarkotykowej. Powiedziałem mu, że jestem w drodze do Medellin, i kazałem mu wybierać między Gardeaux a całym kartelem narkotykowym. Dał mi księgi.

- A ty je pokazałeś Palomie i Juarezowi na dowód, że" to Gardeaux zabił Sandequeza.

- Wcale się z tego nie ucieszyli. Jednoś bardzo wiele dla nich znaczy. Gwarantuje przetrwanie. Skoro Gardeaux zabił Sandequeza, mógł również podnieść rękę na nich. Z drugiej strony żadna formacja nie przyznaje się chętnie do rozłamu, a Gardeaux był dla nich bardzo cenny. Gdyby mimo wszystko zdecydowali się dalej z nim współpracować, wcale bym się tak bardzo nie zdziwił.

- Ale nie podjęli tego ryzyka?

- Zaoferowałem im swoje usługi. Śmierć Gardeaux z ręki kogoś spoza kartelu rozwiązywałaby częściowo ich problemy. Po dwóch tygodniach odezwali się do mnie i zawarliśmy układ. Gardeaux zwrócił się do nich z prośbą o nową dostawę *colono*, więc podmienili ampułki. Zamiast wirusa posłali mu jakiś nieszkodliwy płyn, a mnie dali zatruty sygnet i życzyli szczęścia.

- Dlaczego trzymałeś to w tajemnicy?

- Bo miałem za dużo wątpliwości. Nie byłem pewien, czy dotrzymali umowy. Poza tym istniała inna ewentualność. Juarez i Paloma mogli dolać trucizny do sygnetu, ale posłać ją też Gardeaux. W ten sposób pozbyliby się nas obu za jednym zamachem.

- Dlaczego kazałeś mi podłożyć broń, skoro zdobyłeś pierścień?

- Dla pewności. Wiedziałem, że ochrona nie dopuści mnie do Gardeaux. Dlatego chciałem, żebyś zgasiła światło. Sądziłem, że wtedy go zaatakuję.

Nell nie dała mu jednak tej szansy. - Nie zdążyłam.

- Ale miałem broń, którą dla mnie schowałaś. Mogłem się nią posłużyć, żeby go sprowokować. Mało brakowało, a nic by z tego nie wyszło.

- Jednak wyszło - powiedział Jamie. - Co teraz? Gardeaux będzie cię ścigał?

- W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin straci wszelkie zainteresowanie czymkolwiek poza sobą.

- Dokąd jedziemy? Do willi?

- Nie — odparła szybko Nell. - Ghcę wracać do Paryża.

- W porządku - przytaknął Nicholas i odwrócił się do Jamiego. - Zabierz tylko Pardeau z miasta. Obiecałem, że będę go chronił.

- Jasne, należy dbać o bydło i idiotów - mruknęła Nell. Reardon rzucił na nią ostrożne spojrzenie.

- Bardzo ze mną źle? - spytał cicho Nicholas. Nie odpowiedziała.

Przymknął oczy.

- W takim razie odpocznę i zacznę zbierać siły. Obudź mnie w Paryżu.

Nell zatrzasnęła za nimi drzwi od mieszkania.

- Idź spać. Ja pojedę się do apteki i zrealizuję receptę.

- To nie jest konieczne.

- Jest. A może sądzisz, że z tym również nie dam sobie rady?

- Znowu się zaczyna - westchnął Nicholas.
- Dlaczego nie pozwoliłeś, żebym ci pomogła?
- Przecież pozwoliłem.
- Mogłeś mi powiedzieć o *coloño*. Mogłeś mi zdradzić swój plan.
- Owszem.
- Ale ty zostawiłeś mnie na uboczu, a sam... - Urwała.
- Chyba zresztą postąpiłeś słusznie. Przeze mnie o mało nie zginąłeś.
- Zrobiłaś, co mogłaś.
- Ale to nie wystarczyło. Powinnam była szybciej zaatakować Kablera. Powinnam była zgasić światło. - Nie udało się jej powstrzymać łez. - Zawiodłam cię, cholera.
- Nigdy mnie nie zawiodłaś. Nie jesteś superkobietą. Takie rzeczy mają prawo się zdarzyć - powiedział szorstko. - Przeszedł przez pokój i chwycił ją za ramiona. - A nie powiedziałem ci o *coloño*, bo nie chciałem, żebyś się kręciła koło tego świństwa. Widziałem, co się stało z Terence'em. Nie mogłem znieść myśli o tym, że mogłoby ci grozić coś podobnego.
- Woląłeś sam zaryzykować. Wiesz, co czułam, kiedy mi powiedziałaś, że ta rana...
- Co czułaś?
- Czułam się winna, bardzo się bałam i...
- Nie chciałaś mnie stracić.
- To prawda. Nie chciałam.
- Dlaczego?
- Bo się do ciebie przyzwyczaiłam, bo...
- Dlaczego?
- Bo cię kocham, do diabła. - Ukryła głowę na jego ramieniu.
- I to mi sprawia ból. Wcale tego nie chciałam. Jesteś ostatnią osobą... Ty razem z twoimi przekłętymi ogrodzeniami. Umrzesz, tak jak umarła Jill. Nie mogę nawet znieść takiej myśli.
- Wszyscy umrzemy. Nie będę żył wiecznie. - Przytulił ją mocniej.
- Ale będę cię kochał tak długo, jak żyję.
- To mi nie wystarczy. Nie zgadzam się. - Odepchnęła go

mocno. - Idź spać. Nie chcę już na ciebie patrzeć. Wykupię receptę. - Porwała torebkę ze stołu i ruszyła do drzwi. - I to nic nie znaczy. Nie pozwolę... Jakoś sobie poradzę.

- Nie bądź taka pewna. - Uśmiechnął się. - Chyba powinniśmy się z tym pogodzić.

Zatrasnęła za sobą drzwi i otarła łzy z policzka. Pogodzić się? Wykluczone. Kiedy zobaczyła, że Nicholas jest ranny, zupełnie się załamała. Powrócił ból, który omal jej nie zabił po śmierci Jill. Nie mogła jeszcze raz doświadczać podobnych cierpień i zaakceptować takiej sytuacji.

*Drugiego stycznia, Paryż*

(Jrardeaux zgłosił się wczoraj do szpitala - powiedział Jamie, wchodząc do mieszkania z gazetą w ręku. - Zapadł na jakąś nieznaną chorobę i znajduje się w stanie krytycznym. - Uśmiechnął się. - Jakie to smutne, zważywszy, że pamiętny Festyn Renesansowy odniósł naprawdę ogromny sukces.

- A co z Kablerem?

Reardon wzruszył ramionami.

- O nim nic nie wiem. Sądzę, że znajduje się właśnie w drodze do Waszyngtonu i próbuje wymyślić jakiś sposób na ocalenie tyłka.

- Z pewnością wie, co przytrafiło się Gardeaux. Będzie usiłował się na tobie zemścić? - spytała Nell.

- Byłby idiotą, szczególnie teraz, kiedy wszedłem w posiadanie ksiąg. Jego nazwisko bardzo często się w nich powtarza.

- Kolejna polisa ubezpieczeniowa?

- Razem z księgami Simpsona po prostu platynowa.

- A Kabler nadal będzie pracował w Agencji Antynarkotykowej, jak gdyby nigdy nic?

- Jest sprytny. Oni się chyba nigdy nie domyśla prawdy.

Doczeka emerytury i odejście z pamiątkowym złotym zegarkiem za wzorową służbę.

Nell potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

- Nie możemy mieć wszystkiego - powiedział cicho Nicholas.
- Jego milczenie leży w moim interesie.
- Ale możemy się dobrać do Maritza - powiedział Jamie.
- Podobno jest w południowej Francji. Ktoś go widział w Monte Carlo.

Nell odwróciła głowę.

- Kiedy?
- Kilka dni temu. Właśnie to sprawdzam.
- Powiesz mi?

Nicholas popatrzył na nią badawczo.

- Specjalnie cię to nie podnieca.
- Ostatnio nie brakowało mi wrażeń - odparła sucho. - Wstała i podeszła do szafy z ubraniami. - Właśnie. Muszę zwrócić suknię pani Dumoit. Zostawiła mi trzy wiadomości na sekretarce. Chyba zamierza wezwać żandarmerię. - Zdjęła z wieszaka wymiętą, pokrwawioną szatę i skrzywiła się. - I tak to robi, kiedy zobaczy, jak ją zniszczyłam.
- Przerzuciła suknię przez ramię, chwyciła torebkę i skierowała się do drzwi. - Niedługo wrócę.

Jego wcale nie ma w Monte Carlo. Jest tutaj - powiedziała Tania, kiedy Nell zatelefonowała do niej z budki. - Ale to niedaleko. Joel i ja pojechaliliśmy tam na jeden dzień.

- A on za tobą.
- Wszędzie za mną chodzi. Najwyraźniej zaczyna się niepokoić i nie uważa. Wczoraj go widziałam.
- Gdzie?
- Na nabrzeżu. Dosłownie przez sekundę. Takie odbicie w oknie wystawowym.
- Słyszałaś o Gardeaux?
- Tak. On naprawdę zachorował? Nie tego się spodziewałam.

- Niespodzianka Nicholasa. - Urwała. - Kiedy?
- Wkrótce. Chcę się upewnić, że Maritz jest gotów do ataku. Zatelefonuję. Trzymaj się blisko domu.

Szybko wróciłaś - powiedział Nicholas, kiedy Nell weszła do mieszkania.

- Rzeczywiście. - Ale wystarczyło jej czasu na telefon do Tani i wynajęcie auta, które zostawiła po drugiej stronie ulicy. Już niedługo. Niedługo ten koszmar miał się wreszcie skończyć.

- Bardzo wrzeszczała? - spytał Nicholas.

- Kto? Ach, madame Dumoit?

- A któż by inny?

Pytanie było zupełnie zwyczajne, ale Nell zgaśniła się w duchu za brak czujności. Nic nie mogło ująć uwagi Nicholasa.

- Była wściekła. Twierdzi, że mnie zrujnuje. Już nigdy nie dostanę pracy jako modelka - dodała z uśmiechem.

- Szkoda. W tej sytuacji będziesz musiała się zająć hodowlą owiec.

Uśmiech zastąpiła natychmiast głęboka zmarszczka na czole.

- W porządku. Nie denerwuj się - powiedział cicho Tanek.

- Na razie dajmy temu spokój. - Wstał. - Może zabiorę cię na obiad? Jeszcze nigdy nie jedliśmy w publicznym miejscu. To będzie nowe doświadczenie.

*Trzymaj się blisko domu. Potrząsnęła głową.*

- Jestem zmęczona. Wolę zostać. Niedaleko jest sklep spożywczy. Może zrobisz jakieś zakupy?

Uniósł brwi.

- Jak sobie życzysz.

*Niedługo.*

Maritz był w ich pokoju hotelowym. Tania popatrzyła na kasetkę z biżuterią. Zostawiła ją na toaletce. A teraz pudełko stało w łazience.



Biała suknia od Armaniego, w której sfotografowano ją na lotnisku, leżała na krześle.

Był tutaj i chciał, żeby ona o tym wiedziała. Już nie zamierzał czekać.

*Czwartego stycznia, Siódma dziesiąta*

Kiedy zadzwonił telefon, Nell wyskoczyła z łóżka i pobiegła do salonu.

- Dziś - powiedziała Tania. - Wyjeżdżam do Willi o szóstej. Powinnam dotrzeć na miejsce około ósmej. Tylko się nie spóźnij.

- Na pewno będę punktualnie. - Spóźniła się w Bellevigne i o mało nie straciła Nicholas. Tym razem nic jej nie mogło powstrzymać. - Ale potem, jak już mi go wystawisz, nie będę potrzebowała pomocy.

- Zobaczymy.

- Nie. Nie masz prawa. On należy do mnie. Zrobiłaś swoje. Wypadasz z gry.

- Nie podoba mi się...

- On zabił moją córkę.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

- W porządku. Wypadam. - Tania odłożyła słuchawkę. Nell wróciła do łóżka i okryła się kołdrą.

- Kto to był? - spytał Nicholas.

Nie odpowiedziała. Już raz go okłamała. Nie chciała znów tego robić.

- Pomyłka?

Przytaknęła i przytuliła się do niego mocniej. On wcale nie wierzył w tę pomyłkę, ale zostawiał jej przynajmniej jakieś wyjście z sytuacji. Coś na pewno podejrzewał, ale nigdy by z niej tego nie wyciągał. To nie było w jego stylu. Zawsze wolałby obserwować i czekać.

- Chcę się z tobą kochać, Nicholas - szepnęła. - O ile oczywiście nie masz nic przeciwko temu.

- Za pierwszym razem, kiedy do mnie przyszłaś, też tak powiedziałaś. - Odwrócił się i wziął ją w ramiona. - Nie, nie mam nic przeciwko temu. Nigdy nie miałem. - Pocałował ją. - I nie będę miał przez następne pięćdziesiąt lat. Zawsze jestem na twoje rozkazy.

Przytuliła go mocniej.

- Jeśli tylko obiecasz uważać na moje żebra.

- Kocham cię, Nicholas.

- Ciii... Wiem. - Nachylił się nad nią. Już dobrze. Wiem.

### *Osiemnasta trzydzieści pięć*

Nell kieruje się na południe - powiedział Jamie.

- Nie strać jej z oczu. Będę jechał tuż za tobą. - Nicholas odłożył słuchawkę i wyszedł z mieszkania. Doskonale wiedział, że Nell nie podała mu prawdziwego celu swego wyjścia, więc musiał zmobilizować całą siłę woli, żeby nie zamknąć jej w domu na cztery spusty.

Południe. Monte Carlo?

Wsiadł do auta i przycisnął pedał gazu.

Kto, u diabła, wiedział, dokąd ona jedzie?

Tak czy inaczej, celem tej wyprawy był Maritz.

I to napawało Taneka przerażeniem.

### *Osiemnasta pięćdziesiąt*

Śliczna Tania postanowiła położyć temu kres.

Jechała triumphem z odkrywaniem dachem, a jej ciemne włosy rozwiewał wiatr.

Była sama.

Maritz utrzymywał odpowiednią szybkość, ale nie próbował wyprzedzać.

Wiedziała, że za nią jedzie.

Wiedziała, że mu się nie wymknie.

Wiedziała, że nadszedł czas zabijania.

Na samą myśl o walce, jaką musiał z nią stoczyć ostatnim razem, poczuł dreszcz rozkoszy. A teraz - gdy dziewczyna zdawała sobie w pełni sprawę z niebezpieczeństwa - miało być jeszcze przyjemniej.

Zatrzymaj się niedługo, śliczna Taniu.

Jedzie do willi - powiedział Jamie, kiedy Nicholas podniósł słuchawkę. - Może wszystko jest w porządku?

Na pewno nie było w porządku.

Jeśli jechała do willi, to tylko dlatego, że spodziewała się Maritza.

Chryste!

- Mam tam pojechać?

Tak, jedź, powstrzymaj ją, ocal jej życie.

- Nick?

Zaczerpnął głęboko powietrza.

- Nie. Zaparkuj u stóp wzgórza i zaczekaj na mnie.

### *Dziewiętnasta pięćdziesiąt pięć*

Kiedy Nell zajechała na tyły willi, było już całkiem ciemno.

Żadnych świateł. Żadnych samochodów.

Tym razem udało się jej nie spóźnić.

Wysiadła z auta i szybko podeszła do drzwi frontowych. Otworzyła je, położyła pistolet na progu i włączyła lampę na zewnątrz. Księżyc świecił jasno, ale to jej nie wystarczyło. Podeszła na skraj urwiska i popatrzyła na fale uderzające o brzeg. Zaczerpnęła głęboko powietrza i rozluźniła mięśnie ramion.

Sądziła, że będzie zdenerwowana, przestraszona albo zła. Zamiast tego czuła, że stać ją będzie na działanie z zimną premedytacją. To, co miało się zdarzyć, już od dawna było nieuchronne.

Na widok zbliżających się świateł, zamarła w oczekiwaniu.

Nie była pewna, czy to Tania, dopóki samochód nie podjechał bliżej.

Mały czerwony kabriolet zahamował przed wejściem. Wysiadła z niego Tania.

- Jedzie za tobą? - spytała Nell. Tania odwróciła głowę.

- Popatrz.

Auto posuwało się wolno, niemal leniwie, w górę szosy.

- Wejść do środka. Otworzyłam drzwi. Tania zaczęła się wahać.

- Nie chcę cię zostawiać. Masz broń?

- Leży na progu.

- W tym miejscu na niewiele ci się zda.

- Jeśli go nie powstrzymam, pójdzie za tobą.

- Na miłość boską, weź rewolwer. Potrząsnęła głową.

- Jest za szybki. Jill nie umierała krótko. Chcę, żeby Maritz cierpiał. Musi wiedzieć, że to koniec.

Tania podeszła do drzwi, podniosła pistolet i rzuciła nim w Nell.

- Weź, bo nie wejdę do domu.

Nell wzięła od niej rewolwer. Nie miała czasu na kłótnie. Światła znajdowały się już o parę metrów od nich.

- Szybciej.

Tania pobiegła w stronę willi. Nell zalał nagle snop światła. Auto zatrzymało się tuż obok. Wysiadł z niego mężczyzna.

- Gdzie jest Tania?

Maritz. Stał w cieniu, obok otwartych drzwiczek auta, ale rozpoznała ten głos. Słyszała go w snach.

- W środku. Nic jej nie zrobisz.

Postąpił krok naprzód i powędrował wzrokiem po jej tenisówkach, dżinsach oraz pistolecie.

- Wezwała policję? Bardzo się na niej zawiodłem.
- Nie jestem z policji. Znasz mnie, Maritz. Przyjrzał się jej uważniej.
- Nie znam... Calder ? Ta Calder?
- Wiedziałam, że trzeba ci tylko trochę podpowiedzieć.
- Lieber zrobił świetną robotę. Powinnaś mi podziękować. Zalała ją fala gniewu.
- Podziękować? Za zabicie mojej córki?
- Zapomniałem o dzieciaku.

Mówił prawdę. Już dawno o tym zapomniał. Zabicie Jill nic dla niego nie znaczyło.

Zrobił kolejny krok naprzód.

- Ale teraz sobie przypominam. Płakała, chciała wybiec na balkon.
- Zamknij się.

Widziała mnie w jaskini. Powiedziałem Gardeaux, że mała mogła mnie rozpoznać, więc musiałem ją zabić. Ale to nie była prawda. Zabijanie dzieci jest naprawdę wyjątkowe. One są takie miękkie i tak bardzo się boją. Czuje się smak tego strachu.

Ręka, w której trzymała pistolet, drżała jej mocno. Nie mogła nad sobą zapanować, choć wiedziała, że Maritz marzy tylko o tym, żeby wyprowadzić ją z równowagi. Dlatego zabijał ją słowami.

- Nóż już za pierwszym razem wszedł gładko, ale to nie wystarczyło. Ona była za... za... - Skoczył naprzód i wytrącił jej z ręki pistolet, zadając jednocześnie cios w policzek.

Upadła.

Natychmiast znalazł się nad nią.

- Nie chcesz wiedzieć, jak krzyczała, kiedy...

Uderzyła go pięścią w usta i przetoczyła się na bok.

W ostrzu zamigotał promień księżyca.

Nóż. Zerwała się na równe nogi, po czym natychmiast odskoczyła. Wirowały w niej wspomnienia.

*Medas. Jestem bezbronna. Nie rób mi krzywdy. Nie krzywdź Jill. Dlaczego on nie przestaje?*

- Nie uda ci się mnie powstrzymać. - Maritz zbliżał się do niej powoli. - Nie udało ci się wtedy, nie uda ci się teraz.

*To naprawdę potwór.*

- No chodź - mruknął Maritz. - Nie chcesz wiedzieć, jak zasztyletowałem małą dziewczynkę? Ile razy musiałem wbić nóż?

- Nie - szepnęła.

- Strach cię obleciał. Jesteś takim samym mazgajem jak kiedyś. Nowa twarz, ale charakter ten sam. Zaraz z tobą skończę i poszukam Tani.

Te słowa podziały na nią jak strumień zimnej wody. Tutaj Tania miała stać się ofiarą. Nie Jill. Nie znajdowali się na Medas, a ona już nie była tą samą kobietą.

- Akurat. - Obróciła się na pięcie i kopnęła go w żołądek.

Jęknął i zgiął się wpół. Zanim jednak zdążyła go znowu zaatakować, odzyskał siły. Ruszyła na niego z wściekłością.

- Nie zabijesz Tani. Już nigdy nikogo nie zabijesz.

- Dobrze. - Uśmiechał się. - Walcz. Kopnęła go w ramię i wytrąciła mu broń z ręki. Zaklął cicho i schylił się po nóż. Zaczęła biec w jego kierunku.

Uderzył ze śmiertelną dokładnością.

Oślepiający ból. Ramię. Odskoczyła do tyłu.

Podchodził do niej z uśmiechem.

Zrobiła krok w tył, walcząc z bólem.

Stała na skraju wzgórza, Maritz był coraz bliżej i bliżej.

Pod nimi fale rozbijały się o brzeg.

*Medas.*

Nie, nigdy więcej.

Czekała na niego.

- Jesteś gotowa? - szepnęła. - Już się zbliża. Słyszysz, jak szepcze?

Śmierć. On mówił o śmierci.

- Och, tak. Jestem gotowa.

Natarł na nią, ale odskoczyła w bok i chwyciła ramię trzymające nóż.

Jej dłoń wystrzeliła w górę i uderzyła go pod nosem, gruchocząc kości, których kawałki utkwily w mózgu.

Zachwiał się i spadł tyłem z urwiska.

Patrzyła, jak fale zalewają jego pogruchotane ciało.

*/ spadamy w dół, w dół, w dół...*

Osunęła się na ziemię.

*Już po wszystkim, JUL Skończone, maleńka.*

- Nell.

Nadal oszołomiona, rozpoznała głos Nicholasa.

- On nie żyje. Porwał ją w ramiona.

- Wiem. Widziałem.

- Przez chwilę myślałam, że... - Popatrzyła na niego. - Jak to widziałeś?

- Już nigdy nie chcę przeżywać czegoś podobnego.

- Patrzyłeś i nie reagowałeś?

- Zadałaś sobie wiele trudu, żeby mnie okpić. A gdybym nie zostawił ci Maritza, nigdy byś mi tego nie wybaczyła... - Urwał. - Ale mało brakowało, a byłbym się wtrącił.

- Musiałam to zrobić sama.

- Wiem. - Cofnął się i popatrzył na jej ramię. - Przestało krwawić, ale lepiej chodźmy do domu. Musimy to opatrzyć.

Nadeszła Tania.

- Udało się? - spytała cicho. Nell popatrzyła na urwisko.

- Tak - odparła.

Kiedy Joel wyszedł z izby przyjęć, na jego twarzy malowała się wściekłość.

Tania westchnęła. Wiedziała, że Lieber będzie zły.

- Ręka Nell w porządku? - spytała.

- Owszem. Straciła jednak sporo krwi, więc musi tu zostać na noc.

- Chcesz się ze mną rozwieść?

- Poważnie się nad tym zastanawiam.

- Nie powinieneś tego zrobić. Od twojej byłej żony dowiedziałam się wszystkiego o alimentach. Ja załatwiłabym cię lepiej. Poszedłbyś z torbami.

- Straciłem ochotę do żartów.

- Musiałam to zrobić, Joel. - Przytuliła się do męża i położyła mu głowę na piersiach. - Wiem, że chciałeś mnie chronić, ale nie mogłam na to pozwolić. Jesteś mi zbyt drogi. Ale pozwolę ci zabić kolejnego bandytę, jaki się tylko do mnie zbliży. Mogę nawet jakiegoś poszukać. Podobno w Central Parku aż się od nich roi. Zatrzymamy się w Nowym Jorku i... - Lieber zaśmiał się głośno, a Tania podniosła na niego wzrok. Dobrze. Już po burzy. - Nie sądzisz, że to dobry układ?

- Byłabyś zdolna do każdego szaleństwa, prawda? - Popatrzył na nią z góry. - Nie mogę tak żyć, Taniu.

- Obiecuję, że już nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię. Ale naprawdę nic mi nie groziło.

Prychnął gniewnie.

- Nic, naprawdę. - Uśmiechnęła się. - Byłam tylko Paulem Henreidem, a Nell Bogartem.

Nicholas usiadł na krześle obok Nell i wziął ją za rękę.

- Jak się czujesz?

Wiedziała, że chodzi mu nie tylko o stan zdrowia.

- Nie wiem. - Potrząsnęła głową. - Jestem spokojna. Odrętwiała. Pusta.

- Joel bardzo ładnie zszył ci ramię. Nie będziesz miała blizny.



- To dobrze.
- Zrobiłem rezerwację na jutrzejszy lot. Zabieram cię z powrotem na rancho.

Potrząsnęła głową.

- Wolałabyś zostać przez jakiś czas we Francji? Boże, jak trudno jej było to powiedzieć.
  - Chcę, żebyś wrócił na rancho. Zamarł.
  - Bez ciebie? Przytaknęła szybko.
  - Muszę przez jakiś czas zostać sama.
  - Jak długo?
  - Nie wiem. Nie jestem pewna. Już niczego nie jestem pewna.
  - Ale ja jestem. Jestem pewien, że mnie kochasz.
  - Boję się, Nicholas - szepnęła.
- Że nie będę żył wiecznie? Tego problemu nie potrafię rozwiązać.
- Dotknął palcem jej policzka. - Będziesz musiała tylko zdecydować, czy wystarczy nam czasu, który możemy spędzić razem.
  - Łatwo powiedzieć. A co się stanie, jeśli podejmę nieodpowiednią decyzję? To przecież niewykluczone. - Myślała chwilę. - Czy pamiętasz, co plotłam o krokach, jakie muszą podjąć ludzie, by osiągnąć pełnię? Mówiłam ci wtedy, że byłam mała, karłowata... I wcale nie czuję się lepiej.
  - Pomogę ci przecież.
  - Możesz mnie chronić, ale z pewnością mi nie pomożesz. Muszę to zrobić sama.
- Uśmiechnął się krzywo.
- A więc wyjeżdżasz, żeby stać się łabędziem?
  - Wyjeżdżam, żeby wyzdrowieć, dorosnąć i poskładać swoje życie w logiczną całość.
  - Co zamierzasz?
  - Malować, znaleźć pracę, rozmawiać z ludźmi. Wszystko, co mi w tym pomoże.
  - A dla mnie nie znajdzie się miejsce?

- Jeszcze nie.
  - Ale wrócisz na rancho, kiedy będziesz gotowa?
  - Jeśli nadal będziesz mnie chciał.
  - Tak, do diabła, będę cię chciał! - Wstał i zajrzał jej w oczy.
- 
- Dam ci wolność, ale nie mogę obiecać, że za tobą nie pojedę.
  - Pocałował ją prędko i mocno. - Zrób to szybko, cholera.
- Wyszedł.
- Oczy wypełniły się jej łzami. Pragnęła go zawołać, powiedzieć, że wsiądzie z nim do samolotu i nigdy nie spojrzy za siebie.
- Ale zdołała się opanować. Nie chciała oszukiwać Taneka, dając mu niekompletną osobę.
- Siebie również nie chciała oszukiwać.

## Epilog

Ktoś stoi przy furtce - powiedziała Michaela. Nicholas oderwał wzrok od książki.

- Kto? Peter? Marzył o tym, żeby obejrzeć szczeniaki, i Jean miał go tutaj przywieźć.

- Nie, to nie oni. - Odwróciła się. - Idź tam i sam zobacz.

- Dlaczego mam iść? Wpuść po prostu tego kogoś. - Nagle zauważył, że Michaela jest wyraźnie uszczęśliwiona. Niemal się uśmiechała. Wstał. - Kto to? - Nie czekał jednak na odpowiedź. Szybko wyszedł na werandę, zasłaniając oczy przed słońcem.

Stała przy domofonie, ubrana w dżinsy i kraciastą koszulę. W jej włosach igrał promień słońca.

Zaczął iść w jej kierunku. Zanim stanął przy bramie, minęły wieki.

Patrzył na nią. Wyglądała cudownie - była piękna, silna i młoda.

- Nie spieszyłaś się. Minał rok.

- Wolno się ucę. Musiałam to wszystko jakoś wyprostować.

Przekrzywił głowę.

- Pani Łabędź, jak sądzę.

- Masz cholerną rację. - Twarz Nell okraślił promienny uśmiech. - Otwórz bramę i wpuść mnie, Tanek.